Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

ZYGMUNT MIŁKOWSKI
[TEODOR TOMASZ JEŻ]

SYLWETY EMIGRACYJNE

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

SŁÓWKO WSTĘPNE

Pół wieku z górą minęło od momentu, w którym Polska częściowo i ułamkowo prawo głosu odzyskała. Przed r. 1848 głucha, martwa panowała w niej cisza, śród której o życia narodowem świadczyły rozlegające się brzęki kajdan, przeciskające się przez mury więzień jęki ofiar, oraz powtarzające się od czasu do czasu widowiska egzekucyj, wyroków, wydawanych przez „sądy krzywoprzysiężne". Umysłowe i polityczne życie wygasło było w granicach dawnej polskiej Rzeczypospolitej: przeniosło się do krajów, użyczających gościnności zbrodniarzom, ściganym za miłowanie cnoty i domaganie się sprawiedliwości. Gościnności tego rodzaju doznało we Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi polityczne z r. 1831 wychodźctwo polskie.

Po upadku powstania listopadowego, wysłała Polska na Zachód czoło narodu - wszystko, co w szeregach ludności swojej najlepszego i najdostojniejszego pod moralnym i umysłowym, na miłości Ojczyzny opartym, posiadała względem. Europę zalały polskie narodowe sławy i polskie narodowe cnoty, reprezentowane przez doletnie powagi i z ław szkolnych młodzież, przez dostojników wysokich i tę gromadę szarą, co działa moskiewskie „czarnemi od pługa zdobywała rękami". Całe to wychodźctwo, żyjąc i oddychając ojczyzną, a przystosowując się do środowiska, w którem przebywało, urabiało się na modłę oryginalną, zasługującą na to, ażeby się z nią zapoznać.

Zapoznać się z nią należy nie dla samej ciekawości tylko. Doba emigracyjna polska, objęta latami 1831 i 1864, jest ważną w dziejach Polski epoką - epoką w której się na pół dokonało, poczęte na sejmie czteroletnim, sankcyonowane przez powstanie Kościuszkowskie, narodu szlacheckiego przeobrażanie się demokratyczne.

Przeobrażenie to nie tak dokonanem zostało, ażeby nic do życzenia nie pozostawiało.

Niestety!... Na razie i później zachodziły przeszkody, jeżeli nie niemożliwe, to bardzo do usunięcia trudne. Działalność emigracyi z r. 1831 na tem głównie polegała i tem się wielce zasłużyła, że przeszkody te wykazała wyraźnie. Dzieło jej - powstanie styczniowe - podkopało je, podważyło, lecz ich usunąć całkowicie nie zdołało... Przeszkód onych usuwanie przejęli krajowcy w zakresie - w jednej z dzielnic rozczłonkowanej ojczyzny naszej bardziej, w drugiej mniej, w trzeciej jeszcze mniej ograniczonym, nigdzie atoli na gruncie polskim z tą swobodą, jakiej prowadzenie sprawy podobnej wymaga. Nie tylko to, ale podkopanie owo przez nas przeszkód wyzwoliło ze strony mocarstw zaborczych potęgowanie sposobów, ograniczających swobodę działalności polskiej. Sposoby te, mające na celu nie gnębienie już, ale wprost eksterminacyę - wyrwanie z gruntu ojczystego z korzeniem żywiołu polskiego, nastawiły się w czasach ostatnich tak groźnie, że budzić się musi, co do wytrzymałości naszej odpornej, wątpliwość. Wątpliwość nie ta trwożiia, co ręce opuszcza i na wolę losów się zdaje, ale ta, którą wywołuje przezorność (*la politique c'est la prévoyance*), nakazująca zawczasu formować i wzmacniać rezerwy. Sądząc po napinaniu się forsownem Moskwy i Prus w moskwiczeniu i nieinczeniu nas, oraz po austryaczeniu się majstrów od przefarbowywania patryotyzmu i demokratyzmu w przezwanej Galicyą jednej z bardzo ważnych Polski dawnej dzielnic, ręczyć nie można, że emigracya nie stanie się niebawem ponownie, jak po r. 1831, tą rezerwą, o którą się oprze polityczne Polski życie. Warto się przeto bliżej z fizyonomią jej zapoznać.

Emigracya z r. 1831 uważaną być już może za wygasłą. Z uczestników powstania listopadowego najmłodsi, przy życiu jeszcze pozostający, dźwigają obecnie (1902 r.) na grzbietach po lat najmniej dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesięcioletni starce na palcach w społeczeństwie każdem liczyć się dają. Nie wielu już znajduje się i takich, co ich, jeżeli nie wszystkich, to niektórych, znali osobiście i we wspomnieniach te do przeszłości naszej dziejowej należące postacie przechowują.

Pamiętnej emigracyi owej członkowie zaznaczyli się jedni na polu działalności naukowej, literackiej, politycznej, drudzy jako typy charakterystyczne, znamionujące wpływy pod jakimi wzrośli, warunki w jakich się wychowali. Masy szeregowe i kadry oficerstwa niższego składały się z rówieśników Mickiewicza, co „widzieli" rok, zwany przez lud „rokiem urodzaju", przez żołnierzy „rokiem wojny".

Jako przewodnicy z kraju wyszli z nimi po większej części napoleoniści, legioniści, śród których się i Kościuszkowie zdarzali. Ludzi tych to przedewszystkiem cechowało i od pokolenia Polaków z ostatniej wieku XIX. ćwierci różniło, że silnie i bez. względnie w wyzwolenie Polski orężem wierzyli.

Dzieliły ich przekonania społecznopolityczne: jedni hołdowali Polsce szlacheckiej i walkę o nią upatrywali na drodze dyplomatycznej; drudzy polegali na demokratyzującej narody rewoiucyi, jako na środku, mającym w społecznych i politycznych stosunkach sprowadzić wolność, równość i braterstwo. Wytworzyły się stąd dwa stronnictwa: arystokratyczne i demokratyczne - pierwsze zwane **Trzeci Maj**, albo **Hotel Lambert**, drugie **Towarzystwo demokratyczne polskie**. Różniły się one zasadniczo, nie różniły się celowo: do jednego i tego samego celu, do niepodległości Polski, nie jednakiemi podążając drogami. Pomiędzy niemi istniało stronnictwo pośrednie, noszące nazwę **Zjednoczenia**, przyjmujące zasady demokratyczne, nie odrzucające dróg dyplomatycznych. Obok tych większych stronnictw kilka pomniejszych wiodło żywot niegłośny, z wyjątkiem towianizmu, któremu rozgłos nadał Mickiewicz, pociągnąwszy za sobą kilka osobistości wybitniejszych i garstkę wyznawców. Każde z nich w łonie swojem posiadało ludzi zacnycli w większości i pewien procent filutów, normalnych i narwańców, zwyczajnych i typowych.

W tłumie tym sporo osobników znałem osobiście. Tych, co mi się pod pióro nawiną, wezmę za przedmiot „Sylwet". Może uda mi się nietylko niejedno nazwisko od wpadnięcia do rzeki Lety uchronić, ale i przyszłemu emigracyi polskiej z r. 1831 historykowi cokolwiek zaznajomienie się z jejfizyognomią ułatwić.

Nim jednak do tej ochronnej przystąpię operacyi, rzec winienem słów kilka o szerzonycli o emigracyi z r. 1831 zdaniach i zarzutach rozmaitych. Są pomiędzy nimi słuszne, ale są i takie, co się bez rzeczywistej rozpowszechniły racyi, są jeszcze i takie, którym nieprawdy zarzucić nie można, prawda zaś jest tak naturalnym i koniecznym objawem, że wypowiadanie jej w postaci zarzutu świadrzy o nierozumieniu rzeczy przez tych, co zarzuty czynią.

Wspomnę o niektórych. Naprzykład : kłótnictwo stronnicze. Zarzut ów w obiegu znajduje się obecnie jeszcze, kiedy kłótnictwo rzekome emigracyjne - jakże blado, jak łagodnie wygląda wobec tej, na. mniej więcej zasadniczem polu toczonej ustawicznie szermierki, której teatrem jest dawnej Rzeczypospolitej dzielnica, co się dostała państwu, które zbiegokoliczności zniewolił nadać jej swobodę dyskutowania w roateryi społecznej i politycznej! W innej dzielnicy, mimo mocne swobody zwężanie, dyskutowanie, raezejby na zarzut kłótnictwa, niż w dawnej emigracyi, zasługiwało. W jednym jeno Polski dziale bardziej jeszcze niż dwa inne przez złą dotkniętym wolę, nie zdarzają się spory na polu spraw publicznych. Panuje tam we względzie tym zgoda absolutna, świadcząca, że byle jaka we względzie wyrażania myśli swoboda wytwarza stronnictwa, pomiędzy któremi powstają spory o zasady, przekonania, poglądy, o sposoby stosowania zasad i przekonań do praktyki i o różne inne mniej godziwe rzeczy. Zapobiega temu jedynie niewola bezwzględna, taka jak ta, która w Rosyi panuje. W krajach wolnością się cieszących, w Anglii, Francyi, Belgii, w państwach Skandynawskich, Szwajcaryi, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. zawzięte odbywają się... „kłótnie" (?).

Zarzut - niezarzut - jeszcze jeden wyjaśnienia się domaga. W mniemaniu gdzieniektórych na uznanie on zasługuje. Jest nim: **mistycyzm**.

Mistycyzm stanowi ogólne wszystkich wierzeń religijnych, z objawienia wyszłych i duchowo ukształtowanych, podłoże. Stan jego w duszy tak pojedynczego jak zbiorowego osob-

nika, bywa czynny albo bierny. Bierny, a nie znajdujący się w zależności od tych i innych Polski zaborów, czyniąc religię podnietą i regiilatorką moralności, wskazując drogę cnoty, na której dla Polaka przodują obowiązki względem ojczyzny. Taką religię większość ogromna wycliodźtwa polskiego w r. 1831 wyznawała. Odpowiadało jej podłoże mistyczne, łagodne, wyrozumiałe, nie tracące żadną doktryną osobliwą, nie segregujące emigrantów na katolików, protestantów, prawosławnych, żydów, mahometan.

Z ogółu wydzieliła się garstka, która nań odblask mistyczny rzuciła dla tego, że wśród niej blaskiem wielkim, mistycznym świeciła ogromna Mickiewieża postać. Ale to się w ciasnem zamykało kółku - w kółku „wybrańców ducha" (Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Rettel, Wrotnowski i in.), które stało odosobnione. Nie wywierało ono wpływu, nie wzbudzało spółizucia. Świadczy o tem owoczesna publicystyka emigracyjna; świadczy obojętność, z jaką emigracya przyjęła wezwanie Mickiewicza do formowania w r. 1848 legionu polskiego we Włoszech. Legion się sformował i przy obronie Rzymu przeciwko Francuzom odznaczył, ale pod dowództwem Fiałkowskiego.

Mistycyzm nie miał ani jako doktryna, ani jako czynnik polityczny, powodzenia. Ogół się w tym nie poganiał kierunku. Większość ogromna prostej, katechizmowej ojców trzymała się wiary ; wśród niej przerzucali się, jak w każdein ludzkiem zbiorowisku, fanatycy, obojętni, wolnomyślni. Mistycyzm doktrynerski, formalny, na niwie emigracyjnej wykwitty, po za urzędowym, który spowodował zawiązanie zakonu Zmartwychwstańców, na dwa rozpadał się rodzaje: na nielicznych wyznawców „**Towianizmu**" i jeszcze mniej licznych wyznawców, założonej przez Ludwika Królikowskiego, „**Polski Chrystusowej**".

Nie!... Ani o kłótnictwo, ani o mistycyzm Emigracyi polskiej z r. 1831 na seryo się pomawiać nie godzi. Była ona czem być mogła i musiała: grunt polski, zabarwienie cudzoziemskie - francuskie we Francyi, angielskie w Anglii etc. Na tle takiem uwydatniały się powstania pojedyncze, nacechowane tem indywidualizmu piętnem, co znamionuje właściwości osobistościowe, mniej więcej charakterystyczne, mniej więcej oryginalne, urabiające typy poważne, spokojne, ruchliwe, zabawne, dziwaczne, nadające się do galeryi sylwet. Spróbuję wizerunków dziadów pokolenia obecnego nakreślić tyle, ile mogę. Uprzedzam jeno czytelników łaskawych, że modele czerpać będę w obozie - po większej części - demokratycznym, w którym sam *parvula pars* zaszczyt być miałem.

CENTTARLIZACYA TOWARZYSTWA DEMOKR[ATYCZNEGO] POLSKIEGO W R. 1850-51

Od głośnej, w czasie swoim przez jednych wychwalanej, przez drugich wyklinanej Gentralizacyi Towarzystwa Demokr. Polsk. kreślenie „Sylwet" moich rozpoczynam. Czynię to dlatego, że za jej (Centr.) pośrednictwem stałem się czasu onego członkiem tej emigracyi polskiej, która w porozbiorowych Polski dziejach nie mato ważną, a mało znaną i bałamutnie rozważaną odegrała rolę. Najpierwszym Centralizacyi członkiem, z którym się w życiu mojem zszedłem, był Stanisław Worcel. Zszedłem się z nim w Londynie. Czemu nie w Wersalu, nie w Paryżu? Nastąpiło to w r. p. 1850, kiedy zainstalowany we Francyi na krześle prezydyalnem Ludwik Napoleon Bonaparte (późniejszy Napoleon III) rozpoczął polityczną gospodarkę swoją od oczyszczania Francyi z żywiołów rewolucyjnych. Żywioł rewolucyjny polski był mu z bliska i doskonale znany. Wszak jednego z rewolucyonistów, Dunina, w porcie boulogne'skim utopił; u rewolucyonistów tego rodzaju co Worcel, płk. Oborski, Sztolcman w Londynie, w towarzystwie stryjecznego swego, przezwanego później PlonPlonem, bywał przed r. 1848, wdawał się z nimi i przyjaźnił. Znal więc dokładnie i dokumentnie organizacye i zamiary wychodźtwa polskiego i, na mocy znajomości tej. jak skoro nogę na drodze do tronu cesarskiego prowadzącej postawił, wnet Towarzystwo Demokratyczne rozwiązać, a przedstawicielstwo onego z Francyi wypędzić kazał. Ten był powód, dla którego z członkiem Centralizacyi w Londynie się spotkałem. Anglia od rewolucyonistów nieprzystępnością się nie odgradzała.

Komplet Centralizacyi pięciu przenosiny do trzech zredukowały członków: Wojciech **Darasz**, Stanisław **Worcel** i Jan Kanty **Podolecki**.

Rozwiązanie Tstwa D., luboć bardziej nominalne niż rzeczywiste, w trudnem jednak Centralizacyę postawiło położeniu. Stosunki organizacyjne odbywać się musiały sposobem kontrawencyjnyni: organ Tstwa wychodził w Brukseli; stosunki z krajem zeszły na drogę pośrednią ze względu na pozaśrodkowość stanowiska, zajmowanego przez Anglię w odniesieniu do spraw politycznych w Europie. Sprawy te ogniskowały się natenczas we Francyi - w Paryżu. Wchodziła do nich i sprawa polska, która też, o ile się w sferze działalności Centralizacyi znajdowała, przez Paryż do Londynu przechodzić musiała. Z tej racyi, w stosunkach jej z sekcyami, które się wbrew rozporządzeniom policyjnym nie porozwiązywały, oraz z wysłańcami z kraju, do pośrednictwa tajemnych uciekać się należało agentów. Byli nimi, o ile przypominam sobie: Sylwester Staniewicz, Teofil Januszewicz, Józef Ordęga i in.

W Londynie, w wobec różnonarodowych przedstawicielstw rewolucyjnych, Centralizacya, jako przedstawicielstwo organizacyi, która posiadała stan służby w walce o wolność krwią okraszony, procesami zilustrowany, ofiarami uświęcony, poważne zajmowała stanowisko. Z przedstawicielstw owych wyłonił się Komitet Centralny Demokracyi Europejskiej, w którym Francyę zastępował Ledru-Rollin, Anglię - Linton, Niemcy - ?..... , Włochy - Mazzini, Rumunię - D. Baatiano, Polskę - W. Darasz.

Darasz przeto stał niejako na czele Centralizacyi. Powiadam: „niejako", ponieważ tak sekcye Tstwa D., jak Centralizacya nie posiadały prezydentów (prezesów) stałych; na obradach członkowie przewodniczyli kolejno w porządku alfabetycznym.

Naczelność nadawała Daraszowi jego w Kom. Centr. obecność. Faktycznie on przewodniczył w obradach przedstawicielstwa Tstwa D. P. - jemu też należy się pierwszeństwo w szeregu zamierzonych „sylwet".

Wojciech Darasz wyszedł z Polski w liczbie tej młodzieży uniwersyteckiej, co z ławek szkolnych przeniosła się do szeregów wojskowych. Należał do młodszych śród wychodźtwa.

Żądny wiedzy, wiarę w Polskę łączył z przekonaniem o potrzebie pracowania dla niej. „Wiara bez uczynków martwą jest.” W kierunku tym kształcił się i wcześnie brał udział w usiłowaniach, mających na celu szczepienie i gruntowanie zasad demokratycznych. W r. 1838 wybranym został do pierwszej do pięciu * członków zredukowanej Centralizacyi. Odtąd wybór jego, z rządkiem!, przerwami, ponawiał się z roku na rok mimo, że suchoty przewidywać kazały bliski moment, w którym zdrowie nie dozwoli mu nadal sprawie publicznej służyć. Stan chorobliwy czynił go przykrym w stosunkach z kolegami zwłaszcza. Podolecki i Worcel dużo nieraz z jego strony do zniesienia mieli. A nie żenował się z nimi - karcił ich niby studentów i oni, jak studenci, strofowań jego wysłuchiwali.

Na strofowanie często zasługiwał Podolecki. Narażało go na to z niczem zrównać się nie dające lenistwo.

Członkowie Centralizacyi pełnili funkcyę redaktorów wychodzącego raz na tydzień arkuszowego organu Towarzystwa. Numer każdy należało obrobić - j obrobić, we względzie tak treści jak formy, co się zowie dobrze. W szeregach wychodźtwa polskiego znalazły się od razu, nie licząc geniuszów (Mickiewicz, Słowacki), zdolności pisarskie niepospolite. Nie można przeto było czytelników zbywać lada czem.

We Francyi, w Paryżu, gdy w gronie członków Centralizacyi dawał się brak piór ciętych uczuwać, brakowi temu nie trudno było na ściągającym Polaków bruku stolicy Francyi zaradzić. W Anglii atoli, w Londynie, nie poławiali się na zawołanie Polacy piszący. W gronie Centralizacyi znajdował się jeden. Darasz i Worcel posiadali umiejętność wypisywania się dobrze; ale pisanie dobre i piękne Podoleckiego udziałem było. Bez Podoleckiego Demokrata Polski byłby pismem czytywanem od niechcenia.

Jan Kanty Podolecki, rodem z Rusi Czerwonej (Galicyi Wschodniej), wyemigrował tym porządkiem, co Teofil Wiśniewski. Udział w spiskach zakwalifikował go, jeżeli nie na szubienicę, to na dożywotni w Kufszteinie pobyt. Nieponętny los ten uśmiechał się mu, gdyby się policyi udało było do rąk go swoich przed r. 1846 dostać. Nie poszczęściło się tej instytucyi ochrończej, dzięki czemu zajął stanowisko nie uważane za zaszczytne przez miłośników zaprowadzonych przez zaborców Polski porządków. Ponieważ nie należałem - i po dziś dzień nie należę - do miłośników tej kategoryi, nietylko więc zbrodni, jakich się dopuścił, za złe mu nie brałem, ale talentu jego pisarskiego nie oceniałem wedle wskazówek przez policyę udzielanych. Gdybym był literatury polskiej historykiem, nazwiska jego nie pominąłbym milczeniem.

Był to talent rzeczywisty, przejawiający się zarówno w prozie jak w mowie wiązanej. W Galicyi mieszkając, znał się i przyjaźnił z Wincentym Polem, z którym do spółki napisał „Jasełka”. Z utworów jego poetycznych przypominam sobie balladę p. t. „Hetman bosy”. Co do prozy, co tydzień z niecierpliwością wyglądałem nowego *Demokraty Polskiego* numeru dla rozkoszowania się artykułem jego pióra, dającym się z łatwością wyróżnić śród na chłodno poprawnych artykułów innych.

Niecierpliwość tak moja, jak smakujących w dobrej prozie czytelników nie zawsze zaspokojenie znajdowali. Na wyrób Podoleckiego nieraz dwa i trzy czekać trzeba było tygodniu. Zwłoki te spowodowywało z niczem się porównać nie dające lenistwo. W długiem życiu mojem równego mu leniwca widzieć mi się nie zdarzyło.

Podolecki żywot pędził leżący. W Londynie z łóżka wstawał rzadko. W łóżku sypiał, w łóżku herbatę pijał, w łóżku jadał, czytał i pisał - a pisywał nie inaczej, tylko w obecności większej liczby gości. Pisać nie był wstanie, gdy pozostawał sam, lub gdy w odwiedziny do niego przyszło ludzi nie więcej jak dwóch. Przed nim na stojącym obok łóżka stole leżał dużego formatu arkuszowy kajet papieru czystego, kałamarz i pióro obok. Po pióro ręką sięgał, w palce je ujmował, niekiedy w kałamarzu maczał i w ręku ważył, jakby się do pisania zabierał, ale - nie pisał.

Przeszkadzała mu gawędka we dwóch, we trzech. Nie przeszkadzała, kiedy się u niego osób pięć, sześć i więcej zebrało, rozmawiając i dyskutując głośno. W gwarze pisał - gwar dla niego ostrogą był niejako. W dyskusyi udział brał - zapytywał, odpowiadał - potwierdzał, przeczył - wykładał, dowodził i pisał - pisał. Im gawęda szła żywiej, tem z pod pióra jego ciętsze wychodziły artykuły.

Przy pisaniu, czytaniu, gawędzie, jedzeniu, piciu herbaty, z ust nie wypuszczał fajeczki glinianej, kurząc tytoń haniebny, który sam sobie z wysuszonych herbaty wygotowanej liści, zmieszanych z tytoniem zwyczajnym, fabrykował. Czynił to przez oszczędność, która się powonieniom ludzkim dotkliwie czuć dawała, ale pozwalała dwom zarazem dogadzać namiętnościom : herbacianej i fajczanej. Inaczej niemożliwością dla niego by było ze szczuplutkiej - sto franków miesięcznie nie przenoszącej (zdaje się) pensyi * - i namiętnościom tym dogadzać i żonie z dzieckiem do Paryża zasiłki posyłać.

Przywara (lenistwo) i wyżej wymienione namiętności nie przeszkadzały Podoleckiemu być człowiekiem, każącym siebie szanować i kochać. Z łóżka - wstawał niekiedy. Do ostateczności tej dwie doprowadzały go konieczności: posiedzenia Centralizacyi, odbywające się w mieszkaniu Darasza, oraz wykłady dla emigrantów historyi polskiej. Na posiedzenia chodził obowiązkowo; wykłady wziął na siebie z dobrej i nieprzymuszonej woli i wywiązał się z nich znakomicie. Natura obdarzyła go łatwością słowa, zaprawioną akcentem, nadającym głosowi niskie, z przyjemnością słuchać się dające brzmienie. Godzinami całemi z zajęciem nieustającem słuchiwało się tego grubokościstego, ciężkiego, wzrostu miernego, nieco pochyło się trzymającego, o szerokiem, jasnemi, dobremi oczami oświeconem i rudawym zarostem otoczonem obliczu prelegenta, opowiadającego lip. o Bolesławie Chrobrym. Bolesław Chrobry był jego szczególnie umiłowanym w dziejach Polski bohaterem.

W centralizacyi owoczesnej: władzy małomównej a surowej, nieugiętej, wyrazem był Darasz; stronę jej ujmującą, poezyą okraszoną wyobrażał Podolecki; rozumu przedstawicielem był Worcel.

Worcla socyaliści (dzisiejsi, czy wczorajsi ? - nie wiem) na patrona swego dlatego, że czas jakiś był członkiem założonego w Portsmouth socyalistycznoreligijnego zakonu, wypromowali. Z całą rzeczy świadomością oświadczam, że na zaszczyt ten zasługuje on mniej jeszcze, nią Mickiewicz. Worcel socyalistą był w sensie demokracyi narodowej, przyznającej pracy wszystkie słusznie jej w myśl równości obywatelskiej przynależne prawa, uznającej, miast szerzenia w społeczeństwach przez wyzywanie do walk klasowych nienawiści, potrzebę szczepienia braterstwa, stawiającej na stanowisku przewodniem wolność, ogarniającą zarówno ustroje społeczne i polityczne.

Takimi były Worcla społeczne i polityczne z gruntu na wskroś patryotycznego wystrzelające ideały.

Świadczą o tem stale - wespół z Lelewelem, W. Zwierkowskim, Winc. Tyszkiewiczem i innymi, w pierwotnych wyemigrowania uczestników powstania listopadowego momentach - przedsiębrane przezeń starania i zabiegi około zorganizowania emigracyi; świadczy udział jego w Zjednoczeniu, z którego się nie wykreślał, gdy towarzystwu portsmutskiemu służył; świadczy w końcu l to, że ze Zjednoczeniem wraz z Lelewelem, Zwierkowskim i innymi w roku 1846 do Tow. demokratycznego wstąpił.

W Tow. dem., na stanowisku członka centralizacyi, niczem - powtarzam - na zaszczyt patronowania dzisiejszemu, walkoklasowemu, międzynarodowemu, a raczej beznarodowemu socyalizmowi nie zasłużył.

Stanisław Worcel pochodził z Wołynia - ze Stepania nad Horyniem; był członkiem jednej z trzech rodzin polskich, przez cesarza Pawła grafskim obdarzonych tytułem *.

Nauki pobierał w Krzemieńcu. Po skończeniu nauk ożenił się, należał do za zezwoleniem rządu zrazu założonej, następnie tolerowanej, w końcu zakazanej loży masońskiej i gdy powstanie wybuchło, wziął w niem udział w charakterze posła rówieńskiego. Po upadku po-

wstania wyemigrował, pozostawiając w kraju żonę i syna, oraz brata, starszego właściciela majątku ziemskiego.

Na szczegóły te uwagę zwracam, wykazują one bowiem dowodnie, że Polak może być nietylko szlachcicem zwykłym, nietylko szlachcicem ukarmazynowanym, nietylko z Radziwiłłami, Sanguszkami, Potockimi zparantelowanym, nietylko nawet przez cara uhrabionym - i mimo to stać się wzorem demokraty, miłującego Polską duszą całą i sercem calem. Worcel przekonaniowo i faktycznie z hrabstwa i szlachectwa się wyzuł, całego siebie na usługi sprawie polskiej oddając. Żywot pędził jak najskromniejszy, na użytek osobisty z nadsyłanych mu przez rodzinę zasiłków, zatrzymując tyle jeno, ażeby głodu i chłodu nie doznawać. Za mieszkanie służył mu pokoik jeden, będący zarazem sypialnią, jadalnią, salonem i pracownią. Jadło przyrządzała dla niego gospodyni: herbata z tartiną rano, kawałek mięsa z jarzyną i szklanka piwa half and half (czytaj: haf end haf) na obiad, herbata wieczorem - oto jak odżywiał się człowiek, któryby na większe pozwalać sobie mógł wygody zwłaszcza, że takowych nietęgie, z astmą się mocujące i kaszlem gwałtownym wątłą postać jego szarpiące zdrowie wymagało. Jedynym, jakiego się dopuszczał, zbytkiem była tabaka, którą zawzięcie zażywał i która na wąsach, brodzie i odzieży charakterystyczne mu pozostawiała ślady.

W obcowaniu towarzyskiem miły był i resursów pełen. Nie zapomnę kilku z nim i ze znającym okolico jego rodzinne świetnym stosunków sąsiedzkich opowiadaczem, Mikułowskim, spędzonych wieczorów. Worcel ożywiał się - rozochacał - rozpytywał, opowiadał. Posiedzenia te stawały się przesuwaniem przed oazami naszemi obrazów żywych, obejmujących Wołyń, Podole, Ukrainę, a doszykowujących się do Polesia wołyńskiego. Pamiętam je ! - o! - i ze czcią głęboką wspominam tego demokratę polskiego.

* Przed tem do centralizacyi wchodziło 11, następnie 9 członków.

* Pensya członków centralizacyi stopniowo do tej doszła wysokości. Pierwotnie poprzestawali oni na pensyi, wypłacanej emigrantom polskim przez rządy francuski i angielski. Anglia dawała utrzymanie tym tylko wychodźcom polskim, co wzięli udział w wyprawie sabaudzkiej. Inni fardinga nie dostawali. Do tych ostatnich należeli członkowie ceutralizacyi w r. 1850 do 1851, z których jeden tylko Podolecki był przez Tstwo płatnym. Z Daraszem dzielił się brat, lekarz, praktykujący w Algierze. O Worclu rodzina nie zapominała.

* Dwiema innemi były rodziny Stroynowskich i Ilińskich. Emigracyi młodej udzielał się odczytami - wykładał teoryę perspektywy.

WIKTOR HELTMAN.

Tym, których Polski się tyczące, polityczne i społeczne interesują sprawy, radzę odczytywać od czasu do czasu, z Poitiers r. 1836 datowany, *Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*. Dokument to ważny we względzie historycznym i ciekawy - ciekawy dla tego mianowicie, że w tytule wyraz jeden - przymiotnik „demokratyczny" - ludzi zgrozą czasu onego przejmował. W czwartym w. XIX. dziesięcioleciu szlachcie Polskę zamieszkującej demokracya przedstawiała się pod postacią czegoś zbrodniczego. Stawiano ją na równi z farmazońtwem. Pojęcia: farmazonia, demagogia, demokracya, bliskiem ze sobą wiązano pokrewieństwem. Takie wyrazów tych pojmowanie zrobiło się pod wpływem akcyi rządów zaborczych. Znamiennym jest wpływ ów. Kto z Polaków nie wie i przekonanym nie jest, że pochodzi on od ich ojczyzny, ich bytowania narodowego wrogów?... Wiedza ta, to przekonanie nie przeszkadzają jednak przyswajaniu sobie głównych i narzucanych przez nieprzyjaciół wierzeń. Wynosi je młodzież ze szkół, przejmują Indzie dojrzali jedni pod naciskiem strachu, inni ulegając lenistwu ducha, nie dającemu nad rzeczą zastanowić się uważnie. Dzieje się to dziś, działo się od upadku powstania listopadowego do epoki rokiem 1848 zaznaczonej. Od owego momentu pamiętnego rozpoczęło się stopniowo zwiększające się tolerowanie demokracyi przez rządy takie nawet, jak moskiewski. Po tolerowaniu nastąpiło uznawanie i stosowanie - stosowanie z odpowiedniemi tu, tam i ówdzie przyprawami, istotnej demokracyi nazwę jeno pozostawiającemi, dzięki czemu wstręt do wyrazu, panujący do potowy w. XIX., znikł w w. XX. całkowicie prawie. Któż dziś demokracyi, po swojemu rozumianej, nie uznaje?...

Uznawania te właściwie umieć cenić potrzeba. Dla zaznaczenia potrzeby tej wyżej wymieniony manifest odczytywać radzę - oznajmiam przytem, że dokumentu tego autorem jest nazwany w tytule pisania niniejszego: Wiktor **Heltman**.

„Potwór" - mianowali go jedni; „Robespierre, Marat w intencyi" - powiadali o nim inni; powszechne w „szanujących siebie" sferach mniemanie przypisywało mu zamiary rzeźnicze, zwrócone na szlachtę. W Wielkopolsce, która do r. 1848 w bliższych, niż inne działy Polski porozbiorowej, z emigracyą pozostawała stosunkach, lepiej go znano i łaskawiej o nim trzymano.

W roku tym i Galicya z nim znajomość zabrała; ale w dzielnicy tej, zasianej hrabiami kreacyi austryackiej, sympatyzującymi z bajratem i stosującymi do dworu bądź cesarskiego, bądź arcyksiążęcego - gdy który z arcyksiążąt funkcye namiestnika pełnił - w dzielnicy tej, w sferach, w których się amatorowie tytułów rodowych płodzą, twardo przy raz powziętej o tym członku Centralizacyi opinii obstawano. „Farmazon, demagog, demokrata, Robespierre, Marat, rzeźnik" - nie wychodzono z tych terminów, gdy o nim mowa była.

Nie zeszedłem się z Heltmanem w zaborze austriackim; że zaś zasady demokratyczne, gdym grunt Czerwonej Rusi po raz pierwszy deptał były mojemi, do osoby przeto demokraty *par excellence* wstrętu nie czułem. Stosownie jednak do reguły, głoszącej, że w każdej bajce musi być część prawdy, prawdę odnosiłem do postaci jego, wyobrażając ją sobie groźną, surową. Musiała być przecież jakaś racya, grozę wywołująca.

Jakżem się zdziwił, zdumiał prawie, gdym w r. 1858 w Brukseli wobec niego stanął!

Liczył naonczas lat sześćdziesiąt mniej więcej. Wzrostu słusznego, szczupły, głowa kształtna, podłużna, okryta płowym w złotawy wpadającym włosem, oczy siwe nadawały oblicza wyraz smutku, wywołującego spółczucie. Takim mi się przedstawił i zrobił na mnie

wrażenie człowieka gruntownie dobrego i łagodnego. Był nim w rzeczy samej. Odnowiłem z nim znajomość w r. 1866 i przekonałem się, że wrażenie pierwsze w niczem mnie nie zawiodło.

Heltman z życia publicznego wycofał się r. 1849, raz dla tego, że wstęp do Paryża został mu wzbronionym, po wtóre z tej przyczyny, że wstąpił w związki małżeńskie z kobietą, która się siłami całemi powrotowi jego na pole działalności politycznej sprzeciwiała.

Dziwne to było stadło: on demokrata - ona ultraszlachcianka, on wolnomyślny - ona bigotka fanatyczna, on mężczyzna przystojny - ona niewiasta nad wyraz brzydka. Poznali się i pokochali na długo przed wybuchem powstania listopadowego. W r. 1822 za udział w wydawnictwie *Dekady*, podejrzany o spiskowanie, Heltman oddany został za karę do wojska, do szeregów korpusu litewskiego, pozostającego na równi z wojskiem polskiem, pod naczelnem pamiętnego W. ks. Konstantego dowództwem. Kwaterując m Białorusi, poznał się z panną Eleonorą Dmóchowską. On młody, ona młoda - pokochali się. Wieść o powstaniu w Warszawie oderwała kochanka od kochanki i rozdzieliła ich na lata. Postarzał on, postarzała ona, lecz afekt w sercu przechowała i jak skoro się sposobność nadarzyła, do ukochanego podążyła. Że, ujrzawszy ją, Heltman pomyśleć musiał: „Ten straszny upiór jestże to Aldona?" - to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nie powiedział jej jednak tego. Ślub wzięli w Anglii - zamieszkali w Brukseli - i w Brukseli oboje wieku dożyli.

Heltman z ochotą do czynnego byłby wrócił życia; przyjaciele go wzywali, ciągnęli: niezłomne pani veto jak mur na przeszkodzie stało. Gościa każdego podejrzewała, że po męża jej przybywa i na wstępie, przed powitaniem, oświadczała:

- Nic z tego nie będzie... Wiktor się z Brukseli nie ruszy... Dosyć się poświęcał... i jam się poświęciła, ja, z domu Dmóchowska, córka marszałka, synowica arcybiskupa...

Z Leonem Zieńkowiczem formalną stoczyła kłótnię, w której wyrazów nie dobierała. Z jednym Zygmuntem Sierakowskim, wodzem naczelnym powstania na Litwie w r. 1863 obeszła się łaskawie, ale mu nie ustąpiła. Chciała mleć męża dla siebie wyłącznie i przy tem się utrzymała: zrobiła z niego inwalidę w latach, w których czynnym mógł być jeszcze.

Zeszedłem się z Heltmanem w r. 1858 w intencyi powołania go do służby; lecz, powitany przez panią wyrazami: „Nic z tego nie będzie", nie próbowałem nie tylko powoływania, ale napomykania o braku jego w dokonywujacych się w czasie owym czynnościach. Nie przypuszczałem, ażeby kto tak absolutnie i bezwzględnie mógł pod pantoflem żony się ulokować i to - pod jakim?...

„I na to - myślałem sobie - zeszedł człowiek o maratyzm, o szlachtofobię, o rzeźnicze posądzany skłonności?..."

Hart jednak, który mu służył do redagowania *Dekady*, spiskowania, opuszczenia, szeregów moskiewskich dla walczenia w polskich, walczenia w szeregach demokratycznych na czele hufca, na ten cel za jego zorganizowanego sprawą, emisaryuszowania, kierowania obroną zrewolucyonizowanego Drezna przeciwko wojskom królewskim - hart ten nie opuścił go całkowicie. Przejawił się - odżył pod koniec żywota pod ciekawą, jako objaw psychiczny, postacią.

W Brukseli znalazł się w położenin wygnańca, potrzebującego zarobkować na życie. Na życie dla siebie i dla żony. Zrazu pracował w kartograficznym van der Mahtena instytucie, co uzdolnieniu jego i spólnemu z lelewelowskiem do kreślenia map i mapek zamiłowaniu odpowiadało. Kartografia, rzec można, powołaniem jego była, przy zamiłowaniu bowiem posiadał, jak Lelewel pismo drobne i wyraźne, nadające się do znaczenia nazw miejscowości najbardziej na jak najmniejszej skupionych przestrzeni. W zakresie tym opracował i wydał: „Tablice synoptyczne historyi polskiej", rzecz wartościowa *. - Zdrowie nadwątlone zniewoliło go instytut opuścić i innego sposobu zarobkowania się uchwycić. Jął się dawania lekcyj: języka polskiego, historyi, geografii i literatury polskiej. Lekcye te możliwą czyniła obecność w Brukseli rodzin, oraz po szkołach i pensyach dzieci polskich. I ta jednak praca wymagała

zdrowia, które coraz to bardziej szwankowało. W miarę, jak siły słabły, dochody się umniejszały. Dopełnianie braków wzięła na siebie żona, ale czyniła to w sposób, wstręt w zgromadzonej po upadku powstania styczniowego w Brukseli emigracyi polskiej budzący. Do żadnej nie wprawiona pracy, mająca za ubliżające sobie - córce marszałka - posługi domowe, jakiemi są gotowanie jadła, pionie bielizny, w czystości i porządku utrzymywanie mieszkania, wejść musiała na drogę wypraszania środków pieniężnych. Przychodziło jej to dosyć łatwo, dzięki temu, że w Brukseli Polacy zamożni jedni zamieszkiwali, inni w przejeździe się na króciej lub dłużej zatrzymywali. Heltmanowa rodziny polskie obchodziła i każdej opowiadała o poświęceniu się męża i swojem, o chorobie mężowskiej, o niedostatku.

Drogą tą zdobywała zasiłki. Nie było to żadnym występkiem, głód bowiem, jeżeli występków nie usprawiedliwia, to usprawiedliwia takie, jak żebranina nieprzyzwoitości. Nieprzyzwoitość, której się Heltmanowa dopuszczała, ogromną, wysłowić się nie dającą emigracyi, sprawiała przykrość. Kwestya ta wytoczyła się r. 1867 na obchodzie rocznicy powstania styczniowego. Z mówców jeden wstydem, hańbą nazwał opuszczenie przez naród zasłużonego w starości i niedostatku człowieka. Zebrana na prędce składka zaspokoiła bieżące Heltmanowstwa potrzeby; obok tego, za inicyatywą przodującego zwykle w razach podobnych Erazma Malinowskiego, zawiązał się „komitet do zaopatywania potrzeb H.", który doeroigracyi i do kraju wystosował odezwę, powołującą do uczczenia zasługi. Odezwa nie przebrzmiała bez echa - a echo w brzęczącej wyraziło się monecie, nadsyłanej z Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi przez Polaków, oraz z Polski, ale wyłącznie z zaboru pruskiego. Do zaboru moskiewskiego odezwa nie doszła; w zaborze austryackim przyjętą została obojętnie; pruski stanął za wszystkie, spłacając hojnie dług narodowy pracownikowi, który, wkładając w sprawę polską cały kapitał swój umysłowy, nie myślał o sobie. Obywatelstwo w zaborze pruskim zrozumiało to i Heltmanowi wygodne do śmierci zapewniło życie. Składki z Poznańskiego regularnie, za pośrednictwem zwłaszcza kobiet (p. p. Szczaniecka, Moraczewska, Mielżynska i in.), napływały w wysokości, pozwalającej w miesiącu każdym część na nieprzewidziane odkładać potrzeby *. Czyni to wielki Wielkopolsce zaszczyt

Dla scharakteryzowania Heltmana dokładnie i usprawiedliwienia zamieszczonego powyżej wyrzeczenia jako hart, który go był opuścił, nie opuścił całkowicie, zakończę sylwetę jego zaznaczeniem psychicznej, jaka w nim zaszła, zmiany. Poddał się był żonie bezwzględnie i bezwarunkowo, stał się wobec niej potulny, pokorny, posłuszny, uległy, posuwając uległość do tego stopnia, że to gorszyło i raziło patrzących i słuchających. A pani się wobec ludzi nie żenowała bynajmniej.

Zaproszonych do kogoś na poczęstunek, nie sadzano ich jednego obok drugiego, ażeby żona nie zabierała mężowi z talerza kawałków, co się jej smaczniejszymi wydawały. Pomiatała nim. Tak było poty, póki Heltmanowi dożywocie zapewnionem nie zostało. Jak skoro to nastąpiło, role zmieniły się z dziś na jutro. Ona spotulniała, złagodniała, spokorniała.

On wziął nad nią górę i pomiatać nią począł - łajał ją, czy było za co, czy nie, przy ludziach i to *pa matuszkie*, po moskiewsku, jak *cziny* łają *dienszczików*.

Jak tę zmianę wytłómaczyć?...

Do rozwiązania zadania tego, jako dane wiadome, przedstawia się żywicielstwo. Pokora jego i pokora jej zależała od tego, które z nich funkcyę żywicielską pełniło. Rozwiązanie podobne zadania możliwem jest, przypuszczając, że długie z żoną obcowanie na jej modłę Heltmana moralnie przerobiło. Faktu tego inaczej wytłómaczyć nie sposób. Heltman nigdy nikogo tak, jak pod koniec żywota swego żonę, nie traktował. Przerobił się więc i pod niczyim, tylko pod jej wpływem - przerobił się na jej modłę.

Ot, co żona znaczy.

* U F. A. Brockhausa w Lipsku wyszła Heltmana: Demokracya", tom spory (str. 303) zawierający artykuły jego polityczne, ogłaszane w swoim czasie w *Demokracie Polskim* i w innych, barwy demokratycznej pismach.

* Trwało to do śmierci Heltmana. Po śmierci jego składki ustały. Fundusz zapasowy dla pozostałej po nim wdowy, póki nie umarła, starczył, ale z deficytem, pokrytym... nie ze składek.

LUDWIK LUBLINER.

I żydzi wzięli w powstaniu listopadowem udział - nie taki jak w r. 1794, w którym pułk wystawili, ani taki jak w r. 1809, upamiętniony śmiercią Berka pod Kockiem na czele szwadronu ułanów, złożonego z dzieci Izraela - udział wzięli jednak. Historya nie zaznacza obecności ich w szeregach, co polowe z Moskalami staczały bitwy; ale w hufcach gwardyi miejskiej, powołanych do obrony stolicy, nie znajdować się nie mogli. Znaleźli się też i na emigracyi. Zaliczanym jest do nich czynny w sprawach organizacyjnych i publicystycznych Jan Czyński, który - zdaje się - z Frankistów pochodził. Podania ustne sławiły Byka, ten atoli, jeżeli do szeregów wojskowych należał, to jako faktor chyba, w tej bowiem funkcyi, złączonej z funkcyą kolportera, pędził we Francyi wśród wychodźtwa polskiego żywot wędrowny. Żydem jednak niewątpliwym i żołnierzem niewątpliwym, podporucznikiem od grenadyerów, dekorowanym, był Ozyasz **Lubliner**.

Czemu Lubliner piękne biblijne Ozyasza imię zmienił następnie na pospolite Ludwika? Może się ochrzcił i następnie odechrzcił. Nie wiem. Poznałem go pod imieniem Ludwika w Brukseli, w roku i w dniu nawet tym samym, co Heltmana i Lelewela.

Znajomość z nim spadła na mnie niespodzianie. Możem wiedział, a może nie wiedziałem, że mąż ten w Brukseli przebywa. Nazwisko jego, wymawiane w tonie humorystycznym, o uszy się mi obijało, nie w taki jednak sposób, ażeby we mnie szczególne ja kies wzbudzać miało zajęcie.

Gdym do mieszkania Lelewela drzwi otworzył i próg przekroczył, oczom moim takie przedstawiło się widowisko: przed stojącym pod oknem stołem siedział pochylony, grzbietem do mnie zwrócony, siwy staruszek; obok niego stał człowiek w sile wieku z arkuszem zapisanego papieru w ręku. Staruszek w pół się ku mnie z wyrazem niechęci w oczach odwrócił. Gdym mu, domyśliwszy się, że to Lelewel, nazwisko moje wymienił, wyraz niechęci z oblicza mu znikł, ustępując miejsca wyrazowi uprzejmości serdecznej. Od razu mnie do siebie ośmielił i oswoił ze sobą. Usiadłem przed nim; zawiązała się rozmowa łatwa, swobodna, jakbyśmy się od wieków znali. Czas ubiegał - na rozmowie upłynęła godzina mniej więcej. Nie zważałem na jegomościa, któregom był przy wejściu z arkuszem w ręku zoczył i - nie prędzej na niego uwagę, aż na schodach zwróciłem. W słuch mi wpadły następujące, z lekkim, charakterystycznym, a doskonale mi znanym akcentem wymówione przezeń wyrazy:

- Nu... to ja nie widział, ażeby Lelewel tak kogo przyjmował...

Z akcentu domyśliłem się, kto mi towarzyszy.

- Obywatel Lubliner?... - zapytałem. Towarzysz mi potwierdzająco odpowiedział. Na schodach, na ulicy zamieniliśmy ze sobą frazesów kilka; wskazał mi, wedle nakreślonego przez Lelewela planiku, drogę do Heltmana i gdyśmy się rozstawali, zapytał mnie, gdzie mieszkam.

Nazajutrz rano, o ósmej - nie później, zaszczycił mnie Lubliner wizytą. Przyszedł w celu zaproszenia mnie do siebie na obiad, na którym zejść się miałem z Lelewelem, Heltmanem i kilku ludźmi młodymi, w Brukseli dla studyów przebywającymi. Zaprosiny z ochotą przyjąłem - poczem spędziłem godzin parę na słuchaniu wykładu o kwestyi żydowskiej, poruszonej artykułem w *Gazecie Warszawskiej* o koncercie panien Neruda. Sprawa ta szeroko w momencie owym ogadywaną była w Warszawie, na prowincyi i na emigracyi. Lubliner okazał się rzecznikiem jej gorliwym, co mnie nie dziwiło, ani gorszyło - nie dziwiło, boć naturalną była obrona Żydów przez Żyda, nie gorszyło, albowiem podzielałem zdanie tych, co wystąpienia *Gazety Warszawskiej* nie pochwalali. Szczególnie mi się ton polemiki nie podobał. Sprawy tej atoli nie brałem tragicznie. Z argumentów, jakie Lubliner wypowiadał, żaden mi nieznanym nie był i cały dla mnie argumentacyi jego interes polegał na sposobie, w jaki wygłaszaną była.

Giesty, akcent. Lubliner był to Żyd wykształcony, inaczej nie mógłby pełnić funkcyi adwokata przy sądzie kasacyjnym w Brukseli, ani być autorem książek i artykułów dziennikarskich we francuskim i polskim języku. Wykształcenie jednak nie zacierało, ani maskowało jego pochodzenia. Żyd mu z oczów, z ust, z nosa, z całej, wcale nie powabnej, patrzał postawy. Do patryotyzmu polskiego przyznawał się i - istnie, jak Żyd w tańcu, zapalał: w piersi się dłonią bił, podskakiwał i krzyczał:

- Polskę kocham !... Czy ja się za nią bił i krwi nie przelał ?... Ranili mnie... Ja dekorowany !.,.

Powtórzył to razy kilka - a raz, w uniesieniu, o ranie wspomniawszy, dodał:

- I to moje szczęście... wielkie szczęście !... Gdyby nie ta rana, byłbym uciekł... A tak, wzięli mnie, odnieśli... Nu... to co?... Krew ja moją za Polskę przelał... ja Żyd !...

Z każdego jego wyrazu, z każdego giestu biła szczerość, akcentowana na manierę żydowską. We względzie tym był on typem, luboć bowiem po polsku wyrażał się, płynnie i poprawnie, w mówieniu Jego czuć się dawała gardlaność semicka, a niekiedy i zachlipywał się. Był on typem i w innym jeszcze względzie: w moralnym, będąc przedstawicielem rasowej narodu wybranego pychy - pychy w tem, w odniesieniu do Polski, wyraz swój znajdującej przypuszczeniu, że Polskę żydzi zbawią, a przynajmniej, że zbawienie Polski bez nich się dokonać nie będzie mogło. Lubliner w to wierzył i wiary tej swojej, luboć chciał, ukryć ani zamaskować nie umiał. Wyrywała mu się ona z ust niechcący. Na przykład :

Imię „Ludwik" na siebie uwagę jego w latach 184849-50 zwróciło.

- Teraz górą, na przodzie, same Ludwiki - powiadnł: Ludwik Bonaparte, Ludwik Koszut, Ludwik Mierosławski, Ludwik Lubliner.

Mierosławskiemu, któremu ta przywara żydowska obcą nie była, fatalną raz wyrządził psotę. Na ogłoszoną przez Aleksandra II., po zawarciu w Paryżu (r. 1856) z Turcyą i mocarstwami przeciwko Rosyi sprzymierzonemi pokoju, amnestyę emigracyi polskiej, stronnictwa emigracyjne odpowiedziały odmową zbiorową. Mierosławski do żadnej nie przypisał się odpowiedzi. Odpowiedź, wystylizowaną lapidarnie, wystosował do cara sam od siebie; ażeby zaś wiadomość o niej nie rozeszła się w Paryżu przedwcześnie i nie osłabiła efektu, posłał ją Lublinerowi, polecając mu, wydrukowanie onej w Brukseli cichaczem. Lubliner się do polecenia zastosował, z tą jeno małą odmianą, że na odpowiedzi, pod podpisem Mierosławskiego, zamieścił swój. Za zbytek ten Mierosławski posłał mu podziękowanie, zaczynające się od wyrazów: „Ośle jakiś !" Stało się to powodem zerwania przyjaznych do czasu onego pomiędzy nimi stosunków. Na wzmiankę o Mieroslawskim, Lubliner z niesmakiem usta wykrzywiał, ręką od niechcenia machał i powiadał:

- Wun za dużo o sobie myszli... Za dużo i Lubliner o sobie myślał.

Dziennik Warszawski (wychodzący obecnie po moskiewska i przemianowany na *Warszawskij Dniewnik*) wziął był sobie za specyalne, w siódmem i ósmem zeszłego wieku dziesięcioleciu, zadanie zohydzania emigracyi polskiej. O niej i o wybitniejszych jej przedstawicielach, takich zwłaszcza, którym na stronach słabych nie brakło, często się rozpisywał i niestworzone, w dostarczanych przez niejakiego Belinę-Młochockiego z Paryża i Stępowskiego ze Szwajcaryi korespondencyach, rzeczy wypisywał.

Lubliner spodziewał się zostać sponiewieranym jak Mierosławski, jak (pogodzony później w Słowiańszczyźnie z Moskwą) ksiądz Mikoszewski i inni - czekał na to, a doczekać się nie mogąc, sam siebie w *Dz[ienniku] Warsz[awskim]* oczernił. Udało mu się to raz tylko, redakcya bowiem pismo nosem zwąchała i po raz drugi na kawał wziąć się nie dała.

Niezupełnąby sylweta Lublinera z pod pióra mego wyszła, gdybym jeden z przymiotów jego milczeniem pominął. Wspomniałem o oblicza jego i postaci niepowabności. W rasie żydowskiej, arabskiej z pochodzenia, nierzadko trafiają się przepiękne płci obojej okazy. W Konstantynopolu i Bukareszcie żydówki hiszpańskie oczy ludziom blaskiem ponęt zrywają. To samo powiedzieć należy o sprawczyniach ruin majątków okolicznej szlachty polskiej, ży-

dówkach w Mohylewie nad Dniestrem. Słyszałem, że urodą zaznaczają się żydzi w Warszawie. Lubliner daleko się od tych natury wybrańców odtoczył. Zaznaczała go brzydota co się zowie, tem się cechująca, że żyd, kiedy brzydki, to już brzydki. Mimo to osobliwe mu u kobiet szczęście służyło. Związki małżeńskie z powodu, że go żon parę odumarło, z innemi się rozwiódł, ponawiał kilkakrotnie, pozostawanie zaś w stanie matrymonialnym bynajmniej mu nie przeszkadzało w garnięciu się romansowem do przedstawicielek płci nadobnej. Dowodziłoby to, że płeć nadobną wysoko po swojemu cenił.

Ludwik Lubliner r[oku] 1867 czy 1868 w Brukseli umarł. Śmierć mu rak na ustach sprowadził. Na pogrzebie jego, na cmentarzu żydowskim, w obecności całej naonczas w stolicy Belgii przebywającej emigracyi polskiej, w imieniu jej - po mowie rabina, mowę wygłosił Lew Sawaszkiewicz. Mówił o nim, jako o szczerym i gorącym patryocie polskim, który był rzeczywiście zasługującym w zupełności na nazwę „Polaka starozakonnego". O Polskę walczył, dla niej pracował. Materye w których pisał i drukował, sprawy polskiej tyczyły się przeważnie: o konfiskacie majątków w Polsce przez cara Mikołaja I, o prawie międzynarodowem w odniesieniu do Polski, o kwestyi żydowskiej itp. Miał wady, „bo któż jest bez wady?": śmiesznym był w pysze rasowej. Odmówić mu jednak nie można zalet i cnót, których podzielanie przez współwyznawców jego, o! jakże pożytecznąby obecność żydów w Polsce uczynić mogło.

JOACHIM LELEWEL.

Z obawą do ręki biorę pióro, celem nakreślenia sylwety Joachima Lelewela.

Obawę nasuwa mi wielkość modelu.

Emigracya z r. 1831 w łonie swojem posiadała znakomitych mężów stanu, wojowników, uczonych, pisarzy, publicystów, posiadała wielkich, genialnych (Mickiewicz, Słowacki) poetów. Człowieka większego nad Lelewela nie posiadała. Do niego jednego dawałoby się zastosować ecce homo Był on z tych, co:

... i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodaka żyje między braćmi".
(A. Mickiewicz.)

Górował nad innymi głową i sercem, dając z siebie wzór pracy, w której bezinteresowność aż na dziwactwo zakrawała.

Mówienie w sylwecie o pracy jego nie na swojem byłoby miejscu. Scharakteryzować ją wszakże w krótkości wolno. Była ona, rzec można, dwuimienną: naukową i polityczną. Jedna z drugą się schodziła; jedna drugą przenikała. Pierwsza mu sławę i żywot spokojny zapewniała pod warunkiem, ażeby jej nie kojarzył z drugą i nie wyprowadzał dla tej ostatniej z pierwszej wskazówek, niemiłych tym, co w międzyludzkich, międzynarodowych, międzypaństwowych stosunkach prawdę i sprawiedliwość uważają za rzeczy zbyteczne. On je jako sprawdzian pożyteczności dla człowieczeństwa w przeszłości, jako regułę na przyszłość do prac swoich wprowadzał, przez co stawał na drodze krzyżowej, którą ze spokojem człowieka, obowiązki obywatelskie sumiennie pełniącego, szedł usque ad finem. Na drodze tej nieraz się na szwanki narażać musiał, dzięki niestosowaniu się do wyzwolonych z więzów etycznych sposobów, w działalność polityczno-społecznej, w czasach minionych i w teraźniejszości praktykowanych. O tem wszystkiem sylwetysta wzmiankować jeno może. Do niego należy kreślenie wizerunków w uprawie życia towarzyskiego - w oprawie wspólnej ludziom wszystkim, największym i najmniejszym.

W oprawie tej wespół z Lelewelem przebywałem krótko - dni parę zaledwie; dużo za to o nim słyszałem: jedno z drugiem dostarczy mi materyału na przedstawienie publiczności czytającej historyka naszego w szlafroku, którego on na pewne nie posiadał.

Gdym się mu przedstawił, przyjął mnie dobrze, tuk dalece dobrze, że zdziwiło to obecnego przy tem Lublinera. Zdziwiłoby to było i mnie, gdyby mi był Lelewel na dziwienie się czasu trochę zostawił. Ogarnął mnie uprzejmością od razu tak, żem się upamiętać nie był wstanie. Preliminarya do niej tem się wyraziły, że po usłyszeniu nazwiska mego, do przyległego wybiegł pokoju i wnet wrócił, trzymając w ręku lewem, pomiędzy palcami, za szyjki, wraz z kieliszeczkami, trzy karafineczki szklane, zawierające każda płyn koloru innego.

- A jakiej pozwolisz, pomarańczówki, kminkówki, piołunówki?, - do mnie z zapytaniem się zwrócił.

Natrafił na człowieka, do którego nalewki nie przemawiały zgoła. Nie przypominam sobie „jakiej" się napiłem. Po poczęstunku niezwłocznie zawiązała się rozmowa. Żem przyjechał w interesie, Lelewel przeto na omówienie onego wyznaczył moment późniejszy, tymczasem zaś potoczyła się o tem i o owem gawędka, w którą nagle, tonem na poły żartobliwym, wtrącił:

- A dużo o tobie mówiła doktorowa P...
- Profesor się z nią zeszedł?... - zapytałem.
- Była u mnie i... o tobie mówiła... mówiła... powtórzył.
- Dziś się z nią widziałem...
- Nie dziwię się temu... - rzekł z naciskiem znaczącym.

Doktorowa P., młoda kobieta, na dzień przed przyjazdem moim, z mężem do Brukseli przyjechała. Z doktorostwem poznałem się w Paryżu. Doktor w specyalnie naukowych, medycznych podróżował celach. Towarzysząca mu żona również miała cele specyalne, będąc z liczby tych Polek, co się, przed wybuchem powstania styczniowego, żywo i mocno Polską interesowały. Ze wszystkiemi wydatniejszemi na emigracyi osobistościami doktorowa chętnie się zaznajomiła, celem dowiedzenia się, czy i co się dla Polski robi i kiedy ona niepodległość odzyska. Bardzo ją to, bardzo obchodziło. Ona zaś obchodziła ludzi jako osobistość wykształcona, uprzejma, bardzo ładna i uwagę na siebie zwracająca tem, że natura, przy jasno płowych warkoczach, obdarzyła ją okiem jednem czarnem, drugiem błękitnem. Nadawało to obliczu jej wyraz zagadkowy. Lelewel żartem prześladował nią mnie najniesłuszniej. Za każdem ze mną spotkaniem:

- Cóż pani doktorowa? - pytał. Świadczy to o towarzyskości jego, potwierdzając zeznanie Mickiewicza o „życiu sercem między braćmi". Taki jak on uczony - z wyżyn wiedzy zstępował na poziom stosunków powszednich i wnosił w nie dobry humor. Dokładniej objaśni to przykład jeszcze jeden.

U Lublinera Heltman, kilku ludzi młodych i ja, zeszliśmy się na obiad proszony. Czekaliśmy na Lelewela. Gdy się godzina obiadowa zbliżała, lunął deszcz.

- A!... jakie pół godziny z obiadem wstrzymać się musimy... Lelewel z pewnością deszcz przeczekać zechce... - odezwał się gospodarz.

Deszcz ustał. - Lelewel nie nadchodził. Drugie pół godziny - więcej może minęło. Gospodarstwo, po naradzie, do stołu podawać kazali. Po zupie, przy pierwszem daniu półmiskowem, wchodzi Lelewel. Powstawaliśmy za jego wejściem. Lubliner z usprawiedliwieniem siebie za nieczekanie z obiadem, z wymówką do Lelewela za spóźnienie się zwrócił.

- Mój kochany... - Lelewel mu przerwał. Przyszła Maryanna... zagadaliśmy się i zapomniałem o obiedzie twoim...

- Dla Maryanny o Lublinerze zapomniał!? - wznosząc ramiona, zawołał do nas Lubliner z wyrazem wielkiej na obliczu alteracyi.

Maryanna, niegdyś markietanka przy jednym z pułków polskich, zapędzona przea losy do Brukseli, utrzymywała się z prania bielizny. Podobno świetnieby stanąć mogła, gdyby grosz zarobiony oszczędzać chciała. Puszczanie grosza naprowadziło ją na inny łatwiejszy zarobkowania sposób. Przedstawiała się przez Brukselę przejeżdżającym Polakom. Dla markietanki wojsk polskich otwierały się sakiewki turystów z nad Wisły, Niemna, Dniepru. Żniwo najobfitsze miewała u wnijścia do domu, w którym mieszkał Lelewel.

- Wielmożny pan do pana prezesa Lelewela? - zaczepiała gości, poznając Polaków po wyróżniających ich śród narodów rysach.

Gość mową polską i zamaszystością postawy babuli ujęty, wręczał jej, zwłaszcza, gdy się o jej funkcyi wojskowej dowiedział, kilku, kilkunastufrankowy upominek. Niekiedy fr. 20 dostawała. Na cóż jej było przy bieliźnie się chlapać!...

Dla tej to Maryanny o Lublinerze Lelewel zapomniał. Zagadał się z nią nie o Dakach pewnie, ani o numizmatach, ani o wędrówkach Benjamina z Tudeli. Była to kobiecina bardzo gadatliwa, nie o wszystkiem jednak rozprawiać umiejąca. Lelewel wszelako stosować się do niej umiał. Do niej i do każdego. Doznałem tego na sobie. U Lublinera po obiedzie zgadało się o pochodzeniu szlachty polskiej. Wziąłem w rozmowie tej udział: postawiłem hipotezę, stosownie do której snąłem wywody, gdy nagle spostrzegłem się, że słuchaczem moim jest Lelewel. Zmieszało mnie to; gorąco mi się zrobiło - języka w gębie zapomniałem. Do zabrania w materyi tej głosu ośmieliło mnie postawienie się Lelewela na poziomie towarzystwa, złożonego z paru ludzi dojrzałych i ze studentów. Wśród nas żaden go w zakresie wiedzy naukowej do kolan nie dorastał. Mimo to, między nami a nim najmniejsza się uczuwać nie dawała różnica. Wydawał się równym nam w każdym, w naukowym nawet względzie. Takim

być on musiał w Wilnie - i tem tłumaczy się jego wśród młodzieży popularność, oraz wielki, jaki na nią wywierał wpływ.

Skromność naturalna, prostota nieudawana, brak pozy absolutny stanowiły podkład natury jego towarzyskiej, nie zmieniającej się nigdzie i dla nikogo. Na salonach burmistrza Brukseli, na których zbierał się świat elegancki, takim (jak mi powiadano) był samym, jak u Lublinera, wesołym, dowcipnym, żartobliwym. Zapraszano go tam i usiłowano zatrzymywać jak najdłużej. W celu przeszkadzania, ażeby nie znikał zawcześnie, chowano mu nakrycie głowy, dla tego on z czapką w kieszeni do stołu siadywał.

Raz od Lelewela nauczka mi się dostała. Zaprosił mnie do kawiarni na piwo i dać kazał dla mnie i dla siebie po szklance fara. Faro, zdaniem Belgów, ma być piwem bardzo smacznem i najzdrowszem; zdaniem jednak po raz pierwszy je pijących, jest to napój jeden z najobrzydliwszych. Nie innym się też wydał i mnie. Ze wstrętem, szklanką o szklankę Lelewela trącając, łyk po łyku przez gardło przepuszczałem. Lelewel z pod oka na mnie spoglądał i złośliwie się uśmiechał.

- Jakże ci faro nasze smakuje?... - zapytał w końcu.

- Nie bardzo... - odrzekłem.

- Czemuż pijesz?... Przez grzeczność... Czego się ludzie nieraz przez grzeczność nie dopuszczają!...

Uprzejmość, jaką mi okazywał, wytłumaczyłem sobie później. Słyszał o mnie - od Worcla może - jako o człowieku w sile wieku, mającym ochotę sprawie polskiej służyć. Miałem już za sobą i przeszłość, pozwalającą do pewnego stopnia o przyszłości wróżyć pod warunkiem, ażebym piw paskudnych nie pijał... przez grzeczność. Ten był prawdopodobnie powód szczególnej dla mnie uprzejmości jego. Wzywał mnie razy kilka do siebie - chodził ze mną. Krążąc niekiedy z nim po mieście, sprawdziłem podania o popularności osoby jego śród mieszkańców Brukseli. Wszyscy go znali i z uszanowaniem przed białowłosym, wpół zgiętym, w szafirową bluzę robotniczą odzianym staruszkiem kościanym głowy chylili. Gdy szedł, dla spoglądania ludziom w oblicza, głowę do góry w prawo lub w lewo wykręcać musiał. Nie widział składanych mu pokłonów; wiedział o nich jednak i dlatego, w święta narodowe, kiedy się stolica tysiącami ludności prowincyonalnej zapełniła, na ulicy się pokazywać nie mógł, ukłony bowiem w tłumne i hałaśliwe zmieniały się owacye. Nazwisko jego i postać cześć w kraju całym wzbudzały.

Zdarzyło się atoli, że mu nazwisko i postać nie dopisały. Wkrótce po zamieszkaniu w Brukseli, do czego wygnanie z Paryża go zmusiło, dowiedziawszy się o ważnych dokumentach i ciekawych numizmatach, znajdujących się w Naraur, wybrał się do miasta tego piechotą w towarzystwie Worcla. Po obejrzenia dokumentów, pobraniu notat i poprzerysowaniu numizmatów, Worcel do Brukseli odjechał dyliżansem, Lelewel puścił się piechotą. We wsi jakiejś zwrócił na siebie uwagę żandarma, który, nie zadowolniony na zadawane mu przezeń pytania odpowiedziami, o nazwisko go zapytał.

- Lelewel... była odpowiedź.

- Lelewel?... członek Rządu narodowego polskiego?!... - wykrzyknął żandarm zdumiony.

- Tak...

Przestrzegaczowi porządku i bezpieczeństwa publicznego wydało się, że odpowiadający w ten sposób mizerak jest albo oszustem, albo na umyśle pomieszanym, zaprowadził go więc do aresztu miejscowego. Władza wiejska przesłała władzy wyższej do stolicy raport o uwięzieniu włóczęgi bez paszportu, mieniącego się Lelewelem. Do raportu dołączone były znalezione przy więźniu, okryte znakami rzekomo kabalistycznymi papiery, które policya wiejska uznała za podejrzane. Awantura tem się zakończyła, że po parudniowym w więzieniu pobycie Lelewel do Brukseli karetą burmistrza powrócił.

O wypadku tym opowiadanie słyszałem z ust znającego Lelewela blisko Worcla. Częstośmy o nim mówili. Rozmów tych potwierdzeniem dosadnem było wrażenie, jakie z krótkiego

z nim obcowania wyniosłem. Wierność zasadom, niezłomność przekonań, obok wyrozumiałości dla opinii przeciwnych, stanowiły grunt istoty jego duchowej - grunt, na którym z surową w stosunkach życiowych prawością łączyły się: łatwość w obchodzeniu się z ludźmi, prostota i skromność. Znanemi są, śmiesznie niskie honorarya od wydawców przezeń pobierane; znaną jest obojętność co do jakości i redukcya do niezbędnej ilości przyjmowanych przez niego pokarmów; znanem jest odziewanie się jego. Przeciwnicy, których miał dużo, najniesłuszniej go o afektacyę, o pozowanie obwiniali. Z natury nie elegant, chodziło mu więc tylko o odzież najwygodniejszą; nie żarłok, ani smakosz, odżywiał się w sposób najprostszy:rano mleko, raz na dzień kawałek mięsa gotowanego i chleba dużo - dużo dlatego, że dzielił się nim z myszami, osłaniając przez tu książki przed ich żarłocznością,

Gdyby nie książki, z pewnością mieszkałby kątem, jeżeli nie w beczce wzorem Diogenesa. Dla książek potrzebował mieszkania obszernego. Zajmował apartament na pierwszem piętrze, na którem obszerny, frontowy od ulicy pokój, obstawiony półkami, był jego biblioteką podręczną. Pokój mały służył mu za sypialnię. We wchodowym pracował i gości przyjmował.

Słabą w nim, ujemną stronę stanowiło ochędóstwo. Czasu nie miał myśleć o niem. Maryanna chwaliła się opieraniem go i utrzymywaniem mieszkania w czystości. Jedno i drugie bardzo, bardzo dużo do życzenia pozostawiało. Do czuwania nad nim potrzebną była jakaś Maryanna specyalna, któraby mu matkowała. Brak takiej przy nim kobiety to sprawił, że gdy na wieść o chorobie jego dr. Seweryn Gałęzowski z Paryża do niego pośpieszył, znalazł ciało jego okryte ranami, przez brud powyżeranemi. Nie dbał o siebie, w czerń podobnym był do tych z wieków średnich świętych, co ciało nędzną zwąc lepianką, za życia je robactwu na pastwę oddawali. W lepiance lelewelowskiej piękna, świetlana mieszkała dusza - dusza mędrca, wyznawcy w słowie i czynie prawdy i sprawiedliwości.

ZENON ŚWIĘTOSŁAWSKI.

Tytułowe sylwety niniejszej nazwisko wymaga powiedzenia stówka o środowisku, na którem się ono uwydatniło.

Środowiskiem była organizacya polityczno-społeczna odrębna, ultrareligijna, ultrasocyalistyczna, prawie - porównując ją z istniejącemi obecnie stronnictwami socyalnemi - anarchistyczna. Stanowiły ją dwie gminy: Grudziądz i Humań - jedna w Portsmouth, druga - później założona - na wyspie Jersey. Gmina Grudziądz tytułowała się pierwotnie sekcyą i wchodziła do składu Towarzystwa demokratycznego; lecz się z Tow. wykreśliła i gminą przezwała dlatego, że Tow. uznawało własność osobistą i, oświadczając się przeciwko szlachcie, nie potępiało mieszczaństwa. Gminy owe przyjęły ogólne „Ludu Polskiego" miano. Zasługującem na uwagę jest to, że podłożem ich byli włościanie: żołnierze szeregowi z armii polskiej, których Prusacy z Grudziądza, gdzie ich w niewoli trzymali, wyprawili do Ameryki na trzech okrętach. Jeden z tych okrętów zawinął do Hayre, drugi do Portsmouth - jedni wygnańcy pozostali we Francyi, drudzy w Anglii. Tymi ostatnimi zaopiekowali się tacy skrajni w przekonaniach swoich, jak Krępowiecki, ks. Puławski, Dzienicki, oraz Worcel, należący do Zjednoczenia, który się do nich przyłączył, celem przekonania się, azali z tej mąki nie da się chleba zrobić. Przekonał się: wykluczonym został. Cała organizacyi tej, krótko zresztą trwającej, działalność ograniczała się na: ogłaszaniu odezw i manifestów polemicznych, oraz na sporach i procesach wewnętrznych, rozstrzygających się wykluczaniem członków, o różne podejrzewanych zbrodnie. Podejrzenia zazwyczaj spotykały inteligientów. Procesy do tego doprowadziły, że tę ultrareligijną i ultra socyaiistyczną organizacyę ogołociły z inteligiencyi, z której przedstawicieli pozostało w końcu dwóch: szewc Jan **Kryński** i Zenon **Świętosławski**.

Zenon Świętosławski mieszkał w Jersey i należał do gminy Humań, która nazwała się w ten sposób dla wyrażenia uznania dla czynu ludu, co w r. 1768 w tem mieście ukraińskiem szlachtę i żydów wymordował. Pięknie się przez to zaleciła. Z czyjego do nazwy tej przyszło natchnienia? Mocno o to Świętosławski podejrzewać się daje, a to z tej racyi, że, o ile wiem, pomiędzy dziewięciu składającymi ją członkami, on jeden był z Ukrainy rodem; ojciec jego w Humańszczyźnie majątek posiadał i nie komu chyba innemu, jeno Zenonowi, w momencie wyszukiwania dla gminy nazwy, Humań i rzeź Humańska na myśl przyjść mogły. Pięknie się przeto i opowiadania niniejszego bohater zaleca. Ale - zapoznajmy się z nim bliżej.

Biografia jego nie jest mi znaną dokładnie. Nie umiem curriculum vitae jego w całej rozpowiedzieć obszerności. Niewątpliwie w powstaniu na Ukrainie r. 1831, pod dowództwem starego generała Kołyski, udział wziął. W powstaniu jako żołnierz prowadzić się musiał dobrze, inaczej bowiem nie byłoby dla niego w gronie wychodźców miejsca a tem mniej poważania. Po upadku powstania dzielić musiał losy tych wszystkich, co przez zabór austryacki, przez Niemcy następnie dostali się do Francyi i we Francyi wsiąkli w węglarstwo, sposobiąc rewolucyę, ogólnoeuropejską. Po drodze rozmaite mu się do głowy dostawały poglądy i doktryny, o których na Ukrainie może słyszał, ale uwagi na nic z pewnością nie zwracał.

Bo i jakże!...

Czy miody w epoce przedpowataniowej Ukrainiec, szlachcic zwłaszcza i bogaty, jakim był p. Zenon, miał możność, miał zresztą czas takiemi jak poglądy i doktryny tam jakieś zajmować się rzeczami? Konie, charty, jarmarki itp. pochłaniały go całkowicie. Przypuszczalnie nauki w Humaniu (u Bazylianów w Humaniu) pobierał. Ale, jeżeli doszedł do klasy piątej, jeżeli nawet szkołę skończył, co się Ukraińcom w czasach owych dosyć rzadko zdarzało, to wykształcił sobie wyobraźnię bardziej, aniżeli pojmowanie.

W dawniejszych średnich zakładach naukowych literatura prym trzymała. Szkoły humańskie dały nam Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Aleks. Grozę, Michała Grabowskiego - wybitnych poetów, ale nie z wybitnych uczonych, w liczbie których znalazł się

jeden Seweryn Gałęzowski, adjunkt przy katedrze chirurgii w b. uniwersytecie wileńskim i autor kilku cennych prac chirurgicznych. Bohater sylwety niniejszej, luboć nie wykierował się na twórcę pieśni, dum i poematów, ale wykierować się mógł na osobistość żywo się przejmującą wrażeniami i odczuwającą je szczerze i głęboko. Poetami nie tylko są tacy, co wiersze piszą, ale i tacy, co myślą, czują i wrażenia na czyn zmieniają. Ze szkoły wynieść musiał poetyczne, Ukraińcom właściwe usposobienie, oparte na twardej katechizmowej wierze religijnej, utwierdzonej udziałem w domu rodziców, w praktyce wedle przykazań kościelnych. Katechizm nakazywał mu miłować Boga w Trójcy św. jedynego nade wszystko i bliźniego jak siebie samego. Z tym nakazem, obłogosławiony przez ojca, oblany łzami matki, która mu szkaplerze na piersi zawiesiła, konno i orężnie wybrał się na walkę w obronie ojczyzny. Wyobraźmy sobie młodzieńca lak umysłowo i moralnie przysposobionego, który się niespodzianie dowiaduje o nieprawościach, wymagających naprawy. Nie wiedział o tem. W kraju rodzinnym, pod rodzicielską pozostając ręką, ani się domyślał, że najbliżsi jego, najmilsi mu, ojciec, matka, on sam są krzywdzicielami, wyzyskującymi lud roboczy, żywiącymi się potem i krwią jego.

- Naprawy! naprawy!! - zawołało w nim głęboko dotknięte sumienie człowieka, chrześcijanina i obywatela.

Biografia jego, którą na domysł piszę, ukazuje mi go w szeregach karbonarów, biorącego udział w wyprawie do Niemiec i do Sabaudyi. Inaczej wytłumaczyćby się nie dała jego w Londynie w r. 1833 czy 1834 nie na domyśle już oparta obecność. W stolicy Anglii w wielkim się znalazł niedostatku, w którym ratował się wzorem nędzarzy ulicznych, żywiąc się tanio sprzedawanymi skorupiakami. Nadarzyła się mu okazya dania o nędzy swojej ojcu znać.

„Mnie i kolegów sporo - pisał do ojca - losy na brzegi angielskie wyrzuciły. Źle nam, głodno i chłodno: żywić się musimy ostrygami."

W odpowiedź na pisanie to, ojciec mógł mu niezwłocznie zasiłek pieniężny posłać. Do posyłki dołączył list, a w nim mocne wyraził zdziwienie, że syn jego na niedostatek narzeka, zjadając ostrygi, nabywane na wagę złota w Warszawie. Dziwił się oraz smakowaniu w paskudztwie takiem i zapowiedział, że odeszle mu niebawem w monecie brzęczącej schedę jego pod warunkiem, ażeby z niej dobry zrobił użytek.

Po otrzymaniu od ojca zasiłku, Świętosławski przeniósł się na wyspę Jersey i w oczekiwaniu na zapowiedzianą znaczną, parękroć sto tysięcy złotych polskich wynoszącą posyłkę, próbował się w literaturze opisowej. Opisywał ojcu w listach wyspę, jakby ją opisał nie statysta, ale podróżnik, zajmujący się nie ekonomicznemi jej właściwościami (rolnictwo, przemysł, handel), ale położeniem, malowniczością. Kwalifikował ją stale „wysepką", wspomniał o te] osobliwości, że leży bliżej Francyi, aniżeli Anglii, należy jednak do Anglii i produkuje dużo jaj, przynoszących znaczny dochód, Anglicy bowiem jajami się zajadają.

Opis ten doszedł rąk ojca i posłużył mu do udzielenia synowi rad, tyczących się zużytkowania posłanego funduszu. Stary Świętosławski radził synowi kupić Jersey, ze wzmianki bowiem o dochodzie z jaj wymiarkował, że musi się na wysepce owej rodzić zboże, bez którego by chłopi nie mieli pośladu do hodowania kur, a którego (zboża) zbyt do Anglii łatwiejszym jest niezawodnie z Jersey, niż z pod Humania. Przytem jedna tej posiadłości zaleta szczególnie się staremu cenną wydała, a to: natura granic, broniąca od sąsiadów i od sporów granicznych, stających człowiekowi nieraz kością w gardle. Przesłał nadto Zenonowi rodzaj kwestyonaryusza, odnoszącego się do chłopstwa, do pańszczyzny, daremszczyzn, propinacyi, żydowstwa i t. p. szczegółów gospodarskich.

Rzecz prosta, Zenon z rad ojcowskich korzystać nie mógł. Kupił w Jersey dom, założył w nim drukarnię, ożenił się z Jerseyką i całkowicie się sprawie ludowej oddał. Sprawa tyle zyskała, że bibliografię socyalistyczną zbogaciła wydana w Jersey p.t. „Lud", książka in 4o maj., drobnym odbita drukiem, zawierająca protokoły posiedzeń gmin Grudziądz i Humań,

manifesty, odezwy i długą pióra Zenona Świętosławskiego o sprawie ludowej rozprawę, którą, o ile wiem, nie świadczą się, ani posługują, socyaliści nasi nowocześni.

Na sprawę oddał wszystko, co posiadał, z potrzebującymi dzielił się i wszystko stracił. Najgorzej na tem wyszły dzieci, pozostawione samym sobie, matka bowiem, sprawie wraz z mężem służąc, i dzieci i gospodarstwo domowe zaniedbywała. O Świętosławskim, co do jego wartości moralnej, dwóch nie było opinij; wszyscy, co go znali, murowaną przyznawali mu zacność. Wadliwość ustroju społecznego i dzielącego ludzi na używających i pracujących, na bogaczy i nędzarzy, na panów i niewolników, bolała go. Traktował ją nie teoretycznie tylko: zaradzał złemu, o ile mu na to możność pozwalała. Że zaś złego znajdowało się za dużo, rychło więc rozeszły się przez ojca przysłane tysiące zł. p.

Poznałem go w r. 1850 u Worclla. Przyjechał był dla mnie. Francya zamknęła się była w czasie owym dla Polaków, co w wojnie węgierskiej udział wzięli, zadenuncyowano ich bowiem, jakoby sfery podejrzewające ówczesnego prezydenta rzeczypospolitej, ks. Ludwika Napoleona Bonaparte, o zamiary nieczyste, upatrzyły ich i zamówiły na wodzów przysposabiającej się w Paryżu rewolucyi. Bez paszportu przeto ani myśleć było można o przekroczeniu granicy francuskiej. Że zaś nas do Paryża ciągnęło, trzeba więc było wynajdować sposoby na zwalczanie tej przeszkody. Usunął ją przede mną Świętosławski, wystarawszy się dla mnie o paszport jerseyski. Z paszportem sam przyjechał dla powitania w osobie mojej swego z Rusi spółziemianina.

W przywitaniu czuć się ze strony jego dała serdeczność powściągana, jakaś lękliwość, czy skromność, odpowiadająca postawie, nie pozwalającej się w nim od pierwszego oka rzutu Ukraińca domyślać. Ani śladu tego, Ukraińców zdradzającego, akcentu kozaczego; natomiast na postaci całej, na obliczu, w oczach rozlany wyraz potulności, nie licujący z ideą, hajdamaczyźnie pokrewną, co gminę Humań na wyspie Jersey do życia powołała. Szczupły, wzrostu miernego, o obliczu matową powleczonem cerą, mało mówiący, wyglądał na zgnębionego. Rozmowę w ten podtrzymywał sposób, że na zadawane mu przez Worclla zapytaniu odpowiadał. Na zapytanie:

„Jakże tam gmina ?”

- A... - ręką machnął.

Nie niepowodzenia go przygnębiły, ale zawód - zawód, dzięki któremu stracił nadzieję, nie straciwszy wiary. Wierzył w potrzebę naprawy trapiących ludzkość nieprawości; liczył na to, że na właściwe, celem usunięcia ich, trafił sposoby. Doświadczenie wykazało mu sposobów tych niewłaściwości i pozbawiło go nadziei dojścia do celu. Inny na jego miejscu jakośby to sobie wyperswadował: głupiecby się zaciął i na oślep brnął dalej: doktryner wykrętów by szukał i odpowiedzialność na ludzi przewrotnych i na okoliczności zwalał. Zenon Świętosławski głupcem, ani doktrynerem nie był. Wiara społeczna tą samą, co religijna weszła weń drogą i rozbudziła w nim sumienie, które nakazało mu wszystko co posiadał i czem rozporządzał w imię jej na sprawę ludową oddać, lecz nie pozwalała tym zasłaniać się wybiegiem, do którego uciekają się ludzie, co się wiarą jako narzędziem posługują: credo quia absurdum. Nie wiedział, czy to absurd: wiarę więc swoją w siebie wpędził - zamilkł i... posmutniał.

Świat stanął przed nim z napisem, co Danta przy wnijściu do piekła powitał:

„Pozbądźcie się nadziei wszelakich.”

SYDOR RAWSKI.

W dwudziestoparoletnim, mniej więcej po upadku powstania listopadowego, czasu okresie, na emigracyi, oraz w kraju zabranym (Podole, Wołyń, Ukraina), zapanowała Ukraino - raczej Kozakomania. Objaw ten wynikł ze zwrotu literackiego, znanego pod nazwą „Szkoły ukraińskiej". Zwrot ów ze strony swojej bez powodu dokonać się nie mógł. Dokonał się on w momencie, kiedy, wedle słów poety (S. Goszczyński): „Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi - trawą usłana mogiła zapadła". Do mogiły tej wpadły Polska i Ruś. Nie wpadli jednak do niej ani Polacy, ani Rusini. Pierwsi oficyalnie postradali osobowość państwową, drudzy - również oficyalnie - narodową. *Pa siemu byt'*-owe te wyroki ani tych, ani owych nie pozbawiły bytowania narodowego i zdolności wydawania na gruncie tym owoców. Po konwulsyach długiej wojny bratobójczej nastał spokój spólnej, którą sobie sami zgotowali, niewoli. Z wojen pozostały wspomnienia, zmieniające się z upływem lat w legendy, nadające się na kanwy do dzierzgania na nich wytworów wyobraźni. Do zużytkowywania ich przystąpiły strony jedna i druga, każda po swojemu - odpowiednio do stopnia uprawy, na jakim się grunt narodowy znajdował. Na gruncie ruskim pojawiły się utwory bezimienne, opiewające heroizm kozaczy przedmiotowo, a na jedną modłę :

Kozak konia napuwaw, Dziuba wodu brała;
Kozak Dziubi zaspiwaw, Dziuba zapłakała.

Zapłakała, bo ją kozak opuścił, pojechał za Dunaj, miał wrócić, lecz nie wrócił, znalazł śmierć pod zielonym jaworem.

Takiem było tło ogólne dum heroicznych, tworzonych przez poetów, co czytać i pisać nie umieli. Tworzyli oni, chodząc po kraju z lirą pod pachą, służącą im do regulowania rytmu. Na twórczości tej polu kto wie jakie by wyrosły były arcydzieła, gdyby na niem Moskale byli porządku policyjnego nie zaprowadzili. Policya temu tworzenia rodzajowi grunt z pod nóg usunęła i skrzydła obcięła. Zamach ów ostatecznie dokonał się po r. 1831, luboć długo jeszcze lirnicy krążyli śród ludu ukradkiem, znajdując przed prześladowaniem osłonę po dworach i dworkach szlachty polskiej, miłującej szczerze Muzę w namyście i połykach. Z miłowania tego narodziła się w literaturze polskiej „Szkoła ukraińska", rozsławiona przez poetów tej miary co Antoni Malczewski, Bohdan Zaleski, Goszczyński, Gosławski, Olizarowski, Groza i in., i in.; z niego też wyszła Ukraina, czyli kozako-mania.

Ukraina, czyli kozako-mania krzywo się w krajach Zabranych obróciła, wydała bowiem z siebie bałagulstwo. Czystość kozaczą zachowała ona zagranicą, na wychodźtwie, a to dzięki kilku typowym postaciom, zasługującym na zamieszczenie w galeryi, sylwet. Inna rzecz: czy była ona na czasie? Nie dotykam materyi tej w tej chwili; uczynię to później trochę, zaznaczając jeno tymczasem, że mania owa, jeżeli o czem ma świadczyć, to najwyraźniej i najdowodniej świadczy o nieistnieniu nie to nienawiści, której głodzenie stało się dziś modnem śród Czerwonorusinów, ale nieprzyjaźni, niechęci w sercach polskich względem narodowości ruskiej. Zamanifestowała ona - niepoprawnie może, niewłaściwie - szczerą, serdeczną dla niej życzliwość.

Objawów w kierunku tym było sporo. Wszystkich ukrainomanów nie znałem. Najwybitniejszego śród nich, Michała Czajkowskiego, sylwetę skreślę później trochę. Zacząłbym od Służalskiego, osobistego Mickiewicza przyjaciela, znakomitego rzeczy niebywałych opowiadacza, z miny i czupryny na model do malowidła się nadającego, ale znałem go z widzenia tylko i cokolwiek ze słyszenia. Słyszałem, że opłacał Francuza, przy którym służbę kozaczą pełnił, że w stroju kozaczym po ulicach Paryża paradował i w ulicznikach głośne wywoływał podziwy, że etc. Szkoda, że mi on za model posłużyć nie może. Zastąpi mi go Rawski.

Rawski był kozakiem zawziętym. Służalskiemu jednak nie dorównywał ani wzrostom, ani miną, mimo, że przewagę nad nim miał przez to, że z ziemi kozaczej, z województwa bra-

cławskiego był rodem podczas, kiedy spółzawodnik jego z Lubelskiego pochodził. Rawskiemu na chrzcie świętym w rzymskokatolickim dokonanym kościele, nadano imię Izydor. Żeby jednak imieniowi nadać brzmienie kozackie, przezwał się Sydorem i pod imieniem tem kozakowanie na szeroką praktykował skalę.

Pytanie : skąd się ono wzięło?

Z kraju je wyniósł: byłoby na pytanie to odpowiedzią najprostszą. Zapewne Nastrój ów przed powstaniem listopadowem szlacheckiej młodzieży polskiej narzucał się niejako dzięki wkluczeniu w krajach zabranych żywiołu kozaczego w sensie ozdobnym w życie społeczne. Bez kozaków dworu szlacheckiego nie było ; na dworach zaś, w dobrach magnatów (Czartoryscy, Potoccy, Braniccy, Rzewuscy etc.) pełnili oni służbę milicyi, do której z pośród poddanych dobierano mołojców, imponujących urodą. Z mołojców podobnych Wacław Rzewuski sformował hufiec orężny. Hufiec ów zasłynął znakomitem odśpiewywaniem dum i dumek ukraińskich pod dyrekcyą Padury, złożył oraz dowody waleczności w bitwie pod Daszowem.

Stary Rawski, gdy syna z domu na wojnę wyprawiał, do usługi i do czuwania nad nim dał mu starego kozaka dworskiego. Kozak powierzoną mu funkcyę pełnił sumiennie; panicza ani w pochodach ani w bojach nie odstępował. Pod Obodnem, gdzie się powstańcy z dragonią moskiewską starli, taka go na widok Moskali złość zdjęta, że, nim do boju przyszło, z szeregu się wysunął, na prowadzącego dragonów majora skoczył i na dwoje mu łeb szablą rozpłatał. Ten kozaka Rawskiego czyn, znany na emigracyi, legendowego na Ukrainie nabrał znaczenia.

Nie doszły do wiadomości mojej dalsze bohaterskiego kozaka losy. Zdaje się, paniczowi na emigracyi nie towarzyszył. Pozostał zapewne w Galicyi, może zginął, a może do wsi rodzinnej powrócił i żywot pod knutami zakończył. Moskale się szczególnie nad Rusinami za udział w powstaniu polskiem znęcali. Jakby się jednak bezimiennego tego bohatera losy nie obróciły, to pewne, że od niego Izydor przejął przekaz reprezentowania godnie kozactwa wobec Koroniarzy i Litwinów na obczyźnie. Gwoli przeto przekazowi temu, Sydorem się przezwał i, nie chcąc zaś chłopskiej bohatera z pod Obodnego godności ubliżyć, wszedł do szeregów Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

Wszedł do T. D. P. i w szeregach jego wybył do r. 1853, nie naśladując innych kozakomanów, trzymających się bardziej formy aniżeli treści. Izydor głównie za treścią poszedł, nie tak atoli daleko, jak grudziążanie w Porthsmourth i humańszczanie na wyspie Jersey. Poglądy jego społeczne nie wychodziły poza ramy programu demokracyi polskiej - poza ramy, w których z demokratów nie jeden, Mierosławski między innymi, nie rozumiejąc istotnego wojen kozackich znaczenia, miejsce dla chmielniczczyzny znajdowali. I nasz Sydor Chmielnickiego, nie przewidując zapewne, że go Moskale pomnikiem w Kijowie uczczą, na bohatera demokracyi kreował. Wynikło stąd dążenie do wznowienia chmielniczczyzny, nie przeciwko Polakom jednak, ale wraz z Polakami przeciwko Moskwie.

Przyszły emigracyi polskiej z r. 1831 historyk szczegół ten zawczasu zanotować sobie powinien, szczegół ów bowiem, uzupełniając obraz działalności emigracyjnej, świadczy oraz, że emigracya hasło „za wolność naszą i waszą" na seryo brała i, myśląc o Polsce, o Rusi zarazem myślała.

Ruś przedmiotem troski politycznej nie w samych tylko szeregach demokratycznych na emigracyi była. I arystokracya żywo się nią interesowała a z tą nad demokracyą przewagą, że się z Rusią łatwiej niż demokracya znosić mogła. Nazwiska magnatów (Czartoryscy, Potoccy, Rzewuscy), których majątki rząd pokonfiskował, a którzy śród szlachty i śród ludu dobre po sobie pozostawili wspomnienia, posiadały urok wzbudzający zaufanie *.

Niczego podobnego demokracya w rozporządzeniu swojem nie posiadała, nie ciesząc się przytem kredytem dyplomatycznym, zachowanym przez byłego ministra spraw zagranicznych w gabinecie petersburskim, ks. Adama Czartoryskiego, który w gabinetach w ogóle warunkowo poważany, duże miał u W. Porty zachowanie. Że zaś Turcya o miedzę z ziemiami ruskiemi graniczyła, że z kozactwem dużo do czynienia miała i Sicz ostatnia na jej znajdo-

wała się gruncie, kozakomani przeto z poręki księcia uważani byli za przedstawicieli sprawy ruskiej bardziej, aniżeli półurzędowych. Wysoka Porta opieki im swojej użyczała.

Opieka W. P. Sydorowi nie przysługiwała. Kozakoman demokrata własnym ku dopięciu celu, którym było wywołanie chmielniczczyzny, podążać musiał sumptem. Kozakomani z obozu arystokratycznego wytyczali sobie cel skromniejszy. Spólnym dla działalności jednych i drugich punktem wychodnim było ostatnie Siczy przytulisko, nieustające schronisko zbiegów od poddaństwa z Podola i Ukrainy, kraina nazwę Dobrudzi nosząca, prowincya turecka, położona pomiędzy morzem Czarnem, a przedujściowym Dunaju ku północy i wschodowi zakrętem. W prowincyi tej Sydor ze spółzawodnikiem swoim, Michałem Czajkowskim się schodził. Dat spotkań tych oznaczyć nie umiem. Musiały one mieć miejsce przed 48, a nawet przed 46 rokiem, Sydor bowiem wziął w owoczesnych ruchach poznańskich udział i czas jakiś (lat kilka zapewne) w Wielkopolsce spędził. W Wielkopolsce ten mu się zdarzył wypadek, że go bożek miłości usidlił. Czar na niego nie Wielkopolanka jednak, ale córa ojczyzny Tella, funkcyę guwernantki w domu polskim pełnią ca, rzuciła.

Z postrzałem w sercu zjawił się w r. 1853 w Konstantynopolu w momencie, gdy spółzawodnik jego, M. Czajkowski, przyjąwszy islamizm i przezwawszy się Mehmed Sadykiem, rojenia swoje kozakomańskie pod postacią pułku kozaków Ottomańskich urzeczywistnił.

Spółzawodnik jego tryumfował: sądził się ze szczytu powodzenia, otwierającego na ścieżaj wrota do świątyni sławy. Był atamanem kozaczym - znajdował się na drodze wskazanej przez mężów niepospolitych.

- Czyż on nią pójdzie?... - zapytałem Sydora, który tylko wylądował był w Konstantynopolu. Byłem z tych, co Sadyka paszy na seryo nie brali.

- Czy pójdzie?... - odparł Sydiir. - A to co?...

Położył na stole nahajkę hajduczą.

- Choćby nie chciał, pójść musi... Na Dobrudzi z panem Michałem nie rozmawiałem inaczej, tylko z nahajką w ręku... O! znamy się... Niech no się z nim na rozum rozprawię... Nie sztuka pułk postawić... sztuka go poprowadzić i doprowadzić... oo...

Miał z antagonistą swoim pomówić o zadaniu tego kozactwa, co się pod egidą turecką do wojny z Moskwą sposobi, a składa się, na kształt kozactwa zaporoskiego, z narodowości wszelakich i prowadzonem jest przez Polaków po większej części. Ideą Sydora była nemezis dziejowa, dokonana przez od- i przerodzoną chmielniczczyznę.

I pomówił zapewne. Jak? Nie wiem, bom się z nim już więcej na gruncie tureckim nie spotkał. Przypuszczać należy, że się z „panem Michałem", bez nahajki w ręku rozprawił, inaczej bowiem „Sadyk pasza" nie byłby go przyjął do pułku w funkcyi adjutanta majora, w stopnia - zdaje się - porucznika.

Ta funkcya i ten stopień zamknęły jego o chmielniczczyźnie rojenia. Opanował go smutek. Na pocieszenie sprowadził z Wielkopolski Szwajcarkę, z której oczów zraniła go strzała kupidyna, wziął; z nią w Adryanopolu ślub i sprawił sobie wesele na długo, dzięki hałasowi z jakim się odbyło, mieszkańcom Adryanopola pamiętne. Małżeństwo jednak nie dostatecznie go w smutku pocieszało. Szukał pocieszenia w znanym na frasunki środku i przesadził - przesadził tak dalece, że stał się niemożliwym w szeregach, w których wielka na przesadne robaka zalewanie panowała wyrozumiałość. W szeregach tych zalewanie owo zalało niejednego, między innymi Ryszarda Berwińskiego.

Z Sydorem spotkałem się w życiu po raz drugi w roku 1871 w Czortkowie, gdziem się znalazł w odwiedzinach u teścia mego. Nie poznał mnie - nie teść, ale Sydor. Ja zaś poznałem go od pierwszego oka rzutu, w osobie jego bowiem zainteresował mnie był żywo człowiek u idei, której urzeczywistnieniu poświęcił się, a której podkład na uznanie zasługiwał. Podkład był taki: „Ponieważ chmielniczczyzna, wytwór Rusi, Ruś i Polskę o zgubę przyprawiła, zatem na Rusi cięży obowiązek wypośrodkowania z łona swego takiej chmielniczczyzny, która by odrodzenie Polski i Rusi sprowadziła".

Co?... Jak się podkład ten komu podoba?... Bądź co bądź - dużo w nim piękna, jeszcze więcej etyki, nie brak mu oraz na racyonalności, o niebo całe przewyższającej tę racyonalność, którą się powodują w czasach obecnych aranżerowie awantur uniwersyteckich we Lwowie i strajków chłopskich w Galicyi wschodniej.

Dla opromieniającej podkład ów idei nie imponująca wzrostem ni postawą, ale zamaszysta, kozacza Sydora postać w oczach mi lat siedemnaście stała. Poznałem go mimo, że zamaszystość utracił i zmarniał doszczętnie. Był cieniem Sydora tego, co się nahajką odgrażał. Nie rozpytywałem go u nic; na wszelkie możliwe, jakiebym mu zadawał pytania, znajdując odpowiedź na jego wypisaną postaci. On zaś o niczem, co się kozaczyzny tyczyło, ani o sobie, nie mówił mi - tylko, dowiedziawszy się, że z Czortkowa jadę i przez Genewę będę przejeżdżał, prosił mnie, ażebym w Genewie córeczkę jego odwiedził.

- Córeczkę ?... - zdziwiłem się.

- Byłem żonaty... - odrzekł.

Wiedziałem o tem; nie wiedziałem, co się z żoną jego stało. Dowiedziałem się nie od niego, ale w Genewie od żony jego sióstr. Szwajcarkę życie, jakie śród kozactwa ottomańskiego pędzić musiała, do grobu wpędziło. Na tyle sił jej starczyło, że dziecko do sióstr odwiozła. Do męża nie wracała - nie miała po co: on się bezdomnym w najściślejszem wyrazu tego znaczeniu stał. Ruina marzeń, „snów na kwiatach", „snów złotych", zrujnowała człowieka. To samo spotkało pana Michała (Sadyka-paszę), który również z opałów nie wyszedł ręką obronną. Sydor przybity, złamany, szukał ratunku na ziemi ojczystej, dostał posadę dozorcy drogowego. Posada, licho płatna, od głodu by go nie broniła, gdyby mu żałowano łyżki strawy w domach polskich, p. Leona Wróblewskiego i in. Nie broniłaby go od głodu i dlatego jeszcze, że potrzebował na zalewanie robaka. W mojej obecności powstrzymywał się. Po moim jednak odjeździe robaka zalewał, zalewał, aż zalał i robaka i siebie. Szkoda człowieka!

* Faktem jest, że w dobrach magnatów na Rusi włościanom lepiej się działo, aniżeli w majątkach szlacheckich. Chłopi wielbili twórcę i wodza Targowicy i wymawiali mu zaprzepaszczenie Polski w znanej pieśni, zaczynającej się od wyrazów:

Oj pane Potockij, wojewodzkij synu,
Zaprodaweś Polszu i wsiu Ukrainu.

KOSTUŚ.

W emigracyi z r. 1831 nikogo zapewne nie było, co by Konstantego **Zaleskiego** pod zdrobniałem „Kostusia" nie znał imieniem. Pod imionami zdrobniałemi dwóch zaznaczyło się ludzi. Nie każdy wiedział, jakie w porządku cywilnem miano nosili ci, z których jeden jako Kostuś, drugi jako Ibuś szeroką uzyskał popularność. O Ibusiu coś może później napiszę. Kostusiem zajmę się w sylwecie, w chwili tej pod mojem znajdującej się piórem.

Należy on do postaci typowych. Szczupły, wzrostu mniej trochę niż średniego, ułomny, uniżenie prawie grzeczny, potulny, na pozór z każdym zgodzić się gotów, postępowe, demokratyczne wyznawał zasady i przy nich twardo a niezłomnie stał. Pochodzenie litewskie na obliczu się mu malowało i z ust jego oczekiwać kazało właściwych Litwinom przemówień: „braciaszku", „bracieszeńku". Wychowanie uniwersyteckie usunęło mu z języka prowincyonalizmy lokalne, pozostawiając lekko jeno uczuwać się dający akcent. Do nieznajomych, do obcych przemawiał: „panie dobrodzieju"; do bliżej znajomych: „bracie". Moralny ze strony ujemnej duchowej istoty jego przymiot stanowiła oszczędność, posuwana do skąpstwa, nacechowanego dziwactwem. Śród emigrantów był jednym z tych szczęśliwców, których w zasiłki pieniężne zaopatrywała pozostała w kraju rodzina. Z Litwy, z pogranicza Prus zwłaszcza, kominikacya z zagranicą możliwą była. Posyłki monety dochodziły go regularnie i broniły od niedostatku. Nie broniły jednak od odsiadywania często za długi więzienia. Naonczas prawo to zniesionem jeszcze nie było. Kostuś od czasu do czasu srogości onego doznawał na sobie. Do więzienia wsadzały go zwykle baby: gospodyni, u której mieszkał, oraz praczka. Płacić czem zawsze miał, ale płacić nie lubił od razu, odkładał na później i, gdy, po miesiącach kilku zebrała się kwota znaczniejsza, żal mu rozstawać się z nią było. Wolał więzienie. Posiedziawszy w zamknięciu czas jakiś, znudziwszy się osamotnieniem - płacił i u tej samej gospodyni nadal zamieszkiwał, tej samej praczce bieliznę swoją powierzał.

Szanowaniem grosza Litwini się odznaczali w ogóle, nie w takim atoli, jak Zaleski, stopniu: żyli starannie, pracowali, zarabiali, grosz ciułali, ale zobowiązaniom pieniężnym zadość jak najskrupulatniej czynili. Podatków organizacyjnych nikt akuratniej nad nich w szeregach Towarzystwa demokratycznego nie płacił. We względzie tym Kostuś nie tylko współziemianom swoim sprawy dotrzymywał, ale przewyższał ich, oddając na sprawę polską pieniądze, czas i osobę własną. Ruchliwość jego w początkach emigracyi była niezrównaną. Gdzie go nie posiano, tam się rodził, a zawsze w roli działacza rewolucyjnego, szerzyciela zasad, nawoływacza do czynu, stronnika Lelewela, psowacza krwi konserwatystów, reakcyonistów, arystokratów. Adorator tej ostatniej p. Lubomir **Gadon**, autor trzytomowego dzieła p.t.: „Emigracya polska", przedstawia go jako jednego z najbardziej na złą w potomności notę zasługującego gorszyciela napływającej do Francyi emigracyi polskiej.

W Niemczech, jak wiadomo, rozbitków powstania listopadowego z zachwytem przyjmowano. Dwoma szlakami z Prus i Austryi przeprowadzano ich w tryumfie ku granicy francuskiej, którą oni większemi i mniejszemi partyami w trzech głównie przekraczali punktach: w Valencienne (ci co przez Belgię ciągnęli), w Strasburgu i w St. Louis, osadzie z Bazyleją graniczącej, posiadającej komendę straży pogranicznej.

Znanymi są powody, dla których oni w Niemczech pozostać nie mogli. Nie zawadzi jednak przypomnieć je. Rozbiory Polski związywały Rosyę, Prusy i Austryę spólnośnią interesu, który z nich przechodził na Rzeszę niemiecką i nie pozwalał wchodzącym do niej państwom na samodzielność polityczną. Sympatya, rozbitkom okazywana, pochodziła od narodu, od ludu, w Saksonii, Bawaryi, Wirtembergii, w Badeńskiem, Hannowerze i przez rządy tolerowaną do pewnego stopnia być mogła pomimo, że niekoniecznie rządom dogadzała. Nie dogadzała ona rządom z tej racyi, że rewolucya francuska, belgijska i polska oddziałały na opinię publiczną w Niemczech i usposobiły ją rewolucyjnie. Dla władców przeto większych i mniej-

szych królestw i księstw w Rzeszy nie zupełnie pożądaną była obecność wśród ich poddanych Polaków. Przeprawiono więc ich do Francyi, dokąd oni szli chętnie, tak dlatego, że Francuzów mieli za towarzyszy broni, jako też dlatego, że prowadziła ich nadzieja wojny przeciwko zaborcom Polski, którym powstanie listopadowe przeszkodziło w naprawieniu dwóch kongresu wiedeńskiego pogwałceń: zmiany dynastyi we Francyi i oderwania Belgii od Holandyi. Zachodziło pytanie: czy powstanie polskie wojnę od Francyi odwróciło, czyli też ją powstrzymało tylko? W opinii całego w Niemczech i we Francyi świata rewolucyjnego, a zatem i w opinii wychodźctwa polskiego, tryumf Rosyi w r. 1831 był jeno półtryumfem reakcyi nad rewolucyonizmem - półtryumfem, którego uzupełnienia domagały się najżywotniejsze św. przymierza interesy, spoczywające w żandarmskich cara Mikołaja I. i dyplomatycznych *ultra*-prześladowcy rewolucyjnego ducha, Metternicha, rękach. Wojna przeto powszechnie za nieochybną uważaną była.

Wojna ta w dwojakim, w rewolucyjnym i w dyplomatycznym - przedstawiała się kolorze i rozmaicie na nią zapatrywały się osobistości kierownicze, które nadejście gromad emigracyjnych polskich we Francyi poprzedziły: ks. Adam Czartoryski i Joachim Lelewel. Misya polska, zawiązujące się naprędce komitety, organizacye i organizacyjki próbne szykowały się pod jednym albo pod drugim sztandarem: pod jednym - Czartoryskiego - oddającym się pod rozkazy gabinetowe; pod drugim - Lelewela - gotującym się stanąć obok mających się niebawem porozwijać w Europie sztandarów narodowo-ludowo-rewolucyjnych.

Na tak przysposobiony grunt wchodziły gromady i gromadki emigracyjne, które, wyszedłszy niedawno z pod rygoru wojskowego i przeszedłszy przez wrzawę owacyjną, witającą w nich nie tylko zastępy bohaterów walki o wolność, lecz hufce wyborowe, powołane do przewodniczenia ludzkości w wyzwalaniu się z więzów wszelakich, nie umiały się na gruncie francuskim oryentowaó śród poglądów, zamiarów, haseł i zasad po większej części sprzecznych. Sztandarowi werbowali ochotników-zwolenników ci dla siebie, owi dla siebie. Werbunki w momencie wkraczania partyj z Niemiec, odbywały się głównie w Strasburgu.

W tym to momencie, w Strasburgu, Kostuś, w charakterze działacza demokratycznego ze skóry się wywlekał, spółzawodnicząc z działaczami arystokratycznymi. Ten przemawiał w imieniu Lelewela, ci ks. Czartoryskiego. Do lelewelczyka garnęła się młodzież, oficerstwo niższe, do czartoryszczyków szarże, sztabowcy. Generałowie, z wyjątkiem kilku (Dwernicki, Sznajde, Sierawski, Umiński, paru jeszcze) w arystokracyę wsiąknęli. Sądząc po wymyślaniu Kostusiowi od intryganta przez autora „Emigracyi polskiej, powodzenie po jego znajdowało się stronie mimo utrudnień, jakich doznawał w przebywaniu w Strasburgu.

W odniesieniu do rządu, jaki sobie Francya nadała, tak się urządzić potrafił, że wkrótce po stąpieniu na ziemię francuską, wygnanym został naprzód z Paryża, następnie ze wszystkich w Europie ziem, berłu Ludwika Filipa podległych. I w Strasburgu przeto mieszkać nie miał prawa. Zamieszkał więc na prawym brzegu Renu, w Badeńskiem i stamtąd, sposobem przekradanym, czartoryszczyźnie zwolenników wydzierał.

Czynność jego wzmogła się, gdy się szykowały wyprawy do Niemiec i do Włoch, właściwie zaś wyprawa jedna - włoska, ponieważ niemiecka się nie powiodła. Nie powiodła się i włoska, lecz nie przeminęła bez następstw. Blisko sześciuset ludzi znalazło się w Szwajcaryi na lodzie: wyszli z Francyi - Francya się dla nich zamknęła; o zawinięciu do Austryi, do którego z państw Rzeszy niemieckiej, do Włoch ani myśleć można było; Szwajcarya przytułku im udzielić, ze względu na Austryę, Niemcy i Włochy, nie mogła. Kantony niektóre, na ryzyko własne, cierpiały ich do czasu, okazując im gościnność warunkową. W warunkach takich wychodźcy sami sobie radzić musieli: zorganizowali się w „Hufiec święty", przeznaczony do walczenia przeciwko nieprawościom wszelakim; wysadzili z pośród siebie Władzę wojskową (sztab), Komitet zarządzający, Radę gospodarczą i prowadzili się na podziw wzorowo, mimo że nastrój, jaki w ogóle panował, nie jednego by w państwie „porządnem" na szubienicę poprowadził.

Niejaki Terlecki n.p. nie rozstawał się z długim, jak brzytwa wyostrzonym nożem, przeznaczonym na zamordowanie monarchy... szwajcarskiego. Gdy dłuższy „Hufca świętego" pobyt w Szwajcaryi niemożliwym się stał, z racyi nalegań mocarstw rozbiorowych, Szwajcaryi z pomocą przyszła naprzód Anglia, zapraszając do siebie uczestników wyprawy sabaudzkiej, następnie Francya, otwierając dla nich granice swoje. Część, w Szwajcaryi pozostała, weszła w stosunki z Józefem Mazzinim i na, przedstawienie jego, na wzór „Młodych Włoch", „Mł. Francyi", „Mł. Niemiec", rewolucyjnych, demokratyczno-republikańskich, obejmowanych przez „Młodą Europę", organizacyj, założyła „Młodą Polskę", do której wraz z Karolem Stolinaiiein, Feliksem Nowosielskim, Józefem Dybowskim, Franc. Gordaszewskim i in. wszedł Konstanty Zaleski.

W czasie pobytu w Szwajcaryi Kostuś sekretarzował w Radzie gospodarczej, pod koniec zaś, gdy się Szwajcarya z Polaków wypróżniać zaczęła, zawiadował założonem w Genewie, dla informowania członków emigracyi polskiej, biurem korespondencyjnem *. Razu pewnego do biura wchodzi miniasty jegomość jakiś i tonem aroganckim takie Kostusiowi zadaje zapytanie:

- Tu biuro do informowania Polaków?...
- Tu, panie dobrodzieju... - odpowiada Kostuś, ręce zacierając.
- Proszę o wskazanie mi b... porządnego !...
- Hm?... To nie mój, panie dobrodzieju, departament...
- Czyjże?
- Majora Rudzkiego...
- Adres?
- W tej chwili...

Ż adresem na kartce jegomość biuro opuścił... Nad wieczorem, używając nad brzegiem jeziora przechadzki, zoczył Kostuś z daleka idącego naprzeciw majora. Major Rudzki, człek rosły, silnie zbudowany, postać marsowa, jeden z najpiękniejszych w armii polskiej żołnierzy, grożcie, a coraz to groźniej, w miarę zbliżania się Kostusia, czoło fałdował. Wreszcie stanął przed nim i wybuchnął:

- Cóż to znaczy!... Impertynentów mi nasyłasz ?...
- Cóżeś z nim zrobił?... - Kostuś na to.
- Cóż zrobić miałem!... Rżnąłem w pysk i za drzwi wyrzuciłem...
- Właśniem go po to do ciebie, bracie, posłał... - odpowiedział Kostuś, ręce zacierając.

Śród wychodźców r. 1831 i tacy się jak ów jegomość zdarzali żartownisie. Byli tacy, co z siebie samych drwili Jak w królestwach zwierzęcych i roślinnych, tak w społecznościach ludzkich potworne niekiedy wyradzają się okazy. O niczem one nie świadczą i niczego nie dowodzą, a najmniej zacierają wysoką wartość moralną tych „szaleńców", co w latach 1833 i 1834 urządzili trzy wyprawy orężne : do Niemiec, do Polski (partyzantka Zaliwskiego) i do Sabaudyi. Do czynu pobudziła ich wiara w Polskę - ta wiara, bez której Polski nie odzyskamy, a której stłumienie, zabicie w nas stanowi, śród wymierzanych przeciwko nam zaborców ojczyzny naszej usiłowań, usiłowanie jedno z najważniejszych i najdonioślejszych. Bez wiary w Polskę - cóżbyśmy byli warci ?...

Ta to wiara przewodniczyła Kostusiowi w udziale jaki wziął w powyżej zaznaczonych trzech wyprawach, oraz w Młodej Polsce, z łona której wyszedł między innymi Szymon **Konarski**. Demokracya dała Polsce wyznawców i męczenników w dostatecznej ilości na zbudowanie kościoła patryotycznego.

Kiedy się emigracya uporządkowała, postawiwszy się - w odniesieniu do pozbawionej głosu Polski - pod postacią podzielonego na prawicę, lewicę i środek parlamentu polskiego, natenczas Kostuś nie odsunął się od spraw publicznych, ale nie wkładał w nie tyle co dawniej życia i energii. Przyczyniły się do tego z jednej strony dolegająca mu ułomność i nieosobliwy stan zdrowia, z drugiej nieufność do wyłączności stanowiska, zajętego przez kierujące rucha-

mi politycznymi w Polsce Towarzystwa demokratyczne. W wypadkach r. 1846 udział jego nie zaznacza się już wyraźnie; w r. 1848 obecnym był na kongresie słowiańskim w Pradze. Następnie wobec agitujących się spraw publicznych zachowywał się biernie, udzielając chętnie rad zgłaszającej się do niego młodzieży - rad, rozwijających w odniesieniu do obowiązków patryotycznych temat, stosowany do obowiązków religijnych: „Wiara bez uczynków jest martwą".

Zgłaszających się do niego miał zwyczaj zapraszać na śniadanie.

- Przyjdź do mnie, bracie, jutro... Podzielę się z tobą skromnem śniadankiem mojem...

Zaproszonego, gdy przyszedł, sadzał obok przy biurku, rozmawiał z nim i w porze śniadaniowej traktował go zeschłym z szuflady wydobytym rogalikiem, który w ręku trzymał.

- Masz, bracie... rozłammy się... Połowa mnie, połowa tobie... - mówił z uczuciem.

Potrzebujący jednak rzeczywiście z próżnemi nie odchodził od niego rękami.

Skąpstwo było w nim dziwactwem i łączyło się ciekawie z przywarą smakoszostwa. Przywarę uznawał, wystrzegał się jej i wynajdował dla sfolgowania w niej sobie preteksty w rocznicach rodzinnych. Gdy kto, np. schodził go przypadkiem u Vefour'a, spożywającego obiadek wytworny, tłumaczył się z westchnieniem :

- Przypomniałem sobie obchodzone w domu rodziców moich imieniny stryja i uświęcam drogie mi to wspomnienie posiłkiem lepszym trochę... Ah...- wzdychał.

Wytknąwszy przywary, wykazać należy zalety. Wykazać by się dała zaleta niejedna. Poprzestanę na jednej: na odwadze, nie opuszczającej go w żadnym razie. Dowody jej złożył w bojach. Na pojedynki nie rad się narażał, ale wyzwany z zimną na mecie stawał krwią. Wyzwał go był raz jakiś major belgijski za to, że został przezeń nazwany: „korzennikiem" (*épicier*). Na placu sekundanci usiłowali ich pogodzić; Kostuś zgodził się majora przeprosić, dłoń do niego wyciągnął i z przyciskiem przemówił:

- *Pardon, épicier...*

Ledwie nie ledwie przeprosiny te sekundanci załagodzić jakoś zdołali.

* Biuro tę pamiątkę po sobie pozostawiło: Towarzystwo polskie w Genewie - jedyne w emigracyi polskiej towarzystwo, od r. 1834 bez przerwy istniejące. Od daty onej posiadało ono protokoły, które jeden z zarządów na całopalenie fo r. 1863 wskazał dla tego, że za dużo zajmowały miejsca. Do składu Tow. w Genewie z ludzi wybitniejszych należeli: Edward **Żeligowski**, znany w literaturze pod pseudonimem Antoniego **Sowy**, gen. Józef **Bosak-Hauke**; obecnie w liczbie członków swoich Tow. liczy profesora uniwersytetu, dra Z. **Laskowskiego**. Żeligowski, który w Genewie umarł, Tow. bibliotekę swoja zapisał.

SKINDER-PASZA.

Skinderem paszą był Aleksander **Iliński**, młodszy z dwóch braci Ilińskich z Wołynia, co w r. 1881 w powstaniu udział rod dowództwem Karola Różyckiego wzięli. Ciekawą jest biografia jego, którą w krótkości powtórzę, nie ręcząc za jej prawdziwość, wziętą jest bowiem z ust bohatera sylwety - z ust, z których, jak z ust Karola panie kochanku, wychodziły relacye o rzeczach niebywałych a często i nieprawdopodobnych. Takich kilku zasłynęło na emigracyi. Biografia Ilińskiego, usuwając z niej nieprawdopodobieństwa, przedstawia się jak następuje:

Natura zbudowała pana Aleksandra na schwał i na urząd, tak, że znalazłszy się we Francyi w r. 1832, w 17 czy 18 roku życia swego, postawą, siłą, w ogóle wyglądem zewnętrznym nie ustępował ludziom młodym, pełnoletnim. Obok tego też natura obdarzyła go temperamentem niespokojnym, żądnym ruchu, awantur, niebezpieczeństw. W emigracyi agitowała się wówczas, wywołana i popierana gorąco przez generała Bema sprawa legionu polskiego w Portugalii na rzecz donny Maryi, prawowitej na tron portugalski następczyni, przeciwko popieranemu przez kler uzurpatorowi, don Miguelowi. Sprawa ta Polaków ani trochę nie obchodziła i emigracya ją energicznie potępiała. Znajdowała ona poparcie w wyższych, w dyplomatycznych sferach. P. Aleksandra nie obchodziło, kto ją potępia, kto popiera. Zwietrzył wojnę - tego dlań było dosyć; mimo przeto, że do formowania legionów polskich w ojczyźnie Kamoensa nie przyszło, Iliński do Portugalii pośpieszył, niosąc ramię swoje rycerskie ku obronie zaczarowanej niby Królewny - donny Maryi. Nie wiem, jak ją bronił, czy o nią walczył, ale w Portugalii nie popasał długo. Pole walki znalazł w Hiszpanii, przeciwko... bykom. Lat parę w roli toreadora popisywał się, aż mu się rola ta znudziła.

Nieznane mi są koleje, przez które przechodził następnie. Czy nie wojował on w Afryce przeciwko Abd-el-Kaderowi? Snadź jednak dusza w nim polska przemówiła i spostrzegł się, że ani w hufcach donny Maryi, ani na cyrkach hiszpańskich, ani wojując Arabów, nic na rzecz Polski nie ma do wskórania. Przypuszczać więc należy, że udał się do Paryża dla powzięcia języka i trafił na moment, w którym **Hotel Lambert** * organizował swoje agencye dyplomatyczne w Rzymie i w Konstantynopolu. W Rzymie p. Aleksander nic do czynienia nie miał. Co innego w Konstantynopolu.

Turcya skutkiem traktatów w Adrianopolu (1829) i Unkiar-Skelessi (1833) wiła się z bólów w uściskach przyjaźni moskiewskiej, manifestujących się szczególnie w nastrajaniu przeciwko niej poddanych narodowości słowiańskiej. Konieczność przeciwdziałania knowaniom moskiewskim narzucała się W. Porcie. Na cel ten najlepiej nadawali się Polacy, jako Słowianie, jako nieprzyjaciele Rosyi, jako wreszcie bojownicy o wolność, których waleczność, w ostatniej okazana wojnie, zentuzyazmowała pobratymców ich z nad Sawy i Dunaju do tego stopnia, że sobie hymn narodowy polski („Jeszcze nie zginęła") przyswoili. Wdzięczne więc dla agencyi otwierało się pole nie tylko nad Sawą i Dunajem, ale oraz u ujść Dunaju, na Dobrudzi, gdzie do czasów wojny moskiewskiej (1828-29) chroniła się ostatnia Sicz zaporoska i gdzie znajdowali schronienie zbiegowie z południowych prowincyj Rosyi od poddaństwa i z wojska. Okrom tego nastręczało się jeszcze jedno do działalności na szkodę Rosyi ujście: na Kaukazie. Na Kaukazie walka trwała. Czerkiesi pod wodzą Szamyla dzielnie wolności swojej bronili. Sława obrony tej ściągała pomoc i zwabiała ochotników. Pomoc ukradkowa w dostawianiu amunicyi i broni szła z angielskiej i tureckiej strony. Ochotnicy w wielkiej garnęliby się ilości, gdyby Czerkiesi nie byli dziczą, nie umiejącą cenić w ogóle cudzoziemców, tych nawet, co im wielkie w prowadzeniu wojny oddawać mogli usługi. Mimo to odważniejsi ryzykowali przy ułatwieniach, jakie im agencya polska czynić była powinna. Pierwszym urzędowym ks. Czartoryskiego agentem był Michał Czajkowski, zainstalowany w Konstantynopolu około roku 1840.

Przy Czajkowskim znalazł się Iliński. Agencya trudniła się wyprawianiem ochotników na Kaukaz. Wyprawiła Gordona, którego imię nosi pierwszy w Kijowie spisek studencki i który na Kaukazie zamordowany został. Temperamentowi Ilińskiego odpowiadało zahazardowanie się na przygody wojenne w wąwozach Elbrusa i na przepaścistych Kazbeku spadkach. Zdaje się jednak, że nie próbował tego, raz dla nienarażania się na los Gordona, bardziej zaś dla kozakomanii, która się go w towarzystwie pana Michała, pod tego ostatniego czepiła wpływem - nie w tym atoli, co Rawskiego kolorze. Nie przedstawiła mu się ona pod postacią chmielniczczyzny demokratycznej, ale organizacyi służbowej, okraszonej w odniesieniu do Rusinów takim w spotęgowaniu urokiem, jaki na Mazurów wywierają Krakusi. Możliwość sfabrykowania kozaczyzny tego rodzaju na gruncie tureckim i zwrócenia jej przeciwko Rosyi, wydawała się mężom tym tem większą, że: naprzód na poparcie rządu tureckiego liczyć mogli, że następnie, do zużytkowania w kierunku tym nadawała się nie wygasła jeszcze tradycya Siczy na Dobrudżi, wreszcie uwagę ich zwrócili na siebie Kozacy dońscy z racyi wieści o niezadowolnieniu i rozruchach, jakie w czasie owym z Donu się rozchodziły. Wieści te szczególnie na Ilińskiego podziałały wyobraźnią. Wyobraźnia ukazała mu bunt na Donie, skombinowany z wojną na Kaukazie. Ukazywała mu jeszcze i następstwa dalsze, co zdecydowało go udać się na Don celem wywołania tam buntu przeciwko Rosyi.

Przebieranie się na Don zabrało czasu sporo, sposobem bowiem przekradanym przechodzić musiał przez księstwa dunajskie (Wołoszczyzna i Mołdawia) przez Besarabię, Podole, gubernie południoworosyjskie wzdłuż północnych wybrzeży Morza Czarnego, przeprawiał się przez Prut, Dniestr, Dniepr, tu i ówdzie zatrzymywał się dla wzięcia opytu. Zważywszy odległość znaczną i tę okoliczność, że podróże w czasach owych odbywały się wozem, konno, lub „per pedes apostolorum", nierychło bohater nasz do granic Ziemi Wojska Dońskiego dobić się musiał.

O pobycie swoim wśród dońców opowiadał bez końca i miał do opowiadania rzeczy ciekawych dużo. Znalazł - jak twierdził - potęgę kozaczą „silną, hulaszczą", gościnną. Przyjęto go otwartemi ramiony, nito brata rodzonego, urządzano na cześć jego biesiady, łowy, popisy i układano na szeroką skalę sprzysiężenie, w którem udział wzięli generałowie, pułkownicy, starszyzna cała, nakaźnego atamana nie wyłączając. Rzeczy się układały jak najpomyślniej; wybuch byłby nastąpił niechybnie, gdyby nie zdrada. Spiskowych podpatrzył i podsłuchał rotmistrz z armii regularnej; wykradł okryty podpisami własnoręcznemi dokument, świadczący o zamiarze wojska dońskiego - dokument, który car Mikołaj I. spalił i bunt uśmierzył krótkim, w formie rozkazu, dekretem: „Aleksandra Ilińskiego powiesić".

- I rozkaz carski został wykonany... - kończył Iliński o pobycie swoim na Donie opowiadanie, tłumacząc zdziwionym słuchaczom pozostawanie swoje przy życiu, jak następuje: - Rozkaz carski nie brzmiał: „Uśmiercić przez powieszenie", powieszono mnie przeto z całą paradą, potrzymano na postronku minutę, nie dłużej... spuszczono i do ucha mi szepnięto: „Umykaj teraz"...

Inna, od niego samego pochodząca, wersya podaje, że na Donie trafił na szajkę, zrewoltowaną przeciwko porządkowi społecznemu, przestrzegającemu bezpieczeństwa osób i ich mienia. Szajka ta gotową była zrewoltować, wzorem Puhaczewa, wojsko dońskie. Zamiarowi temu jednak przeszkodziła policya, która ją wytropiła i chwytać jej członków poczęła. Obrót ten rzeczy uczynił dalszy Ilińskiego na ziemi Kozaków pobyt niemożliwym.

Wersyj o tym ustępie życia jego, było więcej. Z dwóch przytoczonych prawdopodobniejszą jest druga - prawdopodobniejszą z tej racyi, że Iliński rzeczywiście wyprawę za Dniestr, może i dalej, za Dniepr, robił i rzeczywiście był przez policyę moskiewską w Mołdawii tropiony, Udało mu się jednak wymknąć, przeprawił się przez Dunaj i na gruncie tureckim wpadł w ręce pozostającego na żołdzie moskiewskim paszy silistryjskiego. Do apsu (więzienia) wtrącony, miał być Moskwie wydany - uratował się tem jeno, że za radą Greka, towarzysza więzienia, przyjął islamizm. Stać się to musiało w r. 1845, może w 1847 - nie wiem.

W bitwie pod Temeszwarem, na Węgrzech, pod istną kuł działowych i granatów austryackich ulewą, przed mostem na Bega-kanale, na trakcie, prowadzącym z Czastad do Temeszwaru, obok obserwującego rozwój boju Bema, pojawił się na spienionym koniu jeździec, który się chwilkę zatrzymał, słów kilka przez generała wymówionych wysłuchał, konia zwrócił i popędził. Żołnierze - a byli to Polacy z legionu, jednego z batalionów, postawionego do obrony mostu - widzieli co moment adjutantów, przyjeżdżających do wodza po rozkazy, i nie dziwili się temu. Ten jednak adjutant wydał się im osobliwością, głowę miał bowiem okrytą nie kiepim, ani czakiem, ale fezem czerwonym, z ogromnym, na tył zwisającym, kutasem, przytem konia prowadził nie na mundsztuku, lecz wprost na trenzli, na lejcach nie skórzanych, ale z taśmy kolorowej. Zdziwiło to legionistów i wywoływało domysły różne. Zagadka rozwiązała się później. Owym, inaczej wyglądającym, niż węgierscy, adjutantem, był Aleksander Iliński.

Nieznane mi są losy jego pomiędzy więzieniem w Sylistryi, a pojawieniem się na Węgrzech, obok Bema, którego już nie odstępował. Bem pamiętać mu musiał jego w odniesieniu do legionów polskich dla donny Maryi zachowanie się. Inni projekt Bema uznawali w teoryi; on uznał go czynem i, luboć w Portugalii odegrał, w charakterze legionisty, rolę Filipa z Konopi, zawsze jednak na względy projektodawcy w zupełności zasłużył sobie. Względy te to sprawiły, że do armii tureckiej przyjętym został w wysokim, bodaj czy nie pułkownika, stopniu.

Wojna wschodnia (1853-56) wykazała wielką, a świetną wartość jego bojową. Był on jednym z najwaleczniejszych. Powierzono mu na początku dowództwo nad baszi-buzukami, z którymi naczelna władza wojskowa poradzić sobie nie mogła. On, Skinder-bej, raz jeden ich w boju wstępnym użył, ale dobrze: na Wołoszczyźnie podchwycił pułk huzarów moskiewskich, dowodzony przez Karamzina - pułk zniósł, dowódca jego w bitwie śmierć znalazł.

Następnie baszi-buzucy wobec piechoty i, broń Boże, artyleryi ryzykować się nie głupi byli. Pod Eupatoryą, dokąd wysłano go na czele dziesiątka wyborowych setni baszibuzuckich, w spotkaniu z Moskalami, poprowadził je na dragonów i doprowadził, ale one dragonom z przed nosa pierzchły, zostawiając Skindera, naówczas już paszę, w szeregach nieprzyjacielskich, pod baldachimem wzniesionych nad głową jego szabel dragońskich. Tym razem nie byłoby mu się upiekło, gdyby nie Wójcik, adjutant jego, który, gdy mu szabla w ręku pękła, osłonił go dubeltówką za lufę trzymaną i wycofał z pewnej zapadni. Przygoda ta przyozdobiła Ilińskiego piękną przez czoło blizną.

Po zakończeniu wojny wschodniej czas jakiś przemieszkiwał w Konstantynopolu, w charakterze generała „en disponibiliteé". Inny na jego miejscu zapróbowaliby życia tureckiego, mającego strony ciekawe. Jego strony te nie obchodziły zgoła; nie obchodziły go też tyczące się wina i napojów wyskokowych nakazy proroka. W niestosowaniu się do takowych przesadzał nawet. Lubił towarzystwo; praktykował gościnność na szeroką skalę, i podochociwszy sobie, jak skoro miał słuchaczy, opowiadał, opowiadał... Niektórych z opowiadań jego sam by się Panie Kochanku nie powstydził. Różnica, jaka pomiędzy tym ostatnim, a rycerzem donny Maryi, przedzierzgniętym w wyznawcę proroka i obrońcę padyszacha, zachodziła, na tem polegała, że Radziwiłłowi wena przychodziła po obiedzie, na ganku, w otoczeniu domowników, paszy zaś naszemu natchnienia udzielał widok kilku gotowych go słuchać ludzi. Następowało to zwykle u niego przy obiedzie. Do obiadu nie zasiadał nigdy sam i gdy podjadł i podpił sobie, lada przyczyna - słówko, wspomnienie jakieś, pytanie - stawała się źródłem, z którego wylewał się potok opowiadania.

Przy opowiadaniach takie się niekiedy zdarzały sceny. Iliński opowiadał, obecni słuchali - opowiadał np. o polowaniu na bawoły w Ameryce, gdzie, zdaje się, nigdy nie był - i zapędził się za daleko na pole nieprawdopodobieństw. Nagle przy stole słyszeć się dawało prychnięcie śmiechem w kułak. Iliński opowiadanie zawieszał, wzrokiem w koło powiódł i opowiadał dalej. Za powtórnem, czasami po raz trzeci prychnięciem, zapytywał:

- Wójcik... to ty?
- Ja, generale...
- Czego się śmiejesz?
- Tak sobie...
- No... no...

I opowiadanie w dalszym szło ciągu.

Gdy zaś prychnięcie raz jeszcze się powtórzyło, natenczas Iliński do Wójcika rozkazującym zwraca, się tonem;

- Wójcik... powiedz!... czego się śmiejesz?...
- Powiedziałbym, ale generał będziesz się gniewał...
- Mów śmiało !...
- A nie będzie się generał gniewał?...
- No... nie!... mów!...
- Generał łże, aż się za generałem kurzy...
- Ach!... ty!... - wykrzykiwał Iliński, zrywał się i do koła stołu pędził za Wójcikiem uciekającym.

Po okrążeniu w sposób ten razy parę stołu, obydwa na miejscach swoich siadali: Iliński sapał, Wójcik się śmiał.

Wójcik pozwalał sobie niekiedy generała nazwać „durniem". Obraza ta bardziej, aniżeli zarzut łgarstwa Ilińskiego dotykała.

Lat parę po wojnie bezczynnie w stolicy spędził. Do wojennej w czasie pokoju służby nie nadawał się jako, ani specyalista w żadnej gałęzi, ani organizator, ani administrator, a ultrakonsomator przez proroka zakazanych napojów. Pozostawał bezczynnie, brał generalski żołd i zadłużał się. Był on z tych, co jak Frejend (patrz „Dziady" Mickiewicza, część III) „miał jakiś talencik do bicia, i mógłby kilku Dońcom grzbiety naszpikować. Ale, w pokoju?... Wreszcie rząd wynalazł dla niego zajęcie. Posłano go na gubernatora do Bassory, na pewną śmierć. W klimacie tropikalnym, w mieście brudnem, otoczonem trzęsawiskami, zasilanymi wylewami Czat-el-arabu, człek, nie będący w stanie obejść się bez trunków gorących, musiał żywot zakończyć prędko. Jakoż roku całego podobno nie wytrzymał na stanowisku gubernatorskiem.

Za wysłanie na tę placówkę straconą na swój sposób zemścił się na władzy. Przeciwko nadużyciom, jakie spowodowywał w Turcyi zwyczaj, nakładający na gminy obowiązek goszczenia podróżnych trzy dni bezpłatnie, rząd wydał opublikowane na wielkich arkuszach prawo, zwyczaj ów usuwające i podróżnych do opłacania popasów i noclegów zobowiązujące. Gminy do prawa tego stosowały się względem podróżnych małego kalibru. Od paszów jednak, któż by się zapłaty domagać ośmielił? Skinder-pasza więc jechał i jechał ku miejscu przeznaczenia swego bezpłatnie, aż w jakimeś w Małej Azyi miasteczku służba zawiadomiła go o odmowie dostawienia prowiantu bez pieniędzy. Oburzyło go to. Kazał przywołać kajmakana (naczelnika powiatu). Kajmakan na zapytanie o powód odmowy złożył przed paszą ozdobiony u góry cyfrą sułtańską arkusz, zawierający tekst świeżo ustanowionego prawa.

„Pek ii" (bardzo dobrzej... - odrzekł Skinder-pasza.

Kazał kajmakana rozciągnąć na ziemi grzbietem do góry, część ciała poniżej grzbietu osłonić arkuszem z cyfrą sułtańską i na arkusz ów spuścić z przyciskiem parę dziesiątków uderzeń kijem. Po tej, o poszanowaniu prawa świadczącej egzekucyi, gmina dostawiła mu prowizyj pod dostatkiem.

Był to typ narowistego, a duchem awanturnictwa przejętego człowieka. Rodzaj to nie wyłącznie polski, ani wyłącznie szlachecki, luboć dawna szlacheckość polska doskonale się z narowistością zgadza.

* Hotel Lambert - nazwa pałacu nabytego przez ks. Adama Czartoryskiego. Na emigracyi nazwa ta w tem wymawiała się znaczeniu, w jakiem się mówi: Wysoka Porta, gabinet St. James itp.

MEHMED SADYK PASZA.

I.

Po dwóch sylwetach typowych z Ukrainy, z których dla modela jednej ideałem był Gonta, dla drugiej Chmielnicki, pod pióro nasuwa mi się typ „par excellence" - pół poeta, pół rycerz, pół uczony, półgłówek, pól dyplomata, pół narwaniec i do tego pół Polak. Tamci dwaj (Świętosławski i Rawski) uwlec się dali idei demokratycznej mocno odczutej, źle zrozumianej i na błędną pchniętej drogę. Jeden ugrzązł w tym mistycyzmie rewolucyjnym, co dla zbawienia ludzkości posługiwać się gotów rzeziami i stosami; drugi się rozmiłował w kozaczyźnie, która anachronizmem w w. XIX była. Dla Michała **Czajkowkiego** , osobistości tej samej, co wypisane w tytule sylwety niniejszej nazwisko nosiła, kozaczyzna przedmiotem marzeń i dążeń była, ale nie taka jak ta, której życie Rawski poświęcił.

Michał Czajkowski w dziejach piśmiennictwa polskiego wydatne i charakterystyczne zajmuje stanowisko. Pamiętam pojawienie się utworów jego na Rusi. Wzbudziły one zajęcie ogólne, a żywe - żywe nie tyle zrazu, dzięki obrazowości opisów i imitacyi gwary szlachecko-kozaczej, co zaczepieniu w powieści p. t. „Anna", znanej szeroko w krajach zabranych (Podole, Wołyń, Ukraina) osobistości, zajmującej z racyi majątku widne w społeczeństwie stanowisko, wsławionej jarmarcznemi w specyalności końskiej szachrajstwami i podejrzewanej o pochodzenie semickie. „Anna" Czajkowskiego jawiła się równocześnie prawie z „Maryą" Malczewskiego. Różnica pomiędzy utworami temi zachodziła ogromna. Był jednak moment, w którym mniej się interesowano „Maryą" niż „Anną", a to dlatego, że tej ostatniej osnowa odnosiła się do skandaliku, należącego do rodzaju tych, co się krwią zmywają. Mówiono o pojedynku, mającym się odbyć we Francyi pomiędzy autorem opowiadania powieściowego, a obrażonym. Do pojedynku nie przyszło i o „Annie" zapomniano.

Michał Cz.[ajkowski], syn Stanisława i Petroneli z Głębockich, przyszedł na świat r. 1804 na Wołyniu, we wsi dziedzicznej Halczyńce, parafii kodnieńskiej, o milę od Berdyczowa. W pierwszej w. XIX. ćwierci kraje zabrane nie były z ognisk edukacyjnych ogołocone. Komisya edukacyjna zaopatrzyła je w zachowane przez Moskwę po rozbiorach szkoły, szerzące wśród obywatelstwa oświatę. W Międzyrzeczu nauczali Pijarzy, w Humaniu Bazylianie, w Winnicy, i indziej, w szkołach powiatowych nauczyciele świeccy. Kto się uczyć chciał - miał gdzie. Nawet nieprzystępnemi nie były nauki wyższe, dla których Tadeusz Czacki założył r. 1805 w Krzemieńcu lyceum. Panował przeto względny ognisk wiedzy dostatek. Obok tego jednak kraina zwana dawniej Kraje Zabrane, obejmująca prowincye, noszące nazwę Podola, Wołynia i Ukrainy, powitana przez Trębeckiego jako „mlekiem płynąca i miodem", przepełnioną była ponętami odciągającemi młodzież od nauki. Młodzieniec „bene natus et possesionatus", jeżeli nie posiadał szczególnego do książki pociągu, jeżeli nie miał nad sobą ojca, lub opiekuna, wychowującego go wedle Ducha świętego doradzającego „różdżkę" dla „dziateczek" i „kańczuk" dla kawalerów o zasiewającym się pod nosem wąsie chętniej, niż w szkole, kształcił się na jarmarkach. przy stolikach zielonych, na polowaniach, zjazdach chrzcinowych, imieninowych, weselnych, po garderobach. Okazye tego rodzaju bez liku na każdym nasuwały się kroku.

Jeżeli wierzyć temu, co p. Michał sam o sobie opowiada, kształcenie umysłu jego rozpoczęło się w Berdyczowie, skończyło w Międzyrzeczu - w Berdyczowie w prywatnej jakiegoś Anglika pensyi, w Międzyrzeczu u Pijarów. W Berdyczowie nauka udzielaną była z zaprawą zabawy, zabawa zaś polegała jakby na odtwarzaniu w ćwiczeniach odpowiednich tężyzny kozaczej. Na tle tem zaszczepić się i rozwinąć miało w autorze „Wernyhory" rozmiłowanie się w kozaczyźnie. Podanie to me wydaje się z prawdą ściśle zgodnem. Berdyczów, teatr szlacheckich (polskich) i huzarskich (moskiewskich) jarmarcznych i pozajarmarcznych popisów i pohulanek, sam przez się był szkołą, uosabiającą zamiłowanie w kierunku tężyzny ta-

kiej lub innej. Do huzarów się Polacy nie garnęli, dzięki wrodzonemu zarówno do Moskali jako też do subordynacyi wojskowej wstrętowi. Ale wjazdy do Berdyczowa i przejazdy przez miasto karet szlachty zamożniejszej pod eskortą kozaków na dzielnych koniach, ustrojonych w kurty z wylotami, w szarawary szerokie w kołpaki z jeleniami i kutasami, w setedce, działały na wyobraźnią i rozbudzały fantazyę.

„O, gdy wyrosnę, toż to ja sobie kozaków sprawię!..” - marzyli i mawiali panicze niedouki.

Tak i pan Michał w latach dziecinnych marzyć musiał.

Nie dziw przeto, że gdy, po dwóch latach pobytu w Berdyczowie, przeniosła go matka do szkół w Międzyrzeczu, młodzieńca nudy i tęsknota opanowały. Pijarski dozór i pijarska nauka nie smakowały mu. Niedługo też w Międzyrzeczu popasał. W ciągu, lat trzech, w czternastym mniej więcej roku życia swego, głowę swoją całkowicie w potrzebną dziedzicowi Halczyniec opatrzył wiedzę, która - przypuszczać należy - ograniczyła się na dostatecznie biegłem władaniu językiem francuskim. W latach przed i po roku 1815, francuzczyzna w edukacyi odgrywała rolę taką samą, co za czasów jezuickich łacina, z tą atoli różnicą, że łacina stanowiła wyłącznie głów męskich ozdobę, francuzczyzną zaś zarówno się płcie obie zdobiły. Z jedyną prawdopodobnie tą ozdobą wszedł Czajkowski w grono obywatelskie. „Prawdopodobnie” powiadam, od osób bowiem, co go przed r. 1831 na Wołyniu znały, słyszałem, że uchodził za młodego człowieka wcale nie obiecującego. Nikt ani przypuszczał, ażeby się miał na autora wykierować. Polował, jarmarkował, ale z książkami się nie wdawał.

Jak to pozory niekiedy mylą!...

Omyliły tych, co przed r. 1831 nie przypuszczali, ażeby Michał Czajkowski zdobyć się mógł na napisanie listu porządnego; omyliły po r. 1831 księcia Adama Czartoryskiego, co tegoż Michała Czajkowskiego, autora kilku powieści oryginalnych, osądził uzdolnionym do sprawowania funkcyj dyplomatycznych.

A!... „errare humanum est”.

Książę Adam Czartoryski, stojący na czele stronnictwa demokratycznego emigracyi polskiej z r. 1831; poważany był dla stosunków i znajomości fachu przez dwory i ciała dyplomatyczne. Ciała te w razach drażliwych lub trudnych do niego się po informacye, niekiedy po rady zwracały. W położeniu bardzo trudnem, wprost bezradnem znajdowała się Wysoka Porta skutkiem przymierza z Rossją w Unkiar-Skalessi, oddającego Turcyę na łaskę i niełaskę tej ostatniej. Wysoka Porta, bardziej niż inny jaki w czasie owym gabinet, informacyj pewnych i dokładnych oraz rad życzliwych potrzebowała. Po jedno i drugie - do kogóż miała się zwrócić, jak nie do wypadłego z łask jej sprzymierzeńców unkiar-skaleskich męża stanu, byłego ministra spraw zewnętrznych w Petersburgu, znającego na wylot arkany i tajemnice dyplomatyczne Ambasadorowie jej w Paryżu i w Londynie dostali rozkaz porozumiewania się we wszystkiem z księciem A. Czartoryskim i posługiwania się nim w potrzebie. Książę na pośrednika pomiędzy sobą a ambasadą, na wiernika swego, wyznaczył Czajkowskiego, któremu powierzył zarazem umawianie się z obecnymi w Paryżu licznymi wychodźcami słowiańskimi, poddanymi tureckimi. Na polu tem zawiązała się zabierająca czasu niemało gadanina dyplomatyczna, skutkiem której ułożoną została „pomiędzy Jego Wysokością księciem Adamem Czartoryskim, a Jego Wysokością księciem Wasowiczem, pretendentem do tronu czarnogórskiego konwencya”, celem przywrócenia księciu Wasowiczowi należnego mu tronu i zorganizowania w Czarnogórze siły zbrojnej polskiej. Książe Wasowicz zobowiązał się, dla dodania zapewne konwencyi owej pewności i siły, przyjąć katolicyzm, książę Czartoryski zaś zaopatrzeć go w pieniądze. Konwencya ta wydała rezultat jak najsmutniejszy. Warunki jej dotrzymane zostały w tym względzie, że ks. Wasowicz na katolicyzm przeszedł, ks. Czartoryski w pieniądze go - niewielkie, fr. 60.000 - zaopatrzył i on się z pieniędzmi temi ulotnił, zostawiając towarzyszącego mu Czajkowskiego w Rzymie bez grosza.

Wypadek ten powinien był ochłodzić dyplomatyczne zapały i zwrócić Czajkowskiego z drogi do Paryża, do żony, którą był lat temu kilka pojął i z którą miał dzieci czworo. Sprzeci-

wiały się temu, z jednej strony, jego samego ochota zapoznania się z będącym w czasie owym w literaturze polskiej modnym („Sonety krymskie", „Farys", tłumaczenie „Giaura" przez Mickiewicza) Wschodem, z drugiej zobowiązania względem rządu francuskiego, powzięte przez Czartoryskiego, który dla wysłańca swego wyrobił naukową urzędową misyę, czynienia studyów, tyczących się plemion słowiańskich pod berłem ottomańskiem. Zwrócenie wysłańca z drogi, byłoby zadrwieniem z Guizota, owoczesnego ministra oświaty. Czajkowski przeto, mimo, że przez jedną wysokość książęcą okradzionym został, musiał przez drugą Wysokość książęcą na nowo być w grosz zaopatrzonym i dokończyć podróż przerwaną.

Ks. Adam był dyplomatą w wielkim stylu, usposobionym do mierzenia się z fotelu ministeryalnego z Taillerandami, Metternichami, Castlereaghami, Hardenbergami itp. mężami stanu, ale gdy się fotel ministeryalny z pod dostojnej osoby jego usunął, a Taillerandy, Metternichy etc. od niego się odwrócili, nie koniecznie potrafił w człowieku zwyczajnym męża stanu odkryć. Niezwyczajność Czajkowskiego wyraziła się w powieściopisarstwie, powieściopisarstwo zaś nie daje jeszcze na mężostwo stanu patentu. Chyba książę koloryt kozacki za ekwiwalent patentowy uznał, że Czajkowskiego w charakterze dyplomatycznym na Wschód wyprawił. A do tego ta się zapewne jeszcze przyłączyła okoliczność, że zewnętrznością swoją, rysami oblicza, manierami, wydawał wybraniec książęcy człeka, należącego pochodzeniem do jednej z ras, gnieżdżących się u stóp tej góry, na której się arka Noego zatrzymała.

Wyraziłem się o M.[ichale] Cz.[ajkowski] powyżej, że jest pół-Polakiem. Byłbym nie śmiał tego o nim powiedzieć, gdyby był karyery swojej nie zakończył, jak zakończył. Zakończenie to upoważnia mnie do przyznania mu polskości przez pół tylko, sądząc o tem wedle znamion rasowych. Któż Polaka z dziada, pradziada po rysach oblicza, wyrazie oczu, kolorze cery i ogólnym postaci wyrazie od pierwszego oka rzutu nie pozna? M. Czajkowski na pierwszy oka rzut przedstawiał się jako wschodniowiec. Nos krogulczy, włosy czarne, cera śniadawa, oczy świdrem patrzące - wyglądał na Persa, Anatolczyka, Armeńczyka. Ormianizm zwłaszcza z oczu mu bił wyraźnie, dla tych zwłaszcza, co wiedzieli o rozsypanej w moskiewskim i austryackim zaborze szlachcie polskiej, nazwisko Czajkowskich noszącej, z rodzinami polskiemi spokrewnionej i skoligowanej i do Ormian się zaliczającej. Ci pana Michała o Ormianizm nie podejrzewać nie mogli. Tłumaczy to, dla czego książę Czartoryski, który w zaborze rosyjskim „ ogromne przed r. 31 posiadał majątki, w zaborze austryackim, w ognisku niejako ormiańszczyzny, Śniatynie i w majątkach tych często się z Ormianami spotykał, który wiedział może o usługach, jakie oni w czasach dawniejszych Polsce na Wschodzie, na polu dyplomatycznem oddawali, - tłumaczy to, powtarzam, czemu książę nie komu innemu, jeno potomkowi po kądzieli) Myśliażewskich, Bohdanowiczów, co do Bakcziserajii i Konstantynopola w sprawach polskich jeździli, Szymonowiczów, Zimorowiczów, co piśmiennictwo polskie wzbogacili, misyę dyplomatyczną w Turcyi powierzył. Ormianin i autor powieści kozaczych - nie byłże on na ambasadora w Turcyi stworzony?

Nie ambasada wprawdzie, ale agencja polska w Konstantynopolu narzucała się w momencie, w którym emigracya polska porządkowała się we Francyi, rozpadłszy się na dwa skrajne i na trzecie pośrednie stronnictwa. Skrajne rozebrały pomiędzy siebie działalność - demokracya wśród ludów, arystokracya w gabinetach. Gabinety atoli dla reprezentacyi narodowej, nie opierającej się o żadne państwo, zamknęły się z wyjątkiem dwóch: kuryi rzymskiej i Wysokiej Porty. Kuryę obchodził, prześladowany w Rosyi jawnie i zagrożony w Prusiech katolicyzm, wymagający z jej strony zabiegów na drodze nieregularnej i nieoficyalnej. Wysoka Porta, po traktacie w Unkiar-Skalezi, uczuła gwałtowną potrzebę zabezpieczenia się przeciwko uzyskanemu traktatem tym sprzymierzeńcowi, usuwając możliwe rozruchy wewnętrzne i reorganizując swoją siłę zbrojną. We względzie tym potrzebowała ona wskazówek i pomocy.

II.

I pan Michał pojechał, raczej popłynął r. 1841 do Konstantynopola. Ciągnęło go tam... przeznaczenie niby. Ks. A. Czartoryski, zrażony do jego zdolności dyplomatycznych rezultatem negocyacyj z Jego Wysokością ks. Wasowiczem, rad by go był z drogi zawrócił - nie mógł - nie wypadało. Czajkowski się później Wasowicza wyrzekł, zwalając całą za awanturę tę odpowiedzialność na hrabiów Władysława Zamoyskiego i Cezarego Platera. Nic atoli bardziej, aniżeli podania Czajkowskiego, na niedowierzanie zasługuje. Na emigracyi był on jednymz trzech (Służalski, Czajkowski, Mierosławski). znanych powszechnie ze zdolności przekręcania prawdy. Wasowicza przeto historya całkowicie na jego zostawić powinna sumieniu. Z tym też na sumieniu grzechem działalność dyplomatyczną na Wschodzie rozpoczął i prowadził.

Rozpoczął on i prowadził działalność tę wbrew - jak się domyślać należy - życzeniu skompromitowanego przezeń w oczach emigracyi polskiej i kuryi rzymskiej księcia. Wyprzeć się jednak wysłańca własnego, zaopatrzonego za staraniem książęcem przez rząd francuski w charakter urzędowy, przez ambasadora tureckiego w Paryżu i znakomitości francuskiego świata oficyalnego w listy polecające do dostojników tureckich i wpływowych w Konstantynopolu osobistości, sposobu na razie przynajmniej nie było. Odwołanie odłożyć należało na później - do pretekstu dyplomatycznego pierwszego lepszego. Z takim wszelako, jak pan Michał majstrem, sprawa łatwą nie była. Pretekst się znalazł niebawem: złudzenie rządu lennego naonczas księstwa serbskiego gotowością W. Porty przyznania księstwu niepodległości za pomocą jednorazowej skapitalizowanego haraczu spłaty. Rzecz ta, przedstawiona jako umówiona w Belgradzie, pokazała się ani pomyślaną w Konstantynopolu. Wynikła stąd nowa na polu dyplomatycznem kompromitacya, którą jednak dwie inne zamaskowały roboty: Zaporoże i Kaukaz.

Zaporoże zwłaszcza - Zaporoże bowiem przedstawiło się, jako pole współzawodnictwa z demokracyą, z którą w owym właśnie czasie Hotel Lambert gorącą toczył walkę.

Mowa tu o Zaporożu nieistniejącem. Istniało ono do r. 1829 na Dobrudzi; lecz w roku tym ataman Hładkij zaprzepaścił je zdradą Turcyi, na rzecz Moskwy dokonaną. Pozostały po niem wspomnienia, ożywiane, świadectwem zbiegów z pod komendy Hładkiego, którym zamiana wolności tureckiej na moskiewską nie wydała się korzystną, ożywiana oraz obecnością zbiegów od pańszczyzny i z szeregów armii rosyjskiej włościan z Podola i Ukrainy. Zbiegowisko to, złożone z materyałów, które niegdyś służyły do zasilania Zaporoża na ostrowach dnieprowskich, nadawało się do snucia zamiarów, mających na celu wskrzeszenie tej specyalnie w dziejach zaznaczonej organizacyi militarnej. Wytropili je najpierwsi demokraci emigracyjni, którzy jak skoro znane założyli Towarzystwo, wnet rozpoczęli walkę o niepodległość Polski przysposabiać i w celu tym emisaryuszów na wsze rozsyłali strony. Jeden z traktów, którymi oni ku Polsce podążali, przechodził przez księstwa naddunajskie. Mołdawię zapełniali wychodźcy i emigranci (emigrantów nazwa odnosiła się naonczas wyłącznie do wychodźców politycznych) polscy. Ci, w stronach tych krążąc, o Dobrudzę się ocierali, gdzie zetknęli się z chroniącem się tam wychodźtwem rusińskiem, rozżalonem na Moskwę za wzmacnianie poddaństwa, oraz za zniesienie regestrowego, zwłaszcza zaś niżowego kozactwa, którego sławę głosili zaporożce, zbiegli z pod komendy Hładkiego. Wskrzeszenie Zaporoża przeciwko Moskwie nie mogło nie wstrząsnąć wyobraźni tych, dla których walka przeciwko Moskwie jedynem była życia zadaniem. W celu tym na Dobrudzą zaglądali wysłańce demokratyczni. Było ich - nie wiem ilu; do wiadomości mojej doszły tylko nazwiska: Mikulskiego (później księdzem został), Izydora Rawskiego, Ludwika Zwierkowskiego. Najruchliwszym i najczynniejszym śród nich był ten ostatni, znany pod nazwiskiem paszportowem Lenoir'a.

Pod osłoną paszportu wędrował on swobodnie po Mołdawii i Turcyi, bywał w Konstantynopolu i znał się z tameczną kolonią polską, składającą się z rozbitków powstania listopadowego i wychodźtwa przemysłowego. Z pierwszymi Ozajkowski zejść się musiał - zeszedł się

więc z Lenoir'em. Od niego się o stosunkach naddunajskich i o Dobrudzi dowiedział i - co było rzeczą cale ważną - potrafił go dla spraw i zamysłów, w Hotelu Lambert urabianych, pozyskać.

Pozyskaniem Lenoir'a, tę grubą Hotelowi Czajkowski oddał przysługę, że Lenoir była to siła demokracyi wydarta. Dzięki przysłudze tej poprawiła się mocno zachwiana p. Michała reputacya dyplomatyczna. Dla utrwalenia jej na Dobrudzę się wybrał, ciekawy zakątek ten zwiedził i z wyprawy tej raport księciu panu przesłał. Raportu nie czytałem - żadna okazya nadzwyczajna w ręce mi go nie wsunęła; okazye zaś zwyczajne, przebywające za progami wysokimi Hotelu Lambert, z daleka obchodziłem. Nie wiem przeto, co Czajkowski do głowy stronnictwa arystokratycznego pisywał. Znając jednak autora z pism, z czynów, i osobiście, nie pomylę się, twierdząc, że działalność swoją przedstawiał w świetle pożyteczności, wymagającej pozostawienia go na stanowisku, jako działacza samodzielnego. Podania mówią, że samodzielność przypisać mu. w pierwszych jego na Wschodzie krokach, można tylko we względzie pozyskania Lenoir'a. I to - pytanie : czy nie wchodziła do tego kobieta?... O kobiecie będzie później, tymczasem zaznaczę, co się niewątpliwem wydaje, że do stawiania pierwszych na nieznanem polu kroków służyły mu skazówki, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie Lenoir'a. Lenoir wiedział o zabiegach emisaryuszów z obozu demokratycznego, wiedział o Rawskim i za jego to sprawą nastąpić musiało zejście się tego demokraty z Czajkowskim i rozmowy ich, które Rawski - jak powiadał - toczył z nahajką w ręku. Może to i prawda, Rawskiemu bowiem tajną być nie mogła dezercya Czajkowskiego z obozu demokratycznego, o czem świadczą pierwsze członków T. D. spisy. Traktował go więc z góry na gruncie, na którym tak jeden, jak drugi nie znalazł tego, czego szukał: urzeczywistnienia ideału kozaczego - ideału, upatrywanego przez Rawskiego w Chmielniczczyznie, przez Czajkowskiego w kozactwie nadwornem. Ideał swój nakreślił Czajkowski obrazowo w powieści p. t. „Wernyhora", w której legendowy Wernyhora ,ginie, a na plan pierwszy wysuwa się Nekrasa. Ów to Nekrasa, w odzieży z wylotami, w kołpaku z kutasami, frenzlami i kitami, harcujący na koniu dzielnym, również ozdobnie przystrojonym, bohater nad bohatery, waleczny, piękny, posiadający przymioty nadzwyczajne, kochający straszliwie, bohater ów był jego rojeń i pragnień przedmiotem, jego pożądań celem.

Z tem rojeniem w wyobraźni, z tom pragnieniem w sercu, z tem pożądaniem w umyśle wyjechał Czajkowski na Wschód i przebywał na Wschodzie. Z tym też imaginacyjno umysłowym bagażem, stanął na ziemi dobrudzkiej, śród zbiegów ruskich, oko w oko z Nekrasowcami.

Z Nekrasowcami zdarzyło się mu wedle przysłowia: „Słyszał, że gdzieś dzwonią, nie wiedział, w którym kościele" - i stworzył sobie Nekrasę, do którego Nekrasowców dorobił i dobrał. O prawdziwych pojęcia nie miał. Pewnym był, że to Rusini. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakiem zdziwienie jego być musiało, gdy pod nazwą Nekrasowców nie Rusini, ale najprawdziwsi mu się przedstawili Moskale. Podkopali mu oni i zwichnęli rojenia, ale na żadną go nie narazili stratę. Przeciwnie. Ideał ideałem pozostał; urzeczywistni się - dobrze, nie urzeczywistni się - drugie dobrze, co zaś do zyskania było, to się zyskało.

O wskrzeszeniu na nowo za zezwoleniem W. Porty w dobrudzkim zakątku Zaporoża, po tak niedawnej (r. 1829) Hładkiego zdradzie i po tak niedawnem (r. 1833) w Unkiar-Skelezi z Rosyą przymierzu, ani myśleć było można. W. Porta tem mniej zezwolić na to mogła, że na Dobrudzi przebywali Zaporożców spółzawodnicy i nieprzyjaciele *, Turcyi wierni Nekrasowcy, posiadający samorząd pod warunkiem służenia w razie potrzeby państwu Ottomańskiemu orężnie. Warunki takie przysługiwały przed laty i Zaporożcom. Tak samo, jak ci ostatni, Nekrasowcy, zorganizowani i uporządkowani, wybierali starszyznę, na czele której stał ataman. Zatrudnieniem ich były : uprawa roli, rybołówstwo, pijawkołówstwo i handel. W pobliżu Babadagu i jeziora Razelm zamieszkiwali kilka dobrobytem kwitnących osad. Do

Rosyi, jako starowiercy, ze względu na prześladowanie ich wyznania przez rząd rosyjski, odnosili się wrogo.

Samorząd, przysługujący im w gminnych i religijnych sprawach, nie uwalniał ich od zależności od W. Porty i działających z jej ramienia administracyjnych i sądowych urzędników, powołanych do utrzymywania ładu w kraju śród różnonarodowej i różnowierczej ludności, pochopnej do sięgania po własność cudzą i mącenia porządku. Zamożność Nekrasowców wzbudzała ochotę dzielenia się nią z nimi w sposób nieuprawniony: w ichże wiary odmiennej spółziomkach (Bezpopowcach, Skopcach i in.), w posiadających prawa podobne Tatarach krymskich, w kolonistach niemieckich, w Bułgarach, Rumunach, Grekach, Turkach, Żydach, Rusinach, w najrozliczniejszej, a jak najmocniej z etyką poróżnionej ze świata całego zbieraninie. Przeciwko napastnikom tego rodzaju osłona i obrona znajdowała się w rękach urzędników tureckich, nie pogardzających, wzorem czynowników moskiewskich, obdzierającemi nie rzadko ludzi ze skóry łapówkami, znanemi w Turcyi pod nazwą: bakcziszów. W odniesieniu do wszystkich tych, kieszeniom ich zagrażających gromad i osobników, potrzebowali oni pewnej i skutecznej wobec sfer wyższych i najwyższych obrony.

Obrona taka nastręczyła się im w osobie Michała Czajkowskiego, wiernika księcia Adama Czartoryskiego, zaopatrzonego w paszport francuski i charakter urzędowy, poleconego dygnitarzom tureckim i osobom wpływowym zagranicznym w stolicy Turcyi, posiadającego względy szczególne, mającego głos w sferach rządowych bankiem (Aleona) i poparcie, nie bijącej jeszcze na onczas przed carami pokłonów ambasady francuskiej. Taki właśnie mąż w r. 1841 może 1842, a może 1843, stanął przed oczami opłacających haracze panom, kajmakanom, muftim, agom, zaptijom i wszelakim figurom urzędowym Nekrasowców.

W sposób ten Czajkowski stał się, jako sprawujący interesy Nekrasowców, w Konstantynopolu potrzebnym. Czy jednak, jako taki, był on oraz, jako sprawujący interesy Hotelu Lambert, w stolicy Wschodu potrzebnym?... Był - zapewne - wedle składanych przezeń księciu panu raportów.

Są dane, pozwalające przypuszczać, że książę, zrażony konwencyą czarnogórską i negocyacyą serbską, raportom niekoniecznie dowierzał i Czajkowskiego do powrotu wzywał, do żony i dzieci, do pełnienia obowiązków ojcowskich powoływał. Na próżno jednak. Sprawy publiczne, obowiązki - wedle mniemania autora Wernyhory - od ojcowskich ważniejsze, nakazywały mu głuchym na wezwania i powoływania pozostawać.

Do sprawowania interesów nekrasowskich dołączyły się kraje kaukazkie. Znajdowały się one pod pieczą i w ręku duszą i ciałem im oddanego Anglika, Urquardta. Urquardt pieniądze na walkę Czerkiesów przeciwko Moskwie zbierał, broń i amunicyę kupował, oficerów werbował, efekty i ludzi na Kaukaz przekradał. Pomagali mu w tem Turcy; lecz niemniej pewnymi przedstawiali się mu w tej sprawie Polacy. Jak skoro przeto doszła go w agencyi polskiej w Konstantynopolu wiadomość, wnet zwrócił się do niej i znalazł ją chętną w użyczaniu mu rad, wskazówek i wszelakiej innej pomocy. Sprawa ta w raportach księciu inaczej zapewne, niż tu o niej mówię, przedstawiona, wzmocniła potrzebę obecności Czajkowskiego w Konstantynopolu. W czasie owym, w roku mniej więcej 1843, kiedyśmy w kraju się w utworach Michała Czajkowskiego rozczytywali, jak się obecnie w utworach Henryka Sienkiewicza rozczytujemy, rozeszła się była wieść, że Moskwa zaalarmowana agitacyą Czajkowskiego śród ludów i narodów naddunajskich, wystąpiła wobec Turcyi z żądaniem wydania go, a przynajmniej wydalenia. Nie wiem, jaką wieść ta wpływ w hotelu Lambert wywarła. U nas na gruncie polskim, na Podolu, wywarła ona wpływ taki, że nie tylko wyniosła Czajkowskiego na wyżyny powieściopisarskie niedojrzalne - przekonani byliśmy, że powieściopisarza nadeń lepszego w Polsce nigdy nie było i nigdy nie będzie, aleśmy go jeszcze i - niemal... na zbawcę Polski z góry pasowali.

III.

„Cherchez la femme". Regułę tę, której się trzymają sędziowie śledczy w dochodzeniach kryminalistycznych, zaznaczyłem poprzednio, mówiąc o samodzielności w czynnościach Michała Czajkowskiego na Wschodzie. Winienem przytoczenie reguły tej usprawiedliwić. W losach Czajkowskiego kobieta przeważną odgrywała rolę.

Kto nie zna niedokończonego Juliusza Słowackiego poematu p. t. „Podróż na Wschód?" O nieznajomość utworu tego nikogo z łaskawych „Sylwet" moich czytelników podejrzywać nie śmiem; śmiem jednak przypuszczać, że nie każdemu, po strofie w pieśni drugiej, mówiącej „poetycznym Laurom" i „sawantkom" o szkole wsławionej „biednej Safo skokiem", zrozumiałą jest strofa następująca:

„Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu;
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;

Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu Zwłoki..." etc. Dalej poeta opowiada o odciętych przez Turków uszach kochanka, po które Safona owa pojechała do Konstantynopola, o jej mdłościach, które lekarze usuwali pigułkami z chleba, o oznaczającem ochotę samobójczą targowaniu się z lekarzami „o krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę", o romansie z oficerem angielskim; nie opowiedział atoli o szkielecie ukochanego, zamkniętym w trumnie, towarzyszącej kochance w podróżach i lokowanej przy jej łóżku sypialnem wszędzie, gdzie się zatrzymywała na dłużej. O pierwszem opowiada poeta, o drugiem podanie. Safona owa ostatecznie osiedliła się w Konstantynopolu - to fakt, do którego podanie dodaje, że w lat dużo później pożar domu, w którym mieszkała, pochłonął trumnę i ulubioną charcicę i, że charcica żałowaną była bardziej, aniżeli trumna z zawartością swoją. Podaniom można wierzyć, albo nie wierzyć, wolno je nawet brać za plotki, mimo podkład prawdopodobieństwa, na którem się zrodziły, ale nie wolno przeczyć faktom dokonanym, faktom, które w odniesieniu do strof, Salonie przez Słowackiego poświęconych, wyraziły się w sposób, żywo autora: „Podróży na Wschód" obchodzący. Kim była Safo owa? Była nią Ludwika Śniadecka, córka Andrzeja, profesora uniwersytetu wileńskiego, znakomitego uczonego i gorącego patryoty polskiego. Rozkochała się ona w Moskalu, Korsakowie, oficerze od gwardyi, rozkochała się zapewne wbrew życzeniu ojcowskiemu. Ale... „miłość nie sługa", a za to w służbę bierze tych, co się z nią wdadzą. Po zwłoki ukochanego wybrać się mogła dopiero po śmierci ojca i otrzymaniu przypadającej na jej dolę części majątku, jaki zostawił po sobie. Sprawy spadkowe długo się zwykle wloką, ponieważ przeto Andrzej Śniadecki zmarł w r. 1838, nie mogła więc wcześniej, jak w r. 1840, albo 1841 wyjechać. Daty te nasuwają na myśl uwagę, tyczącą się miłości panny - Ludwiki - miłości, dochowywanej nieboszczykowi przez lat najmniej dwanaście, oficer ów bowiem zginął przy pamiętnym szturmie Warny r. 1828. Rzeczy takie nie zdarzają się codziennie. Odszukała na warneńskiem polu zwłoki i - co z niemi zrobiła? Nie odwiozła do kraju; nie odesłała rodzinie; nie pogrzebała ich w Turcyi nigdzie: podanie przeto o trumnie przy łóżku, w której przechowywane były, jest bardzo podobnem do prawdy, odpowiadając nastrojowi romantycznemu, który duszę tej kobiety przenikał i nie pozwolił jej po śmierci marnego jakiegoś oficerzyny moskiewskiego, przenieść miłości na genialnego poetę polskiego.

Kochał ją, jak wiadomo, Juliusz Słowacki. Kochał ją i odezwał się do niej o niej:

„I powiedz, czyli duszę mam powszednią
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną".

Zakochanie się Słowackiego nastąpiło w dobie brzasku młodości jego - liczył lat nie więcej jak siedmnaście. Ona dużo od niego starsza, w momencie, kiedy on do jej serca po młodzieńczemu kołatał, z „oficerem na potęgę romansowała i... dla studencika łaskawą była". Stosunek ten, we dwa lata później, rozerwał się: studencik do Warszawy wyjechał, oficer na

wojnę poszedł. I jeden nie wrócił i drugi nie wrócił. I stało się: oficerowi wierną pozostała ona, dla niej wierność w studenciku się rozbudziła.

Jak się zdaje, często i gorąco - tak gorąco, jak w strofach, rozpoczynających się od wyrazów:

„Kłębami dymu niechaj się otoczę" - wypowiadana z obczyzny przez Słowackiego miłość dla niej przyszła retrospektywnie, we wspomnieniach, na skrzydłach tego gołębia, co wieści nosił, drogą poetyczną. Upostaciował on w niej, imieniem jej nazwał ideał, w rzeczywistości nie istniejący.

Ona się tego ani domyślała. Utwory jego, gdy w ręce jej wpadły, nazwała „wierszami szklanymi".

Przybyła „nad brzegi Marmora" z popiołami Moskala i rozkochała w sobie... autora „Kirdżalego".

Rozkochała - zapewne; trafniejszem jednak będzie wyrażenie : opanowała.

Była to kobieta do panowania.

Mówię to z całą rzeczy świadomością - ze świadomością, zdobytą naprzód osobiście, następnie od dwóch na zupełne i całkowite zaufanie zasługujących świadków, których po imieniu i nazwisku w pamiętnikach, co się po śmierci mojej przypuszczalnie ukażą, wymienię.

Osobiście miałem zaszczyt przed obliczem jej, przez nią wezwany, stanąć. Działo się to w r. 1863, w czasie kiedym w Tulczy, na Dobrudzi, oddział powstańczy organizował i w interesie oddziału tego do Konstantynopola na dni parę przyjechał. Wezwała mnie dla rozmówienia się ze mną w materyi dla niej i dla mnie nad wyraz drażliwej - a tem drażliwszej, żem był autorem książki, towarzysza jej dozgonnego sądzącej bardzo - bardzo niepochlebnie.

Przed obliczem jej stanąłem i doznałem wrażenia takiego, jakiego - przypuszczam - doznawać muszą czciciele monarchizmu, gdy się po raz pierwszy wobec jakiej cesarzowej, a przynajmniej królowej znajdują. Nie przykląkłem wprawdzie, ani czoła do podłogi nie uchyliłem, ale doznałem czegoś na kształt porażenia od majestatu, z oblicza i postawy kobiety tej bijącego.

Liczyła wówczas lat mniej więcej sześćdziesiąt; z pod czepca na czoło jej i skronie włosy śnieżnej wysuwały się białości, tworząc ramy dla oblicza o rysach regularnych, oświeconego oczami pogodnie i dobrze patrzącemi, a z wyrazem takim, w którym taiły się obietnice grozy lub słodyczy, kar lub nagród. Klasycznie ukształtowanej głowie odpowiadał wzrost więcej trochę niż średni, przy postawie szykownej, o ruchach swobodnych, nie zdradzających wieku późnego. Powitała mnie z tą uprzejmością łaskawą a ujmującą, która najbrzydsze zdobi kobiety, i ukazawszy mi siedzenie obok siebie, zawiązała rozmowę, zaczynając ją od wyrażenia nadziei, że nie rozejdziemy się pogniewani. Rozmowa zabrała nam czasu bez mała godzinę, luboć interes na samym początku prędko załatwiony został. Po załatwieniu interesu, gdym ruch do wstawania wykonał: „Czemu się pan śpieszy?"... - zapytała. Mówiliśmy o stanie sprawy polskiej, o nadziejach, prawdopodobieństwach, o stanowisku politycznem W. Porty, o „generale" - tak Sadyka-paszę tytułowała, nie nazywając go „mężem" swoim. Materyę najdelikatniejszą i najdrażliwszą stanowiła książka moja i ta materya dotkniętą została. Rozstałem się z nią przez nią oczarowany, wynosząc to przekonanie, że Michał Czajkowski nie jest przecie takim lichym, za jakiego uchodzi, człowiekiem. Przekonanie to, które w książce pióra mego, „W Galicyi i na Wschodzie", wyraziłem, ona we mnie wmówiła. Chodziło o dezerterów, którzy z pułków kozackiego i dragońskiego, znajdujących się pod dowództwem Czajkowskiego, do formującego się w Tulczy oddziału polskiego się zgłaszali. Umówienie na tem polegało, że Czajkowski z popędu własnego, przez wzgląd na sprawę polską, poszukiwać ich nie chce, gdy w istocie rzeczy popęd ów pochodził od sprzyjającego powstaniu polskiemu rządu tureckiego.

Pozostawałem pod kobiety tej urokiem, który na mnie podziałał chwilowo; na Czajkowskim zatrzymał się, a opanować go musiał od razu. Opanowany, oderwać się od niej nie był w

stanie. Zamieszkała w Konstantynopolu na warcie przy trumnie; on w Konstantynopolu pozostał na warcie przy niej, nie jako kochanek, ale w charakterze sługi, w poddaństwie.

Potrzeba obecności Czajkowskiego w Konstantynopolu, w charakterze agenta politycznego, bardzo była względną - przeważnie informacyjną. Mógł go zastąpić kto inny, mniej w tworzeniu, pod firmą sprawy polskiej, niedorzeczności pomysłowy. Cóż ze sprawą nas7ą za styczność mieli Nekrasowce n. p.? Jaką agencya, nie rozporządzająca funduszami znacznymi, pomoc użyczyć mogła Anglikom, w podtrzymywaniu wyniszczającej Rosyę z Czerkiesami wojny? Jedynie stosunki z wychodźtwem rusińskiem na Dobrudzi mogłyby trzymanie agencyi polskiej na Wschodzie usprawiedliwić, gdyby na agenta trafił się był kozakoman, ale nie szlachtoman, jakim był autor „Wernyhory". Przypuszczać się godzi, że sam Czajkowski, sparzywszy się na konwencyach i negocyacyach południowosłowiańskich, nie znalazłszy dla siebie zajęcia odpowiedniego ani na Dobrudzi, ani na Kaukazie, byłby się na stanowisku znudził i wezwań pierwotnych do powrotu ,do Francyi posłuchał, gdyby nie panna Ludwika Śniadecka.

Panna Ludwika, od pierwszego z Czajkowskim zejścia się, czar na niego rzuciła, opanowała go, upoddaniła, stała się najważniejszą sprawą dyplomatyczną, tą sprawą, z której trysło źródło bogate natchnień do pisania nie poezyj, nie powieści, ale raportów. Tworzone w natchnieniu tem raporty przekonały Hotel Lambert o nieodzowności pozostawienia go w stolicy Wschodu, o absolutnej zastąpienia go kim innym niemożliwości. Dla ugruntowania przekonania tego w umysłach dyplomatów Hotelu, dla zabezpieczenia się przeciwko przysłaniu mu do Konstantynopola żony i dzieci, jeździł do Francyi, zabawił w Paryżu miesięcy kilka, powrócił - i nie puścił się już (przepraszam za trywialność wyrazu) spódnicy panny Ludwiki.

Służył jej, literalnie służył, usługiwał, jak panna służąca, jak lokaj, wiernie, niezmiennie, od pierwszej skojarzenia się z nią chwili do jej śmierci. Na stosunek ten zgoła nie wpłynęło dygnitarskie, jakie w świecie tureckim zajął, stanowisko. Za jej zezwoleniem, jeżeli nie na jej rozkaz zmuzułmanił się; bez jej zezwolenia byłby się nie chwycił sposobności, jaką mu nastręczyła wojna wschodnia(1853-56), urzeczywistnienia ideału swego kozakomańskiego. Tak samo jednak muzułmanin Mehmed-Sadyk, tak samo generał-pasza turecki, jak dawniejszy Michał, jej. o ile go obowiązki służbowe od domu nie odrywały, posługiwał. Nie kto inny, tylko on, drewka przynosił i ogień na kominku w pokoju sypialnym rozpalał, nie kto inny wodę. tatły (konfitury) i kawę do łóżka podawał, nie kto inny psy faworytalne dozorował, nie kto inny przynosił, wynosił, odnosił wszystko, co dla niej do przynoszenia, wynoszenia i odnoszenia było. Pełniąc posługi wszelakie, z cierpliwością wzorową znosił kaprysy, które, wedle podań świadków wiarogodnych, przepełniały moralną pani istotę. Dzięki temu nie nader słodko się jej z mężem stosunki układały. Mąż atoli znosił, znosił, cierpiał i rad był temu. Ale dzieci ? - córki zwłaszcza?...

Generałowa wiedziała, że generał ma dzieci we Francyi. Pozostawianie ich w oddaleniu źle wyglądało w oczach Turków nawet. Sama przyzwoitość sprowadzić je nakazywała. Jeden tedy z kursujących pomiędzy Marsylią a Stambułem statków parowych, przywiózł dwóch młodych panów Czajkowskich i dwie dorosłe panny Czajkowskie. Synowie do szeregów wojskowych wstąpili; córki, póki za mąż nie powychodziły (jedna za Suchodolskiego, oficera od kozaków, druga za drą Gutowskiego), przemieszkiwały przy ojcu i, lekceważone przez niby macochę, ze wstrętem i obrzydzeniem przypatrywały się temu, jak ona nim pomiatała.

Rozpatrując się we wpływie kobiety tej na Czajkowskiego, nie można nie uznać smutnych wpływu tego rezultatów. Zabił on w nim znajdujący się w fazie rozwoju talent i przyczynił się do urzeczywistnienia, będącego skończoną niedorzecznością, piastowanego przezeń ideału kozaczego. Epopeję dla ideału owego spróbował Sadyk napisać p. t.:

„Kozaczyzna w Turcyi" tom spory, wydany w Paryżu w r. 1857. W tym bez składu i lądu utworze rzucają się czytelnikowi w oczy mundury. Opowiadania, wszystkie, z wyjątkiem firmanów sułtańskich, kłamane, są niczem; mundury wszystkiem.

Znając wodza pułków, kozackiego i dragońskiego, ze strony psychicznej, jasnem się staje, że do ideału jego w znacznej części wchodziły żywioły krawiecki i czapniczy. Świadczą o tem wyloty i kołpaki z jełomami i kutasami na kozakach, czapki czerkieskie na dragonach; objaśnienie zaś najdokładniejsze daje na czele dzieła umieszczony wizerunek samego wodza, Mehmed-Sadyka paszy. Mundur z wylotami, lampasami, belkami i nieużywanemi w Turcyi epoletami; kołpak z jełomem i kutasem z jednej strony, z kutasem, gałką, ale bez jełomu z drugiej strony, frenzla do koła po środku, gwiazda i półksiężyc na wierzchu, na gałecznej podstawie kita z tyłu. Wszystko to w sam raz do cyrku. Pokazuje się, jak różnemi ideały ludzkie chodzą drogami... Ten, co się w umyśle Czajkowskiego wytworzył, wystrzelić musiał z podłoża tych rojeń chaotycznych, które się w jego na piśmie i ustnych przebijały opowiadaniach. Sadyk pasza gości polskich przyjmował u siebie w musafirłyku (izba gościnna), siedząc z podgiętemi po turecku na sofie nogami i prawiąc im duby smalone.

- A dajcież mi z waszym Sadykiem czysty pokój! - zawołał Padalica (Zenon Fisz)- wracając z wizyty u niego. Wyobraźcie sobie, cały czas bawił mnie opowiadaniem wspomnień, jakoby Mikołaja Kamińskiego z czasów, kiedy, nim człowiekiem na drodze metampsychicznej * został, przeżywał istnienia krowy i jendyka. Opowiadanie to przeplatał porykiwaniem krowiem i bełkotaniem jendyczem.

Słowem, panna Ludwika Śniadecka, kobieta, co czar ze siebie wydzielała, nie zasłużyła sobie za zaczarowanie Michała Czajkowskiego na wdzięczność narodu.

Wszelako, gdyby go za wcześnie była nie odumarła, z pewnością nie pozwoliłaby mu karyery zakończyć tak nędznie i marnie, jak zakończył.

Słówko jeszcze. Co to dla nas za szczęście, że się z tą „Ludka" nasz „Julek" nie skojarzył!...

* Nieprzyjaźń pomiędzy Zaporożcami a Nekrasowcami doprowadzała nierzadko do rozpraw orężnych.

* Pułkownik M. Kamiński towianizm wyznawał.

ROMAN CZARNOMSKI.

Gdzie i kiedy mąż, którego imię i nazwisko w tytule sylwety niniejszej figuruje, na świat przyszedł - nie wiem. Kilkakrotniem go o to zapytywał, - nigdy wyraźnej nie otrzymywałem odpowiedzi. Pochodził może z Krajów Zabranych, nie dla tego atoli, ażeby pochodzenia tamecznego cechy na sobie nosił, - zewnętrzny wygląd jego raczej Mazura zdradzał. W dawnem województwie Bracławskiem, zbogacona przy Potockich w epoce rozbiorów kraju, rodzina Czarnoniskich, na Pobereżu się obkupiła i duże tam do dziś posiada dobra ziemskie. Wspominałem mu o nich; nie zapierał się pokrewieństwa z nimi. W Krajach Zabranych, przed powstaniem listopadowem bywał, nie zapędzał się snadź jednak w kierunku południowowschodnim aż do sąsiadującego z majątkami Czarnomskich miasteczka Piszczana, o którem jest, nie przynosząca wielkiego świekrom zaszczytu, piosneczka ludowa:

Kudy jidesz opętany?
Na jarmarok do Pyszczany.
Szczo tam budesz torhuwaty?
Badu leszczu prodawaty.

Należał on w charakterze członka do remonty, wysyłanej z Królestwa dla zaopatrywania w koniećwiczonej przez W. ks. Konstantego Pawlowieza jazdy polskiej. Remonta polska w Kodniu pod Berdyczowem miała kwaterę główną. Instytncyę tę obchodziły jarmarki końskie nietylko w Berdyczowie i Jarmulińeach, ale w Bałcie zwłaszcza, gdzie znajdowano do wyboru wierzchowce ze stadnin ukraińskich i tatarskich. Droga z Kodnni do Bałty prowadziła t. zw. szlakiem szpakowym, ocierającym się o Piszczane, a zatem i o majątki Czarnomskich. W Bałcie więc nasz p. Roman bywać musiał, lecz do imienników, czy krewnych swoich nie zajeżdżał, osobiście ich nie znał, w opowiadaniach o okolicach i ludziach tamecznych nigdy o nich nie wspominał.

Opowiadaczem był świetnym - całemi z przyjemnością słuchało się go godzinami. Ulubionym relacyj jego z pobytu w krajach zabranych przedmiotem była stolica królika ukraińskiego, Tulczyn, gdzie wesoło czas upływał, dzięki balom, przedstawieniom teatralnym, popisom muzycznym i rozlicznym innym rozrywkom, wtórującym ciągłej grze w karty, której teatrem był pałac wspaniały, na frontonie którego widniał dużemi złotemi literami nakreślony napis:

„Oby zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem". Napis ten wyryć kazał wódz konfederacyi targowickiej - cnotliwy... zdrajca ojczyzny. Wnuk jego sprzedał Tulczyn Moskalom. Rzecz ciekawa, czy Moskale napis ów zachowali.

Świetne dla miasta tego czasy minęły. R. Czarnomski był jednym z ostatnich świetności tej świadkiem. Szkoda, że nie pozostawił pamiętników po sobie. Gdyby tak pisał, jak opowiadał, pamiętniki jego ogromnieby ciekawe były ze względu nietylko na Tulczyn i na Kraje Zabrane, ale i własne jego przygód pełne życie. Wrodzona ciekawość i ruchliwość ciskały nim, niby piłką, wybierały atoli zawsze cel, mający Polskę na widoku.

Przed powstaniem służył w szeregach jednego z pułków ułańskich. Po wybuchu powstania, kiedy się nowe, piesze i jezdne tworzyły hufce, wykomenderowany zostnł do nowoformujących się krakusów. Mało kto zapewne wie o tem, że to on pod Stoczkiem, bez rozkazu, podkomendnych swoich do ataku poprowadził i przyprowadził „cztery harmaty i Moskali, jak bydła". Gdy, wnet po czynie dokonanym, Dwernickiemu o wzięciu harmat, z dwoma przy daszku od kaszkieta palcami, meldował, Dwernicki chmurny zapytał:

- Wziąłeś harmaty ?
- Wziąłem, generale...
- Wsadźże je sobie w... ucho!

Relacya ta, z ust jego długo po wypadku, bo w Turcyi w r. 1855 czy 1856 słyszana, wątpliwości podlegać nie może, służąc do pierwszego stopnia do scharakteryzowania we wzglę-

dzie typowym lak Dwernickiego, jak jego: - Dwerniukiego, który nie postąpił sobie jak Manliusz Torquatus, co za stoczenie wbrew jego rozkazowi bitwy zwycięskiej syna własnego ściąć kazał; jego, który się na własną rozporządził rękę.

P. Roman miał do konceptów własnych popęd, radząc się tylko wiatrów. W którą, wedle jego meteorometrów myślowych, wiatr wiał stronę, w tę on szedł. Trafiało mu się to raz po raz. Pamiętny snadź jednak na gniew generała - gniew, który na siebie ściągnął za czyn świetny, ale bez namysłu dokonany, za każdym razem, gdy do zmiany kierunku przychodziło, myślał, namyślał się i zawsze tak wypadało, że znów o nowej kierunku zmianie myśleć potrzeba było. W następstwie wynikło stąd przechodzenie na emigracyi z obozu do obozu. Był to umysł niespokojny, szukający drogi, na której najjaśniej zbawienie Polski świeciło, nie poczuwający się do odkrywania dróg nowych, lecz o tyle sobie samemu ufający, że na każdej o przewodniczenie mu chodziło. Powodzenie pod Stoczkiem dawało mu tę pewność, że byle on prowadził, to każde powodzeniem uwieńczone zostanie przedsięwzięcie.

Niestety - w żadnym z obozów, do jakich naemigracyi wchodził, na czoło się wydostać nie mógł. Zależało to w obozie każdym od wyborów. Ani on się wyborcom umiał zalecić, ani się wyborcy na nim poznać umieli. Spotkało go to w Węglarstwie, w Towarzystwie demokratycznem, w Zjednoczeniu, w grupie przy generale Rybińskim przez Ibusia Ostrowskiego pod nazwą Towarzystwa wojskowego zorganizowanej, słowem, wszędzie. Nie doszedł do wiadomości mojej sposób, w jaki zawody te znosił. Wiem tylko, jak szeregi Masonów porzucił.

Masonerya, przez wielu zalecana, wyobraźnię jego i umysł opanowała była. Podobało się mu w niej to mianowicie, że członkowie jej wedle zasług z niższych na wyższe awansują stopnie i przepisane mun. dury mają. Nie wątpił, że go czeka wielkie mistrzostwo, które na rzecz sprawy polskiej wyzyskać potrafi. Złudzenie to trwało poty, póki się w Polsce ruchy ze znamieniem powstaóezem przejawiać nie zaczęły. Rok 1846 zelektryzował go i to sprawił, że chętne ucho dał księdzu jakiemuś, h tory mu masoneryę w jak najczarniejszych przedstawił kolorach. Słowa księdza tak na niego podziałały, że na ziemi usiadł i zapłakał - następnie wyspowiadał się. Siadaniem na ziemi i oblewaniem łzami każdy, jaki na niego spadał, spotykał zawód.

Masonerya przeszkodziła mu wziąć w wypadkach r. 1846 udział. Wynagrodził to sobie w r. 1848. Jeden z pierwszych do Wielkopolski pośpieszył i pod wodzą Mierosławskiego się zaciągnął. Okoliczności nie nastręczyły mu sposobności wykazania wartości swojej na polu bojowem. Wyznaczone mu zadanie tyczyło się organizowania w jednym z powiatów siły zbrojnej przy spółdziałaniu jednego z oficerów b. armii polskiej. Nie rostrzygniętą pozostawała kwestya, który z nich: Czarnomski, czy ów X. (nazwiska nie znam), przewodniczyć i w jakim stopnia będzie. Chodziło podobno o stopień majora.

- Wiesz, Xowi śniło się, że nominacyę na majora dostał... - ktoś Czarnomskiemu oznajmił.- O!... - Czarnomski na to.- Przecież to rzecz pewna, że on podemną dołki kopie...

Zdaje się, że z ruchawki poznańskiej bohater z pod Stoczka wyszedł ze stopniem majora.

Czemu dla potwierdzenia i okurzenia stopnia swego prochem na polu bitew nie zajrzał do Węgier ?

Po wojnie węgierskiej w lat cztery wybuchła wielka wojna wschodnia. Na teatrze jej Czarnomski zjawił się w momencie, kiedy, skutkiem nieporozumień pomiędzy Sadykiembaszą a głem Władysławem Zamojskim wynikłych, przyszło do dwóch polskich organizacyj wojskowych: jedna pod firmą turecką, pułki kozacki i dragoński; druga pod firmą angielską, dywizya polska, złożona z piechoty, jazdy i artyleryi.

Zamojski, który na emigracyi miru nie posiadał, niemałe miał trudności w zwabianiu do dywizyi swojej oficerów, wyższych zwłaszcza. Z piechotą poszło mu jakotako. W artyleryi los wielki wygrał, zwerbowawszy wsławionego przez Mickiewicza Ordona (z „Reduty"). Do kawaleryi zagiął parol na Władysława Ponińskiego, pułka z legionu polskiego na Węgrzech, oraz na pułka Mikołaja Kamińskiego (potomka, według Sadykabaszy, krowy i jendyka), to-

wiańezyka, buntującego się jednak przeciwko „mistrzowi" w tym względzie, w którym „mistrz" (Towiański), podobnie, jak ks. St. Stojałowski, zabraniał wyznawcom swoim stawiać się nieprzyjaźnie wobec cara, zesłańca bożego i przelewać bratnią krew moskiewską. We względzie tym - mówiąc nawiasem- zbuntowali się przeciwko niemu Mickiewicz, Słowacki i inni.

Zbuntowany tedy przeciwko „mistrzowi" Kamiński, znakomity kawalerzysta, przyjął propozycye Zamojskiego; gdy atoli z przybyciem, również jak Poniński, zwlekał, Zamojski powierzył tymczasowe dowództwo nad jazdą Słubiekiemu, oficerowi od piechoty, pomijając Gzarnomskiego, który do dowództwa prawo rościł. Zamojski by z ochotą roszczeniu żołnierza, dobrze w poezyi zanotowanego, zadość uczynił, gdyby nie to, że żołnierz ów potrafił sobie na reputacyę narwańca w emigracyi zarobić. Narwaóstwo jego w rozmaity przejawiało się sposób. Powyżej zanotowałem zwyczaj jego siadania na ziemi i wylewania łez w razach, gdy go zawody spotykały. Do zanotowania jest jeszcze przybrane z wiekiem głośne myślenie. Myśli, gdy mu nagle falą o mózg uderzyła, nie umiał w głowie zatrzymać i dla siebie zachować - na język się wnet parła i w słuchy ludzkie wlewała. Z takiemi przywarami nie można go było na czele jazdy stawiać (dwa pułki: ulani i strzelcy. Żeby jednak nie zrażać człowieka, posiadającego ogromne bojowe zalety, Zamojski mianował go instruktorem w stopniu pułkownika. Stopniowi rad był, ale służenie pod piechurem mocno mu zawadzało. Niezadowolenie swoje często głośno wypowiadał. Raz udało mu się wypowiedzieć je w toaście, wygłoszonym przezeń przy obiedzie danym przez oficerów, przy okazyi imienin dowódcy pułku. Najstarszemu i wiekiem i stopniem, jemu wypadło toastowanie zapoczątkować. Wstał więc z kieliszkiem w ręku i tak przemówił...

- Naszemu czcigodnemu, szanownemu, zacnemu, kochanemu pułkownikowi Słubickiemu... - głowę nieco zwrócił i na stronie wygłosił: - dureń od piechoty... bodaj go dyabli wzięli!... Niech nam żyje !... - zakończył.

Narwańcem był w całem wyrazu tego znaczeniu. Nie przeszkadzało mu to mieć serce i praktykować uczynność bezinteresownie względem osobników, pozostających ze sobą w jawnej a zawziętej nieprzyjaźni.

Spotkałem się z nim po raz pierwszy w stolicy Wschodu. Poznaliśmy się i zaprzyjaźnili do pewnego stopnia. Przedstawiał on mi naiwność, przebijającą się ku wyżynom. Stopień pułkownika bardzo go zadawalał, ale w dumę nie wbijał. Awans ten uważał za rzecz od dawna mu należną; przyjął ją,jak się odbiera dług od dłużnika w wypłatach trudnego.

- Teraz generalstwo... - myślał sobie nie zawsze po cichu.

Ci, co myślenie to słyszeli, nie przypuszczali, ażeby Czarnomski na tym szczeblu ku wyżynom kiedy stanął.

Otóż stanął.

Generałem został w komunie. Po zdobyciu Paryża przez wersalczyków, aresztowany, oddany został pod sąd. Nieznaczną snąć była odegrana przezeń w wypadkach tych rola, kiedy go skazano nie na śmierć, ale na galery. Po odsiedzeniu kary do Paryża powrócił i umarł. Na krótko przed śmiercią widziałem go raz ostatni. Zestarzał się, schudł, zmizerniał i wyłysiał, ale miny żołnierskiej nie stracił i na wspomnienie Polski brwi fałdował, a w oczach przejawiały się mu te połyski, z którymi Krakusów na harmaty prowadził.

JÓZEF JAGMIN.

Litwin z krwi, kości i ducha, potomek zapewne po kądzieli Podbipięty, jak skoro w r. 1831 na Litwie powstańcze poczęły się szykować oddziały, do oddziału najbliższego wstąpił niezwłocznie. I sumiennie obowiązki powstańcze pełnił, mordując Moskali, gdzie ich jeno dopaść mu się udało. Doczekawszy się wkroczenia wojsk z Korony, dostał się pod dowództwo Dębińskiego i pod generałem tym wziął udział w odwrocie, niewiele ustępującym odwrotowi dziesięciu tysięcy Greków pod Ksenofontem. Przybywających w momencie owym do Warszawy Litwinów, spotkało - jak z dziejów wiadomo - entuzyastyczne ze strony mieszkańców stolicy przyjęcie. Niebawem później przyjęcie podobne towarzyszyło powstańcom litewskim w nowym, smutnym niestety, odwrocie z Polski do Francyi przez Niemcy. Niemcy z zachwytem przeprowadzali bojowników za wolność. Ugruntowało to w umyśle i sercu Litwina pojęcie o Wysokiem bojowania za wolność Polski znaczeniu. Przejął się niem, pokochał je, przyjął na się w odniesieniu do pojęcia tego obowiązki ślubu zakonnego.

Natura też zakonnym obdarzyła go wyglądem, dawszy mu wzrost duży, kości grube, ruchy niezgrabne, oblicze o rządkiem, na policzkach, brodzie i wardze górnej zaroście, jakby na przekór głowie,gęsto płowym poszytej włosem, oczy bez wyrazu, minę pokorną. Chodząc, szyję nieco wyciągał, co mu, ponieważ go habit zakonny nie okrywał, dawało pozór sługi księżego. Żołnierskością się zgoła wygląd jego nie zalecał, ale mówił o uporze nie do złamania.

Upór stanowił grunt moralnej jego istoty, nie podkarmionej wiedzą naukową, Są na Litwie Jagminowie bogaci, mogący sobie pozwalać na edukacyę wykwintną, nauką podszytą. On był nie z tych; snadź kształcić go umysłowo nie było za co, wszedł więc w środowisko Europy ucywilizowanej, wynosząc z Litwy skromną czytania i pisania umiejętność, opartą, jak na skale Piętrowej, na przekonania o konieczności naprawienia na drodze orężnej krzywdy, Polsce i Litwie zadanej, a na pozbawieniu ich wolności polegającej. W przekonanie to wlał się jego upór; z nim do Francyi przyszedł, do Towarzystwa demokratycznego dla tego, że cel jego wyraźnie wojnę o niepodległość wskazywał, wstąpił i w fabryce jakiejś do roboty stanął. Pracował, zarabiał, oszczędzał, na posiedzenia sekcyjne, co sobota regularnie się stawiał, regularnie podatek płacił, „Demokratę Polskiego" czytał i „Regulaminu" wojskowego na pamięć się uczył, dołączając do teoryi praktykę musztry, jaka się w pierwszych latach pobytu emigracyi polskiej we Francyi, po zakładach odbywała.

Pracował, uczył się, podatek płacił i na zawołanie do walki czekał, nie mieszając się do owych osławionych i dziś jeszcze osławianych sporów i kłótni emigracyjnych, bez porównania we względzie kolorytu, jaskrawości i wyrazistości bledszych, łagodniejszych, aniżeli obecne dziennikarskie i parlamentarne spory i kłótnie, wiedeńskie zwłaszcza. Nie uznawał arystokracyi, wielką miał do niej pretensyę za wyprawianie emigrantów do Portugalii na uczestniczenie w wojnie domowej, do Algieru na pozbawienie wolności Arabów, do Ameryki na wygnanie bezpowrotne. Inaczej nie obchodziła go ona.Za waór demokracyi podawany, Jagmin czekał, czekał - czekanie mu praca skracała - i doczekał się. Nadszedł rok 1848. Wiadomości o organizowaniu gwardyi narodowej, do Galicyi go pociągnęły. Z tornistrem na plecach i z Regulaminem w tornistrze, z zaoszczędzonym w trzosie groszem do Polski pociągnął. Wyruszyli we dwóch - obaj Litwini. Podróż im poszła pomyślnie. Wkrótce po przybyciu ich do Galicyi zadeklarowała się wojna pomiędzy Węgrami a Austryą i rozeszły się o formowaniu Legionów polskich słuchy. Ponieważ nie zanosiło się na to. ażeby gwardya narodowa Rosyi wojnę wydała, Jagmin do Węgier się udał i do Legionu w Budzie wstąpił, w przyznanym mu przez weryfikatorów stopni oficerskich we Francyi stopniu podporucznika.

Bywają żołnierze z prezencyą, pokorni, waleczni, ale lepszych i waleczuiejszyoh nad Jagmina nie znaleźć chyba. Służbę znał na wylot mimo, że po krótkiej w oddziale powstańczym

praktyce, przez lat siedmnaście nie postał w szeregach wojskowych. Radził sobie jednak. Codziennie rano, przed wyjściem z mieszkania, ustęp z regulaminu odczytywał i zastosowane do zaznaczonych w ustępie tych obrotów komendy wygłaszał. Odnośnie do komend tych, w wyobraźni, przed oczami jego przesuwały się w obrotach odpowiednich składowe jednostek bojowych części: sekcye, pól plutony, plutony, kompanje, dywizjony, rozwijały fronty, formowały kolumny, rozsypywały tyraliery, kształtowały czworoboki, ćwiczenia te powtarzał codziennie rano, naprzód we Francyi przez lat siedmnaście, następnie w Konstantynopolu pomiędzy wojną węgierską a wschodnią (1853-56), dalej pomiędzy tą ostatnią a powstaniem polskiem (1863-64), w końcu od powstania do ostatniej wojny moskiewsko-turechiej.

Sposób prowadzenia wojen teraźniejszych rząd ko daje okazyę odznaczania się ludziom pojedynczym. Mechanizm masowy zabija inicyatywę indywidualną. Mimo to Jagmin odznaczał się - odznaczałsię: nieznużonością, gorliwością, formalizmem, no i odwagą ślepą, niepowściągnioną.

W marszach forsownych, kiedy żołnierze nogami ledwie plątali i ze znużenia upadali, zwłaszcza gdy marsz taki w słotę się trafił i w błocie grzęznąć trzeba było, jemu nic do kroczenia swobodnie nie przeszkadzało. Trzymając się wyznaczonego regulaminowo miejsca, krokiem miarowym szedł w szeregu, gdy zaś z szeregu wyjść na chwilę musiał, wychodził, odliczał w bok, jak regulamin nakazuje, kroków ośm i po chwili, krukiem zdwojonym na miejsce swoje wracał. W obozach, gdy dowództwo kompanii objął, żadna kompania tak porządnie miejsca nie zajmowała i służby nie pełniła, jak jego. Dopilnował wszystkiego: znoszenia drew i słomy, rozpalania ognisk, fasowania żywności, kolei wart, broni w kozłach - wszystkiego i więcej nawet, bo gdy w kompanii jego przy którym z karabinów sprężyna osłabła, lub osada lufy w łożu się zluzowała, poty spokoju nie miał, póki ukradkiem karabinu tego na niepopsuty w kompanii innej nie wymienił. O podkomendnych swoich dbał, upominał się o nich, troszczył się o to, ażeby nakarmieni, wypoczęci i zdrowi byli. W swój jednak, osobliwy sposób, choroby traktował. Na tej podstawie, że wszystkich ich siedliskiem jest żołądek, utrzymywał, że tak zapobieganie chorobom, jak leczenie onych na czyszczeniu żołądka polega. Ponieważ zaś pomiędzy radiem a żołądkiem takie zachodzi pokrewieństwo, że co pierwszy zaczyna, to drugi kończy i ponieważ radlę czyszczą się popiołem, zatem i żołądki popiołem czyszczone być winny. Każdemu przeto choremu radził: kieliszek wódki z popiołem, doświadczeniem własnem ręcząc za niechybną lekarstwa tego skuteczność.

Udział Polaków w kampanii węgierskiej trwał od listopada r. 1848 do sierpnia r. 1849. W dowodzonej przez Jagmina kompanii pozostawałem do maja r. 1849, całych pięć miesięcy. Razem do bojukilkanaście stawaliśmy razy - o jego przeto zachowywaniu się na placu bitwy mówię, jako świadek naoczny. W niego waleczność wcielała się w sposób, jaki wciela się w lwa n. p., w istotę, nie zdającą sobie z niebezpieczeństwa sprawy. W kuł ulewie chadzał, jakby o tem, że kule zabijają, nie wiedział. Oblicze jego jak w marszu, jak na placu musztry, jak na przechadzce, zachowywało Spokój i cechujący go wyraz pokory, wyraz, który się szczególnie uwydatniał, gdy się bitwa rozpoczynała i po uszykowaniu linii bojowej, następował moment wykomenderowywania tyralierów. Wówczas Jagmin do majora podchodził, dwa palce wyciągnięte do góry podnosił i nastrajając minę potulnie, głosem niepewnym, lękliwie o wysłanie go w tyraliery prosił. Wygląd miał studenta, doznającego bólu brzucha, proszącego nauczyciela o pozwolenie wyjścia z klasy, a wstydzącego się do powodu prośby przyznać.

- Panie majorze...

- A co tam P...

- W tyraliery...

- No, no... idź, idź... - odpowiadał mu zazwyczaj, brodą siwą wzorem francuskim przystrzyżoną, naprzód rzucając, Czernik, dowódzca batalionu.

Nam, podkomendnym jego, podobało się to raz, drugi; za każdą jednak bitwą było tego dla nas za wiele z powodu bieganiny, jakiej tyralierka wymaga. Protestowaliśmy. Protestu wysłuchał, ale swoje robił.

Niekiedy się zapałowi uwlekaó dawał, nie okazując tego po sobie. Zapał nie wybiegał mu na twarz, nie bił z oczów, krył się w istoty jego głębi i pchał go naprzód. Przejawiał się tem jeno, że się rozszerzały jego kroki. Porwał go w pierwszej, jakąśmy na Węgrzech stoczyli, bitwie polowej, pod Solnokiem. Najmocniej atoli istotę jego przeniknął pod Hafcwańią, gdzie na huk bliskiej, a z powoduzasłaniających perspektywę domów niewidnej bitwy, postradał umysłu przytomność. O przepisach regulaminowych zapominając, z oczów kolumnę stracił, biegiem pluton naprzód uwlókł, wpadł na rynek, z którego bataliony węgierskie nie śmiały na zrywany pod ochroną strzelającej kartaczami bateiyi austryackiej nawet nosa wytknąć i pod kartacze nas poprowadził. Przy okrzykach: „Eljen a Lengiel! - eliure!... Es leben die Polon!-vorwarts!”... (znajdował się tam bowiem jeden batalion niemiecki) na most rzuciliśmy się, owachlarzeni kartaczami pontonierów, spędziliśmy i zmusiliśmy wojska austryackie do przyśpieszenia odwrotu. Za świetny ten, w rozkazie dziennym zaznaczony czyn, Jagmiii za karę na maszerowanie dzień cały bez pałasza przy boku wskazanym został.

W czasie wojny wschodniej (1853-56) zaszła w przekonaniach jego zmiana, tem spowodowana, że demokraeya udziału w niej nie wzięła. Z demokratycznego przeto do arystokratycznego przeszedł obozu i w stopniu majora wstąpił do piechoty w polskiej na żołdzie angielskim dywizyi, formowanej przez generała W. Zamojskiego. Dywizya ta nie występowała na linię bojową.

Z kolei przyszło powstanie. Jagmin - mimo, że mu się to mocno, z racyi zgwałcenia porządku awansów, nie podobało - pod mojem znalazł się dowództwem, pod dowództwem demokraty, nie pytającego tych, co do walczenia o Polskę do szeregów śpieszyli, jaką kto religijną, polityczną, społeczną, filozoficzną etc. wyznaje wiarę. Pod dowództwem mojem bez zarzutu się do boju i w boju prowadził.

Następnie znów się do nowej o Polskę wojny sposobił, regulamin codziennie zamiast pacierza powtarzając, i czekał. Doczekał się ostatniej wojny rosyjskotureckiej, na linię bojową z garstką kilkudziesięciu ludzi, nazwaną legionem polskim, wystąpił i zginął.

Niechże przynajmniej pamięć o nim nie zaginie!...

FRANCISZEK SOKULSKI.

Zdaje się, że F. Sokulski padół ziemski powitał w Galicyi, w Brzeżańskiein, na lat jakich dwadzieścia kilka przed wybuchem powstania listopadowego. Zdaje się, że powstanie listopadowe powitał nie w Galicyi, ale w Królestwie, może nawet w szeregach wojska polskiego. Jego samego znam blisko i dobrze; biografia jego jednak znaną mi jest piąte przez dziesiąte. O tem, że obecnym mógł byó w czasie wybuchu powstania listopadowego w Królestwie, a może i w szeregach wojskowych, stąd wnioskuję, że należał do tego korpusu oficerskiego, który pod dowództwem Chłapowskiego wykomenderowanym został na Litwę, w znaczeniu kadrów dla mających się formować z powstańców litewskich batalionów i szwadronów. Spóźniona ta wyprawa smutno się skończyła. Sokulski dostał się do Francyi, wykształcił się na inżyniera drogowego, służył w biurze i przy robotach w polu; na polu zaś służby obywatelskiej pełnił gorliwie obowiązki członka Towarzystwa Demokratycznego i, jako taki, wędrował po Polsce w charakterze emisaryusza. Szczegóły te przytaczam w sensie podań wiarogodnyeh. Mówiono o tem w jego obecności, mówiono po za jego plecami i ani on, ani nikt temu nie przeczył. Mówiono oraz, że nie była to głowa tęga.

Brak tęgości głowy, jeżeli istniał (o czem poświadczyć nie mogę), wynagradzały sowicie : tęgość serca i piękność duszy. W długiem życiu mojem miałem sposobność spotykać ludzi zacnych i Polaków dobrych dużo; znałem takich, co Sokulskiemu w jednem i drugiem nie ustępowali; ale takich, którymby on ustępował - nie znałem. Sumiennie powiadam, że we względzie czysto etycznym był to człowiek bez zarzutu. Co się zaś rozumu tyczy, nie zaliczał się do mędrców, ani do uczonych, nie posiadał szczególniejszych jako pisarz lub mówca talentów, lecz znaczenie wiedzy i rozumu pojmował, poznawał się na nich, cenił je i szanował. Grunt istoty jego moralnej stanowiło przekonanie, sformułowane i w duszę wchłonięte wedle tej starej demokracyi polskiej, która stosunki społeczne łączyła ze sprawą polityczną i pragnęła Polski oczyszczonej z wszelakich niesprawiedliwości, nieprawości i nieprawd, praktykującej obowiązki obywatelskie w rozciągłości całej, słowem wzorowej. Taką przedstawiał sobie Polskę, nie przypuszczając, ażeby, gdy na roli uprawy demokratycznej wykwitnie, inną być mogła. Przekonanie to stanowiło oś umyslowośei jego, odnoszącej wszystko do Polski i dla Polski na wzór i podobieństwo pszczoły, zbierającej z kwiatów najrozmaitszych materyały na wosk i miód l znoszącej go do ula na użytek i pożytek spoiny.

Niech atoli z czytelników łaskawych nikt nie myśli, że w osobie Sokulskiego przedstawiam wyjątkowego na emigracyi z r. 1831 człowieka. Wcale nie. Takich jak on było więcej. We wspomnieniach przesuwają się mi postacie: Rufina Piotruwskiego, Karola Borkowskiego, Filanowicza, płka Gawrońskiego, kapitana Stryjeńskiego, Aloizego Przezdzieckiego i in" i in., wielu innych. Demokracya polska, skupiona około idei niepodległości Ojczyzny, pojmowanej Szczytnie, a mającej byó osiągniętą na drodze jedynie ofiarnej, oddziaływała moralizująco na ogół emigracyjny. Miałbym do zesylwetowania nie jednego, gdybym ich znał był bliżej. Znamiona bohaterstwapamięci narodowej przekazują: Kasper Dziewicki, Artur Zawisza, Szymon Konarski, Teofil Wiśniowski. Spis zmarłych emigrantów od r. 1831 do 1842 włącznie wykazuje emisaryiiszów 29, egzekwowanych w zaborze moskiewskim. A iluż to ich na Syberyi się oparto i tam śmierć znalazło!

Sokulskiego przeto nie przedstawiam jako osobistość wyjątkową. Poznałem się z nim bliżej niż z innymi - i ten jest powód, dla którego osobistość jego wziąłem za model do skreślenia typu wzorowego emigranta politycznego z lewicy wychodźczej.

Z Sokolskim spotkałem się po raz pierwszy na Węgrzech, w r. 1849, w Kieresztur, dużej osadzie, na drodze do Szegiedynu. Zdarzyła się tam była sprawa niemiła. Dwaj oficerowie z legionu skrzywdzili sierżanta ; ten ich oskarżył ija dostałem rozkaz rozpatrzeó skargę. Z przesłuchania stron wypadło, że wina znajdowała się po stronie oficerów. Stosownie do tego,

sprawę w raporcie przedstawiłem pułkownikowi, który w czas jakiś później do siebie mnie wezwał dla udzielenia mi nauki moralnej. Strofował mnie z powodu raportu, ubliżającego - jak twierdził - oficerom w ogóle.

- Wina po ich była stronie... - tłumaczyłem się.

- Wiem o tem... - odparł pułkownik. - Nie mniej przeto zbłądziłeś, osłabiając wobec podkomendnych powagę oficerską... Przestrzegać powinniście prestige epoletów...

Pułkownik lat ośmnaście we Francyi mieszkał, z Francuzką się ożenił i często się francuskiemi w rozmowie posiłkował wyrazami.

Gdym od niego wyszedł, ujrzałem idącego naprzeciwko mnie oficera, nieznanego mi. Widywałem go z daleka, szedłem więc ku niemu w myśli, że się miniemy, jak się mijać zwykli nieznajomi. Trochę mnie więc zdziwiło, że się on przedemną zatrzymał i zapytał:

- Porucznik Miłkowski?...Odpowiedziałem mu potwierdzająco. On dłoń mi podał i rzekł:

- Winszuję...

- Czego?.. - zapytałem.

- Raportu w sprawie O. i Ch... Była o nim u pułkownika mowa...

- Pułkownikowi się on nie podobał...

- Rzecz gustu ... Sprawiedliwość przedewszystkiem.

Nastąpiły potem marsze forsowne, bitwy duże (pod Szegiedynem, Temeszwarem), wymarsz z Węgier na tułaczkę w świecie - straciłem Sokulskiego z oczów na długo. Aż znów się z nim zeszedłem w Szumli za pośrednictwem Łękawskiego, syna księdza ruskiego z Galicyi, przezwanego Czarnym Ułanem, człowieka starszego, co brał udział w robotach spiskowych przed r. 1848 i w charakterze emisaryusza demokratycznego przebywał na Podolu rosyjskiem, w Szpikowie, jako technik w cukrowni Leona Szwejkowskiego. Nie przypominam sobie, przy jakiej z nim zeszedłem się okazyi; zbliżyło nas to, żeśmy mieli spólnych w okolicach swoich rodzinnych znajomych. Był przytem dla mnie ciekawą z tej racyi osobistością, że uzupełniał wiadomości o działalności Towarzystwa Demokratycznego, zaczerpnięte przezemnie dorywczo w Odesie i w Kijowie z przekradanych numerów „Demokraty Polskiego", z broszur i książek na emigracyi wydawanych. Owóż razu pewnego zapytuje on mnie:

- Nie chciałbyś należeć do Towarzystwa Demokratycznego ?...

- I owszem... - odparłem.

- Wprowadzę cię dziś...

- Co?... jak?... - zdziwiłem się.

- Zobaczysz...

Jakoż w ciągu dnia zostałem członkiem sekcyi T. D. P., założonej w Szumli przez Sokulskiego. W mieszkaniu jego odbywały się zgromadzenia, na których obradowaliśmy. Udział w nich brali: Żarski (z r.1831), Łękawski, Lewandowski i paru jeszcze, których nazwiska z pamięci mi wypadły. Trwało to dla mnie niedługo - miesiąc może. W marcu roku 1850, po powrocie Fuabapaszy z Petersburga, dokąd jeździł celem ułagodzenia „niezapomnianego" Mikołaja I, domagającego się wydania mu nas przez Turcyę, zwolnieni zostaliśmy z interny. Część większa legionistów polskich pozostała w Turcyi; część podała się do wyjazdu do Anglii - jedynego w Europie ucywilizowanej państwa, które granic swoich dla bojowników wolności w Węgrzech nie zamknęło. Byłem z tych, co wyjechali.

Sokulski pozostał, zamieszkał w Konstantynopolu, wyjednał dla siebie protekcyę Stanów Zjedn. A. P. i, zarabiając na życie dorywczo to korespondencyami do amerykańskich i francuskich dzienników, to pracami w biurach inżynierskich, był przedstawicielem polskiej na Wschodzie demokracyi i, jako taki, pozawiązywał stosunki z emigrantami politycznymi francuskimi, włoskimi i rumuńskimi, których dużo w stolicy Wschodu przebywało. Jako z takim widziałem się z nim, kiedy w r. 1851, w charakterze emisaryusza Centralizacyi T. D., przez Konstantynopol przejeżdżałem. Zawiadomionego o wyprawie mojej, spotkałem go przy wylądowaniu i, ponieważ pobyt mój w Konstantynopolu należało przed ciekawymi osłaniać,

przyszedł na brzeg z jednym z Rumunów, w towarzystwie którego wyprawił mnie na jedną z Wysp książęcych dla przeczekania w oddaleniu od kolonii polskiej do dnia, w którym parowiec Lloyda do Gałacu odchodził. W ciągu pobytu mego śród Rumunów dowiedziałem się o szacunku, jakim się Sokulski cieszył ze strony międzynarodowej emigracyi rewolucyjnej.

Znów się z nim, aż do wybuchu wojny wschodniej (1853-56), rozstałem. W wojnie tej wzięła emigracya udział nie taki, jakby sobie życzyć i spodziewać należało. Odpowiedzialność za to nie na nią całkowicie spada. Ona zrobiła, co w jej było mocy:ofiarowała orężne ze swojej strony spółdziałanie, które dyplomacya sprzymierznnych przeciwko Rosyi dworów na uwięzi do końca wojny trzymała. Zapoczątkowanie wyszło od Sokulskiego, który, jak skoro się na wojnę zaniosło, zwołał przebywające w Konstantynopolu wychodźtwo polskie i w imieniu jego w przededniu wybuchu wojny (28 maja r. 1853) w podanym ministrowi spraw zagranicznych memoryale, przedstawił korzyści, jakieby Turcya osiągnąć mogła, gdyby Polaków zaopatrzyła w oręż i pozwoliła im zorganizować się wojskowo do walczenia w przymierzu z armią turecką przeciwko Rosyi. W. Porta memoryał przyjęła i decyzyę odłożyła na później. Memoryał ten poruszył emigracyę we Francyi, Anglii, Belgii, wszędzie, wywołując jedną myśl, jedno pragnienie: Legiony. Centralizacya sprzeciwiła się temu. Glos jej nie znalazł odgłosu. W Paryżu zawiązało się Kółko, które zarządziło głosowanie na pełnomocnika do ułożenia się o organizacyę Legionów z W. Porta. Jednogłośnie prawie wybranym został Józef Wysocki, generał z czasów wojny węgiersko-austryackiej, dowódca Legionów poi. na Węgrzech. Wysocki, po dokonaniu wyborów i wydaniu odezwy, przybył do Konstantynopola, gdzie, czyniąc starania odpowiednie, z górą rok (od 2 stycznia 1854 do 22 stycznia 1855) zabawił. W staraniach tych i zabiegach głównym, gruntu dokładnie świadomym a gorliwym przewodnikiem i pomocnikiem jego był skromny, naprzód niewysuwający się Sokulski.

Gdy na pole to wkroczył Hotel Lambert w charakterze spółzawodnika, milej przez dwory z Turcyą natenczas sprzymierzone widzianego, aniżeli obóz demokratyczny, ten ostatni usunął się, nie wtrącając się do zatargów, jakie się pomiędzy Hotelem a Sądykiempaszą wywiązały i nie nader zaszczytnie udział Polaków w wojnie wschodniej zaznaczyły. W smutnej historyi tej demokracya palców nie umaczała. Wysocki wyjechał, zajmując opuszczoną dla sprawy publicznej posadę w Marsylii, w biurach kolei „ParisLyon Mediterranee"; wyznawcy demokracyi nie opuszczali prac na kawałek chleba ; przedstawicielowi zaś jej, Sokulsldemu, W. Porta powierzyła budowę najpierwszej w Turcyi linii telegrafu elektrycznego.

Budowa ta na szczególne zasługuje wspomnienie tak z tego względu, ze ów najpierwszy w Turcyi telegraf jest wyłącznie dziełem Polaków, jakoteż z powodu zdumienia w kołach urzędowych tureckich, w jakie koła te wprawił finansowy robót rezultat. Że Sokulski, cały do wytyczenia linii i prowadzenia robót, na przestrzeni od Konstantynopola do Niszu, inżynierski i dozorczy personal ze spółziomków swoich złożył, w tem nic nie mogło być dziwnego. Powód do wywołania zdumienia w następujący wyrodził się sposób: W Turcyi, jak wszędzie zresztą, dla robót rządowych układa się kosztorys, do którego wykonawcy stosować się winni. Wykonawcy stosują się, bacząc zazwyczaj na to, ażeby się w rubryce wydatków coś nie coś na ich osobistą okroiło korzyść. W posiadłościach padyszacha władza wykonawcza także, jak pod berłem lianów, carów, cesarzy i innych mniej lub więcej samowładnych beret dzierżycieli.wysokie posiada poważanie, a wolno jej więcej niż gdzieindziej z racyi niezbyt wysokiego w biegłości rachunkowej stopnia. Z racyi tej suto się wszelacy robót rządowych wykonawcy obławiają

- dobrze, jeżeli w granicach kosztorysu.

Sokulski miał roboty w pewnym oznaczonym skończyć terminie. Nie skończył, uzyskał jednak przedłużenie, które w wysokich sferach rządowych, oblężonych przez szyjących Sokulskiemu buty spółzawodników do robót następnych, wzbudziło niezadowolenie. W W. Porcie na przybycie jego oczekiwano, celem udzielenia mu dymisyi, do której pretekst w rachun-

kach wynaleźć się spodziewano. Przyjeżdża oczekiwany nareszcie; witany drewnianym oblicz przełożonych swoich wyrazem, składa rachunki

-rachunki wykazują niewydaną kilkudziesięciu tysięcy plastrów (piastr równa się jednej piątej franka) kwotę.

- Co to znaczy ?... - rozległo się śród wysokich urzędników tureckich zapytanie.

Jeden rezultat ten przypisywał głupocie, drugi uczciwości. Przypuszczać należy, że sam minister do tego ostatniego przychylił się zdania, albowiem Sokulski nadal w służbie w charakterze **mehendysa** (inżyniera) zatrzymany został, nie przestając sprawie polskiej służyć wiarą i prawdą demokratyczną.

Nie wiem, jak się, jako mehendys, sprawował; co się jednak służby sprawie polskiej tyczy, doznałem w roku 1863 gorliwości Sokulskiego.

Działalność na rzecz powstania styczniowego na gruncie tureckim wcale łatwą nie była. Utrudniało ją stanowisko, zajmowane na nim przez Hotel Lambert, który się do rozkazów i poleceń Rządu Narodowego stosował, ale stronniczo. Rząd Narodowy np. nakazał skombinowany ruch, obejmujący: powstanie na Rusi (Różyeki), wkroczenie z Galicyi (Wysocki) i wkroczenie z Turcyi (Miłkowski). Hotel z Turcyi urządzał wyprawę na Kaukaz i organizował do operowania na Morzu Czarnem flotę polską. Trudno było jedno z drugiem godzić, a tem trudniej, że do przewodniczenia wkroczeniu z Turcyi przeznaczonym był człowiek, nie cieszący się łaską Hotelu w ogóle i niemiły agentom jego ,w Konstantynopolu w szczególności. Gdzie przeto znaleźć należało pomoc, tam znajdowano przeszkody, których usuwanie na barkach Sokulskiego spoczywało. Usuwał je, rozwijając gorliwość w każdym względzie i w każdym kierunku: u wielkiego wezyra wyjednał patrzenie przez palce ua organizacyę zbrojną oddziału polskiego w Turcyi i sprowadzenia dla niego karabinów z Grecyi, kołatał do ministerstw i biur rozlicznych, utrzymywał stosunki z Włochami (z Garibaldim), z Rządem Narodowym, z osobistościami pojedyńczemi, bądź biorącemi w akcyi powstańczej udział, bądź też mogącemi się do jej powodzenia przyczynić -i to wszystko bezinteresownie. Wyraz ostatni nie odnosi się do jakiegoś pieniężnego, albo dostojnościowego wynagrodzenia. On o tem ani myślał, niczego podobnego nie wyglądał - innych naprzód wysuwał, sam się na uznanie zasługującymi uczynkami krył i o to mu jeno chodziło, ażeby z dobra publicznego nic się nie uroniło, ażeby na rzecz i korzyść sprawy polskiej praca ze stron wszystkich i wszystkimi wielkimi i drobnymi kanałami ustawicznie, bez zatrzymania się na najdrobniejsze źrenicy mgnienie, płynęła.

Pracowników dla Polski czcił, a miał szczególną do poetów słabość. Wie coś o tem Karol Brzozowski. Gdyby żył, mógłby temu świadectwo dać i Henryk Jabłoński. We względzie tym tych starych zepsuł Mickiewicz.

Rząd turecki mimo, że Sokulski względem niego nie mniejsze niż inni mehendysi położył zasługi, obszedł się z nim niegodnie, pozostawiając go na bruku po r. 1878. Że on zaś miał zwyczaj dzielenia Się z potrzebującymi bliźnimi pokolenia polskiego wszystkiem co posiadał, więc na zabezpieczenie starości nie pozostawało mu nic. A ponieważ już i zarabiać nie mógł, na zakończenie więc pielgrzymki ziemskiej udał się do kraju rodzinnego. W Galieyi dano mu posadę dozorcy drogowego w Peczyniżynie. Zarabiał - nie świetnie podobno, lecz i tym skromnym zarobkiem dzielił się jeszcze... ze Skarbem Narodowym. Starość go jednak zmogła w końcu i zmusiła przyjąć gościnę w domu zacnego obywatela (p. Jaroszyńskiego, jeżeli się nie mylę) u którego dokończył żywota.

Po raz ostatni widziałem się z nim we Lwowie, na wystawie - pożegnaliśmy się: „do zobaczenia... tam", jeżeli „tam" istnieje.

Był to typ - wzór niepoprawnego w kochaniu Polski Polaka.

AUGUSTYN.

Jak się on wedle familii zwał - nie wiem. Czy sam wiedział? - pytanie. Nazywał siebie Augustynem i wszyscy go tak nazywali. Na Wschodzie znaczenia nią mają nazwiska rodowe, a i w Polsce klasa ludności najliczniejsza rodowitości swojej wyżej niż pokolenie ojców przed laty nie wyprowadzała. Augustyn do klasy tej należał i był jednym z mnóstwa wychodźców z Polski nadwiślańskiej, w Azyi zachodniej rozsypanych. Wychodźcę z Rusi szli za Prut, za Dunaj, rozchodzili się po księstwach rumuńskich, rozdzielonych jeszcze natenczas, po Turcyi europejskiej; wychodźtwo z Kongresówki Azyą w pierwszej XIX. wieku połowie zapełniło. Zjawiska tego powodem było wkluczenie, po poskromieniu przez Moskwę powstania listopadowego, żołnierzy z armii polskiej do szeregów wojska rosyjskich, walczących na Kaukazie. Polacy do Czerkiesów uciekali, Czerkiesi zaś Persom ich i Turkom sprzedawali. Następnie sprzedawali Moskalom, lub mieniali na swoich, znajdujących się w niewoli moskiewskiej i wówczas dezercya ustała. Nim ustała atoli, dużo Polaków w Azyi się zaprzepaściło w sposób rozmaity.

Razu pewnego, w porze roku, w której amatorowie, zwani po niemiecku „Sonntagsjägrami" z miast ze strzelbami w dnie świąteczne w pole wybiegają, wybraliśmy się o dnia świtaniu we dwóch, Karol Brzozowski i ja, (on strzelec zawołany, ja fuszer) z Konstantynopola, na upatrzonego. Gdyśmy się za miastem znaleźli, zdziwiła nas niespodzianka, na ktorąśmy się natknęli. Wyprzedziły nas seciny amatorów, posuwających się na rozlegających siew zachodniej stronie miasta błoniach długim szeregiem, utrzymywanym w porządku przez **zaptijów** (policyantów).

Jak skorośmy się zjawili, wnet do szeregu wejść musieliśmy i, nie uszliśmy kroków dwudziestu, gdy z jednego ze skrzydeł słyszeć się dała pukanina. Paf, paf, paf. Strzałów, ku nam się zbliżających, padło ze trzydzieści, może więcej. Obok mnie strzelił Brzozowski i chybił. Jam się od strzelania wstrzymał, ujrzawszy bowiem Brzozowskiego na cel biorącego, pewny byłem, że lecące wzdłuż szeregu stworzenie skrzydlate trupem padnie. Stworzenie to było dudkiem. Zdaje się, że i następne strzały o śmierć stworzenia tego nie przyprawiły; ujście atoli przez nie śmierci z ręki Brzozowskiego, wprawiło wielkiego strzelca, znakomitego poetę, w humor fatalny. Splunął i krótko, tonem rozkazującym rzekł:

- Chodźmy stąd!...

Posłuchałem w milczeniu rozkazu. Wyszliśmy z szeregu, poza szeregiem wzięliśmy się w prawo, ku lasom belgradzkim i w milczeniu szliśmy godzin kilka: B. milczał, trawiony wewnątrz przez konfuzyę, jaka go spotkała z racyi dudka; ja milczałem, nie chcąc zaczepiać go w obawie, ażeby nie strzelił do mnie. Próbowałem trafić do niego sposobem milczącym, za pomocą papierosa, który skręciłem i pokazywałem mu z boku w przypuszczeniu, iż politowanie w nim wzbudzę, że zapalić nie mam czem Nie rozruszało go to. Nasępiony, nasrożony, szedł, szedł i milczał, aż gdyśmy się znaleźli w okolicy śród ogrodów, winnic, papierośnicę z kieszeni wyjął i papieros kręcić zaczął.

- A... no... - pomyślałem sobie.Papieros skręcił, zapałek szuka - szuka i odzywa się:

- Ot, zapałki wziąć zapomniałem... Nie masz ty?...

- Nie mam... - odrzekłem.

Oglądamy się. W niewielkiem oddaleniu ukazuje się nam człowiek, przechadzający się z dużym w ręku drągiem, co oznaczało wartownika dozorującego plantacyi jakiejś- winnicy, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi. Podchodzimy do niego i bieglejszy odemnie w mowie tureckiej Brzozowski, o zapałki go zapytuje. Wartownik mu pudełeczko daje. Brzozowskiemu naraz język się rozwiązuje. Przemówił do mnie, ja mu odpowiedziałem; zamieniliśmy ze sobą frazesów kilka i zwracamy się z podziękowaniem do wartownika - patrzymy, a on płacze. Łzy mu po policzkach strumieniami płyną.

- Co ci? - pyta go B.

- Mówicie, jak ja niegdyś mówiłem...

- Mówimy po polsku...

- Była to mowa moja...

Zapomniał mowy rodzinnej, a wzruszenie, jakie w nim dźwięk jej wywołał, nie dozwoliło mu o losach, które go do Konstantynopola sprowadziły, opowiedzieć.

Augustyn we względzie tym oporniejszym się od wychodźcy tego okazał. Po polsku nie zapomniał;

język wprawdzie skaził, ale go nie zapomniał całkowicie i w końcu naprawił, gdy się pomiędzy swoich dostał - wyrazów jeno niektórych przekręconych, odkręcić później nie mógł. Stało się to naprzykład z dawanem przez Persów chrześcijanom mianem **nazareni** (Nazareńczycy), które przez zmianę zgłoski *za* i głoski *e* wymawiał w sposób, nie nadający się do pisania dla druku w języku polskim.

- Co wyplatacie, Augustynie... strofowano go.

- Cóż ja temu winien, że nas katolików tak Persy nazywają!... - usprawiedliwiał się.

Zesłany na Kaukaz wprost z szeregów wojskapolskiego, zdezerterował i Persowi sprzedanym został. Pobyt u Persa był wstępem do wędrówki, którą rozpoczął, jak skoro mu się od właściciela swego uciec udało. Zrazu się z deszczu pod rynnę dostał, wpadłszy w ręce Kurdów, którzy go do cięższej, niż Pers niewoli zaprzęgli. Ale i z tej się wyzwolił. Doświadczenie nauczyło go unikania niewoli i zarabiania tak i inaczej. Tu do dorywczej stawał roboczizny, ówdzie służbę przyjmował, a sługiwał najchętniej przy osłach, mułach, koniach, przy wielbłądach także. Obszedł w zygzak krainę na porzeczu Tygrysa i Eufratu, u podnóża gór Libańskich. Nie można jednak było z dorywczych opowiadań jego zmiarkować, jakimi traktami, przez jakie przechodził miasta, nazw bowiem miejscowości albo nie pamiętał, albo je przekręcał. O Jerozolimę np., o Palestynę nie sposób go się było dopytać. Domyślać się należało, że deptał ruiny Babylonu, a nawet Palmyry, o ruinach bowiem prawił - o jednych, nad wielką rzeką, Fradem (Fratem - tak Turcy Eufrat zwą), położonych, o drugich piaszczystą otoczonych pustynią. O kraju, roślinności i żywności jego, o faunie rozpowiadał chętnie i dużo, a w opowiadaniu materyał mieszał się mu. Przypomina mi się np. rzecz o drzewie, takiem rozłożystem, że w cieniu gałęzi jego zasiąść może ludzi „i sto i tysiąc", a na gałęziach .ptactwa... jej jej - nie zliczyć". Wymieniał ptactwa rodzaje l zapędziwszy się, od ptaków przerzucał się do czworonożnych, od gołębi do tygrysów, lwów, zamieszkałych na gałęziach.

- Jakto!... - słuchacz mu przerywał. Tygrysy, lwy na gałęziach?...

- Co panu do głowy przyszło?... - odpowiadał Augustyn. Któż widział, ażeby tygrysy i lwy na gałęziach siadały!,..

Po długiej, długiej, dwudziestokilkoletniej wędrówce, w epoce wojny wschodniej, krymską zwanej, dotarł do Gypsu.

- Do jakiego Gypsu?...- Do jakiegoś?... do tego, co za morzem CzerwoneR.

Gypsem Egipt przezywał. W Egipcie zeszedł się z Polakami.

- To przedtem, w Azyi, nie schodziliście się z nimi?...

- Czemu nie!... Schodziłem się, i nie raz, ale z takimi jak ja sałdatami, co od Moskali uciekli...

- O wojnie przeciwko Moskwie nie słyszeliście?...

- Słyszałem... Cóż z tego!... Nijak dojść było...

W Egipcie służył przy koniach hr. Władysława Kościelskiego, który rzadkiej w polskiej sferze szlacheckiej dokazał sztuki, zrobienia majątku z niczego - w przemyśle, ale nie handlowym, nie fabrycznym, nie zaznaczonym w żadnej ekonomii politycznej, politycznym jednak - znakomitość w rodzaju swoim.

Znakomitość ta Augustynowi do gustu jakoś nie przypadła, trzymał się jej bowiem poty, póki go z końmi do Konstantynopola nie wyprawiła. W Konstantynopolu od nie] przyszedł do

Sokulskiego, gdy ten robotę telegrafu rozpoczął i koni parę - jednego pod siodło, drugiego pod juki - trzymać musiał. Zima wstrzymała roboty w polu i sprowadziła do Konstantynopola komendę mehendysów polskich. Z nimi przybył i Augustyn, z którym wówczas znajomość zabrałem.

Sokulski dwupokojowe obszerniejsze, aniżeli emigranci zwyczajni, zajmował mieszkanie. Schodziliśmy się u niego wieczorami na herbatę, pogadankę, oraz dla omawiania spraw ważniejszych. Ja codziennie prawie rano, kiedy Sokulski przebywał w biurach W. Porty, zachodziłem dla dzienników polskich, które pod jego przychodziły adresem. Czytałem dzienniki; Augustyn w apartamencie uprzątał.

Razu pewnego, gdym o poręcz krzesła plecami oparty gazetę przed sobą trzymał, Augustyn za mną ze szczotką w ręku stanął i rozłożonemu a zadrukowanemu arkuszowi przez ramię mi się przypatrywał. Czując go za sobą, zapytałem:

- Chcecie czytać?...

- Chciałbym, ale nie umiem...

- A przypatrujecie się...

- Bo radbym wiedzieć, co tam stoi... Opowiedziałem mu treść artykułu wstępnego w krótkości.

- A nie pisze tam, proszę pana, kiedy Polska wolną będzie?... - zapytał.

- Nie... - odrzekłem.

- E!... - ręką machnął - to czytać nie warto...

Polska go mocno obchodziła. Przekonałem się o tem w dziesięć lat później, kiedym w interesie organizacyi oddziału zbrojnego z rozsypanych po Turcyi wychodźców polskich do Konstantynopola na dni kilka przyjechał. O Augustynie nie myślałem, gdy niespodzianie wczesnym rankiem u mnie się zjawił. W przekonaniu, że są to odwiedziny po dawnejznajomości, serdeczniem go powitał.

- Cóż tam, Augustynie... jak się macie, zdrowie służy?... - zacząłem.

- Oh!... Ja zdrów... zdrów... - odrzekł z przyciskiem. Ja zdrów... Pan major mówi, że nie wywytrzymam, ale wytrzymam... o l wytrzymam...

- O cóż to chodzi ?...

- O co?... Taże o powstanie...

- Iść chcecie ?...

- A jakże... jakże... Ja bym pójść nie miał?... mój Boże !...

Obrzuciłem go wejrzeniem. Budowa jego do rodzaju krępych należała; wyglądał czerstwo, ale głowę okrywała siwizna, a wypukłości policzkowe osłaniała siatka niby, usnuta z przebijających się przez skórę niteczek czerwonych, starość znamionujących.

- Ile wam lat?... - zapytałem.

- Czy ja wiem! Może ze sześćdziesiąt...- W którym was roku do wojska wzięto ?... Oczy do góry wzniósł; przypominał sobie ; ja mu głośniejsze z przed r. 1830 przypominałem zdarzenia: w sposób ten, że najmniej na lat dziesięć przed wybuchem powstania listopadowego wstąpił do szeregów wojskowych - liczył więc lat sześćdziesiąt z okładem. W wieku tym nigdzie na świecie ludzi do szeregów nie biorą. W latach sześćdziesięciu prawo, zwane „Limite d'age", wydala ze służby czynnej generałów. Jąłem się więc Augustynowi perswadować, przedstawiając mu, że walka, jaką z Eosyą toczymy, to nie wojna regularna, nie posiadamy ani pociągów, ani ambulansów, brak nam rzeczy najpotrzebniejszych, od broni zaczynając, a mamy do czynienia z przeciwnikiem okrutnym, pastwiącym się nad rannymi na polu bitwy. Przedstawiłem mu marsze fersowne, które wytrzymać zdołają tylko siły młode.

- Nie wytrzymacie, Augustynie...

- Wytrzymam, panie!,.. wytrzymam pułkowniku, generale!...

- Tyrałeś się życie całe...

- Cóż z tego!... alem sobie życia gorzałką nie psuł, alem zdrów, ale wypocząłem na starość... Ale ja niczego innego, tylko zabrania mnie do Polski, nie potrzebuję: sztucer mam, odzież, buty dobre mam, żołdów żadnych nie chcę, bo mi zapasik grosza starczy na wszystko... Chcę - ryknął płaczem - w Polsce kości złożyć !...

Do nóg mi się z płaczem rzucił.

Odmówić mu prawa nie miałem. Wszedł do formującego się w Tulczy oddziału i następnie wziął udział w marszach forsownych, które wytrzymywał;

w bitwie pod Kostangalją sprawował się, jakby na grzbiecie dźwigał lat o połowę mniej, niż liczył.

Po rozstaniu się ze sformowanym i dowodzonym przeżeranie oddziałem, Augustyna na zawsze z oczu straciłem. Mówił mi o nim nieboszczyk Zima. Spotkał się z nim w Galicyi, gdy starzec ten wybierał się w Lubelskie z jednym z oddziałów wkraczających. Pragnieniu jego stało się zapewne zadość:

kości swoje na ziemi polskiej złożył.

Kreśląc sylwetę jego, miałem w myśli strofę ostatnią wiersza Wincentego Pola: „Na śmierć generała Sowińskiego":

„Takich Polska miała synów,
Takich wodzów sprawa święta".

Wiersz ten, ze zmianą wyrazu „wodzów" na wyraz „żołnierzy", literalnie się do Augustyna odnosi.

A nie do samego tylko Augustyna. Trzy czwarte oddziału mego składały się z Augustynów młodszych: z chłopów naszych, niepiśmiennych, byłych żołnierzy rosyjskich, co czasu wojny krymskiej przez wojska sprzymierzone w niewolę wzięci, do szeregów moskiewskich wracać nie chcieli, w Turcyi pozostali i, gdy powstanie przeciwko Moskwie wybuchło, do zmierzenia się z Moskalami darli się. Literalnie: darli się na „sprawę świętą" i siebie i zarobki swoje oddawali.

„Takich Polska miała synów" - i ma ich, i mieć w potrzebie będzie pod warunkiem, ażeby ci, co „uświadomienie" ludu polskiego na siebie biorą, nie podszywali uświadomienia warunkami społecznoekonomicznymi. Sprawiedliwość społecznoekonomiczna drogą swoją, Ojczyzna swoją. Augustyn i koledzy jego nie o kolektywizm, ani o dzień ośmiogodzinny, ani przeciwko kapitalizmowi, ale o Polskę przeciwko Moskalom do powstania się garnęli.

JÓZEF WYSOCKI.

I

Od szeregowca (Augustyna) przechodzę do generała. Zarzuci mi kto może, że to skok za wielki. Wcale nie. W generale szeregowiec tkwić powinien, generała bowiem wartość na tem polega, ażeby posiadał wodza rozum, szeregowca uczucia i to uczucia takie, jakie przejmowały takiego Augustyna i takich ekssołdatów moskiewskich, co z nim razem do powstania poszli, czyste, bezinteresowne, bezwarunkowe. Interesy osobiste oskrzydlają się warunkami, ale te uczucia szpecą i rozumy krzywią.

Powszechnemi są skargi na generałów polskich, co r. 1831 wojskom naszym przewodniczyli. Skargi na nich są słuszne, a powód, dla którego na nie zasłużyli jest ten, że jednych zepsuł rutynizm służbowy, w drugich uczucia zagasły pod naciskiem warunków klasowych. Czyżby Chłopicki w grudniu jeszcze roku 1830 nie przerzucił był armii polskiej na Litwę, a Skrzynecki w kunktatora się, po objęciu dowództwa naczelnego bawił, gdyby się byli w rutynie nie zestupajczyli? Czyżby Zamojski pociągnął był Romarina do wyprowadzenia, po przeprawieniu się Paszkiewicza przez Wisłę pod Toruniem, wyborowego korpusu dla tego, że obrót spraw powstańczych przeciwko widokom arystokracyi się zwracać począł? Gdyby w każdym z tych wodzów generałów, pułkowników tkwił taki, jak Augustyn szeregowiec, co „brał działa czarnemi od pługa rękami"; gdyby w każdym z nich gorzał ten ogień miłości Ojczyzny, który piersi takich Augustynów - ekssołdatów moskiewskich - rozsadzał; z pewnością żaden Chłopieki, żaden Zamojski, żaden z generałów naszych nie dopuściłby się zarzuconego mu przez historyę „błędu?).

Dwaj generałowie, Iliński i Czajkowski, posłużyli mi już za modele do sylwet. Byli to Polacy, ale generałami polskimi nazwać ich nie można. Józef Wysocki stopień swój zdobył nie w Polsce, lecz ponieważ stopień ów przez rząd polski uznanym i potwierdzonym został, ponieważ ze stopniem tym w gradzie kuł zaborców krain chodził, jest przeto generałem polskim prawdziwym, mianowanym na polu walki trudniejszej, aniżeli inni generałowie zwyczajni.

Rodem on był z Podola rosyjskiego, z okolic Tulczyna. Data przyjścia jego na świat nie jest mi znaną; wiem jeno, że nauki pobierał w Krzemieńcu, że w r. 1828 wstąpił do artyleryi w wojsku poiskiem i w czasie wojny r. 1831 służył w kompanii rakietników. Następnie, dalszy biografii jego ciąg rozwija się na emigracyi: zaciąga się do szeregów Towarzystwa Demokratycznego, którego kosztem odbywa zaszczytnie nauki w szkole wojskowej w Metz, na życie zarabia w biurach dróg żelaznych francuskich, bywa wybierany do Centralizacyi, pisze i wydaje dzieła wojskowe („Zasady sztuki wojskowej" i in.) i w latach 48 i 49 czynny a wybitny w wypadkach owoczesnych udział bierze.

Do czasu onego znałem go jeno ze słyszenia, oraz z „Zasad sztuki wojsk.", w których się rozczytywałem w Odessie i w Kijowie. Tajemne biblioteki studenckie posiadały wydawnictwa emigracyjne, a i na prowincyi po dworach i dworkach szlacheckich znaleźć je było można. Dzieła, o sztuce wojskowej traktujące, na Rusi krążyły i chętnie były przez Polaków czytane. Tą drogą popularyzowały się śród nas, w zaborze rosyjskim, nazwiska młodych - Mierosławskiego, Wysockiego - co obiecująco w rzeczy wojskowej w opinii publicznej stawali. Gdym się w r. 1848 w Galicyi znalazł, obijało się mi o uszy często nazwisko Wysockiego, przedstawieiela emigracyi polskiej w Krakowie, podejrzewanego przez generalicyę austryacką o inteneye rewolucyjne, o zamiary stawiania barykad i o tym podobne okropności, rozbudzające zapały rycerskie do zabawienia się w zbombardowanie miasta. Podnosiło to w oczach młodzieży wziętość jego; gdy zaś rozeszła się we wrześniu, czy w październiku r. 1848 wieść o tem, że wyjechał do Pesztu, celem porozumienia się z rządem węgierskim o udziale, jakiby Polacy wziąć mieli i mogli w wojnie przeciwko Austryi, jednego z mocarstw, napiętnowa-

nych w dziejach ludzkości rozbiorami Polski, ochotnicy pogarnęli się w ślad za Wysockim w tem przekonaniu, że legiony formowane zostaną i że on na czele stanie.

W liczbie ochotników i jam się znalazł. Dostawszy się, po przekradzeniu granicy, „per pedes" do Preszowa, następnie wraz z innymi, fetowany po drodze i wieziony forszpanami do stolicy Węgier, w koszarach „Drei Hasen Kasenie", gdzie ochotników polskich ulokowano, dowiedziałem się, że sprawa legionów polskich jest przedmiotem układów, które obrócić się na ich niekorzyść mogą. Legionom mocno i stanowczo sprzeciwiał się świeżo z Wiednia, po zdobyciu onego przez Windischgratza, przybyły Bem. Bemowi udało się wymknąć ze stolicy Austryi i w sposób ten losu Edwarda Jełowickiego i Roberta Bluma uniknąć.

Dla Węgier była to gratka nielada, pozyskanie takiego jak Bem generała. To też opinia jego dużo w sprawie legionów ważyła. Był on tego zdania, ażeby ochotników polskich wcielać pojedynczo do batalionu, szwadronów i bateryj węgierskich, nieformując z nich korpusów oddzielnych. Dziwiło to oficerów z r. 1831, których kilku zeszło się w Peszcie, dziwiło to zwłaszcza demokratów, mających w pamięci zawzięte generała zabiegi o legiony polskie w Algierze i w Portugalii. We Francyi, z wyjątkiem stronnictwa Hotelu Lambert, cała emigracya polska sprzeciwiała się temu, ażeby Polacy walczyli bądź przeciwko broniącym wolności swojej Arabom w Afryce, bądź w obojętnej dla nich sprawie na półwyspie Iberyjskim. W Węgrzech jednak rzecz się przedstawiała inaczej. Tam Bem przeciwko ogółowi był za legionami, tu wbrew wszystkim legionów nie chciał. I tam, i tu większość ogromną na siebie oburzył. We Francyi oburzenie wyraziło się strzałem do niego z pistoletu Pasierbskiego (17 lipca 1833 r. w Mehun o 15 kil. od Bourges), na Węgrzech - strzałem z pistoletu Kołodziejskiego (w miesiąca październiku 1848 r. w Peszcie).

Wypadek ten mocno obecnych w Peszcie Polaków zaniepokoił, rzucając z jednej strony nie nader korzystne na ochotników światło, z drugiej kompromitując Bema. Kompromitacya tego ostatniego na tem polegała, że wyjaśnić się nie dawał powód opierania się jego legionom. Zrozumiał to Bem sam i uprzedzając prawdopodobne ofiarowanie sobie przez rząd dowództwa naczelnego, zażądał powierzenia mu zadania militarnego najtrudniejszego. Ofiarowano mu odpadły już niemal od Węgier Siedmiogród. Bem na odzyskiwanie orężem utraconej a siły zbrojnej węgierskiej całkowicie bez mała pozbawionej prowincyi wyjechał. Po wyjeździe jego rząd w rzeczy sprawy legionów spuścił się na ochotników, którzy, na odbytem w koszarach zgromadzeniu, zawotowali legiony, wodzem obrali Wysockiego i organizacyą, oraz nominacye stopni wojskowych na niego bezwarunkowo zdali, poręczywszy mu od siebie posłuszeństwo bezwzględne. Dodać winienem, że taki obrad rezultat wynikł za sprawą paru oficerów z r. 1831, Czernika, Matczyńskiego i in. Przemawiał i Wysocki, raz w ciągu obrad, powtóre dziękując za wybór i przedstawiając potrzebę subordynacyi.

Przy okazyi tej oglądałem go po raz pierwszy. Wzrostu prawie małego, siwy, cery czerwonej, niepozorny, nie zaimponował mi ani postawą, ani wymową. Mina zdradzała człowieka skromnego, niemal potulnego. Wedle Kościuszki jednak sądząc, my Polacy nie mamy dobrej racyi oglądania się na wodzów miniastych. Mimo, że mu miny zamaszystej brakło, pozyskał podkomendnych zaufanie, które go przez ciąg cały wojny nie opuściło. Miny jego wyrazem charakterystycznym był absolutny brak pozy. Gdy na generała awansował, generała się w nim ani domyślić było można. Wyglądał na śmiertelnika zwyczajnego, najzwyczajniejszego, trochę nawet śmiech wzbudzającego. Huzarzy go na koniu zrozumieć nie umieli. W Węgrzech, na polu zapasów wojennych, debiutował w stopniu majora, na czele pierwotnie sformułowanego batalionu piechoty z dwóch kompanij, liczących trzystu kilkudziesięciu szeregowców, podoficerów i oficerów. Jako major przewodniczyć musiał batalionowi konno. Nie wiem na jakiej podstawie powiadano, że w prezencie od matki chrzestnej sztandaru legionowego, siostry Koszuta, dostało mu się siwe, stare, ogromne, ciężkie konisko, na którem siedział jako - przepraszam za zbanalizowane przyrównanie - pies na płocie. We względzie tym tracił ogromnie na porównaniu z generałami, pułkownikami, majorami Węgrami, których postawa

na koniu zachwyt wzbudzała. Huzary przedrzeźniali go: garbili się, nogi rozstawiali, łokciami poruszali, dodawali jednak :

- Ale to człowiek... o !... - i w czoło sobie palcem stukali.

Dodatek ten w ustach Węgrów pojawił się po pierwszej polowej wespół z legionem bitwie pod Solnokiem, w której naczelnie dowodził Damianicz - generał choć go maluj.

Gdy wojsko austryackie do boju wystąpiło,Damianicz, mający pod sobą dwa tylko bataliony regularne, reszta honwedzipiechota, przez oficerów opuszczonych szwadronów kilka jazdy, oraz przez oficerów improwizowanych dowodzona artylerya, - zawahał się.

Obawę wzbudzało w nim niepowodzenie, któreby fatalny we względzie moralnym na rozpoczynającą się kampanią wiosenną wpływ wywrzeć musiało. Lękał się tego i odwrotu nie nakazał, skutkiem jedynie namowy Wysockiego, który już w uzyskanym za kierownictwo blokadą Aradu stopniu pułkownika, dowodził brygadą * i odpowiedzialność za bitwę wziął na siebie.

Bitwę rozstrzygnął atak oskrzydlający, dokonany przez trzeci batalion honwedów, poprowadzony osobiście przez Wysockiego do miasta; zwycięstwo uzupełniła świetna, pod dowództwem Władysława Ponióskiego, szarża świeżo sformowanego szwadronu ułanów polskich. Bitwa ta ustaliła reputacyę legionu i Wysockiego. Rozpoczęła ona szereg zwycięstw - i po zwycięstwie każdem, w którem legion udział wziął, w zwyczaj niejako weszły okrzyki batalionów i szwadronów węgierskich:

- Eljen a Lengiel (niech żyją Polacy)!... eljen a Wysocki (niecił żyje Wysocki) !...

- To człowiek!...

Udział jego w bitwach wyraźnie się zaznaczał dzięki Damianiczowi, który Wysockiego umyślnie niejako naprzód wysuwał, trzymając go przy sobie i rad jego zasięgając głośno. Pod Isaszek byliśmy narady nagiej, a krótkiej świadkami. Korpus nasz poszedł w lewo dla wzmocnienia korpusu Klapki, wydobywającego się z lasów przeciwko armji austryackiej, przyjmującej bitwę na zaopatrzonem w szańce polu. Dwa jeno bataliony z korpusu naszego - legjon i Waza (regularny) - pozostawione zostały na górze pod lasem i posuwały się demonstracyjnie powoli ku lewemu skrzydłu pozycyi austryackiej, w oczekiwaniu mającego nadciągnąć trzeciego korpusu węgierskiego. Tuż obok nas jechał sztab, Damianicz i Wysocki na czele. - Damianicz pokaźny, dużą, czarną przyozdobiony brodą, niby BógMars w postaci człowieczej, na dzielnym koniu, Wysocki marny, na siwej handrydze rozczapierzony. Posuwamy się. Wodzowie od czasu do czasu lunety do ócz podnoszą, przyglądając się szykom austryackim, widnym golem okiem. Powietrze rozbrzmiewa podchwytywanemi przez echa leśne hukami wystrzałów działowych austryackich z szańców, węgierskich z lasów. Mamy przed oczami pod sobą widowisko armji w szyku bojowym, wyrzucającej dymy, układające się w wały szare, ku którym my idziemy noga za nogą, zatrzymując się co moment. Nie spieszno nam - z dali demonstrujemy tylko, o siebie spokojni.

Nagle w spokój nasz, niby piorun z jasnego nieba, wpada z prawej strony w rozsypce, pędem całym, wysłany na zwiady pluton huzarów z okrzykiem:

- Niemcy!... Niemcy!...

Pluton ów wysłany był na spotkanie oczekiwanego korpusu węgierskiego Guyona, jeżeli mnie pamięć co do nazwiska generała nie myli.

Zamiast spotkać korpus węgierski, natknął się na korpus austryacki Szlika. Huzary w szaloną rzucili się ucieczkę. Za przybyciem ich zatrzymaliśmy się. Zatrzynial się sztab.

Położenie, rokujące zwycięstwo, naraz groźnem się zrobiło. Las stał się kluczem pozycyi, prowadził bowiem na skrzydło prawe i na tyły armii węgierskiej, wpadającej na wypadek, gdyby go Austryacy przeszli, we dwa ognie. Eatuakiem na to było doczekanie się korpusu Guyona, broniąc do upadłego lasu, póki on nie nadciągnie. Zadanie obrończe spadało na dwa bataliony - nasz i Waza - przeciwko ośmiu austryackim - w tej liczbie scrzelcy tyrolscy.

Cały niebezpieczeństwa rozmiar nam - rzecz prosta - nieznanym byŁ Niektórzy jednak, między innymi i ja, domyśleć się go mogli. Byłem już podoficerem, zajmowałem stanowisko po za szeregiem i, w momencie wpadnięcia z okrzykiem „Nemet" huzarów, podniosłem wejrzenie na Damianicza. Zastanowiła mnie nagła na obliczu jego bladość; w słuch wpadły mi następujące z ust jego wyrazy:

- Teraz nie wiem, co czynić...

- Ja wiem... odrzucił mu Wysocki i w tejże chwili, znalazłszy się przed frontem naszego batalionu, z wysokości siwego, taki przez nos wygłosił nam rozkaz:

- Na lewo w tył - zwrot!... Do lasu w tyraliery!... Bronić mi lasu poty, póki wam ostatnia żywa zostanie noga L.

Taki sam rozkaz dostali Wazowie.

Rzuciliśmy się w las, rozsypali w tyraliery i, spędzani przez tyralierów austryackich, spędzaliśmy ich z kolei. Był to rodzaj wodzenia się za bary zapaśników, z których ani jeden, ani drugi pokonanym się uznać nie chce, - pada, zrywa się i znów się za bary z przeciwnikiem chwyta. Zabawka ta rozpoczęła się o dziewiątej rano. Od Wysockiego, który się przy brygadzie swojej znajdować musiał, co pół godziny, częściej niekiedy, nadbiegał adjutant lub galopen z zapytaniem, „Czy się trzymają?" - i z rozkazem trzymania się do ostatka.

Trzymaliśmy się od dziesiątej rano, póki nie nadszedł korpus Guyona, który nadciągnął... o dziewiątej wieczorem.

Dzięki temu, ze Wysocki wiedział co czynić,Węgrzy pod Izaszek odnieśli jedno z najświetniejszych w wojnie r. 1849 zwycięstw.

Wojna węgierska była dla Wysockiego egzaminem generalskim - egzaminem, który, zdany po uniwersytecku na stopień doktorski, zaopatrzyłby go w dyplom „magna cum laude". Zdał on egzamin ów całkowicie zadowalniająco w zakresie pierwszym zależał od rozkazów przełożonych swoich, względem których bywał najczęściej tym dobrym duchem, co natchnienia narzuca i wskazówki daje. Trzymiesięczną blokadą Aradu dowodził Mariaszi, kierował Wysocki i czynił to w sposób taki, że nie wzbudzał w dowódcy uczucia zawiści, wywoływanego zazwyczaj w przełożonych przez podkomendnych bardziej od od nich do prowadzenia rzeczy ukwalifikowanych. Następnie, w czasie kampanii polowej, przy Darniąniczu pełnił funkcye mentora. Wykazałem to powyżej w dwóch wypadkach; w innych zaś bitwach, w każdej brygada najprzód, dywizya następnie Wysockiego ruszała się i przypadające na dolę jej zadanie pełniła niby z nót.

W bitwach łączył Wysocki znajomość rzeczy ze spokojem, krwią zimną i z tą rzutów oka trafnością, która w rozwoju ruchów nieprzyjacielskich wskazuje moment do podchwycenia i punkt odpowiedni do zadania przeciwnikowi ciosu o rezultacie rozprawy decydującego. Przymioty te w wysokim posiadał stopniu i zapewne dowody ich składał - dowody, których przytaczanie jest dla mnie bardziej niż trudnem, będąc bowiem trzy czwartych czasu wojny podoficerem i jedną czwartą podporucznikiem, znać nie mogłem sprężyn, wywołujących następstwa. O jednym atoli jeszcze fakcie poświadczyć jestem w możności. W sylwecie Jagmina wspomniałem o wzięciu przez nas zrywanego przez pontonierów austryackich mostu, do którego przystępu wojskom węgierskim nie dopuszczały kartacze bateryi, ustawionej nieopodal, a pozostającej pod przykryciem piechoty, rzygającej ogniem ze swojej strony. I my zostaliśmy przez kartacze i kule karabinowe przywitani. Wnet atoli po przywitaniu, działa pośpiesznie zaprzodkowane pędem odjechały, piechota cofnęła się krokiem zdwojonym. Na razie przypisaliśmy to naszemu zuchwalstwu. Jakże ! - w sile ludzi trzydziestu kilku, w otwartem polu, wystąpiliśmy przeciwko bateryi ośmiu dział i towarzyszącemu jej batalionowi piechoty. Później rzecz się wyjaśniła. Wysocki, z wyżyny za miastem badając naturę gruntu, na którym się bitwa toczyła, zoczył dwie rzeczy: stanowisko zajmowane przez strzelającą do nas bateryę i załom rzeki poniżej zdobytego przez nas pod dowództwem Jagmina mostu. Na załom ten szybko wprowadził dwa działa, ustawił i strzelać kazał. Kule z dział tych poszlu-

zem brały bateryę austryacką - obrót rzeczy dla artyleryi nie do wytrzymania. Spostrzegłszy tę rejteradę, Jagmin wnet we front pluton uszykował i zakomenderował:

- Krok zdwojony... marsz... marsz !... Powziął zamiar ścigania cofającego się nieprzyjaciela. Po chwili jednak na myśl mu snąć przyszło, że gdyby ściganemu do głowy strzeliło wykonać przeciwko nam, jeżeli nie batalionem całym, to kompanią jedną, zwrot zaczepny, byłoby bardzo z nami kreto. W porę zmiarkował, że rejterującemu kilkunasto, a może kilkudziesięciotysięcznemu korpusowi trzydzieści kilka karabinów rady nie da. Nie pierwszy MacMahon, po zdobyciu Małakowa, kiedy go z zajętej ściągnąć chciano pozyeyi, odrzekł: „J'y suis, etj'yreste". Na zajętej pozyeyi Jagmin się zatrzymał i na niej na rozkaz - „na piśmie" - czekając, do późnego trzymał nas wieczora. Świadczy to, że walecznego tego żołnierza „rzutem oka" natura nie obdarzyła. Gdyby się na miejscu Wysockiego znajdował, nie byłby bateryi austryackiej poszłuzowym ogniem pozdrowił i nas od katastrofy zasłonił.

II.

Że na polu bitwy „rzut oka" generalski Wysocki posiadał, to najmniejszej nie ulega wątpliwości i że korpus Damianicza nie jedno przymiotowi temu wodza legionu zawdzięcza zwycięstwo, to śmiało za pewne podać można. Inne, zdobiące go przymioty, wymieniłem powyżej. Do nich dodać winienem jeszcze jeden: dobry humor. W bitwach batalion polski zawsze spotykał wesoło, słów kilka przemawiał i, gdy co do zalecenia miał, zalecał od niechcenia niby. Przypomina się mi bitwa jedna z większych pod NagySzarlo, do której wystąpiliśmy, nim poranek świtać zaczął. Wraz z zarumienieniem się na niebie jutrzenki, na prawo, w dali, słyszeć się dały huki wystrzałów działowych. Z wieczora dnia poprzedniego wiedzieliśmy, że na prawo mamy korpus Klapki. Przed nami rozlegała się płaszczyzna, a na niej, w pomroku porankowym, ukazywały się w sposób widmowy wieże niby. Posuwaliśmy się naprzód powoli w kolumnie batalionowej, zajmując lewe linii bojowej skrzydła i nie widząc na prawo batalionów węgierskich. Nagle pojawia się Wysocki, słów kilka zamienił z majorem (Ozernikiem), - i gdy ten batalionowi zatrzymać się kazał, do nas się zwrócił i w te odezwał się słowa:

- Chłodny poranek... Klapka dobrze zaczął i korpus jego już się rozgrzewa... Niebawem i wy rozgrzewać się będziecie... Widzicie te wieże? - palcem wskazał. To wieże w NagySzarlo, to klucz pozycyi bojowej, który Austryacy albo już obsadzili, albo niebawem obsadzą mocno... Trzeba ich uprzedzić, a jeżeli już w NagySzarlo są, odebrać im je... Idźcie krokiem zdwojonym wprost na wieże!...

Ręką nam na pożegnanie skinął. Okrzyknęliśmy go: „Niech żyje pułkownik i" i ku wieżom ruszyli. NagySzarlo było już zajęte. Zdobyliśmy je bagnetem i odparli dwa wściekłe ataki austryackie, zsadziwszy przy tej okazyi ze srokatego konia generała księcia Jabłonowskiego, który, dowodząc brygadą z pułków galicyjskich złożoną, odgrażał się:

- Moim Maćkom po kieliszku wódki dam, to oni panów legionistów na bagnetach rozniosą...

Pogróżka ta na marne poszła. Wypłoszyliśmy go z Wacowa, a w dni kilka później srodześmy komendę jego pod NagySzarlo potłukli i jego samego zranili. Bzeczą jest przypuszczalną, że go postrzelił jeden z byłych jego podkomendnych. W Wacowie dużo z pułków galicyjskich zbiegów szeregi legionu pomnożyło. Powtarzało się to w każdej bitwie, w której pułki galicyjskie przeciwko nam stawały. Legiony Dąbrowskiego, Kniaziewicza - czy inaczej się rekrutowały?...

Dostatecznie - zdaje się - zaznajomiłem czytelnika z Wysockim w zakresie taktycznym, jako przewodnika liufców bojowych na polu bitew. W zakresie strategicznym musiał on zapewne w naradach sztabowych udział brać i udział ów wpływ wywierał. Samodzielnie sposobność do popisu nadarzyła się mu na czasu przeciąg nie długi: od momentu wkroczenia wojsk rosyjskich do Węgier północnych, do połączenia korpusu jego z południową armią węgierską.

Gdy Moskale do Galicyi weszli, celem wzięcia udziału w wojnie węgierskiej (Mikołaj I twierdził, że bierze na siebie we względzie Austryi rolę Sobieskiego), Wysockiego rząd postawił naówczas naczele armii północnej, składać się mającej z dwóch korpusów, IX i X. Zadaniem jej było: stawianie Moskalom oporu. Korpus X nie doszedł do połączenia z IX-ym, dziewiąty zaś sam, prawie całkowicie polski, i nie koniecznie dobrze w rynsztunek wojenny zaopatrzony, za słabym był do opierania się kilkakrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi, Pod Wysockim było nie więcej nad 10.000 ludzi. Na niego szło, na przełaj mu zabiedź i obsaczyć usiłowało tysięcy 60. Strategiczne w takich warunkach zadanie polegało na wyprowadzeniu tej garstki bez straty na ciele i na duchu, czyli, okazując przeciwnikowi, że się przed nim nie ucieka, lecz dąży do wykonania planu z góry ułożonego i wszechstronnie obmyślonego. Plan ten nakreśliła sama rzeczy natura, wynikająca z konieczności doprowadzenia korpusiku małego do przyłączenia go do sił większych, zdolnych nieprzyjacielowi czoło postawić.

Strategiczne jednak Wysockiego zadanie nie tem się tylko ograniczało. Powinien on był jeszcze cały ciężar najazdu moskiewskiego trzymać na sobie poty, pókiby się siły węgierskie w ilości dostatecznej i w miejscu odpowiedniem nie skupiły. Było to zadanie nie lada. Ażeby mu odpowiedzieć, należało we właściwie upatrzonych pozycyach ku nieprzyjiicielowi frontem stawać z miną, znamionującą bądź ochotę zwrotu zaczepnego, bądź zamiar zmiany kierunku rejterady. Upalne czerwcowe dnie manewrowanie w tym sensie ułatwiały. Korpusik marsze dla chłodu odbywał nocami, około dziesiątej rano zatrzymywał się i, w szyku bojowym spoczywając, oczekiwał nieprzyjaciela, który nad wieczorem nadciągał, rozwijał się - artylerya z jednej i drugiej strony koncert rozpoczynała; noc zmuszała walczących do odkładania zapałów bojowych na później.

Z nastaniem nocy korpus polski w dalszą puszczał się drogę, poprzestając na wysyłaniu we dnie w stronę nieprzyjaciela łudzących go podjazdów. Razy parę trafiło się, że nieprzyjaciel znużonydniówkę sobie urządzał i z wieczora nie nadciągał. W razie takim na dniówkę się i korpusik polski zatrzymywał. W sposób ten, ten ostatni na grzbiecie swoim dodźwigał Moskali do pobliża Pesztu, gdzie zatrzymać się musieli dla operujących na skrzydle ich w komitatach północnozachodnich wojsk węgierskich, oraz dla nadciągającej z Wiednia pod dowództwem pamiętnego Haynaua armii austryackiej. Wysocki zadanie zwoje dla siebie i dla podkomendnych swoich zaszczytnie spełnił i dalej swobodnie powierzone sobie wojsko w całości na punkt zborny do Czegledu doprowadził.

Jak widzimy przeto, krokami jego zarówno na taktycznem, jakoteż na strategicznem polu kierowały: spokój i zimna krew.

Na przymiotach tych żołnierze doskonale się poznają i wysoko je w wodzach cenią. W odwrocie od granicy galicyjskiej, gdyby był Wysocki niepokój okazał, z pewnością armię jego najmniej o połowę umniejszyłaby dezercya.

Zaufanie żołnierzy posiadał całkowite pomimo, że się z nimi nie poufalił: ani gawędek nie prowadził, ani się na biwakach do kociołków żołnierzy nie przysiadał. Żołnierstwo mu tego za zło nie brało, nic w tem bowiem żołnierz dla siebie ubliżającego nie widział, ani odczuwał. Odnoszenie się jego do podkomendnych naturalne i swobodne nie wykluczało przystępności. Wszyscy w ogóle, jak każdy z osobna miał prawo do osoby jego w każdej zwrócić się potrzebie. Przystępność taka nie zawsze na dobre wychodzi, otwierając pole donosom i plotkom. Zapobiegał temu Wysocki w ten sposób, że plotki lub donosu ofiarę do siebie wzywał i powiadał jej, o co jest oskarżoną, oraz kto ją oskarża. Odebrało to raz na zawsze najniepoprawniejszym donosicielom i najznakomitszym plotkarzom ochotę dawania językom folgi. Gniewano się za to i o naiwność generała oskarżano.

O naiwność oskarżano go jeszcze zrncyi rzadkiej w ogóle u ludzi wysokie, w jakiejbądź służbie publicznej gałęzi zajmujących stanowiska, prostoty. Gdy o czemś z rzeczy i kwestyj fachowych nie wiedział, przyznawał się do tego otwarcie. „A no... nie wiem. Dowiedz się i mnie powiedz". Który żby generał na coś podobnego się zdobył?

Nie przeszkadzało to jednak temu, że w razach trudnych doskonale sobie radzie umiał. Na usprawiedliwienie taj jego właściwości wystarczy przytoczenie faktu następującego.

Po świetiiem przez wojska węgierskie pod NagySzarlo zwycięstwie, i pobita i zwycięska armia do Komorna, potężnej w rękach węgierskich znajdującej się twierdzy, pomaszeiowały: pierwsza dla wzmocnienia korpusu oblegającego i apioszami bardzo już zbliska szaniec przedmostowy nad Dunajem ściskającego, drąga dla odsieczy - dla oswobodzenia fortecy od oblężenia. Wojska cesarskie przez Dunaj się przeprawiły ; wojska węgierskie przez żadną się przeprawiać nie potrzebowały rzekę, ale droga wypadała im przez zalewy wiosenne rzek kilku (Waag, Neutra) wpadających pod Komornem do Dunaju (raczej do odłamującego się pod Preszburgiem ramienia, tworzącego z Dunajem dużą wyspę Schutt). Na ostatniej przed Komornem etapie, w dużej wsi, której nazwa z pamięci mi wypadła, zatrzymano nas, na ciasnych kwaterach, na noc i na dniówkę. Byliśmy pewni, że we wsi tej noc następną spędzimy i nazajutrz w dalszy ruszymy pochód. Pewność tę wzmacniała w nas pora fatalna: zimno w połączeniu z tak zwanym kapuśniaczkiem, do żywego przez odzież przenikającym ciała. Aniśmy przypuszczali, pod wieczór zwłaszcza, ażeby nas ruszyć miano. Stało się wbrew największe za sobą podobieństwo do prawdy mającym przypuszczeniom. Nagle i niespodzianie o zmroku już prawie, marsz nam nakazano.

Mocno się to nam nie podobało. Ale to nic jeszcze. Czyśmy to w deszcze ulewne, w błocie, pod gołem niebem nocy nie spędzali ?... Maszerujemy.Noc zapada, deszczyk nie ustaje, zimno do pośpiechu w chodzie popędza mimo, że nie wiemy dokąd idziemy. Gdyśmy tak półtorej mili mniej więcej uszli, zatrzymują nas. Stoimy z kwadrans, dygocąc od zimna. Wtem zjawia się Wysocki, - nie widzimy go, ale głos jego słyszymy, - przemawia:

- Idziemy do Komorna... Na drodze do przebrnięcia mamy trzy wylewy... wody po kolana ...Czy chcecie przejść je w nocy, czy po dniu ?... Gdy zdecydujecie się przechodzić po dniu, musicie tu, na tem miejscu doczekać rana i następnie przechodzić pod doniosłością strzałów działowych austryaekich; gdy zaś pójdziecie w nocy, rano staniecie w Komornie i wypoczniecie na kwaterach...

- Idźmy zaraz!... idźmy!... idźmy!... - zabrzmiała odpowiedź jednogłośna.

- Dobrze robicie... - odrzekł Wysocki. - I Węgrzy w nocy idą...

Poszliśmy. Wody w wylewach okazało się nie po kolana, ale po pas. Nadto, wylewów było nie trzy, ale ośm i to cale rozległych. Cośmy z jednego wybrnęli, to wnet w drugi włazili. Rozpacz nas ogartywała. Nakoniec z topieli się tej wydobywszy, prowadzą nas na stoki bastionu i nieopodal od rowu stać nam i broń w kozły złożyć rozkazują.

Zziębniętych, wodą ociekających, obdartych, zczerniałych witają nas z wałów głów skinieniem i uśmiechem przyjaznym szyldwachy dobrze odziani, tłuściutcy, rumiani, wypoczęci. Łatwo sobie wyobrazić, jakie widok ten uczucia w nas budził, tem bardziej, że się dłużyło a dłużyło na obiecane kwatery czekanie. Czekamy, czekamy i doczekujemy się jakiegoś oficera, oznajmiającego nam, że tu na stoku biwakować mamy, że wkrótce drzewo, chleb i mięso dostaniemy.

- Nie chcemy waszego drzewa, waszego mięsa, waszego chleba!... - odezwały się ze stron wszystkich oburzeniem nabrzmiałe okrzyki.

Oficer odjechał.Po odjeździe jego zaimprowizował się sejmik dla zformułowania odpowiedzi na pytanie: co robić? Odpowiedź się sama przez się niejako zformułowała w sensie zbiorowego podania się o dymisyę. Jakoś atoli na zziębnięcie i na głód zaradzić trzeba było. Z legionistów, któryś zaproponował: broń z kozłów rozebrać i z bronią w ręku kwatery sobie zdobyć. Zadeklarował się bunt - przez oficerów i przez rozważniejszych (do których - pochwalić się muszę - i ja w liczbie nie wielu należałem) ledwie nieledwie zażegnany. Wywiązały się następnie pertraktacye. Oficerowie węgierscy i polscy (sztabowi), co chwila nadjeżdżali i o cierpliwość wzywali, oznajmiając nam, że się o nas Wysocki u sztabu upomina. Pozostawaliśmy wówczas pod naczelnem dowództwem Gergeya, niekoniecznie na Polaków za

ich demokratyzm i republikanizm łaskawego. Przytem sztab również, jak i my noc bezsennie spędził i wypoczywał zapewne, sennego używając wczasu. Na rozwiązanie przeto sprawy czekać trzeba było. Czekaliśmy-aż około drugiej, trzeciej z południa sprawa nasza w ten rozstrzygnęła się sposób, że poprowadzono nas na wygodne, ciepłe, doskonale kwatery, na których spędziliśmy dni trzy.

To jednak poczucia krzywdy doznanej nie usunęło, zwłaszcza, że krzywda tego rodzaju zdarzyła się nie po raz pierwszy. W Wacowie, który legion szturmem wziął, miało miejsce to samo. Nie oszczędzano nas ani w bitwach, ani w marszach, ale nam wypoczynków skąpiono. Postanowienia więc podania się o dymisyę legioniści nie zaniechali. Nazajutrz wybrana przez większość delegacya do pułkownika się udała z żądaniem dymisyi zbiorowej. Pułkownik żądanie przyjął i odpowiedział na nie wystosowanym do legionu rozkazem, stawienia się nazajutrz bez broni na placu przed jego kwaterą. Rozprawa odbyła się krótko. Na komendę: „Formuj koło!" - żołnierze się w koło uszykowali; pułkownik, majori paru oficerów w środku. Wysocki w te mniej więcej przemówii słowa:

- Otrzymałem podanie o dymisyę, podpisaną, o ile wnioskować mogę, przez większość legionu... Krobicki ma rozkaz wydawania dymisyi każdemu, co się o nią zgłosi... Tym zaś, co zostają, oświadczam, że jak ich dotąd nie oszczędzałem, tak nadal oszczędzać nie będę... Dowiodę tego zaraz jutro... Stawiamy dziś na Dunaju do szańca przedmostowego most pontonowy w pozycyi, wystawionej na ogień bateryj nieprzyjacielskich... Tych, co dymisyi nie wezmą, choćby ich więcej nad dziesięciu nie było, na most jutro poszlę...

Ze słowem tem koło pożegnał, życząc dymisyonowanym powodzenia.

Następstwem przemówienia pułkownika było to, że ze zgłaszających się o dymisyę Krobicki nie doczekał się nikogo, nazajutrz przy apelu w szeregach nie zabrakło nikogo i legion w całości wziął zaszczytny udział w bitwie, która korpus oblegający zmusiła od oblężenia odstąpić, pozostawiając w rękach Węgrów cały park artyleryi oblężniczej.

Sztukami takimi Wysocki buntowniczy duch polski w garści trzymać umiał.

Do scharakteryzowania go w ramach sylwety niewiele mi już brakuje. O działalności jego, jako pełnomocnika emigracyi polskiej, w czasie wojny wschodniej, to jest jeno do zaznaczenia, że się z teatru działalności usunął, jak skoro spostrzegł, że zeszła ona na pole spólubiegania się o przewodnictwo. Na polu tem, na takim, jak turecki gruncie, kroku bez intryg postawić nie sposób. Nie jego to była rzecz. Wolał pozostawić to komu innemu, w materyi dyplomatycznej biegi ejszemu i milej przez rządy mocarstw sprzymierzonych widzianemu, aniżeli on demokrata. I Sadykpasza i hr. Zamojski więcej od niego mieli szans, więc im z drogi ustąpił, a uczynił to i dlatego jeszcze, że w naturze swojej nieposiadał pragnienia zaszczytów przewodniczych. Mam na to dowód następujący:

Komitet centralny, przygotowując w zarysach głównych plan powstania, ponaznaczał naczelników do prowincyonalnych działów Polski. Na Rusi na wodza naznaczony był Edmund Różycki, którego nazwisko, jako mieszkającego na Wołyniu, przechowywane być musiało w tajemnicy do momentu, w którym faktycznie na czele stanąć będzie mógł. Że jednak nazwisko czyjeś, rozbudzające gorliwość do przygotowań powstańczych ogłosić na czas jakiś przed wybuchem należało, komitet uwagę na osobę moją, na Rusi popularną, zwrócił, i w tym celu do Warszawy mnie powołał. Nie zachwycała mnie ta rola. Przyjąć ją jednak i gdy wybuch nastąpił przedwcześnie, wystąpić w charakterze „naczelnika siły zbrojnej na Rusi", na gruncie Rusi galicyjskiej musiałem. Na gruncie tym spotkałem się z przykrościami i trudnościami dla zwykłego śmiertelnika nie do przełamania. Jak skórom się przeto o przyjeździe Wysockiego do Krakowa dowiedział, niezwłocznie do Krakowa popędził i, przedstawiwszy mu stan rzeczy, prosiłem go o zajęcie stanowiska mego. Wysocki, na którego dział wypadki sprowadziły Langiewicza, zgodził się na to pod warunkiem, jeżeli go Rząd N. zamianuje, a mnie dymisyę da. Wnet się .do dymisyi podałem - i t;i odrzuconą została. Rozpacz mnie opanowała.

- Generale co ja pocznę teraz!...

- A cóż!... pozostaję „en disponibilite”: pod twojem dowództwem stanę i pomagać ci będę... Do Rządu o tem napiszę...

Napisał on i ja napisałem, podając się do dymisyi powtórnie. Skutkiem tego dopiero, Wysocki naczelnikiem siły zbrojnej na Rusi zamianowanym został.

Takim był Wysocki. Nie podaję go za geniusza, ale za dobrego, nawet bardzo dobrego generała, za człowieka przytem prostoty iście gołębiej. Stronejego słabą stanowił brak zdrowia, powodujący niekiedy rozporządzenia niewłaściwe i kroki błędne. Chorym będąc, pospieszył na pole walki r. 1863. Nie powiodło się mu. Kombinacya radiów trzech oddziałów w bitwie pod Radziwiłłowem była błędem, któregoby napewne nie popełnił, gdyby plan tej bitwy nieszczęsnej sam zamysłem swobodnym był układał. Podobnie kombinowane ruchy nie nadają się zgoła do takiej, jakąśmy w r. 1863-64 toczyli wojny. W bitwie tej śmierci szukał, jak Kościuszko pod Szczekocinami - nie dziw.

- „To człowiek”... - powiadali o nim żołnierze węgierscy.

Postać Wysockiego zasługuje na pamięć u potomstwa. Miłował on Polskę gorąco i był demokratą przekonanym, nie monopolizującym demokracyi dla siebie i od zaszczytu służenia ojczyźnie nie usuwającym nikogo.

* W armii węgierskiej nowo formowana piechota dzieliła się nie na pułki, ale na brygady, składające się z trzech, czterech, niekiedy pięciu batalionów; dwie brygady stanowiły dywizyę, dwie dywizye l korpus, do którego w zasadzie wchodziło batalionów dwanaście.

HENRYK DEMBIŃSKI.

I.

Z góry czytelnika łaskawego uprzedzam, że w sylwecie niniejszej przedstawiam postać typową, Polaka, a raczej szlachcica polskiego na wzdłuż i na poprzek, oraz na wylot, ze wszystkimi, w dodatniem i ujemnem znaczeniu uwydatniającymi na tle dziejowem ten wytwór społeczny, przymiotami. Nie znałem go z bliska, nie obcowałem z nim; z opowiadań jednak ustnych i na piśmie i z kilkakrotnego zetknięcia się osobiście, zaczerpnąłem dostateczny do nakreślenia sylwety jego materyał. Wszak sylwety nie są to obrazy wykończone.

Dembiński urodził się w r. 1791, w momencie kiedy wszyscy „prawdziwi" (jak się to dawniej mówiło) Polacy, pewni byli, że Polska na drogę pomyślności weszła nareszcie. Zdaje się, że na świat w ziemi krakowskiej przyszedł. Biografia jego, której się radzę, nic o tem nie mówi; mówi natomiast o testamencie, w którym ojciec jego, wzorem Amilkara, przekazującego synowi (Hannibalowi) walkę z Rzymem, przekazał mu orężną konstytucyi 3 maja obronę. Z dobrego więc wyszedł gniazda. Pokazało się to w siedemnastym życia roku. Matka, wychowująca syna w kierunku testamentowego przekazu ojcowskiego, oddała go do wojskowej szkoły inżynierskiej w Wiedniu. Gdy uczniom tej szkoły ofiarowane zostały IV r. 1809 oficerskie w armii austryackiej, sposobiącej się do wojny przeciwko Francyi i Księstwu Warszawskiemu, stopnie, Henryk stopnia nie przyjął, do szeregów polskich na prostego szeregowca w piechocie wstąpit i następnie, walcząc w czasach napoleońskich zaszczytnie, zdobywał stopnie. Kampanię r. 1812 rozpoczął w randze porucznika i w tymże roku pod Smoleńskiem Napoleon I. mianował go na placu boju kapitanem. Po upadku Napoleona na wsi gospodarzył; do szeregów wojskowych w r. 1830 w stopniu pułkownika powrócił.

Znanym jest udział jego w wojnie r. 1831. Odwrót z Litwy, zaznaczony rozbijaniem wojsk rosyjskich, co mu drogę zabiegały i prowadzony przezeń korpusik pokonać usiłowały, wsławił go. W tej atoli wojnie objawiła się ujemna w temperamencie jego strona, zdradzająca skłonność do kłótni, podszytą kapryśnością. Pokazało się to w miesiącu sierpniu (1831) w Bolimowje, gdzie skutkiem zbiegu okoliczności fatalnych, dostało się mu dowództwo naczelne. Jak skoro to wysokie i odpowiedzialność ogromną za sobą pociągające stanowisko zajął, wnet działalność swoją rozpoczął od tego, że się z członkami rządu i ze sztabem własnym poróżnił. Nie wróżyło to następstw pomyślnych. Wiadomości o niezgodach pomiędzy wodzami, rozchodziły się w obozie polskim, skąd dostawały się do Warszawy i wywoływały śród ludności zaniepokojenie. W obozie szczepiły niesubordynacye, w mieście przysposabiały zaburzenia. Wiedziano o nich i w armii rosyjskiej, stojącej nieopodal, pod Łowiczem, za Bzurą i pocierpającej na myśl, że Polakom ochota zaatakowania jej przyjść może. Po świeżo dokonanej, luboó bez żadnej ze strony przeciwnika przeszkody, przeprawie, znajdowała się ona jeszcze w stanie nieładu, niepozwalającego jej na stoczenie bitwy walnej. Moskale, celem zabezpieczenia się na wszelkiwypadek, sypali szańce polowe; Polacy, tracąc czas na niedoprowadzających do rezultatu układach pomiędzy rządem a wodzami, pozwalali im wzmacniać siły nadciągającemi dzień po dniu dywizyami piechoty i jazdy, parkami z amunicyą, pociągami z żywnością dla ludu i koni, z efektami niezbędnymi dla utrzymania wojska w stanie gotowości do przyjęcia bitwy. Jak historycy wojny r. 1831 twierdzą. sztab rosyjski w razie, gdyby był do boju wyzwany, miał zamiar cofnąć się - cofnąć się z poza osłony Bzury i szańców, aż za osłonę granicy praskiej. Sztab polski nie miał czasu o zaczepianiu nieprzyjaciela pomyśleć, wódz bowiem myślał o czem innem.

Zapewniało to Moskalom spokój, nie dając spokoju Warszawie. Stolica wrzała, - wrzenie w mej co moment w potęgę wzrastało, wzrastało, - w końcu d. 15 sierpnia sprowadziło wybuch, uilustrowany wieszaniem osobników... o szpiegostwo lub zdradę podejrzanych.

Kto temu winien? Pewnem jest, że do wywołania rozruchów sierpniowych przyczyniły się w części znacznej wieści z obozu pod Bolimowem: o bezczynności wojska, o szerzeniu się niesubordynacyi wśród żołnierstwa i oficerów, o powodującej stan ten niezgodzie pomiędzy wodzami, w której rolę główną Dembiński odegrywał. Dembiński jednak o rzeczy tej sądził inaczej. Zdaniem jego odpowiedzialność całkowicie spada na Lelewela.

W latach 1858-59 krążyłem pomiędzy Paryżem, Brukselą, Londynem. W czasie owym, przy nastroju moralnym, powstanie w perspektywie ukazującym, w kolonii polskiej w Paryżu dużo się o powstaniu listopadowem, o przebiegu walki orężnej i o powodach upadku mówiło.

W rozmowach tych często zapewne powtarzać się musiało nazwisko wodza, co w roku 1831, zaszczytnie dokonał odwrotu z Litwy i niekoniecznie poprawnie odegrał rolę swoją na czele armii w Bolimowie. To ostatnie dotknęło Dembinskiego. W zbiorach dokumentów historycznych przechowuje się zapewne protest jego, w którym, „z wysokości patryotyzmo swego", czyni Lelewela za rozruchy sierpniowe odpowiedzialnym.

W emigracyi, po niegłośnym udziale w wojnie pomiędzy Turcyą a Egiptem, po stronie MehmetAlego, Dembiński zajmował się w sposób doświadczalny studyowaoiem elektryczności, co, ile wiadomo, nie wyszło poza obręb domowy.

Że część - znaczna może nawet - odpowiedzialności za rozruchy sierpniowe w Warszawie r. 1831, na Dembinskiego spada, świadczy o tem wystąpienie jego na teatrze wojny w Węgrzech. - Rząd powitał go, ofiarowaniem mu dowództwa naczelnego. On je przyjął i plan świetny kampanii wiosennej ułożył, plan, przy którego wykonaniu pokłócił się z generałami podkomendnymi. Kłótni te} następstwem było przegranie pod Kapolną bitwy, której samo stoczenie dowiodło trafności pomysłu strategicznego, stało się bowiem, łącznie z odniesionem przez korpus Daniewicza pod Solnokiem zwycięstwem, wstępem do szeregu zwycięstw, które kraj, z wyjątkiem fortec kilku (Arad, Temeswar, Buda), z nieprzyjaciela oczyściły. Przegrana pod Kapolną nasuwa pytanie:

Kto temu winien?

Generałowie węgierscy obwiniają Dembinskiego tak jednak w odniesieniu do rzeczy rzemiosłowej - wojskowej niewyraźnie i nieracyonalnie, że za racyę najważniejszą odmówienia wodzowi naczelnemu posłuszeństwa uznać należy dumę narodową, niedozwalającą Węgrom pod cudzoziemcem służyć. Eacyę tę podawano dla usprawiedliwienia generałów tak wobec opinii publicznej, jakoteż wobec Dembinskiego. Nie zdaje się jednak, żeby to być miała racya istotna. Duma narodowa nie przeszkodziła generałom węgierskim ślepo słuchać rozkazów Bema, nie wyrządzała im przykrości w słuchaniu po każdej prawie bitwie „elien'ów" żołnierstwa węgierskiego, wygłaszanych wobec generałów na cześć majora naprzód, następnie podpułkownika, pułkownika, generała Wysockiego. O! nie - nie to chyba pod Eapolną bunt generalski przeciwko Dembińskiemu spowodowało. Czy nie traktował on tych generałów ludzi młodych, smarkaczów w oczach jego, tak - nie przymierzając - jak ekonomów w majątku swoim?... Biorąc na uwagę w temperamencie jego pochopność do wybuchów kłótliwych w połączenia z fanaberyjnością szlachecką, przypuszczenie to wielce jest prawdopodobnem.

Po awanturze kapolnieńskiej, Dembiński do dymisyi się podał; dał się jednak uprosić i pozostał w Debreczynie, naonczas stolicy węgierskiej, przy ministerstwie wojny doradcą nieurzędowym. Nie wiem jak i ile na kierunek wojny wpływał. Z rad jego jedna tylko, legionu się tycząca, do wiadomości naszej doszła.

Po sformowaniu pierwszego szwadronu ułanów, Wysocki przesłał do ministerstwa wojny żądanie zmienienia dla nich, gwoli skutecznego ich głów okrycia, krakusek na kaski. Ministerstwo o zdanie we względzie tym zapytało Dębińskiego. Dębiński kaski odradził, motywując radę swoją twardością czaszek polskich, mogących się bezpiecznie bez kasków obchodzić. I pokazało się, że racyę miał. W bitwie pod Solnokiem szwadron ów szarżował w krakuskach cztery szwadrony austryackie - dwa dragonów, dwa kirasyerów, które go otoczyły i ułanów po łbach ciężkiemi szabliskami waliły. Po bitwie porąbanych znalazło się trzydziestu

dwóch, zarąbanego ani jednego; w szpitalu zaś umarł jeden tylko i to nie zupełnie z ran, ale dla tego, że się upił.

W dalszym wojny ciągu, aż do wkroczenia Moskali, Dembiński udziału osobistego nie brał. Nazwisko jego od czasu do czasu o uszy się nam obijało. Kiedyśmy się w Miszkolcu z ran wylizywali, reorganizowali i kadry nasze uzupełniali, częściej o nimbyła mowa z racyi pogłosek o zawarciu przez Austryę przymierza z Rosyą, o możliwości wkroczenia wojsk rosyjskich i o radach Dembińskiego, tyczących się uprzedzenia pomocy moskiewskiej za pomocą zajęcia Galicyi. To ostatnie ogromnie nam się podobało. Ponętnie się nam perspektywa zmierzenia się orężnie z Moskalami uśmiechała.

Myśląc dziś o tem na zimno, wyznać należy, że był to pomysł rozumny, mogący zmienić postać rzeczy przez naprawienie błędu, jakiego się Węgrzy dopuścili, idąc, po zwycięstwie pod Komornem, nie do Wiednia, dokąd drogę mieli otwartą, lecz zwracając się w tył do Budy, której zdobycie zadowalniało próżność narodową, ale znaczenia militarnego nie miało żadnego. Zajęcie przeto Galicyi tę by przedewszystkiem dało korzyść, iżby Węgrów zasiliło żołnierzem najlepszym śród tych, jakich Austryi znajdujące się pod jej berłem kraje koronne dostarczają, następnie, dzięki ufortyfikowaniu szańcami polowymi punktów ważniejszych na drogach, prowadzących przez Karpaty, dałoby Moskalom twardy do zgryzienia orzech, Węgrom zaś czas i możność utrudnienia im operacyj na południowym stoku Karpat tak, iżby Mikołajowi I odechciało się bawić w Jana Sobieskiego, ratującego monarchię Kakuską. Że jednak gadanie o przymierzu austrorosyjskiem było początkowo domysłem, rząd przeto węgierski, w obawie wywołania wilka z lasu, nie uwzględniał rad gen. Dembińskiego. Ostrożność ta wilka w lesie nie zatrzymała. W Galicyi Moskale nas uprzedzili. Dembiński dostał upoważnienie i nominacyę wodza armii północnej, składającej się z dwóch korpusów, Wysockiego i Kazińczego, liczących razem karabinów tysięcy mniej więcej 15, szabel tysięcy ze trzy, artyleryi nie wiem ile, ogółem tysięcy około 20, z których u podnóża południowego Karpat, na linii bojowej zabrakło połowy, ponieważ Kazińczy z korpusem swoim w porę nie nadciągnął. W warunkach takich Dembiński nominacyi na wodza armii północnej nie przyjął. Dostała się ona Wysockiemu.

Na spotkanie Moskali wszystko, co w Miszkolcu pod bronią było, na linię bojową wyruszyło, za wyjątkiem tego batalionu polskiego, w którym służyć miałem zaszczyt Batalion nie był pełny. Oczekiwaliśmy na mających nadejść ochotników - ekszołnierzy austryackich. Z kadrów, liczących nie więcej, jak po trzydziestu-czterdziestu ludzi w kompanii, wyszykowano kompanię jedną i ta poszła. Z tego, co pozostało (oficerowie i podoficerowie, szeregowców trochę), sformowano oddział, który wyprawiono do Pesztu tak na spotkanie skierowanych do stolicy ochotników, jakoteż dla odkonwojowania magazynów, parków i chorych. Naczelna wyprawa tej komendy dostała się choremu podpułkownikowi Czernikowi, mnie - funkcya kwatermistrza.

W funkcyi tej, przybywszy - zdaje się - do Gyongyosz i rozpisawszy kwatery, zmęczony i zgłodniały zaszedłem dla posilenia się do oberży w rynku. Obszerną - jak zwykle na Węgrzech - izbę gościnną, zastałem bitkiem nabitą przedstawicielstwem płci obojga i wieków wszystkich, od starości zgrzybiałej do młodości w pieluchach. Była tu gromadna przed Moskalami ludności zamożniejszej ucieczka. Uciekinierzy tak stoły obsiedli, że niepodobieństwem wydawało się znalezienie miejsca swobodnego. Wśrubowałem się jakoś jednak i, gdym na zamówione jadło czekał i czekał, w progu ukazał się w atyli węgierskiej i w kepi mężczyzna niemłody, nie wyższym trochę .niż mierny wzrostem, ale rycerską imponujący postawą. Wszedł, zatrzymał się, wzrokiem po stołach powiódł i zoczywszy mnie, jął się w kierunku miejsca, które zajmowałem, przez tłum przeciskać. Na parę stołów odległości w słuch mój następujące, czysto po polsku wygłoszone uderzyło wołanie:

- Kolego!... a nie znajdzie się koło ciebie miejsce dla mnie?...Na wołanie to jeden z pobocznikόw moich, jakby wyrazy zrozumiał, a może wołającego postawą uderzony, usunął się trochę. Po chwili wojskowy ów miejsce obok ronię zajął i usiadłszy, odezwał się:

- Głodnym jak pies... Do jedzenia co tu mają?

Nazwałem zażądaną przezemnie potrawę z tym dodatkiem, że na nią od pół godziny czekam...

Ku niemałemu memu zdziwieniu, wnet nadbiegł kelner i począł jego, a przytem i mnie, z pośpiechem obsługiwać.

Zauważyłem, że się na niego uwaga obecnych nagle zwróciła. Przy stołach szeptano, podnoszono się i spoglądano ku niemu. Domyśliłem się, co to za jeden; niedomyślić się nie mogłem, nie tyle ze zwrócenia na niego uwagi ciżby, co z rozmowy, jaką ze mną zawiązał:

- Kolega z legionu?...

- Tak... - odrzekłem, usprawiedliwiając obecność moją nie na linii bojowej.

- Co o korpusie Wysockiego słychać?

- Cofa się... Nocami maszeruje, dniami spoczywa...

- To trochę ryzykowne... - rzekł. - Noc natura dla ludzi na spoczynek przeznaczyła... Zawsze ci lepiej w nocy, niż we dnie wypoczywać... A przytem Moskale przy niewielkim z ich strony wysiłku, w dzień niespodzianie zaatakować mogą...

- Przypuszczać należy, że się nasi pilnują- odparłem.

- Zapewne... - i dodat: - Wysocki rozważny... wia, co robi.

Nie pamiętam, o czemeśmy więcej mówili, nie pamiętam, cośmy jedli, to jeno przypominam sobie, że domyśliwszy się w sąsiedzie moim Dembińskiego, nie śmiałem go tytułować generałem, w przypuszczeniu, że zachowuje „incognito". Przypuszczenie to stąd pochodziło, że opinia publiczna za złe mu odmowę stanięcia na czele armii północnej brała. Niebawem dowiedziałem się, że ostrożność moja racyi nie miała. Razemeśmy branie posiłku skończyli, razem od stołu wstali i, gdyśmy na szersze nieco wydostali się miejsce, wnet idącego przodem Dembinskiego - i mnie z nim - otoczyły kobiety. Z tłumu wychodziły wołania:

- Generale, Moskale!... generale, nieszczęście!... generale, ratuj!...

Wyrazy ostatnie powtarzały się najczęściej. Na obliczach kobiet w większej części młodych i ładnych, malowało się przerażenie w połączeniu z wyrazem błagalnym.

- Generale, ratuj!...

Dembiński razy parę ręce podnosił, jakby dawał znak, że przemówić chce, rozglądał się, uśmiechał, przemówił wreszcie:

- Uspokójcie się, panie!... W czasach ostatnich ucywilizowali się trochę... kozacy nawet... Paniom oni nic złego nie zrobią... Bądźcie spokojne!...

- Generale, ratuj!...

- Będziem sobie z nimi radzili, jak zdołamy... Ale, panie, nie trwóżcie się!...

Wykonał ruch ku wyjściu, gdy jakaś bardzo ładna kobiecina za ręce go pochwyciła i głosem na pół błagalnym, na pół rozkazującym, zawołała:

- Generale, pobij Moskali!...

- Postaram się... postaram... - odpowiedział. Ja sam bardzo tego pragnę...

Wydobyliśmy się wreszcie z pośród niewiast. Przed oberżą, opodal trochę, stał wózek węgierski, parą koni zaprzężony, a przy nim huzar, młody człowiek, blondyn dorodny.

- O... są i konie, jest i Wierzbicki... Dobry to oficer...

Wyrazy ostatnie wymówił jakby sam do siebie. Głową mi na pożegnanie kiwnął, przy pomocy oficera na wózek wsiadł, oficer się przy nim przysiadł - odjechali.

II.

Po przypadkowem z Dembińskim w miasteczku, leżącem na drodze z Miszkolca do Pesztu, zejściu się, straciłem go z oczu i z myśli na tygodni kilka. Było bo wówczas tyte do my-

ślenia, mówienia, a i oglądania! Wojna z Austryą faktycznie była skończoną. Bozpoczynała się znowu z przeciwnikiem z którym nie było żartów. Do tej wojny nowej przysposobić się należało starannie, z calem energii pod materyalnym i moralnym względem wytężeniem. Przysposabiali się Węgrzy; przysposabialiśmy się i my.

W Peszcie zabawiliśmy dni kilka - doczekaliśmy się części jednej ochotników, zabraliśmy ich i po część drugą poszliśmy do Keresztur, gdzie pod dowództwem generała Perczela z rekrutów formowały się wojska, mające wejść w skład armii południowej. Perczel chciał koniecznie batalion nasz, z regularnego i dobrze uzbrojonego złożony żołnierza, do swego wcielić korpusu. Nie daliśmy się. Po uciążliwym przez trzęsawiska marszu, złączyliśmy się w obozie pod Czegledem z korpusem naszym, z którym razem już, mając na karku armię austryacką, pod dowództwem wsławionego później porażką w Londynie, na podwórzu browaru Barcley and Perkins, Haynausa, pomaszerowaliśmy do Szegiedynu. W marszu tym dowiedzieliśmy się, że nominalnie dowodzinami Messarosz, przy którym funkeyę szefa sztabu pełni Dembiński; rzecz jednak miała się odwrotnie:

dowodził Dembiński, szefostwo sztabu znajdowało się przy Messaroszu. Byli to rówieśnicy, koledzy podobno z Teresianum, którzy się mocno ze sobą przyjaźnili. Musi to byó prawda, ci dwaj bowiem do końca się nie poróżnili.

Pod Szegiedynem weszliśmy w szańce przygotowane dla nas, celem stoczenia w nich wiszącej nad nami bitwy walnej. Na radzie wojennej wypadło inaczej. Dlatego zapewne, że szansę wygranej z powodu, że w armii naszej, liczącej w szeregach głów tysięcy sześćdziesiąt, część czwartą, jeżeli nie więcej, stanowili uzbrojeni w dzidy rekruci, słabo się nam uśmiechały, że zatem w razie przegranej, spotkałaby nas ostateczna na brzegu prawym Cisy klęska, zapadło postanowienie przeprawienia się na brzeg lewy. Przeprawa, rozpoczęta na dzień przed nadciągnięciem nieprzyjaciela, ciągnęła się w dniu następnym, w którym nad wieczorem jeden z dwóch na tratwach zbudowanych mostów, został zerwany, na drugim zaś, gdy batalion nasz, będący ostatnim w aryergardzie, przezeń przechodził, pontonierzy deski pomostowe z pod nóg nam zrywali i do wody rzucali. Na brzegu lewym ukazał się nam oddział jeźdźców. Był to sztab, na którego czele, w całym wodza naczelnego majestacie, w oczy rzucił się mi Dembiński. Dowodzący batalionem naszym major Englert, oficer z r. 1831, do niego podjechał, salutował mu, rozkaz od niego otrzymał i, wskutek rozkazu tego mnie z plutonem na brzegu pozostać kazał. Po rozstawieniu, stosownie do wytkniętego mu przeznaczenia, plutonu mego, na miejscu sztabu ujrzałem pustkę - w oczach mi jeno pozostawała postać wodza, świetnie na dzielnym koniu, na czele połyskującego złotem i barwami hufca jazdy, wyglądająca.

Postać ta, w ciągu trzech dni następnych, w odmiennem jednak wyglądaniu, co godzin kilkanaście, przed oczy mi się nasuwała. Oglądalem ją na koper wysokim, wznoszącym się na wale, usypanym w niewielkiem oddaleniu równolegle od brzegów Cisy, celem zabezpieczenia kraju od wiosennych rzeki tej wylewów. Za watem biwakowały w obozach wojska nasze, wysyłając kolejno kompanie wartownicze pod wały, na których ustawione w odstępach odpowiednich baterye węgierskie, odpowiadały bateryom austryackim, zasypującym nas kulami i granatami. Strzelanina ta zawiązała się, jak skoro noc w dniu przeprawy naszej zapadła.

W momencie tym odprowadzałem - stosownie do rozkazu - pluton mój z nad brzegu do obozu. Przechodziliśmy pod ruchomem wiązaniowem sklepieniem gwiżdżących, huczących, warczących i krzyżujących się nad głowami naszemi, pełnych i wydrążonych pocisków, przy iluminacyi, sprawianej przez połyski wystrzałów działowych, odbijających się błyskawicowe w nurtach rzeki i oświetlających fantastycznie krenelowane mury, blanki i baszty, wieże i kopuły kościołów, prywatne i publiczne budowle grodu starożytnego.

Na lądzie i na morzu widywałem rozmaite piękna groźne; żadne z tem, które nam wówczas w marszu towarzyszyło, w porównanie iść nie może. Składały się na nie obrazy cudne i

muzyka grzmiąca. Ponieważ nam żadne nie groziło niebezpieczeństwo, szliśmy powoli, zatrzymując się i oglądając.

Strzelanie ustało koło dziesiątej zapewne wieczorem. Wznowiło się nazajutrz. Gdy na nas kolej iść pod wał nadeszła, Dembiński ukazał się nam na kopcu. Stał sam z lunetą w ręku, którą od czasu do czasu do oka podnosił i powodził nią powoli po bliższych i dalszych widokach na brzegu przeciwnym.

Artylerya austryacka szalała - takim nas pocisków gradem zasypywała, chcąc nam zapewne w pobliżu brzegu lewego Cisy, tej najbardziej węgierskiej rzeki, stanowisko obrzydzić. Szczególnie - jak się zdaje - chodziło jej o Dembińskiego, dopatrzonego snadź przez szkła, na niego bowiem specyalnie nastawiono baterye całą, której kule raz po raz wrywały się w kopiec z przodu i ryły go ze strony jednej i drugiej, niżej i wyżej, - niekiedy pomiędzy nas wpadały. Dembińskiego to nie obchodziło ani trochę. Obserwacyi lunetą czynić nie przestawał, nadbiegającym zaś konno adiutantom na kopiec wjeżdżać nie pozwalał; schodził do nich kroków kilka, raportów wysłuchiwał, rozkazy dawał i na stanowisko swoje powracał. Że w tem trochę junakieryi było, jest to rzecz przypuszczalna, należąca do rodzaju dziwactw, co się największych czepiają ludzi.

Na rachunek jednak Dembińskiego przytoczę nie jedno dziwactwo przeżeranie osobiście sprawdzone. Kompania moja na drugą noc wartę z kolei pod wałem trzymała. Warta w ten dokonywała się sposób, że trzech plutonów żołnierze spali z karabinami w rękach, jeden przed frontem stał pod bronią pod dozorem oficera. Około północy na mcie kolej dozorowania wypadła. Chodziłem przed szeregiem, o karabiny opartych drzemiących żołnierzy, przedłużając przechadzkę, coraz to dalej i dalej, w stronę lewą i prawą. Na prawo ciągnął się prostopadle do wału płytki rów, poprzedzający okop, towarzyszący wybrzeżu wpadającej do Cisy naprzeciwko Szegiedynu, Maroczy. Raz doszedłem do rowu, w którym zaintrygował mnie przedmiot, mający pozór okrytych czemś ciemnem ciał, w rowie leżących. Przypatrzyłem się bliżej, rozpoznałem płaszcze żołnierskie i, powziąwszy podejrzenie, że dla uniknienia budzenia miejsce to do przespania się należycie wybrali sobie dwaj z kompanii naszej żołnierze, jąłem się budzić ich najprzód wołaniem, potem trącaniem ręką, w końcu szturchaniem nogą:

- Ktoś ty?... wstawaj!...

Na szturchnięcie mocniejsze z pod płaszcza wysunęły się naraz dwie głowy, obie siwe, i o uszy moje obiło się po polska zapytanie:- Co tam? Poznałem Dębińskiego.

- Przepraszam, generale!... - wykrzyknąłem.

- No... nic... Idź jnż, idź!

Ten, co obok niego spoczywał, był to Mesarosz.

Takie głównej kwatery na przespanie się nocy owej ulokowanie, nie było chyba dziwactwem. Nocy tej nic nadzwyczajnego stać się nie miało. Dalsza wojenna armii pod dowództwem Messarosza działalność, zależała od ruchów armii pod dowództwem Gorgeja, operującej przeciwko Moskalom i ściągającej się z komitatów zachodniopółnocnych na lewy brzeg Cisy. Armię pod Messaroszem od armii pod Gorgejeni oddzielała rzeka Marosz, płynąca wśród rozległych od Aradu do ujścia swego trzęsawisk, wśród których jedyny możliwego przez rzekę przejścia punkt, znajdował się w miasteczku Mąko. Do zajęcia punktu tego militarnie i oszancowania go odpowiednio, ministerstwo, skutkiem rady wojennej w Szegiedynie, wezwało Gorgeja. Na tein opierały się dalsze armii południowej czynności wojennych plany. Dla nich, w obozie naprzeciw Szegiedynu, oczekiwano wiadomości z Mąko.

Czekano i doczekano się zawiadomienia, że Mąko zajęli Moskale. Niespodzianka ta armię postawiła w położeniu bardzo niebezpiecznem, z którego wyjście wymagało cofania się spiesznego.

Dembiński wyprowadził nas z tego położenia i poprowadził armię traktem ku Temeszwarowi, ażeby, nie dochodząc do tej, w rękach austryackich znajdującej się fortecy, zwrócić się ku północy i pójść do Aradu, celem połączenia się z armią pod dowództwem Gorgeja. Połą-

czenie to wytworzyłoby siłę blisko dwakroćstotysięczną wobec Paszkiewicza na północy i Heynaua na południu, słabszych od złączonych wojsk węgierskich każdy z osobna, a rozdzielonych trzęsawiskami Maroszy, W razie takimpobicie jednego a następnie drugiego, nie było rzeczą niemożliwą.

Dla uniemożliwienia tego, zaszczyt autorowi czyniącego pomysłu, pomaszerowaliśmy z pod Szegiedyna do Aradu drogą obchodnią, ażeby się nie natknąć na boczny, przeprawionej w Mąko dywizyi moskiewskiej atak. Wyminęliśmy Moskali, którzy się z armią austryacką złączyli i wspólnie z nią nam po piętach deptali.

W ciągu marszu tego, razy parę widzieć mi się zdarzyło Dembińskiego. Raz kompanię piątą z naszego, w aryergardzie ciągle maszerującego batalionu na drodze zatrzymał, zatrzymał oraz dwa działa, z dwóch stron drogi ustawione, odprzodkować i nabić kazał i sam naprzód w kierunku nadciągającego nieprzyjaciela dosyć daleko wyjechał.

Nie straciliśmy go jednak z oczu. Po niejakimś czasie wrócić, działa zaprzodkować i nam za armią maszerować nakazał. W innem znów miejscu, znów kompanię piątą (strzelecką była - dodać winienem) na drodze, ale bez dział, zatrzymał i obok nas, nic nie mówiąc, na koniu stał. Staliśmy tak z pół godziny. Przed nami widniała droga, na lewo zieleniały ogromne wysokiej kukurudzy, lasu pozór mające łany. Nagle w dali ukazała się w hełmach błyszczących jazda austryacką i słyszeć się dała komenda:

- Na lewo w tył zwrot!... marsz L. Zwróciliśmy się i poszli. Znów komenda:

- Stój!,.. Na lewo w tył, zwrot! Po zwróceniu się, ujrzeliśmy przed sobą idący ku nam kłusem szwadron kirysyerów czy dragonów, nie pamiętam. Czekałem na rozkaz przysposobienia karabinów do strzelania, gdy nagle z kukurudzy wypchnęła się ława dymu i huknęła salwa karabinowa. Szwadrony, po krótkiem zamieszaniu, zostawiając ranne i zabite konie, rannych i zabitych ludzi, poniosły się w tył. Z kukurudzy wysunął się w ogromnych bermycach i w mundurach austryaekichbatalion grenadyerów włoskich, złożony z ludzi przepięknych, pod względem wzrostu i postawy dobranych. Batalion poważnie nas minąwszy, pomaszerował dalej.

Dembiński, po wystrzale Włochów, na widok skutku przez wystrzał ten w hufcu jazdy austryackiej sprawionego, rzekłszy: „Dobrze im tak!... Oberwali... Mają za swoje”... - konia zwrócił.

Nam znów słyszeć się dało:

- Na lewo w tył... zwrot!... - z dodatkiem:

krok podwójny... maaarsz... marsz!...

Nie spotkałem i nie widziałem już więcej na Węgrzech Dembińskiego. W parę dni po urządzeniu przezeń na podjazd austryacki zasadzki, imię jego zagłuszyły okrzyki wydawane przez armię w marszu na cześć Bema. Z hnfca do hufca przenosiły się gromkie „elien'y” węgierskie, „e viva” włoskie, „es łebę” niemieckie, „niech żyje” polskie, budząc uradowanie i zapał.

Gdyśmy dochodzili do Temeswaru, nadjechał Bem z rozkazem rządowym objęcia nad armią południową dowództwa. Po otrzymaniu zawiadomienia tego, armia niezwłocznie do boju się uszykowała - do boju, rozpoczętego z pewnością odniesienia zwycięstwa, zakończonego przegraną zupełną. Zostaliśmy rozbici doszczętnie, nie z winy atoli - dodać pośpieszam - Dębińskiego, który stoczenia nieszczęsnej tej bitwy odradzał, niemożność wyjścia z niej nie to z tryumfem, ale ręką obronną, jak na dłoni wykazywał, wreszcie usunął się od niej, powiedziawszy Bemowi:

- Chcesz zrobić głupstwo, rób je sam! Później Dembiński ukazał mi się dwa razy jeszcze: raz na koniu w postaci modelu dla rzeźbiarza lub malarza na hetmana, gdy nas z Widdynia Turcy pod wartą wojskową za miasto wyprowadzili w zamiarze odeskortowania rozbitków z wojny węgierskiej do Szumli, drugi raz na pokładzie tureckiej fregaty parowej, na której Dembiński i kilku Polakówobywateli francuskich, odjechali z Warny do Konstantynopola i z

Konstantynopola do Francyi, my zaś, przez wszystkie lądu stałego państwa za zapo. wietrzonych uważani, na Maltę do Anglii. Gdy ze statku zeszedł do kaiku tureckiego, straciłem go z oczu na zawsze.

Dziś, myśląc o nim, postać jego nietylko fizyczna ale i moralna we wspomnieniach i w myśli mi odżywa. Ten szlachcic popędliwy, kłótnik, ehimeryk, bez wartości nie był. Posiadał rozum i uczucie. Rozum przejawiał się specyalnie w zdolnościach strategicznych, uczucie - w ukochaniu ojczyzny, ale w ukochaniu specyalnem, szlacheckiem. Kochał Polskę nie dla osobistych widoków, czy korzyści, ale w imię obowiązku szlacheckiego, nakazującego Polsce służyć i wszczepiającego to przekonanie, że zbawić ją, uratować, nie kto inny, jeno szlachcie powinien i może. Tem się zarozumiałość jego wyrażała. Wierzył w rodzaj pomazania szlachty na przewodniczenie narodowi i stąd zapewne poszła niechęć jego do Prądzyńskiego, nie szlachcica, przystawionego przy nim przez rząd w Bolimowie, w sierpniu, r. 1831, do wskazywania mu dróg.

- Czy szlachcicowi potrzebne są wskazówki jakie?...

Tkwiła w tem obraza stanu szlacheckiego.

Nie on jeden tego był przekonania. Odnosi się ono do pierwotnego w Polsce ustroju społecznego, ustanawiającego stan rycerski, przeznaczony wyłącznie do obrony kraju. Obrona Polskę stworzyła i stąd stanu tego znaczenie do ogromnych doszło rozmiarów. Znaczenia tego doniosłość pokolenia przekazywały pokoleniom. Stan z upływem czasu, dzięki zmianie stosunków, potrzeb i wyobrażeń, na wartości stracił, ale poczucie nabytych przed wiekami praw pozostawało, wytwarzając Dembińskich, wierzących w specyalne szlachty powołanie.

Tacy Dembińscy, takich Lelewelów znosić nie mogą, nie biorąc na uwagę tego, że co w czasieswoim potrzebnem i pożytecznem było, to po wieków upływie zbędnem a nierzadko szkodliwem się staje. Siła rzeczy wykazuje, w czem szkodliwość owa tkwi i usuwa ją, usuwając faktycznie wyłączność stanową. Dziś Dębińscy są jeszcze możliwymi, ale znaczenie ich upadło - nawet się już na „Hrabiego Henryka” nie zdobędą.

JÓZEF BEM.

Rodzina Bemów pochodzi a Prus. Bemowie pisali się Behmami i Bohmami, są szlachtą polską herbową: pieczętują się herbem własnym „Bem" - tarcza z góry na dół na dwoje rozdzielona, w prawem białem polu gryf wspięty w lewo, w lewem ezerwonem baran wspięty, w prawo zwrócony, nad tarczą korona, na której gryf i baran, wspięte tak samo, jak na tarczy, patrzą na siebie. Historyi herbu tego herbarze nie podają. U Niesieckiego (wyd. d. N. Bobrowicza) czytamy, że „W wielkim kościele kwidzyńskim, widzieć chorągiew z tym herbem zawieszoną, a z niej napis „Petrus Behm Regni Poloniae civis". Kuropatnicki w §.V. w extrakcie „legitimatorum Galiciae et Lodomeriae inter equites sine voce", umieszcza Wincentego Behma 17 września 1782 r. W przypisku, odnoszącym się do daty wydania herbarza Niesieekiego 1839 w Lipsku, wymienionym jest w Krakowskiem, gdzie żył w czasach ostatnich, Jędrzoj Bem „herbu Bem (podobno sędzia), ten miał żonę Agnieszkę Grołuchowską, po której śmierci pojął Maryannę Ostafińską, z której w r. 1795 miał syna Józefa dotąd żyjącego, ten w stanie wojskowym, jako generał artyleryi, dzielnie się odznaczył". Inne źródło, (Encyklopedya powszechna S. Orgelbranda 1860,) z którego wiadomości o pochodzeniu rodziny Bemów czerpałem zaznacza: jednego BemaBalcera, pisarza miejskiego krakowskiego w w. XV. drugiego Bema Michała, rajcę gdańskiego w w. XVI. i trzeciego Bema Józefa, urodzonego r. 1790 w Tarnowie z ojca, który w tej stolicy Rusi (?) był profesorem matematyki i dał mu staranne wychowanie.

Data przyjścia na świat znakomitego generała naszego pewniejszą się u Orgelbranda, aniżeli w lipskim do herbarza Niesieckiego dopisku, wydaje. Józef Bem, w r. 1812, t. j. w roku 22 życia swego, był w artyleryi podporucznikiem. Podporucznik - w artyleryi zwłaszcza, - dwudziestodwuletni, możliwszyin jest, aniżeli siedemnastoletni - co się Bema tyczy, możliwszy tembardziej, że gdyby się był w r. 1795 urodził, byłby się w czternastym życia swego roku do sformowanej w r. 1809 bateryi Włodzimierza Potockiego zaciągnął.

Nasuwa się tu konieczność wtrącenia nawiasowo stówka pod adresem agitatorów rusińskich, nie badających - jak się widzi - świadectw, potwierdzających i rozszerzających ich historycznoetnograficzne pretensye. Obok niewątpliwie prawdziwej daty urodzenia Bema, nie wolno chyba w wątpliwość podawać, nazwania Tarnowa „stolicą Rusi". Cóż to znaczy?... Nie świadczy ż to, że zachodnią Rusi granicą jest nie San, ale Dunajec? Nie świadczyż to, że hakatyzm polski działał na długo przed wystąpieniem Chmielnickiego ?...

Na pewne ludność, zamieszkująca połać kraju pomiędzy Sanem a Dunajcem, są to Rusini spolonizowani, których odpolonizowania rzecznicy Rusi tak ukraińskiej, jak wszechrosyjskiej domagać powinni. Nie można rzeczy ta&ich Polakom płazem puszczać, nie można im na takie narodu ruskiego wyzyskanie pozwalać, ażeby w stolicy Rusi, rodzili się i wychowywali znakomici generałowie polscy.

Zamykam nawias. Bem przeto, wedle brzmienia nazwiska, o niemieckie posądzony pochodzenie, był, uznawał się i czuł Polakiem. Do artyleryi, do bateryi Włodzimierza Potockiego zaciągnął się przeciwkoAustryi, której był poddanym i walczył przeciwko niej i przeciwko zaborcom Polski poty, póki mu sił i życia starczyło. Po upadku Napoleona I. i przerobieniu Księstwa Warszawskiego, nazwane kongresowem, Królestwo Polskie, złączone z Rosyą w tym celu, ażeby je następnie do Rosyi wcielić, pozostał w armii polskiej, w stopniu kapitana artyleryi.

Był czas jakiś adjutantem generała Bontemps, był profesorem w szkole artyleryi.

W wojsku zostawał do r. 1827, w którym zmuszonym został dymisyę wziąć i do Galicyi się z powodu pojedynku, zakończonego śmiercią przeciwnika, wynieść.

W trzy lata później znów się w szeregach armii polskiej, w artyleryi, znalazł.

W wojnie polskiej r. 1831 odznaczył się wprowadzeniem nowego na polu bitwy używania artyleryi. Uruchomił tę bron, uczynił ją bardziej giętką, sprężystą, zuchwalszą. Pod Iganiami do zwycięstwa się przyczynił; pod Ostrołęką, wystawioną na nieochybną zgubę armię uratował. Ostrołęka imię jego głośnem w Europie uczyniła.

W pierwszym jednak dniu (6 września) szturmu do Warszawy, zachowywanie się Bema, któremu - już natenczas generałowi - powierzonem było czuwanie nad odpowiednią szańców obroną, grzeszyło niepoprawnością.

Opuszczał na wieży kościoła luterskiego stanowisko obserwacyjne i dlatego na zagrożone ważniejsze punkty na linii obronnej posiłki z rezerw artyleryi i piechoty w porę nie przybywały. Z jego winy upadła broniona przez Sowińskiego Wola, będąca kluczem, otwierającym dla Moskali Warszawę. Wykazywało to, że uzdolnienia jego nie były wszechstronne, że przeważała w nich zaczepność - że nie były zaczepnoodpornemi, potrzebnemi w wodzu, powołanym do prowadzenia wojny samoistnie. Bemowi, po przeprawieniu się przez Wisłę pod Toruniem, przy pomocy Prusaków a bez przeszkody ze stronypolskiej, armii moskiewskiej, dwukrotnie przez rząd ofiarowanem było dowództwo naczelne - odmówił... i dobrze zrobił. Dobrze dla siebie, przyjęcie bowiem dowództwa w warunkach, jakie w sierpniu i wrześniu otoczyły sprawę polską, byłyby go pozbawiły sławy, uzyskanej pod łkaniami i Ostrołęką.

Na emigraeyi Bem rozwinął agitacyjną działalność ogromną, działalność, mającą na celu utrzymanie wychodźtwa polskiego w karbach wojskowych. Powodował się w tein - jak się zdaje - przykładem Henryka Dąbrowskiego, twórcy Legionów polskich we Włoszech. I jemu o legiony chodziło - o legiony bądź co bądź. W tem był błąd. Bem nie brał na uwagę odmienności warunków politycznych pomiędzy latami 1797 a 1831. W ostatnich, wieku XVIII, latach „poselstwo Filipa" nie lizało jak w roku 1830 stóp cara moskiewskiego. Francya na kontynencie europejskim toczyła z zaborcami Polski to z jednym, to z drugim, to z dwoma, to znów ze wszystkimi trzema razem, wojnę nieustającą prawie. Legiony przeto miały raeyę bytu dotykalną niemal, a na czasie. Racya bytu istnieć nie przestała i za cesarstwa, znajdując potwierdzenie i usprawiedliwienie w wojnach z Polską, na gruncie polskim w latach 1806-7, 1809 i 1812. Wznowiła się w 1848 do 1849 w Węgrzech. Mogła jeszcze była miejsce znaleźć w czasie wojny wschodniej, krymską zwanej. W roku atoli 1831 i w następnych przedstawiały się, dzięki działalności towarzystw tajemnych, wybuchy rewolucyjne, w których udział regularnych wojskowych hufców polskich przydatnym być nie mógł.

W wyprawie Zaliwskiego na nic by się ni o przydały legiony, których i w r. 1846 wprowadzanie do Polski ukradkiem niemożliwem by było. Zawziętą przeto agitacyę Bema usprawiedliwiały po części na wojnę europejską widoki; większe zaś dla niej usprawiedliwienie tkwiło w potrzebie sfer emigracyjnych dyplomatycznych ochełznania gminu emigracyjnego,w łonie którego zakwitały idee sprawiedliwości społecznej, znane w Polsce od dawna (Kazimierz Wielki, Frycz Modrzewski, śluby Jana Kazimierza), lecz tłumione i gwałcone przez wadliwy .Rzeczypospolitej ustrój wewnętrzny. Tego właśnie ustroju wyrazem były sfery dyplomatyczne. Zawadzał im mocno coraz to silniej rozwijający się ferment demokratyczny, który słusznie z ich punktu widzenia ująć w karby subordynacyi wojskowej pragnęły. W sfer tych przeto interesie i w ich imieniu agitował Bem, werbując ochotników do legionu w Portugalii i popierając myśl legionów zagranicznych w Algierze. Zakłady emigracyjne jeden po drugim protestowały przeciwko tej agitacyi; ks. Czartoryski deklaracyą s d. 21 lipca r. 1833 oświadczył się za użytecznością legii portugalskiej. Deklaracyą Czartoryskiego nie poprawiła sprawy legionu, która takie wywołciła oburzenie, że spowodowała zamach na życie Bema. Młody jeden człowiek, Platon Pasierbski, strzelił z blizka do niego i byłby go zabił, gdyby do lufy pistoletu włożył był nabój silniejszy. Kula przebiła surdut, nie przebiła żebra. Mimo to Bem dalej z ambasadorem portugalskim prowadził układy, które ostatecznie nie doprowadziły do niczego.

Działalność w tym kierunku sprzęgła go z tą mniejszością, co się Hotelu Lambert trzymała. Że zaś ta mniejszość nic sama przez się nie działała, ale przez tę mniejszą mniejszość, któ-

ra się po części z „bożej łaski” wytworzyła, owej przeto mniejszości większej zadanie ograniczało się na wyczekiwaniu, aż „godzina wybije”. Dla Hotelu i dla adherentów jego rzeczą obojętną był zegar, na którym wybić ma oczekiwana „godzina”. Nie oni go dozorowali, nie oni się o rodzaj i gatunek sprężyn, kółek, cylindrów, wskazówek troszczyli, nie oni go nakręcali. Oni... oczekiwali, umilając sobie oczekiwanie karceniem demokratycznej na emigracyi większości za to, że się „niepowołana” koło zegaru krzątała.Przypuszczać można, iżby się z większością tą chętnie krzątał chętnie Bem, gdyby się w oczach Jej wyglądającą na kondotyeryzm agitacyę w sprawie legionów na rzecz donny Maryi nie był skompromitował. Kompromitacya ta popchnęła go w objęcia Hotelu, któremu się nie posiadając uzdolnień ani publicystycznych ani dyplomatycznych, do niczego nie nadawał. Damy hotelowe trudniące się dobroczynnością i edukacyą, próbowały w tym zużytkować go kierunku. Próba ta nie wiodła się. Bem pozostawał na bruku, utrzymując się ze szczupłej, wypłacanej przez rząd francuski emigrantom polskim pensyi - zadłużał się - zapewne nie wielkie niosły mu dochody zatrudnienia przy zakładzie sztucznego wylęgania kurcząt.

Jako dodatni w moralnej Bema istocie rys do zaznaczenia jest to, coby dzisiejsi ugodowego autoramentu patryoci, szowinizmem nazwali. Generał na polu bitew zostawiony, specyalista w broni wielkiem w sztuce wojennej cieszącej się poważaniem, w każdej armii, nie wyjmując rosyjskiej, a tem mniej pruskiej lub austryackiej, znalazłby pomieszczenie dla siebie. Ani myślał o tem, Polakiem się czuł i Polsce tylko służyć pragnął, hodując kurczęta w oczekiwaniu na sposobność walczenia o nią.

Sposobność nastręczyła się w r. 1848. Rewolucye tym, co oręż w r. 1831 zawiesili, wstęp do dwóch otworzyły zaborów: do pruskiego i do ausryackiego. Do Prus nie pobiegł dla stanowiska, jakie tam zajęła demokracya z Mierosławskim na czele. Luka się otworzyła w Austryi, w stolicy państwa, nie omieszkując więc, wszedł w nią i jak skoro Windischgratz na czele hufców orężnych pod murami Windobony się pojawił, w obronie jej udział wziął.

Obrona Wiednia nie lepiej się mu od obrony Warszawy powiodła - gorzej nawet, dla uniknięcia bowiem losów Bluma i Jełowickiego, musiał ucieczką się ratować. Szczęśliwie dostał się do Pesztu. W Peszcie rząd od razu ofiarował mu dowództwo naczelne - dowództwo, które byłby przyjął, gdyby nie legiony.

Legiony we Francyi od większości emigracyjnej go odsunęły; legiony w Węgrzech dowództwo naczelne mu wydarły.

Na legionach, w odniesienia do osoby Bema, ciężyła fatalność jakaś.

W domaganiu się ich dla Portugalii ta - przez wielu Polaków i przez Francuzów (Lafayette) uznawana - była racya niby, że legiony owe posłużyłyby jako kadry dla armii polskiej przy wznowieniu się o Polskę wojny. Ta racya wymagałaby niemożliwego ze strony Portugali zobowiązania się trzymania pod bronią liufców polskich w nieskończoność. Na Węgrzech hufce polskie nadawały się niezwłocznie do walki przeciwko jednemu z zaborców, w warunkach, w jakich się we Włoszech formowały legiony, w których do zapełnienia szeregów służyli zbiegowie z szeregów przeciwnika. Sprzeciwianie się przeto Bema w Peszeie formowaniu onych, pochodzić musiało z powodów nie militarnych. Tak też było w rzeczy samej.

Powód istotny tyczył się demokratyzmu ściągających się z Galicyi ochotników, od których, jako od ochotników, zależał wybór wodza. Bem pewnym był, że nie on, ale Wysocki, wybranym zostanie. Rządowi przeto węgierskiemu, będącemu w miesiąca listopadzie r. 1848 rządem legalnym, działającym w imieniu króla, a układającym się o legiony z Radami narodowemi lwowską i krakowską, przedstawiał niestosowność umawiania się ciała legalnego z ciałami rewolucyjnemi, odmawiał charakteru urzędowego wysłańcowi tych Rad, Józefowi Dzierzkowskiemu i o Wysockim, jak o podporuczniku z lekceważeniem się odzywał.

Jedyny militarny powód, na uwzględnienie niejakie zasługujący, polegał na radzie rozmieszczania ochotników polskich po batalionach, szwadronach i bateryach węgierskich, celem zmilitaryzowania ichprzez Polaków, żołnierzy z urodzenia. Oburzyło to pragnących woj-

ska polskiego, ochotników i jeden z nich, chłopak młodziutki, Ksawery Kołodziejski, nie pytając nikogo, bez opowiadania się kómubądź, korzystając z tego, że miał w posiadaniu swem pistolety, poranku pewnego u Bema się zameldował i strzelił do niego. Losy znów nad nim czuwały. Znów za słaba w naboju ilość prochu, udaremniła zamącił. Kula się od kości policzkowej odbiła. Kołodziejski aresztowany, pod sąd oddany został. Bem skompromitowany, odmówił przyjęcia funkcyi wodza naczelnego, prosząc o powierzenie mu najtrudniejszego w okolicznościach istniejących zadania. Rząd zamianował go wodzem naczelnym w Siedmiogrodzie.

Zadanie uspokojenia zaburzeń, oraz otwartych rumuńskich i saskich buntów, w uważanym już za odpadły od Węgier Siedmiogrodzie, odpowiadało w zupełności militarnym i organizacyjnym Bema uzdolnieniom. Bunty uspokajał wynalezionym przez siebie na przemawianie do zbuntowanych tonem. Ułatwiało mu to wydzieranie panowania nad krainą władzom austryackim, panującym ręką orężną. Przeciwko nim potrzebował wojska, istniejącego w szczupłej pod względem liczby i słabo do pełnienia służby wojennej wyrobionej straży pogranicznej, noszącej nazwę Szeklerów. Wojsko to zgromadzić, zmienić je w gibkie a sprężyste narzędzie bojowe, uczynić z niego pestkę siły orężnej, było - rzec można - dziełem momentu jednego. Siłę zbrojną organizował i, organizując, na prawo, na lewo, przed sobą, za sobą pobijał usiłujące go bądź otoczyć, bądź naganiać, bądź na przełaj mu zabiegać, oddziały wojsk austryackich. Na nawykłe do ruchów regulaminowych hufce, zaczepność ta gorączkowa, spadła niespodzianie, rozstrajała je, szarpała i do traktowania przeciwnika na seryo zmusiła. Dowództwo naczelne powierzonem zostało generałowi Puchnerowi, mającemu operować od południa; generałowi Urbanowi czy Kurhanowi, nakazano od północy posuwać się ostrożnie ku południowi, celem wzięcia w kleszcze i zduszenia awanturnika. O wprowadzeniu planu tego w życie, ze strony północnej istnieje opowiadanie anegdotyczne aptekarza z miasta Bystrzycy, gdzie korpus austryacki miał dniówkę.

Ponieważ w Bystrzycy najporządniejszym w roku 1849 domem była apteka, w aptece przeto zakwaterowano generała Hurbana. Generałowi przez cały pobytu w tem mieście czas, służył humor jak najlepszy. Przy wieczerzy u aptekarstwa, w wigilię wymarszu drogą do Klauzenburga, podżartowywał z Bema, znajdującego się już - jak twierdził - w matni.

- Nie wymknie się ptaszek... - zapewniał. Puchner go ze swojej dojeżdża strony; ja się do niego zabiorę ze swojej...

Wykładał rzecz tak jasno, że aptekarstwo sprzyjające sprawie węgierskiej, szczerze się z góry nad oczekującym Bema losem litowali.

Nazajutrz rano wojsko otuchy pełne, generał, wesoło w dalszy ruszyli pochód na zgniatanie Bema.

Wyszli rano; wrócili wieczorem, ale w rozsypce, bez dział, bez parku amunicyjnego. Generał kwaterą w aptece znów stanął. Tym razem jednak na witające go na progu gospodarstwo ani spojrzał; posiłku przyjąć nie chciał; w przeznaczonej dla niego izbie zamknął się i, odzieży z siebie nie zdejmując, spać się nie kładąc, noc całą przechodził, rzucając od czasu do czasu z ust klątwę.

- B....a Ostrołęka!...

Ostrołękę po węgiersku klął noc całą. Słyszeli to aptekarz, aptekarzowa, dzieci ich i służba, nie rozumiejąc o co generałowi chodzi. W dniu następnym, gdy miejsce wojsk austryackich zajęły węgierskie, a zamiast generała Urbana, w aptece zakwaterował Bem, zagadka rozwiązaną została.Bem odnosił zwycięstwa cudowne. Do takich należy pobicie w jednym dniu rano dywizyi moskiewskiej pod Hermanstadtem i wieczorem wojsk austryackich pod dowództwem Puehnera n;i drodze z Hermanstatu do Deyy, gdy tak dywizya moskiewska jak wojsko austryackie, każde z osobna o dwa razy od korpusu, który Bem prowadził, było silniejsze. Po tem ostatniem zwycięstwie Moskale i Puchner odgrodzili się od Bema granicą rumuńską. Powiadają, że gdy przed sobą szyki moskiewskie ujrzał, oczy i dłonie do góry

wzniósł i podziękował Bogu, że mu pozwolił z Moskalami się zmierzyć. Nie szowinizmże to!...

Pod Hermanstatem dorywczo się mu Moskale pod gromiącą nasunęli prawicę; drui raz wyparł ich do Mołdawii i na Mołdawskim pobił gruncie.

Lecz - i na niego kreska przyszła. Po zawarciu austryaekomoskiewskiego przymierza, wkroczyli Moskale do Węgier z Galicyi i na Siedmiogród, pod dowództwem Lidersa z Rumunii. Siedmiogród zalały wojska rosyjskie. Puchner wypoczęty z Wołoszczyzny powrócił. Za wielka na szczupłe siły zbrojne węgierskie, zwaliła się przemoc w Siedmiogrodzie. Podobnej przemocy z trudnością opierały się armie węgierskie, cofające się na lewy brzeg Cisy, jedna na północ, druga na południe w odniesieniu do dzielącego je koryta Maroszy. Obie podążały do Aradu dla złączenia się, w którem widzieć się dawała możliwość obrony, pod warunkiem postawienia na czele siły zbrojnej męża, posiadającego całkowite wojska i narodu zaufanie. Czy wojna austryackowęgierska, czy trwająca całych miesięcy dziewięć walka orężna, postawiła w Węgrzech na widowni męża takiego?

Postawiła dwóch: Gorgeja i Bema. Obydwa do momentu pojawienia się na teatrze wojny korpusów rosyjskich, szli w górę, rośli w sławę. Obydwóch pomoc moskiewska z widowni ich popisów spędziła:Gorgeja z komitatów półiiocnozachodnich, Bema z Siedmiogrodu.

Bema, który w miesiącu sierpniu, w stanie różporządzalności się znalazł, rząd pospiesznie wodzem armii południowej na miejscu Messarosza zamianował - a zamianował go w tem przypuszczeniu, żo Dembiński przy nim szefostwo sztabu zachowa. I byłoby to przypuszczenie nie zawiodło, gdyby nie ta okoliczność, że cały armii południowej, podążającej do Aradu, park amunicyjny, wysłany przodem, znajdował się w momencie objęcia nad armią przez Bema dowództwa, w trzymilowem od niej odaleniu. Dembióski mu to, jako najważniejszą do stoczenia bitwy przeszkodę, przedstawił. Bem się przekonać nie dał. Liczył zapewne na to, że szykowanie się do bitwy nieprzyjaciela zajmie godzin parę, że amunicya działowa w jaszczykach i karabinowa w ładownicach, wystarczą na doczekanie się powrotu parków, po które niezwłocznie gońce wysłani zostali, że zresztą zapał, z jakim go armia przyjęła, zastąpi w potrzebie chwilowy amunicyi brak.

W rachubie tej z punktu każdego biła zawodność. Nieprzyjaciel krok w krok za armią węgierską idący, do uszykowania się do boju tyle co ona potrzebował czasu; powrotu parków, wiozących ciężary i posuwających się powoli, rychlej niż wieczorem oczekiwać nie było można; zapał? - na wystawiony na próby i pozostawiony samemu sobie zapał w boju bezwzględnie liczyć nie można. To też, póki artylerya węgierska strzelała, poty bitwa szła dobrze, markując nawet po stronie węgierskiej na lewem skrzydle przewagę. Około trzeciejczwartej popołudniu, baterye jedne po drugiej strzelać przestawały, około piątej artylerya węgierska na linii całej zamilkła; około szóstej Bem raniony został; prawe skrzydło zaatakowała świeżo przybyła pod Paniutinem dywizya moskiewska; armia pozostała bez amunicyi i bez wodza. Nastąpiła klęska - klęska, która w danych warunkach nieuniknioną była.Za nią całkowicie na Bema odpowiedzialność spadu.

Do czego mu ta bitwa potrzebną była?

Potrzebnem mu było zwycięstwo. Dla zwycięstwa zaryzykował bitwę, licząc chyba na gwiazdę swoją - na to, że go gwiazda ta do Aradu ze świeżym u czoła doprowadzi laurem - z laurem, z którego na Węgry całe, na Europę całą, strzeli do opinii publicznej zapytanie:

„Gorgej, czy Bem?"

Dzięki przegranej pod Temeszwarem, losy wojny dostały się w ręce nie Bema, ale Gorgeja, ten zaś, za pośrednictwem Paszkiewicza, złożył je w ręce Haymana, wsławionego przy okazyi tej przykładem, danym wszelakim Murawiewom, Bergom i innym porządków różnych obrońcom - w wieszaniu bohaterów narodowych.

Bem bitwę pod Temeszwarem ryzykując, dopuścił się błędu straszliwego, charakteryzującego jego podkład duchowy, często zdolnościom wojskowym towarzyszący - podkład zwany:

próżnością. Próżność zawsze wojowników na bezdroża prowadzi. Czy nie ona Napoleonowi drogę do Moskwy w roku 1812 wskazała?

Pod Temeszwarem Bema po raz w życiu mojem pierwszy oglądałem. Przez cały obecności jego na polu bitwy czas, co moment wejrzenie na niego zwracałem. Przed mostem, którego obrona batalionowi naszemu powierzoną była, stał na gniadym spokojnym koniku.

Wyrywające nam z szeregów żołnierzy kule, granaty, szarpnęło, zasypywały trakt. Do każdego, obok padającego granatu, konik łeb wyciągał i wąchał. Bem na pociski nie zważał. Raz mu się na policzku pokazała krew; drugi raz z konia spadł i wnet, w pobliżu snadź znajdująca się podjechała kareta, która rannego (czerep od granatu obojczyk mu złamał), zabrała.

Po raz wtóry, bliżej aniżeli pod Tenieszwaremw jego bowiem mieszkaniu, oglądałem go w Szumli, Udałem się do niego w towarzystwie Kozieradzkiego, oficera od ułanów, jako spółdelegowany w sprawie, obchodzącej ogól internowanych w fortecy tej Polaków. Bem przyjął nas uprzejmie, załatwienia sprawy podjął się i załatwił. Gdyśmy po zakończeniu misyi naszej ku wyjściu się mieli, zatrzymał nas i gawędkę z nami zawiązał. Przedmiotem rozmowy- rzecz prosta - co innego, jeno wojna węgierska, być nie mogło. Z rozmowy tej w pamięci dwa mi zdania Bema utkwiły. O sobie samym rzekł, że panem bitwy w zupełności wówczas się czuje, gdy ma pod sobą nie więcej nad cztery tysiące ludzi - czemuż o tem pod Temeszwarem nie pamiętał? Co do sprawy węgierskiej zapewniał, że Węgrzy prędzejpóźniej wojnę z Austryą wznowią.

- Niech się tylko huzarzy odżywią trochę... - słowa jego.

Mówił z łatwością, zdobiąc mówienie stosownie umieszczanymi dowcipami. Ludzi z sobą nie oswajał od spotkania pierwszego, z powodu nieponętności oblicza, jakiem go natura obdarzyła. Miał rysy zmięte jakoś, okryte maską, pozszywaną niby. Było to następstwem wypadku, zdarzonego w czasie, kiedy wykładał w szkole wojennej w Warszawie. Przy doświadczeniach z prochem strzelniczym, wybuch o twarz mu uderzył i całą z niej skórę zdarł. Szczupły, wzrostu miernego, marnie wyglądał - w postawie swojej rycerskiego nie miał nic.

Wartość jego militarną stanowiły zdolności partyzanckie, którym śmiało można i należy przypisać genialność.

Z operacyj jego niektóre zdumiewają ścisłością obrachowań i szybkością ruchów. Odbywało się to w drobnych rozmiarach.

W obrotach na szeroką skalę gubił się. Doświadczył tego na sobie, obejmując nad armią południową dowództwo naczelne. Mimo to zapragnął - licząc na nieochybność wojny pomiędzy Turcyąa Moskwą - dowództwa naczelnego nad armią turecką. Dlatego islamizm przyjął.

Popchnęła go do ku temu rachuba na szeroką skalę, rachuba, do której jako dane wiadome wchodziła: miłość Polski w złączeniu z nienawiścią dla jej wrogów.

Miał racyę poeta z Hotelu Lambert, który wiersz na śmierć jego (w Aleppo, 10 grudnia 1850 roku) zakończył wyrazami:

„I stanął śmiało przed Bogiem pokoju,
Jak prawowierny syn Polski... w zawoju".

SURMACKI.

Znano go jako pułkownika **Surmackiego**. Czy kto wiedział, jakiem było jego imię chrzestne, gdzie mianowicie i kiedy ten padół płaczu i zgrzytania zębami powitał? Może kto wiedział, ja nie wiedziałem, pomimo, żem z nim w Konstantynopolu czasu sporo przeżył i w Paryżu się z jego bratem rodzonym, uczestnikiem powstania r. 1831, poznałem. Z biografii jego to jeno powszechnie wiadomem było, że i on w powstaniu r. 1831 udział wziął, licząc naówczas lat nie więcej jak ośmnaście. Tacy jednak, jak on, w latach ośmnastu, nawet siedmnastu, pokaźnie już w wojskowych figurują szeregach i trudy wojenne znoszą z łatwością. Natura obdarzyła go grenadyerskim - wedle miary dawniejszej - wzrostem i postawą rycerską. Był to człowiek słuszny, dobrze zbudowany, o rysach oblicza, poszukiwanych przez Roberta Fleury na modele do odtwarzania na płótnie ułanów polskich, przyozdabiający oblicze długiemi, na dół zwisającemi wąsami, spoglądający na śmiertelników zwyczajnych z góry, przez ramię, z tym akcentem, z jakim spogląda człowiek, przejęty wygórowaneni godności własnej poczuciem. Tak wyglądał pułkownik Surmacki, zwany inaczej Zurmajem.

Nazwisko Zurmaja przybrał w Galicyi, w roku 1831, może 1832, gdy po upadku powstania, chronić się przed zwycięzcami musiał za granicami zaboru moskiewskiego. Może z Galicyi dostał się na Węgry i tam zetknął się z tak zw. werbunkoszami, wabiącymi ochotników do szeregów wojsk węgierskich. Przed rokiem 1848, obok rekrutacyi, istniały w krajach korony św. Szczepana, jako czasów dawniejszych zabytek, werbunki, które w formy estetyczne ujął Betlen Gabor, twórca huzarów. Nastawiały one po miasteczkach, w czasie jarmarków, z muzyką, przyśpiewkami i wystawą tężyzny żołnierskiej, samotrzaski ponętne, w które się łapała młodzież. W sposób ten złapać się dał Surmacki do huzarów i w szeregach jednego z pułków, pod nazwiskiem Ziirmaja, zrazu szeregowiec, dalej podoficer, następnie (najdłużej) wachmistrz, w końcu podporucznik, przestużył do r. 1848. Pułk jego stał natenczas w Galicyi wschodniej.

Ruch, jaki wypadki owoczesne w kraju wywołały: zawiązywanie Rad narodowych, organizowanie gwardyj narodowych, pisanie po dziennikach o Polsce, gadanie o niej, mundury polskie, kaszkiety ułańskie, pobrzękiwania pałaszami, ostrogami, przypomniały Zurmajowi że jest Surmackim, Polakiem i że on Polsce przydać się może.

Przydać - jak? - w jakim względzie?...

Nie w innym - rzecz prosta - tylko w wojskowym. W broni? - jakiej? - nie w innej - naturalnie - tylko w kawaleryi.

Wziął więc z huzarów, w stopniu podporucznika, dymisyę, pojechał do Lwowa i naszukawszy się dla siebie napróżno zajęcia odpowiedniego, do huzarów wrócić postanowił.

Możeby postanowienia tego był nie powziął, gdyby nie zadeklarowanie się na Węgrzech kroków wojennych króla węgierskiego przeciwko cesarzowi austryackienni. Dwa szwadrony z pułku w którym służył, stały we wsławionym obroną kniazia Jareiny w r. 1649 przeciwko Kozakom i Tatarom, a sławnym niegdyś z wyrobu kiełbas, Zbarażu; w jednym z tych dwóch szwadronów, przez lat dziesiątek w stopniu wachmistrza funkcyonował i w nim na oficera awansował.

Zakorciło go: czemu szwadrony te na Węgry nie idą! Dla gruntownego w tej ważnej dla niego kwestyi zbadania, pocztą na noc całą do Zbaraża pojechał i równo z dnia świtaniem przejeżdżając mimo koszar, ujrzał przed koszarami szwadrony w pogotowiu do wsiadania na koń. Na widok ten z wozu pocztowego zeskoczył i przed szwadronami stanął. Z szeregów ozwaly się okrzyki powitalne; wachmistrz, który go zastąpił, dłoń mu uścisnął i na powitanie jego, co tu robią, odpowiedział:

- A cóż l... na musztrę, jak zwykle, szwadronom wystąpić kazano... Na oficerów czekamy...

- Czyście nie słyszeli, co się na Węgrzech dzieje?
- Słyszeliśmy...
- Czemuż w Zbarażu siedzicie?
- Bo niema nas prowadzić komu...
- A jął?
- Prowadź!... Prowadź!... zabrzmiał okrzyk jednogłośny.

W chwilę później, Surmacki na wyprowadzonego dla niego ze stajni konia wsiadł, przed szwadronami „do wsiadania" komendę wygłosił, następnie :

- Czwórkami od prawego!... marsz!...

Na czoło wyjechał i Węgrów do Węgier poprowadził.

Za nimi w pogoń posłano piechotę, która ich doścignęła u przeprawy przez Dniestr, wKoropcu. Przeprawę ułatwił im Mysłowski i zaopatrzył w przewodników, którzy szwadrony bezpiecznie przez Prut u źródeł i przez Beskidy, na stronę węgierską przeprowadzili.

Na stronie węgierskiej rozpytującym o nowiny huzarom, opowiadano cuda o Bemie. Zniewoliło to Surmackiego do Siedmiogrodu wejść tem bardziej,że teatr wojny był dla niego w stronie tej najbliższym.

Bem huzarów z radością przyjął, Zurmajowi, zamianowanemu majorem, powierzył dowództwo dywizyami, wachmistrzów mianował rotmistrzami, dwóch najinteligentniejszych i najzastużeószych podoficerów porucznikami, czterech najinteligentniejszych podporucznikami, komplet podoficerów uzupełnił i miał dwa szwadrony konnicy doskonałej, na której mu brakło. Konnica ta duże razy kilka oddała mu usługi. O jednej opowiem, powtarzając z pamięci słowa razy nie pomnę ile, z ust pułkownika Sunnacldego słyszane.

„Rozbili nas w puch Austryacy. Zdarzało się nam to niekiedy. Piechota się rozbiegła; z dział sześciu zabrano nam cztery; - z dwoma Bem uszedł, poleciwszy mi zasłaniać odwrót. Zepchnąwszy szwoleżerów co się za nami byli posunęli, cofałem się ustępami: szwadron jeden stawiałem frontem ku nieprzyjacielowi, podczas, kiedy drugi uchodził, następnie ten drugi frontem się zwracał i pierwszy uchodzący zasłaniał. Obejście nas w okolicy górzystej trudnem było, więc mi się rejterowanie wiodło bitym wśród gór gościńcem, prowadzącym do mostu murowanego, rzuconego nad rzeką w głębokim płynącą korycie. Do mostu przylegało a raczej od niego rozpoczynało się miasteczko X.*, składające się, jak część większa miast górskich, z jednej długiej ulicy, dochodzącej do miejsca, w którem się góry rozstępowały i na którem poza domami długa stała szopa. Szczegóły te dobrze mi znane były, z tego bowiem miasteczka wyszliśmy po to, ażeby po uszach oberwać. Rejterując przeto, myślałem sobie: „Na moście szwadronowi ustępującemu zatrzymać się każę, sprowadzę szwadron, co był frontem ku nieprzyjacielowi zwrócony i licząc na to, że się Austryacy przed mostem zatrzymają, wyszła podjazd, miejscowość zrekognoskować zechcą, pójdą dalej spokojnie i gdzieś Bema z dwoma działami i ze ściągającą się piechotą dopędzę."Tak też zrobiłem. Pozostawiwszy na moście w aryergardzie z podoficerem pięcia ludzi, z rozkazem, ażeby, w razie, gdyby się nieprzyjaciel nie pokazał, w pół godziny za mną gościńcem ruszyli, sam na czele szwadronów przez miasto pociągnąłem.

„Na połowie mniej więcej długości ulicy, patrzę, przed jednym z domów przechadza się Bem. „Z konia zsiadam, do generała podchodzę, raport mu zdaję i taki od niego dostaję rozkaz:

„Niech szwadrony za miastem z drogi na lewo zejdą, w kolumnę plutonową, frontem do miasta zwróconą uszykują się, i z koni nie zsiadając, czekają. Ja z tobą pójdziem za nimi.

„Huzarzy poszli; my za nimi iść poczęliśmy powolutku, powoluteńku, krok za krokiem. Bem zawiązał nie pamiętam o czem rozmowę, z której wywiązała się rzecz o sztueznem wylęganiu kurcząt. Zajęło mnie to zrazu, lecz się wlekło za długo i zatrzymywało czas na drodze, którą wpaść mogła zwiada nieprzyjacielska i zabrać nas. Na myśl tę ciarki mi poza skórą przeszły. Powziąłem postanowienie generałowi przedstawić niebezpieczeństwo i potrzebę

spiesznego uchodzenia. Zdobyłem się na odwagę, zatrzymałem się i zdanie moje wygłosiłem. Bem spokojnie słów moich wysłuchał, gdym skończył, pomilczał trochę i z giestem, który mi się wydał teatralnym, trzymaną w ręku szpicrutę - oręż jego jedyny - do góry podniósł, a zniżając ją do ziemi w sposób rozkazujący, z mocą wyrzekł:

- „Tu zginę, albo zwyciężę!..."

„A jam pomyślał: zwaryował.

„Na ten „casus" jednak rady nie było, chybagenerała na plecy wziąć i odnieść prędzej za miasto. Mógłżem się odważyć na coś podobnego!

„Idę więc dalej z niepokojem w sercu, słuchając ale nie słysząc, ciągu dalszego opowiadania Bema o hodowli kurcząt.

„Ciężar mi wreszcie spadł z serca, gdy za miastem ujrzałem po jednej stronie gościńca uszykowaną kolumnę huzarów, po drugiej, pod szopą, dwa działa odprzodkowane, przy nich kanonierów i u dwu z nich w ręku lonty dymiące się.

„Bem zamilkł. Zwróciłem na niego wejrzenie. Przez lunetę pilnie w głąb ulicy patrzał. Popatrzyłem i ja golem okiem - zamajaczyło mi coś w dali, coś, co się zbliżało, uwyraźniało i uwyraźniło się nareszcie pod postacią pompatycznie maszerującej kolumny piechoty. Bem, mruknąwszy pod nosem:

„dumme Kerls", ku działom ręką kiwnął; kanonierzy je natychmiast przytoczyli i po dwóch stronach gościńca wylotami w kierunku ulicy ustawili. Bem pomiędzy niemi po środku stanąwszy, wnet na na prawo ustawione działo palcem wskazał i huknął:

- „Ognia!"

„Po wystrzale zakomenderował: „Nabijaj!" i na działo na lewo stojące, huknął:

- „Ognia!".

„Wystrzały szybko jeden po drugim następowały ; za każdym Bem pięść zacieśnioną nagle roztwierając i ręką naprzód rzucając, powtarzał, raz „Da habst Lumpen!", znów „Da habst Bagagenl"

„Po trzech, czy czterech wystrzałach, krzyknął:

- „Husaren hin!"...

„Poskoczyłem do szwadronów i na ich czele w jednej chwili wsiedliśmy na karki zmitrężonej, zmieszanej, panicznym strachem przejętej piechoty, która rzucała karabiny, tornistry, rozbiegając się, na most się cisnąc. Most zapchały pociągi po przejściu artyleryi. Zdobyliśmy dział kilka, odbiliśmy działa nasze - odnieśliśmy zwycięstwo zupełne".

Surmacki Bema ubóstwiał i dużo miał o nimdo opowiadania. Miał go nietylko za generała znakomitego, ale i za człowieka wszechznającego, nieomylnego, tworzącego nietylko żołnierzy ale i lekarzy.

W czasie jednej z bitew, w bateryi węgierskiej, niekorzystnie ustawionej, zdemontowano dziat parę. Baterya, działa zdemontowane opuszczając, miejsce zmieniła. Jedno jednak z dział opuszczonych strzelać nie przestawało. Zdziwiło to Bema - podjeżdża i cóż widzi? Działo leży na kłodach, przy niem się kilka ludzi uwija - z rozbitego jaszczyka naboje noszą, nabijają i strzelają; dowodzi niemi młody jakiś chłopiec. Manipulacya ta podobała się Bemowi; woła chłopaka i dowiedziawszy się od niego, że jest studentem medycyny z Koloswarn, przypomina sobie, że przy sztabie lekarza brak, mianuje go lekarzem sztabu.

- „Umiałeś sobie poradzić z harmatą, to potrafisz chorym radzić..."

- Doskonały był z niego lekarz... - zapewniał Surmacki, który tego był mniemania, że - ponieważ pod Bemem służył - na niego przeto z Bema nieomylność przeszła.

Z racyi tej stosunki z nim nie koniecznie były wygodne, a nawet bezpieczne. Idąc np. w towarzystwie jego przez miasto, człek nie był pewien, azali nie natknie się na awanturę jakąś, nie znosił bowiem tego, ażeby mu kto z drogi nie ustąpił - nieustępującego strącał bez ceremonii, uspokajając tych, coby się gniewać chcieli, mrożącem gniew wejrzeniem z góry. Nie znosił oraz, ażeby się kto ośmielił innego być aniżeli on zdania. Z racyi tej nie małe dyskusya

z nim przedstawiała trudności, tem bardziej, że uważał siebie za upoważnionego do zabierania głosu rozstrzygającego w każdej, chociażby najbardziej naukowej kwestyi. Na to sobie i Bem nie pozwalał; zachodzi jednak pytanie, czy nie przyznawał sobie nad Bemem w zakresie naukowym wyższości, ze względu, jeżeli nie na co innego,to na postawę i wygląd. We względzie tym - co za porównacie pomiędzy Bemem a nim! - to chuchro, a to mąż pokaźny, wąsaty, marsowaty. W wy. sokiej też cenie byli u niego ludzie o wąsach zawiesistych, ci mianowicie, co w kawaleryi, zwłaszcza zaś w huzarach i do tego węgierskich służyli. W odniesieniu naukowem, dla nadania sobie powagi tem większej, rad bądź wtrącał przekręcone nierzadko wyrazy łacińskie, bądź też wyrazom polskim nadawał zakończenie na „us". Morze Czarne stale zwał „Pontus Euxinus", Dunaj „Dunajus", a z Bosforem był w kłopocie.

Zdarzyło się raz, że mu się w kieszeni od kamizelki fosfor zapalił. Wypadek ten miał miejsce nad Bosforem, w Konstantynopolu, dokąd Surmacki przyjechał był w r. 1854 w zamiarze ofiarowania usług swoich Turcyi przeciwko Rosyi. Zamiar spełzł na niczem, z powodu, że się z W. Porta porozumieć nie mógł. Konstantynopola jednak nie opuszczał,, t Polakami się poznał i w przyjaznych z nimi pozostawał stosunkach.

Wśród nas znajdował się człowiek wesoły, żartowniś, ś. p. Henryk Groppler, który wysłuchawszy opowiadania Surmackiego o tem, że mu się w kieszonce zapalił „fosforus", zauważył:

- Chyba pułkownik powiedzieć chce „bosforus"...

- A tak, omyliłem się, „bosforus". I z tego bałamuctwa wyśó nie umiał, zwłaszcza wobec Gropplera, poważnie go poprawiającego, ile razy Bosforu nie nazwał fosforusem, a fosforu Bosforusem.

W sposób ten z rozmaitemi obchodził się kwestyami. Źle wychodził, kto się przy nim historyą świadczył. Zdaniem jego, historya na wiarę nie zasługuje.

- Ja temu tylko wierzę, na co własnemi patrzałem oczami i co własnemi słyszałem uszami. Wojna wschodnia (1853-1856) żywo go i mocno zajmowała. Pilnie wedle gazet za wypadkami śledził, krytykując czynności wojenne i polityczne i wnioskując o następstwach.

Gdy kongres paryski zwołanym został, nie przypuszczał, żeby kongres ów pokój sprowadził. Rano, w dniu obwieszczenia o zawarciu pokoju, zanim wiadomość tę do Konstantynopola drut telegraficzny przeniósł, spotykam go na Perze i witam przypuszczeniem pokoju.

- A!... - odparł. To być nie może... Ci panowie w Paryżu do tego stopnia jeszcze nie pogiupieli. Anglia przecie... Anglia na to nie pozwoli... A Napoleon?... Czyżby on o stryju i o roku dwunastym zapomnieć mógł?... To być nie może...

W tymże samym dniu przy huku dział, oznajmiających światu nowinę radosną, znów spotykam Surmackiego.

- A co, pułkowniku!... - odezwałem się.

- Czy nie mówiłem? - odrzekł. - Zawszona tego był zdania, że po tych gałganach wszystkiego się spodziewać można... Ale będą oni za swoje mieli. Nie skorzystali ze sposobności wyrzucenia Rosyi z Europy, to ich Rosya za łeb weźmie...

I przepowiedział następstwo, ogromnym obecnie kamieniem na polityce kuli ziemskiej ciężące.

Rozgoryczyło go to.

Póki wojna trwała, poty liczył na to, że w niej udział na czele pułku jazdy weźmie. Po wojnie pomyślał o zabezpieczeniu sobie życia na starość. Pora była myśleć o tem... liczył lat czterdzieści kilka. Przypomniał sobie o Węgierce, która go rannym pielęgnowała (kula mu czerep przedziurawiła - dziurę blaszka cienka zasłaniała). Napisał do niej. Odpisała, że z nim dozgonnie połączyć się gotowa. Wobec przeto małżeństwa w perspektywie, uważał za rzecz wskazaną coś stale dochód pewny niosącego przedsięwziąć.

Rozpatrując się w Konstantynopolu, uznał, że warunki te posiada przedsięwzięcie kawiarniane,urządzone i prowadzone na sposób węgierski. Mówił o tem, zapewniając, że będzie to

kawiarnia, jakiej jeszcze nigdyi nigdzie nie bywało. W celu tym wynajął lokal na głównej ulicy, na Pera - wyporządził, urządził i otworzył. Byłoby mu zapewne poszło dobrze, gdyby gości traktował, jak się traktują w zakładach podobnych. Wymagał po nich, ażeby prosili a nie rozkazywali, gdy zaś który napój lub pieczywo zganił, śmiałka takiego za kołnierz imał i za drzwi wyrzucał. Interes, tak prowadzony, utrzymać się nie mógł.

Zeszedłem się z Surmackim następnie w Paryżu, w czasie wystawy r. 1867. Po dawnej znajomości podjąłem się cyceronowunia mu, do spółki ze starszym bratem jego, emigrantem z r. 1831. Przewodniczenie moje zadawalniało go, z wyjątkiem Louvre'u. W Louyrze wszystko mianował lichotą. Malowidła?... rzeźby?... - porównania - zdaniem jego - wytrzymać nie mogą z malowidłami i rzeźbami w pałacach i galeryach magnatów węgierskich. Wenus?... Milo?... Na widok jej splunął.

- Tfu... bez rąk?... Któż widział rzeczy podobne na widok publiczny wystawiać?

Kiedym mu powiedział, że posąg ten w tym stanie w wykopaliskach w mieście Milo znalezionym został, odpowiedział:

- Czyż we Francyi niema komu rąk dorobić?

Nie wiedziałem, coby mu takiego, cuby uznanie jego zyskało, pokazać, albowiem i mumie egipskie nie zajęły go - na Węgrzech je widział.

Aż weszliśmy do sali, zapełnionej pamiątkami po Napoleonie I. Oczy jego wnet wyraz zmieniły, jak skoro ujrzał siodła, czapraki, mundury, ostrogi, szpady, pistolety i inne, stan żołnierski znamionujące przedmioty - przedmioty zwłaszcza do takiego jak Napoleon I należące wojownika. Dość powiedzieć, że Napoleona na równi z Bemem cenił.

Pułkownik Surmacki był żołnierzem, nie czem innem tylko żołnierzem. Wojna węgierska z szeregów go wytrąciła i na pole walki o wolność uprowadziła - na pole, na którem odżyła w nim polskość. Nie był orłem, zdziwaczał, ale z zacięciem węgierskiem był całą duszą i całem sercem Polakiem. Z takich, na pierwsze po polsku: „do broni,, zawołanie, moskiewska czy niemiecka skóra od razu opada.

* Pułkownik miasteczko nazywał, alem ja nazwę zapomniał.

MIKOŁAJ KORWIN KAMIEŃSKI.

Pod pióro nasuwa mi się towiańczyk - człowiek, któryby nie powinien był w szeregach towianizmu figurować. Sprzeciwiały się temu dwie racye: ta, że był żołnierzem, nie zrzekającym się korzystania z każdej okazyi wystąpienia orężnie przeciwko zaborcom Polski, oraz ta, że go urodzenie, pokrewieństwo i koligacye do arystokratycznej przywiązywały sfery.

Towianizm, przejaw emigracyjny, mimo, że wrażenie sprawił, mimo, że się o nim mówiło i pisało dużo, a nawet i obecnie przedmiotem uwagi bywa, mimo to emigracyi za sobą nie porwał. Nie licząc obojętnych, nie poszły za nim: ani większość demokratyczna, ani mniejszość arystokratyczna. Jedna i druga względem niego stawały nieprzyjaźnie. Arystokracya nie dziwi: ją, monarchicznemi przejętą przekonaniami, trzymał kościół panujący, jakim w Polsce był katolicki. Ale demokracya?... Jeżeli takich demokratów skrajnych, jakimi byli na katechizmie wyhodowani członkowie gromad Grudziądz i Humań, nawskróś religijny przejmował mistycyzm, to tem bardziej, również katechizmowo nastrojony ogół emigracyjny podatnym się okazać był powinien na przylgnięcie do mistycyzmu, przyniesionego przez obywatela z Litwy, a przyjętego i zalecanego przezpoetów - i to przez jakich! - Mickiewicz, Goszczyński.

W żadnym narodzie poeci równem nie cieszą się (może - nie cieszyli się) poważaniem, jak w polskim. Po dziś dzień mianujemy ich, jak się oie mianują nigdzie, „wieszczami" - prorokami.

Improwizacya Konrada („Dziady", część trzecia) świadczy, że Mickiewicz uznawał prorocze poetów powołanie. Z jego przeto strony natnralnem było danie się pociągnąć doktrynie mistycznej, mesyanizmein zaprawnej. Za Mickiewiczem poszli inni, biorący mistycyzm w sensie niekatechizmowym jako ogół wychodźtwa, lecz w filozoficznym (Rettel, Nabielak i kilku jeszcze). Ci pociągnęli takich, co im na słowo wierzyli.

W sposób ten sformułowała się gromadka towiańczyków nie liczna, ale imieniem n wieszcza" głośna - imieniem autora takich jak „Konrad Wallenrod", „Dziady" (część trzecia), „Reduta Ordona", „Ustęp" (poświęcony przyjaciołom Moskalom) i innych utworów, które Polaków zachwycały. W gromadce tej stan żołnierski przedstawiali dwaj pułkownicy: Karol Bóżycki i Mikołaj Korwin Kamieński- pierwszy stowiańszuzony do cna, nie myślący o sprzeciwianiu się woli bożej, przez porywanie się do oręża przeciwko tego, co Mikołaj I rodzaju Mesyaszom; drugi, wzorem Mickiewicza i Słowackiego, wyłamujący się we względzie tym z ram doktryny, ile razy się okazya walczenia przeciwko któremu z zaborców Polski nastręczała.

Z okazyi takiej Kamiński skorzystał w r. 1848 we Włoszech.

Po raz wtóry sposobność podobną nastręczyła mu wojna wschodnia, „krymską" zwana. Złamanie w tym razie praw towianizmu, charakteryzuje tego towiańczyka, każąc podejrzewać go o takie dla znamionujących doktrynę kolumn duchów różnobarwnych odnoszenie się, jak wachmistrz Dorosz, z gawędy W. Pola, odnosił się do „ducha czasu", powiadająco nim: „Co to znaczy, wiedzą kaci: u mnie duch, co dobrze bije". Pokazuje się, że i towiańczycy niektórzy wierzyli w dobre ducha bicie.

Nim jednak wiarę tę w Kamieńskim ze znanych mi kolei życia wyprowadzę, winienem o kolejach owych opowiedzieć w krótkości. Powtórzę o nich rzeczy słyszane i czytane, znałem się bowiem z pułkownikiem z daleka, z bardzo daleka; zbliżyłem się do niego raz jeden, ale w sprawie, która sama jedna o moralnej człowieka wartości stanowi.

Mikołaj K. Kamieński, urodzony r. 1799, pochodził z Wołynia jako członek rodziny, skoligaconej i spokrewnionej z arystokratycznemi rodzinami polskiemi. Do wojska wstąpit wcześnie i był jednym z oficerów jazdy, należących do rodzaju „świetnych" pod względem tak znajomości rzemiosła, jakoteż prezencyi salonowej.

Po wybuchu powstania r. 1830, dwukrotnie wpadł był wielkiemu księciu w ręce i dwukrotnie śmierci uniknął dlatego tylko, że w. książę zląkt się następstw, jakieby z rozstrzelania jego wynikły.

Niedawno w któremś z pism polskich (czy nie w „Kraju" petersburskim?) czytałem wyjątek z opowiadania pamiętnikowego o podróży Konstantego Pawłowicza, w grudniu, r. 1830, z Mokotowa do Brześcia Litewskiego.

Pamiętnikarz pisze o Kamieńskim, chwali jego grzeczność, unosi się nad wspaniałomyślnem obejściem się z nim w. księcia i oburzają go Polacy za niegodziwe bratu carskiemu wywdzięczenie się za jego dja nich miłość.

Ów grzeczny oficer polski walecznie się następnie w czasie wojny sprawował, wynosząc z niej reputacyę żołnierza nietyłko walecznego, ale i fach swój gruntownie znającego. Na emigracyi w piśmiennictwie wierszem i prozą się próbował. Na .polu tem atoli laurów nie uszczknął, co wzbudzając w współzawodnikach zawiść, nie pozbawiało go przyjaźni ludzkiej. Należał on do śmiertelników tego rodzaju,co nieprzyjaciół nie mają. Na emigracyi z ludźmi rozmaitych schodziłem się przekonań - nie słyszałem, żeby się o Kamieńskim kto źle odezwał. Zwano go powszechnie człowiekiem zacnym i kawalerzystą znakomitym.

Co się zaś jego przystania do towianizmu tyczy, nie wszyscy brali to na seryo. Niektórzy przypuszczali, że towianizm wybrał jako grunt neutralny, z któregoby w danym razie przyłączyć się mógł do stronnictwa, dającego największe w moralnym i w politycznym względzie rękojmie. Świadczyłoby to, że należał do rodzaju ostrożnych, wahających się, wyczekujących, nie chcących się zobowiązywać do niczego, ani żadnej na siebie brać odpowiedzialności. Tacy wahali się, wyczekiwali, z Francuzkami się żenili, rzemiosła lub fachu jakiego imali i pozostawiali potomstwo Francuzów pochodzenia polskiego. Coś podobnego przytrafiło się i pułkownikowi naszemu, żonatemu nie z Francuzką nawet, ale z Polką (Potocką?), którego syn (Mieczysław) po polsku ledwie rozumiał (w szeregach francuskich pod Mtigentą zginął).

Pułkownik w r. 1848-49 służył w wojsku włoskiem. Wabiony przez Mickiewicza na wodza sformowanego przezeń legionu, zwabić się nie dał. Był to legion zanadto poetyczny, przydatny na materyał do jasełek, czyniących zaszczyt wyobraźni poety, ale nie do boju. Kamieński wiary w doktrynę nie posunął tak daleko, ażeby miał się zaryzykować na dowodzenie garstką legionistów, szesnastu (nie dwunastu, jak twierdzi Wyspiański w poemacie udramatyzowanym p. t. „Legion, scen dwanaście"), pomimo, że każdy z nich przedstawiał kolumnę duchów.

Po zakończeniu wojny włoskiej w r. 1849 klęską pod Nowarą, w wojsku włoskiem pozostawał w stanie rozporządzalności. Gdy wybuchła wojna wschodnia (1853-56), nie kwapił się z ofiarowaniem W. Porcie usług swoich.

Generałowi Wysocktemu, wybierającemu się doKonsfcantyno|)ola w celu tentowania w charakterze pełnomocnika emigracyjnego o wdarcie się na teatr wojny przeciwko Moskwie z legionem polskim, na zapytanie, czy na niego liczyć może:

- Owszem... Czemu nie... - odpowiedział - jeżeli tam co porządnego postawić się wam uda...

Przez wzgląd na Austryę, dla której wojna na krymski półwysep przeniesioną została, państwa sprzymierzone nie dopuściły do organizowania legionów polskich. Natomiast stanęły dwie w znaczeniu fiurogatu legionów organizacye wojskowe: jedna rządowa turecka pod nazwą „Kozaków suttańskich", pod dowództwem Sadykabaszy; druga, „Dywizya kozaków sułtańskich w służbie angielskiej" (dziwna nazwa - co?), pod dowództwem generała Władysława Zamojskiego. Ta druga, pozostając na żołdzie angielskim, rozwijała się prawidłowo i porządnie. Organizacya zakrojoną została na pięć pułków numerowanych, jak następuje: l piechota, 2 szasery, 3 strzelcy piesi, 4 piechota, 5 ułani. Szaserzy stanowili brygadę jazdy, liczącą ludzi 750, rozkwaterowanych w Warszawie i okolicy. Kadry w początkach r. 1866 były prawie pełne. Brakowało dowódców pałkowych i dowódcy brygady. Nastręczał się wprawdzie i do

zajęcia stanowiska tego ogromną miał ochotę pnłk. B. Czarnomski, lecz rzeczą było niemożliwą funkcyi tej powierzenie takiemu, jak on, narwańcowi. Dla nas, w Konstantynopolu przebywających, a w organizacyach tych udziału nie biorących, stanowiły one przedmiot ciekawości. Krążyło wśród nas pytanie: jak też Zamojski z rozwiązaniem kwestyi wodzów w kawaleryi sobie poradzi? Jazdą tymczasowo, ku wielkiemu Czarnomskiego zgorszeniu, dowodził pułkownik od piechoty, Stubicki.

W książce pióra mego p. t. „Udział Polaków w wojnie wschodniej", str. 186, przyznaję się do tego, że nie umiem odpowiedzieć na zapytanie: „Dlaczego Kamieński zaciągnął się do dywizyi K. S.(kozaków sułtańskich)?" Dziś umiem. Racya nieumienia a raczej przemilczenia w r. 1857, kiedym to pisał, odnosiła się do ludzi, do osobistości w grę wchodzących, do Kamieńskiego mianowicie, stanowiąc obciążające go świadectwo we względzie jego, co do zasad towianizmu, prawowierności. Mógłżem go wówczas - dla prostej wesołości serca - kompromitować?

Rzecz się miała tak:

W pierwszych dniach grudnia r. 1855, powróciłem był z Dobrudzi, gdziem dla zaopatrywania w obrok i mąkę oblegającej Sewastopol armii francuskiej, magazyny budował, do Konstantynopola. W Konstantynopolu zastałem w trumnie zamknięte zwłoki Mickiewicza i nierozwiązaną kwestyę dowództwa jazdy w dywizyi K. S. w Sł. Ang., istniejącej już faktycznie, a stanowiącej przedmiot sporu zawziętego pomiędzy Sadykiem baszą z jednej generałem Zamojskim z drugiej strony - sporu, o usunięcie którego napróżno starał się Mickiewicz. Spór ów wikłała zagadkowość tej militarnie wyżej niż Sadykowska stojącej, dobrze płatnej, dostatnio żywionej, nie po komedyancku umundurowanej i nie wiadomo dlaczego „sułtańskiej" organizacyi wojskowej. Zagadka ta rozwiązała się później nieco. Ciekawość tymczasem na osobistości się zwracała.

Razu pewnego przychodzi do mnie Włodzimierz Kozłowski z oświadczeniem, że ma ze mną do pomówienia. Kozłowski w roku każdym pod jesień, jeździł dla widzenia się z rodziną na Zachód i przywoził z Paryża, który regularnie odwiedzał, wiadomości i wskazówki. Na krótko przed moim z Dobrudzi powrotem, powrócił i on. Przychodzi więc do mnie i pyta:

- Wiesz, kto nad jazdą formacyi Zamojskiego dowództwo obejmie?
- Nie wiem...
- Mikołaj Kamieński...
- O?!.. - zdziwiłem się - Towiańczyk?- Z tych, co towianizm niekiedy na stronę osuwają...
- Snąć go pociągnął przykład Mickiewicza - zauważyłem.
- Nie... Widok pewien, w którym liczy na ciebie.

Zdziwiło mnie to bardziej jeszcze, niż wiadomość o objęcia przezeń dowództwa. Słyszałem o Kamieńskim najwięcej z relacyj o żartach, jaki na jego rachunek Sadykbasza płodził; ale ani przypuszczałem, ażeby posłuch jaki o mnie dojść mógł do uszów jego.

Jakoż posłuch ów był daty bardzo świeżej, albowiem do uszów Kamieńskiego dostał się przez usta Kozłowskiego i, co więcej, zdecydował Kamieńskiego na przyjęcie ofiarowanego mu przez Zamojskiego dowództwa. Wahanie się jego rozstrzygnęła na stronę przyjęcia udzielona mu przez Kozłowskiego wiadomość o istnieniu Polaka, znającego ujście Dunaju i przeprawy przez tę „słowiańską" rzekę. Polakiem tym byłem ja. Losy na wiosnę r. 1853 rzuciły mnie były do Tulczy, dokąd w czasie mego w tem mieście naddunajskiem pobytu, przysłany został z Konstantynopola, z seraskieratu młody oficer, nazwiskiem Alibej, sturczony Niemiec, uczeń tureckiej szkoły inżynierskiej, z poleceniem sprawdzenia na gruncie mapy ujść Dunaju. Przysłano go bez pomocników i bez instrumentów. Znalazłszy się na miejscu i nie wiedząc co począć, zwrócił się do przebywających tam Polaków i ci wskazali mu mnie, jako osobnika, mogącego w rzeczy tej przydatnym być. Wzięliśmy się we dwóch do roboty z jedyną starą jakąś mapą w ręku.

Rozpytując przewoźników, rybaków, łapaczy pijawek, myśliwych i kogo się dało, zwiedziliśmy, zaczynając od Isakczi, trzy główne ramiona ujściowe Dunaju, oraz objętą przez nie przestrzeń ogromną, złożoną z porośniętych wierzbiną, łoziną, oczeretami i wszelakiem wodnem zielem, mokrzydeł, podzielonych na wyspy, poprzerzynane kanałami i napełnione jeziorami i jeziorkami.

Zabrało to nam czasu sporo, oznajmiło nas jednak wcale dokładnie z tym labiryntem dunajskim. Chwaliłem się tem przed spółziomkami w Konstantynopolu. Ztąd o osobliwości tej wiadomości Kozłówski mógł Kamieńskiemu udzielić. Ale - cóż w niej wahającego się pułkownika pobudzić do przyjęcia dowództwa mogło?

- Kamieński - tłumaczył mi Kozłowski - kiedym mu perswadował, że wypada, ażeby Polak rzetelny i człowiek ani za żołdem, ani za karyerą goniący, w tej bądź co bądź polskiej organizacyi stanowisko wpływowe zajął, odpowiedział mi, iżby to uczynił, gdyby zachodziło jakie do prawdy podobieństwo, że organizacya ta przyda się na co...

- Na wkroczenie do Polski... - odrzekłem mu.

Kamieński się we mnie wpatrzył, a jam mu wykładał, iżby to się zrobić dało z Warny, skąd przemarsz do Dunaju nie jest bardzo daleki.

- Pomiędzy Austryaków?... - wtrącił.

- Nie, pomiędzy Moskalami... - odrzekłem i opowiedziałem mu o swoich z AliBejem studyach przepraw na Dunaju.

Kamieński zapalił się do myśli wyrządzenia sprzymierzonym zbytka przez wprowadzenie pułków jazdy na Podole i wywołanie na Rusi prawodnieprskiej powstania, którego powodzenie umożliwiały dwie równie ważne rzeczy: usposobienie ludu rozjątrzonego na rząd skutkiem nieludzkiego poskromienia r. 1865 buntu chłopskiego na Ukrainie, oraz ogołocenie prawie zupełne kraju z wojska. Powstanie w warunkach takich, musiałoby na kierunek i tok wojny oddziałać tem mocniej, że Niemcy dzisiejsze były wówczas jeszcze skromnemi Prusami, Rosya zaś nie doszła była, dzięki nie tyle przyjaźni francuskiej, co francuskim pieniądzom, tej powagi i takiego znaczenia, jakiem się cieszy obecnie.Znaczenie jej owoezesne nie obniżało znaczenia sprawy polskiej w opinii publicznej świata cywilizowanego.

Powstanie przeto w Polsce było tak w r. 1855 jak w r. 1856 (przed podpisaniem w Paryżu pokoju), na czasie. Jest to dowód jeden więcej, że się nam nastręczają okazye, z których - niestety - korzystać nie umiemy. Winniśmy to przypomnieć sobie.

Celem wykorzystania więc okazyi, Kamieński przyjął propozycyę Zamojskiego, przyjechał do Konstantynopola i z Konstantynopola udał się do Warny, gdzie objął dowództwo dwóch pułków jazdy. Za jego przykładem na dowódcę ułanów przyjechał wsławiony na Węgrzech Władysław Poniński. Pułki pod naczelnikami takimi zyskały od razu na - jeżeli tak wyrazić się wolno - akcencie, jakiego nadać nie byli w stanie kozakom i dragonom sułtanskim formowiini wedle modelu Nekrasy (z romansu p. t. „Wernyhora") przez Sadyka baszę wodzowie.

Ci, gdyby się byli na Ukrainie z dobrą pojawili nowiną, byliby jeżeli nie co lepszego, to to przynajmniej sprawili, że w Paryżu nie zapomnianoby, a raczej nie przemilczano umyślnie o Polsce i o jej do bytowania samoistnego prawach - a może i o dostatecznem praw tych ubezpieczeniu.

Kamieński myślał o powstaniu i energicznie się około postawienia pułków na stopie zupełnego pogotowia wojennego krzątał.

O przejeździe jego przez Konstantynopol nie wiedziałem nawet i nie widziałem się z nim. Czekałem na wezwanie, które dojść mnie miało przez Kozłowskiego. Dochodziły mnie tymczasem takie z Warny wieści:

- Oto pułkownik!... Oto kawalerzysta!... Ten prowadzi... no!...

Poprowadziłby z pewnością, gdyby mu w poprzek nie stanął pokój... zawarty za zbyt pośpiesznie nietylko wobec zamiarów powstańczych Kamieńskiego i interesu Polski, ale i wo-

bec interesów ludzkości. Obrady kongresowe w Paryża miały na względzie gabinety, ale nie narody.

Pokój ów zirytował Kamieńskiego. Jak skoro się o nim dowiedział, wnet się do dymisyi podał i na wzbraniającym się dla jakichś machinacyj dyplomatycznych udzielić mu jej Zamojskim gniew spędził.

Skutkiem zajścia jakie stąd wynikło, nakazanem mu zostało wyjechać z granic państwa ottomańskiego. Do wyjazdu pozostawał mu dzień jeden oczekiwania w Konstantynopolu na odejście statku i w tym dniu wieczór cały spędziłem z nim w towarzystwie Koztowskiego. Przy powitaniu ten jeno zamieniliśmy ze sobą wyraz:

- „Nie udało się”...

Mówiliśmy następnie o różnych rzeczach, między innemi i o towianizmie, ale krótko, pobieżnie. Przypominam sobie, że Kamieński reklamował dla świata duchowego należne mu prawa, czemuśmy nie przeczyli.

Raz jeszcze w życiu spotkałem się z nim w r. 1863 na bulwarze włoskim, gdym po wyprawie mojej kostengalskiej, na Paryż wracać, na teatr powstania musiał.

- Ah! dobrze, żem cię spotkał... - zawołał, dłoń mi ściskając. Mam ci słów parę powiedzieć.

I mówił mi o używaniu w ataku lancy.

Postać jego w pamięci mi pozostała pomimo, żem go raz wieczorem przy świecy, drugi raz przelotnie na ulicy widział. Są jednak postacie ludzkie, w pamięć się wrzynające. Mikołaj Kamieński, mąż wzrostu średniego, rysów oblicza nie frapujących, w oczach mi stoi z wyrazem dziwnie ujmującej dobroci, w przeglądającem z siwej źrenicy wejrzeniu.

Pod koniec żywota, jak o tem z drukowanych u Żupańskiego w Poznaniu r. 1872, jego „Wspomnień starego żołnierza” wnioskować można, z towianizmu otrząsł się zupełnie.

LEONARD RETTEL.

Towiańczyk po towiańczyku, po żołnierzu - uczony. Kamieński przypomniał mi Rettla, z którym się blisko znałem i któremu tytuł uczonego należy się słusznie. Może nawet wśród towiańczyków był on - nie czyniąc wyjątku dla wielkich naszych - najuczeńszym. Przypuszczenie to czynię ściśle w znaczeniu przypuszczenia, bez najmniejszej do orzekania stanowczo pretensyi. Towiańczyków znałem nie wielu. Zetknąłem się razy kilka z Bońkowskim, zrazu bardzo dla mnie uprzejmym - tak nprzejmym, żem go podejrzewał o chęć zwabienia mnie do szeregów. Nabielaka nie znałem, a z dokonywanych przezeń i drukiem ogłaszanych tłumaczeń, oraz z kilku oryginalnych prac piśmiennych, dokładnego o uczoności jego pojęcia powziąć nie można.

Kogóż jeszcze z grona tego znałem ? - a! RuStejkę; moja z nim jednak znajomość odnosiła się do epoki, w której on, świeży z uniwersytetu dorpackiego zbieg, o towianizmie nie myślał jesz;ze; następnie spotykałem go w Paryżu uleczonego, jak się zdaje, z towianizmii. Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, widzieć zdaleka nawet zaszczytu nie miałem. Z jednym Rettlem losy mnie zbliżyły tak, żeśmy ze sobą po koleżeńsku byli. Nastąpiło to w r. p. 1866 czy 67.Emigracya, po upadku powstania styczniowego, była się na wzór i podobieństwo rozwiązanego Towarzystwa demokratycznego zorganizowała, w towarzystwo pod nazwą Zjednoczenia. Zjednoczenie posiadało organ własny .Niepodległość", redagowany przez komitet Gdym w r. 1866 w Brukseli zamieszkał, komitet redagowanie pisma tego mnie powierzył. Objąwszy redakcyę, poszukiwałem współpracowników. Nie przypominam sobie kto wskazał mi Rettla, nauczył, jak się z nim rozmówić mam i ostrzegł, ażebym mu na honoraryum zaliczek nie dawał.

Nie pamiętam kiedym i jak z nim po raz pierwszy znajomość zabrał. Wspólnego pomiędzy nami było to, żeśmy obaj w „Gazecie Warszawskiej" naszych myśli przędzę i naszych uczuć kwiaty, o ile na to cenzura pozwalała, składali. Zdaje mi się przeto, że kiedym się w grudniu r. 1863 obronną z więzienia austryackiego wydostał ręką i do Paryża przybył, już Rettla osobiście znałem. I nietylko go znałem, alem się z nim schodził. Smakowało mi towarzystwo tego belwederczyka, powierzchownością swoją nie zdradzającego ani rycerza, ani spiskowca. Rycerskości nie odpowiadała postawa: wzrostu prawie małego, pękaty, bez chmurnych na czole fałdów, bez groźnego na obliczu wyrazu, śmiesznieby czy to w pancerzu, czy też w mundurze, do miecza przywiązany, wyglądał. Postawa oraz, w połączeniu z akcentem, jaki jej nadawały: drobna twarz, nie wysokie czoło, rudawy zarost i złośliwością uśmiechnięta, przez małe przeglądająca oczki, dobroduszność, nie pozwalały go o spiskowość podejrzewać. Za każdym prawie razem, gdym na niego patrzał, przychodziło mi na myśl zapytanie: ,1 ten to człowieczek spiskował - i porwał się na... zamordowanie tyrana?"

- Czyś ty krzyczał: „śmierć tyranowi!", wpadłszy do Belwederu? - pytałem go razy parę.Na zapytanie to odpowiadał uśmiechem filuternym.

Zdaje mi się, ba, pewny tego jestem, że w r. 1864 zagiął był na mnie parol, albowiem na towianizm mnie wyraźnie namawiał. Wymawiałem się mu oczekiwaniem, aż łaska boża na mnie spłynie, na co mi raz odrzekł:

- Eh... nic lepiej...

- Więc ci powiem otwarcie - powiedziałem - nauka wasza do mnie nie przystaje... nie rozumiem jej...

- Chcesz, żebym ci wytłumaczył?..

- Owszem...

- Przyjdę do ciebie na jaką godzinę... Dobrze?

- Ależ bardzo dobrze!...

Umówiliśmy się o dzień i godzinę. Dostałem od niego pozwolenie zaproszenia na wykład ten wuja żony mojej, Aleksandra Potockiego, o którego ciekawości zapoznania się z doktryną towianizmu, wie* działem.

Zeszliśmy się i Bettel doktrynę nam wyłożył. Nie wyłożył, ale wykładał z górą godzinę. Za wstęp do wykładu służył pogląd na uznawany przez mora listów wogóle za smutny stan moralny ludzkości, zwłaszcza zaś świata chrześcijańskiego.

Stan ów pochodzi od przewagi, jaką sobie zdobyło ciało nad duszą. Powinno być przeciwnie dlatego że taką jest wola boża, którą Bóg, pozostawiający człowiekowi wolę czynienia dobrze lub źle, objawia w momentach, gdy zepsucie dochodzi stopnia oślepiającego, jakiego doszło było w momencie największej cesarstwa rzymskiego potęgi.

Wolę swoją wówczas Bóg objawił przez zesłańca swego, Chrystusa, którego poprzedził Mojżesz. W przerwach, momenty takie dzielących, Bóg zsyła ostrzeżenie, dokonywane przez ludzi bądź nauczających, bądź karzących: pierwszym udziela natchnienia, drugim daje rózgę w ręce. Do pierwszychnależą apostołowie, ojcowie kościoła, męczennicy za wiarę, do drugich naczelnicy państw, monarchowie, często tyrani.

Punkt ten, któremu ortodoksya religijna nic - jak się zdaje - do zarzucenia nie ma, posłużył mu za wstęp, usprawiedliwiający przyjście Towiańskiego, natchnionego duchem bożym mesyasza, powołanego do nauczania w momencie, gdy miarka zepsucia wyrównywa tej miarce, jaka spowodowała przyjście Chrystusa. Dla odmalowania miarki owej przytoczę przyrównanie, do którego się Rettel uciekł. Ludzkość, składająca się w części ogromnie większej z ludu pracującego, krzywdzonego, wyobrażeniem którego jest najnieszczęśliwszy z chłopów chłop litewski, przedstawił pod postacią ciągnącego ciężar olbrzymi, zbiedzonego, wychudłego, zgłodniałego, spragnionego konia. Ciężar ciągnie koń - pokorny, w nadziei, że się doczeka garstki siana i trochę wody. I ludzkości, wydanej na pastwę rozpusty lub, jak Polska, w niewolę babylońską oddanej, nadzieja obruku duchowego przyświeca. Z obrokiem tym, będącym tą dobrą nowiną, która duszę wzmacnia, przyszedł Andrzej Towianski. Nie zamierza on nic zmieniać, przerabiać, tylko chrześcijanizm podnieść, poprawić, uduchowić, zapewnić duszy należną jej nad ciałem przewagę.

Potąd przykład jego był zrozumiałym. Zaciemniły go szczegóły, odnoszące się do duszy, a tłumaczące się za pomocą tonów, drgnień, barw duchowych, pokutniczych dusz wędrówek itp. osobliwości, odróżniających towiańczyków od śmiertelników zwyczajnych.

Nie pomyślałem wówczas, ażeby mi się kiedyś przydać mogło podanie wykładu tego do wiadomości publicznej, nie znotowałem więc tych przenośni, porównań i przypowieści, jakiemi on przepełniony był. To jeno dokładnie pamiętam, że mnie te, w labirynt niby wprowadzające, przenośnie, porównania i przypowieści ani nie przekonały, ani oświeciły, pomimo,żem je w milczeniu, z natężoną słuchał uwagą. Potocki zadawał zapytania; jam się nie odzywał. Pod koniec w głosie Rettla wzruszenie czuć się dawało. We wzruszeniu pożegnał nas.

Po odejściu jego milczeliśmy chwilę sporą. Milczenie przerwał Potocki zapytaniem:

- No i cóż?... zrozumiałeś?... Ramionami wzruszyłem.

- Bom i ja nie zrozumiał nic a nic... - odpowiedział, jakby niemą moją odpowiedź potwierdzając.

Tak na nieopanowane przez mistycyzm i nie lubujące się w odgadywaniu zobrazowanych w Apokalipsie zagadnień umysły, jakie gnieździły się w mózgach pana Aleksandra i moim, oddziaływała mesyanistyczna przez Towiańskiego wprowadzona doktryna. Była ona zagadkową i niejasną i dlatego niewybrańče, którzy stanowili ogół emigracyjny, na nią, jak ja, ramionami wzruszali. Nie można jednak mówić, ażeby ona po sobie śladów nie zostawiła. Mistycyzm czepia się umysłów niespokojnych, trapionych zagadnieniomanią, jakim się stał, najbogatszą i najpotężniejszą wśród poetów naszych wyobraźnią obdarzony umysł Słowackiego, gdy się w cielesnym organizmie jego suchoty rozwinęły.

Utwory autora „Beniowskiego", „Ojca zadżumionych", „Kordyana", „Grobu Agamemnona", z czasów mocno towianizmein podszytego, stanu jego chorobliwego, stały się obecnie dla zasilanego obficie suchotami i newrozą modernizmu poetycznego ewangelią. Udzieliło się to znów jednak, jak w czterdziestych i pięćdziesiątych XIX wieku latach, wybrańcom tylko - wybrańcom, różującym się od dawniejszych tem, że tamci nie chcieli, ci zaś chcą, ażeby ich nie rozumiano.

Rettel szczerze chciał dać się dwom osobnikom, bądź co bądź nie idyotom, zrozumieć i nie dokazał tego nie z winy własnej, ani z winy słuchaczy, ale z tej racyi, że słuchacze jego nie posiadalitego w dnszy narządu, co, jak w instrumentach muzycznych, nadaje się do nastrajania. Narządem tym jest wiara, a raczej skłonność do wierzenia. Skłonność tę jedni posiadają, drudzy nie (tym drugim wiara nakazywać się daje). Rettel ją posiadał, jak Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Nabielak, Bońkowski i inni, ale nie wszyscy, a w drobnej jeno mniejszości śmiertelnicy.

Doktryny tego, co mesyanizm rodzaju, nie rozumienia, lecz wiary wymagają. Wiara zaś nie wyrozumowuje się, ale nastraja, przelewa, rozbudza. Rozbudzenie przeto wiary zapomocą dowodzeń rozumowych, takiemu nawet jak Rettel, człowiekowi rozumnemu, powieść się wobec ludzi, niezaopatrzonych w narząd odpowiedni, nie mogło.

W trzy lata później, gdym redakcyę organu Zjednoczenia objął i zamówić Rettla na spółpracownika zapotrzebował, radzono mi, ażebym się do tego brał ostrożnie dla dwóch głównie powodów:

l) dla zaliczek, o których Rettel zapomina, 2) dla Towianizmu, zabraniającego adeptom swoim bawić się w literaturę.

- Przecież Rettel pisuje do „Gazety Warszawskiej".

- Tak... zapewne; jest to „*le secret du polichinelle*"; zawsze jednak sekret, wymagający rozmówienia się na stronie i po cichu.

Wiedziałem, gdzie się z Rettlem zejść można. W pobliżu „Jardins de plantes" istniała dziurka (tak nazywano po polsku jadłodajnie gatunku podlejszego). której właściciel, człek stary, po grenadyersku zbudowany i po dragońsku wyrazów w rozmowie nie dobierający, był, będąc Francuzem, patryotą polskim. Patryotyzm praktykował, kredytując Polakom.

Karola Pieńkowskiego, który w Warszawie z głodu umarł, w Paryżu zaś, zadłużywszy się w dziurce, na umarcie do łóżka się położył, z łóżka ów Francuz, „bydlęciem" go nazywając, wyciągnął i od śmierci głodowej uratował. W tej to dziurcew godzinie obiadowej zastałem Rettla. Nie widzieliśmy się lat trzy z górą, przy przywitaniu przeto mocnośmy sobie dłonie uścisnęli.

- A więc... powracasz do nas... - zagabnął mnie.

- Namiot mój w Brukseli rozbiłem...

- Czemu nie w Paryżu?...

- Bo... - odpowiedziałem, ilustrując odpowiedź gestem, podobnym zapewne do tych, „genialnych" gestów, jakiemi w drugim akoie .genialnego" dramatu, „Wyzwolenie", maski dyalogi swoje akcentują.

W obecności paru Polaków obiadujących, zawiązała się rozmowa, w ciągu której przyznałem się do redagowania pisma i znalazłem sposobność dania oczami i brwiami znać Bettlowi, że z nim do pomówienia mam. Po obiedzie wyszliśmy razem i w którejś kawiarni, przy „dmitasce", gdy on kurzył „briulgelkę", ja - nie „papierosa" ale - papieros, o współpracownictwośmy się ułożyli. Układ nie nastąpił bez zastrzeżeń.

- Ale, słuchaj... - wtrącił on: tajemnica... Rzecz zostaje pomiędzy nami dwoma...

- To się rozumie... - odparłem.

- Ale, słuchaj... - odezwałem się ja-z „Niepodległości" nie zrób, broń Boże, tego, co Mickiewicz z katedry w „College de France" zrobił...

- Za kogóż ty mnie masz?... - odparł. I współpracowaliśmy ze sobą lat parę w zgodzie zupełnej. Opracowania jego tchnęły duchem tej garstki, co wieczorem dnia 29 listopada r. 1830, przebiegała z karabinami w ręku, z okrzykiem:

„Śmierć tyranowi!", opustoszałe, ciszą strachu zalane komnaty w Belwederze. W „Niepodległości" propagował walkę o niepodległość Polski „usque ad finem".

Po latach tylu trudno mi wskazać pisane przezeń artykuły. Pamiętam jeno rozbiór obszerny dzieła p. t. „Henri de Yalois", przez E. V. H. markiza de **Noailles**, żonatego z Polką, Lachmanówną, l yoto Szwejkowską, dla której się po polsku nauczył i napisał wyżej wymienione dzieło, zatytułowane imieniem tego króla francuskiego, co od tronu polskiego ucieczką się ratował. Na tej markiza de Noailles pracy podpisanem być powinno, obok nazwiska autora wymienionego, nazwisko pracownika, który część pracy trudniejszą: wyszukiwanie i zestawianie źródeł, zestosowywanie następstw z przyczynami, układanie treści, wiązanie całości - odrobił.

Pracownikiem tym był nasz pan Leonard. Jako towiańczyk nie przyznawał się do udziału, jaki wziął w napisaniu książki, która w czasie swoim wrażenie w świecie naukowym sprawiła.

W czasie owym, na emigracyi, i nietowiańczycy do tego się sposobu zdobywania kawałka chleba uciekali. Wieści krążyły, że opracowywaniu dzieł naukowych, wydawanych nie pod jego nazwiskiem, oddawał się sławny Ibuś (I. B. Ostrowski), dla którego towianizm był przedmiotem najzjadliwszych złośliwego pióra jego wycieczek.

Rettel w towianizmie był prawowiernym, należał jednak do tolerantów - do tolerantów tej zdaje się kategoryi, która wyznaje, że z niebem układać się można (*il y a des accommodements ayec le ciel*). Bieńkowski do kategoryi tej nie należał. Zdarzali się wśród nich i fanatycy.

A i na Rettla napadały niekiedy momenty, zrozumieć się nie dające.

Wkrótce jakoś po obchodzie pięćdziesiątej wybuchu powstania listopadowego rocznicy, znalazłem się w Paryżu. Obchód dla Belwederczyków, których przy życiu w momencie owym paru jeszcze pozostawało - Rettel, Paszkowski - urządziło miasto Lwów. Rettel do Lwowa był pojechał. O powrocie jego dowiedziałem się od Duchińskiego, który zaprosił mnie na obiad dla spotkania się z również zaproszonym Rettlem. Państwu D. znane były zaehodzące pomiędzy nim a mną zażyłe stosunki. To też zdziwienie ich było wielkie, moje zaś jeszcze większe, gdy Rettel tym razem w ich domu nie przywitał się ze mną i przez cały, przed obiadem, przy i po obiedzie czas udawał, ze mnie nie tylko nie zna ale nie widzi. Nie rozumiałem, coby to znaczyć miało, alem się do tego zastosował; wnet też po obiedzie gospodarstwo pożegnałem, nie zwracając na gościa ich uwagi. Schodzę z trzeciego czy z czwartego piętra powoli. Nimem na następne zeszedł piętro, o słuch mój uderzył szybki za mną chód. Oglądam się: Bettel! Biegiem schodzi i mnie dosięgnąwszy, z okrzykami: „kochany! drogi!" w objęcia mi się rzuca.

- Zwaryowałeś!... co?... - zawołałem, gdyśmy się wyściskali.

- No... no... Nie!... Później... później ci opowiem...

Nic mi później nie opowiedział. Dotychczas nie rozumiem tej odegranej ze mną u Duchińskich komedyi.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Niech to łaskawych sylwet moich czytelników nie dziwi ani gorszy, że do obrazków tych opowiadanych wtrącam osobistość moją. Czynię to z konieczności rzeczy. Na modele do sylwet biorę wyłącznie uczestników powstania listopadowego i to tych tylko, których znałem osobiście, z którymi się bodaj momentalnie stykałem. Reguły tej trzymam się z powodu, że kreślenie sylwet głównie opiera się na wrażeniu; wrażenie zaś osobiste jeno może być rzętelnem.

Nie byłbym w stanie pieśniarza naszego ukraińskiego sylwety nakreślić, gdybym go był przemocą prawie do niego pociągnięty, nie poznał osobiście..

Przemocą mnie pociągnąć trzeba było dlatego, że wielcy poeci, wielcy uczeni, wielcy ludzie, przejmowali mnie czcią, nakazującą trzymać się od nich zdaleka. Skąd to się wzięło ? Z wychowania może poszło. W dzieciństwie niojem wchłaniałem w siebie cześć dla wielkości polskich, a w sercach tych, co cześć tę we mnie wszczepiali, dla Mickiewicza ołtarz stał. Korzyłem się przed nim, nie śmiejąc się o mego ocierać. Od Mickiewicza przytem oddalał mnie towianizm, nie przemawiający ani do przekonania ani do serca mego. Oddalał on mnie i od Goszczyńskiego, a z nimi dwoma i od poetów innych, którymskładanie hołdów ubliżałoby do pewnego stopnia tamtym. Gdym przeto r. 1858 do Paryża przyjechał, o oddawaniu wizyt znakomitościom naszym, poetom zwłaszcza, ani myślałem. Znalazł się jednak osobnik, co o tem myślał. Osobnikiem tym był Stefan Kraszewski, synowiec Józefa Ignacego, urodzony medyator, współzawodnik we względzie tym Stefana Bobrowskiego. Zamierzył on był do jednego arystokracyę i demokracyę sprowadzić mianownika i uwziął się na mnie, a widząc niemożność przeprowadzenia tego otwarcie, próbował drogi pośredniej, zbliżając wybitniejsze w jednym i drugim obozie osobistości „gente Rutheni", w fachu literackim.

- Znasz Karola Sienkiewicza? - zapytał mnie z nienauka razu pewnego.
- Nie... - odrzekłem.
- Jakto?... Karola Sienkiewicza nie znasz?... Karola z Kalinówki... wiesz?...
- Wiem... Tłumacz „Pani Jeziora"...
- Toć on nasz... z Podola... I nie znasz go?
- Nie...
- Powinieneś pójść do niego...
- Nie mogę... Czartoryszczyk...
- Eh... - stęknął. - A u Zaleskiego byłeś ?
- U którego?... U Bohdana?
- U Bohdana...
- Nie znam go...
- Bohdana?!... - wykrzyknął zdumiony. - Toć przecie nasz, Ukrainiec... nasza sława, nasza chluba... Jutro jedziemy do niego...

Zawstydził mnie. Wymówić się nie mogłem.

Zaleski?, rodziną mieszkał wówczas w Fontainebleau. Zajmował niewielki z ogródkiem domek piętrowy. Zastaliśmy go w domu. Przyjął nas w saloniku na dole. Niebawem zeszła pani.

Nie byłem już pierwszym lepszym, miałem bowiem na sumieniu „Wasyla Hołuba", „Handzię Zahornicką", „Z pamiętników włóczęgi", grzechy w tym rodzaju różne inne, a szczególnie „Udział Polakóww wojnie wschodniej", z powodu którego krążyły wieści i plotki o pojedynkach, mianych przezemnie w Konstantynopolu i oczekiwanych w Paryżu. Uchodziłem za coś w guście spadasena i mimo, żem się do tej skłonności nie poczuwał, na wyzwania oczekiwałem. Czyniło ranie to osobistością podwójnie, w literackim bowiem i politycznym względzie, ciekawą, Z tej racyi, a i z tej jeszcze, że z Zaleskim miałem - zaprzeczano nam

obecnie przez Rusinów galicyjskich - prawo Ukrainę matką zwać, spotkało mnie u Zaleskicti przyjęcie uprzejme, serdecznością naakcentowane. Zatrzymali nas na herbatę. Udział pani ożywił rozmowę, toczącą się około polityki i literatury. Państwo Z. wyznawali przekonania demokratyczne, których pani zwłaszcza, Warszawianka bardzo wykształcona, dobra muzyczka, kobieta bardzo miła, była nietylko wyznawczynią, ale i szerzycielką gorliwą.

Schodziła więc mowa i na arystokracyę i demokracyę emigracyjną, wywołując dyskusyę spowodowywaną inedyatoryzmem Kraszewskiego. Bohdan, powściągliwy zrazu, na dobre się rozgadał, dzięki nastręczonej bodaj czy nie praezemnie materyi, tyczącej się głośnego naonczas listu do Juliusza Strutyńskiego, którego autorem był Michał Grabowski. Z Grabowskim Zaleski i w Humaniu i w Warszawie kolegował, znali się i przyjaźnili; miał o nim sporo do opowiadania: o jego charakterze, gustach, skłonnościach, o pierwotnej gorącości patryotyzmu polskiego, o zdziwieniu, jakie w nim, Zaleskim, wywołała wiadomość o liście owym.

- Nie chciałem temu zrazu wierzyć... - powtórzył razy parę.

Widocznem było, że bolał go postępek kolegi, uważany dziś, w mniemaniu różnych „krajowych", „czasowych" i innych „ejusdem farinae" kierowników opinii publicznej za rzecz dopuszczalną a nawet chwalebną, który jednak w czasach owych zazdradę uchodził. Powiadano niegdyś, że „ginął jak pies, kto zdradą zaczynał".

Do kategoryi mężów psim zagrożonych losem, zaliczano w szóstym XIXgo wieku dziesięcioleciu: autora listu „*d'un gentilhomme polonais*", autora „Listopada" i innych, dziś rozgrzeszonych. Nie rozgrzeszali ich Zaleski i jego pani, nie rozgrzeszałem ja, nie rozgrzeszał nawet usiłujący demokracyę z arystokracyą do jednego sprowadzić mianownika i wybaczający z łatwością grzechy pomniejsze, Stefan Kraszewski.

Materya ta przyćmiła dobry humor, który się następnie, gdy na stół poezya wytoczoną została, odnalazl - i znów się obniżył. Obniżenie ja - niestety - sprowadziłem, nie domyślając się tego. Na szczęście stało się to w momencie, gdy powracającym z Fontaineblau do Paryża trzeba się było na pociąg już wybierać. W wagonie Kraszewski zapytał mnie o wrażenie, jakie na mnie Bohdan Zaleski sprawił.

- Dobre... - odrzekłem. Bardzo dobre... tylko...

- Zdziwiło cię jego nagłe spochmurnienie...- podchwycił.

- Taak...

- Wiesz, skąd to poszło?...

- Nie wiem...

- Zagadałeś o Słowackim. Gdybym siedział obok ciebie, byłbym cię trącił, ażebyś Słowackiemu dał pokój... Wielcy nasi mocno się na niego krzywią. Mickiewicz za to, że się mu zaćmić nie dał, znieść go nie mógł. Zaleski wybaczyć mu nie może wystosowanej pod adresem Rzymu do Polski apostrofy:

„Krzyż twym papieżem jest, twa zguba w Rzymie".

- Ph!... - pod nosem bąknąłem.

- Cóż chcesz!... - w sensie obroku duchownego odezwał się Kraszewski. Ludzie ludźmi: najwięksi mają słabości swoje... Czy myślisz, że ludzi bez żółci dużo na świecie?...Pierwsza u Bohdana Zaleskiego bytność moja mimo, ze od czasu onego lat czterdzieści pięć upłynęło, w pamięci i w oczach żywo mi stoi. U nas bowiem, na lewobrzeżnej w odniesieniu do Dniepru Rusi, Bohdan w wysokiej był cenie. Jak Litwa się Mickiewiczem, tak Ruś Zaleskim chlubiła. Przyjęcie, jakiegom w domu jego doznał, za wielki miałem sobie zaszczyt - wpatrywałem się w niego, wsłuchiwałem się w mowy jego tony. Było to nie studyowanie, jakiemu oddają się znawcy wobec dzieł znakomitych pędzla lub dłuta, ale wbijanie sobie w pamięć fizyognomii znakomitości, którą szczyci się cała jedna duża ojczyzny naszej dzielnica.

W Paryżu, mnie nie licząc, znajdowało się w czasie owym czterech „gente" Rusinów, piórem władających: Goszczyński, Karol Sienkiewicz, Olizarowski i Bohdan Zaleski. Od Goszczyóskiego zdaleka się z racyi towianizmu trzymałem; z Olizarowskim zeszedłem się był,

alem nie znalazł w nim Olizarowskiego takiego, jakim przedstawiałem sobie autora „Zawieruchy", „Tupirgóry", lecz z powoda zapewne trzymania się klamki Hotelu Lambert, obywatela sfilistrzałego. Stefan Kraszewski zaciągnął mnie do Sienkiewicza, u którego przyjęcia doznałem uprzejmego i piłem herbatę, podawaną mi przez panią z takim w oczach i na obliczu wyrazem, który mówił, iżby wolała nigdy fizyognomii mojej nie oglądać. Pozostawał więc jeden, jedyny Zaleski, w którym odczuwałem duszę swojaczą, ożywiającą lepiankę doczesną Ukraińca rzetelnego, Ukraińca, co w młodych latach „nocą na rumaku zbiegał pysznej Kafy gruzy, step tumanny KatajUzy, aż do mętnych pól Budziaku"; na starość zaś, z lirą w ręku chodził od wsi do wsi, siadywał ca przyzbach włościańskich i wystosowawszy do gospodarza chaty apostrofę: „Ne żury sia, mij choziaju, ja zadatkom ne idu, Ot tak sobi zaspiwaju, zaspiwaju, ta pidu" - w otoczeniu parobczaków i dziewcząt wiejskich, w dumkach własną wspominał młodość, „gdy wciełona fantastycznych krain córa, czarodziejka, lekkopióra, sama zbiegła mu w ramiona".

W r. 1858 Zaleski liczył wieku lat pięćdziesiąt sześć - wyglądał już na starca, ale na starca krzepkiego. Tej samej co on porody starców w klasie chłopskiej widywałem mnóstwo, a ponieważ pamięcią sięgałem czasów powstanie listopadowe poprzedzających, w oczach więc mi podobni do niego stawali i dotychczas stają lirnicy. Prześladowanie ich przez Moskwę, usiłującą Polaków i Buś zmoskalić, jak Niemcy usiłują Polaków i Czechów zniemczyć, rozpoczęło się naprawdę dopiero po r. 1831. Przedtem po kraju krążyli swobodnie i w lat dziesięć po opuszczeniu przezemnie ściślejszej ojczyzny mojej, typ ich w Fontainebleau przedstawił się mi pod postacią poety polskiego.

Lirnika ukraińskiego był on obrazem żywym. Wzrostem nie duży, krępy w sobie, barczysty, osobą swoją nie wydawał cechującej i charakteryzującej utwory jego lekkości pyłkowej. Język poetyczny polski zawdzięcza mu giętkość i śpiewność, w czem mu wielcy nasi nie dorównali; poeci zaś doby ostatniej, którzy technikę wierszowniczą do najwyższej doprowadzili doskonałości, nie przewyższają go. Nie wiem, czy on utwory swojo opracowywał, ogładzał. Gładzenia na nich nie znać. Czytelnikowi takie sprawiają one wrażenie, jakby tworzył je na nutę melodyi powietrznej, wygrywanej na instrumencie o strunach z promieni księżycowych.

Dopókim żywemi oczami nie popatrzył na Józefa Bohdana Zaleskiego, na „Bohdanka", na „słowiczka ukraińskiego", wyobrażałem go sobie takim lotnym, lekkim, jak jego utwory, zaopatrzonym nie jak my, śmiertelnicy zwyczajni, w cielesne, ciężkie ruchu organy, ale w „piórka", które, jak sam o nich powiedział, po nim u mogiły jego zostaną, a które czasu jego na ziemi pobytu, „ku niebu go wznosiły"...

Wznosiły w rzeczy samej, nie cielesną jednak,ale duchową istotę jego, tę, co wytwarzała dla niego ideał „wiary, cnoty i miłości i swobody". Cieleśnie nie różnił się on od tysięcy innych Ukraińców, Podolaków, Wołynian, którym matka natura pieśniotwórczego nie udzieliła daru, których jednak obdarzyła zamiłowaniem pieśni.

Dzięki zamiłowaniu temu, niewypowiedzianie wdzięczen byłem Kraszewskiemu za to, że mnie do Zaleskich zaprosił. Po powrocie od nich przemyśliwałem nad powtórzeniem wizyty. Ułatwił mi to Zaleski sam, rewizytując mnie. Począłem więc u pp. Zaleskich bywać, co dało mi możność rozpatrzenia się nieco w trybie ich życia domowego.

Panią zajmowały dzieci, małe natenczas - najstarsze liczyło lat dziewięć najwyżej, a było tego bodaj czy nie czworo: trzech chłopców i dziewczynka. Chłopcy odznaczali się swawolnictwem niezrównanem, wymagającem nieodstępnego nad niemi czuwania. Kaź w obecności mojej jeden, schodząc ze schodów na rękach nogami do góry, upadł i nos sobie rozbił, drugi, wlazłszy do zawieszonego pod strzechą przybudówka w ogrodzie wiaderka, z wiaderkiem się urwał i srodze się potłukł.

Do Fontainebleau przyjeżdżałem pociągiem popołudniu i po dwóch godzinach odjeżdżałem z powrotem. Niekiedy nie zastawałem Bohdana, spędzałem więc czas z panią. Zwykle z gości nie zastawałem nikogo i nie domyślałem się, ażeby okrom dwojga państwa Zaleskich,

ich dzieci i służącej, kto więcej w piętrowem z ogródkiem domku zamieszkiwał. Razu pewnego przyjeżdżam, dzwonię i od służącej co drzwi otworzyła dowiaduję się, że ani pana, ani pani; ani dzieci w domu niema.

- „Partis pour Paris..."

Miałem już na lewo w tył zwrot wykonać, celem błądzenia godzin parę po miasteczku i okolicy, gdy służąca dodała:

- „Le vieux monsieur est la..."- „Un polonais - zapytałem?".

- „Mais oui..."

Wszedłem. Dziewczyna mnie na piętro wprowadziła i drzwi pokazała. Zapukałem; na wołanie: „entrez!" - wszedłem i znalazłem się wobec stojącego na środku siwego, słusznego, o minie marsowej jegomościa, który mi dłoń podał. Pozdrowiwszy go dłoni mojej uściskiem, powiedziałem mu nie literackie, ale rodowe nazwisko moje. Jegomość odstąpił kroków parę, zmierzył mnie wejrzeniem od stóp do głowy i zapytał:

- Gzy nie syn Józefa?...

- Józefa... - odrzekłem.

Imienia tego wymienić jeszcze nie zdążyłem, gdy szyję moją ramiona jegomości otoczyły i do piersi swojej mnie przycisnęły. W uścisku tym słyszałem wyrazy: - Kolega!... kolega!... Szesnasty... ułanów... W wyrtzach tych głębokie czuć się dawało wzruszenie, którego powód dokładnie później się mi w rozmowie wyjaśnił. Jegomość był to Józef Zaleski.

Z podań o Bohdanie wiedziałem o dwóch Zaleskich: Józefie Bohdanie i Józefiie, uchodzących z razu za braci, a trzymających się jeden drugiego silniej niż bracia rodzeni, na wzór bowiem zrosłych ze sobą braci Shimskich. Nie rozstawali się, nie ruszali jeden bez drugiego. Głęboko religijni, silnie wierzący. gdy PO upadku powstania listopadowego, do Francyi się wraz z innymi dostali, o losy Polski zrozpaczeni, ratunek dla niej widzieli nie w dyplomatycznolegalnych zabiegach, nie w demokratycznorewolucyjnej działalności, ale jedynie i wyłącznie w modlitwie. W przekonaniu tem, powzięli postanowienie wstąpienia razem do klasztoru, wybierając zakon reguły jednej z najostrzejszych - Trapistów. Na przeszkodzie w wykonaniu postanowienia tego stanęła - któżby inny? - niewiasta, panna Bosengarten z Warszawy, córka wynalazcy sławnych w czasie swoim, „rozengartenowskiemi" zwanych, pierogów. Urokowi jej uległ Bohdan. Starszemu od niego i przed powstaniem jeszcze z Poniatowską (jeżeli się nie mylę, może z Hołowińską) ożenionemu Józefowi, na rozstanie się z nim siły i odwagi zabrakło. Ci się pobrali; on przy nich na zawsze, w charakterze zakonnika świeckiego, w roli brata starszego pozostał. Rola brata następnie, gdy Bohdanostwu dzieci rodzić się poczęty, zmieniła się na rolę dziadunia.

Dziadunio - częściej „petit pere", ..petit papa" (dzieci bowiem Zaleskiego, jak dzieci Mickiewicza i wszystkich prawie z r. 1831 tych wychodźców. którym losy z Polkami pożenić się pozwoliły, albo język polski z francuska kaleczyły, albo po polsku wcale nie mówiły) pędził żywot modlitwie i dobrym oddany uczynkom. Od towarzystwa usunął się zupełnie niemal, zajmując w odniesieniu do swoich stanowisko Miecznika, jakie ten zajął po śmierci córki („Marja" Malczewskiego): „Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem - a zresztą jednaki".

Z ojcem moim kolegował i przyjaźnił się w postawionym kosztem dwóch obywateli z Wołynia - Kzyszczewskiego i Marcina Tarnowskiego - szesnastym pułku ułanów. Razem odbyli kampanie 12 i 13 r. Gdy ojciec mój, zamieszkawszy i gospodarząc na Podolu, do Kijowa na kontrakty jeździł, w podróżach tych zajeżdżał w odwiedziny do mieszkającego w majątku własnym, położonym nieopodal od traktu, kolegi. Ojciec mój z nim kolegował w wojsku, ja z synem jego w szkołach. Ostatnia ta racya stała się „raison de plus" zbliżenia się naszego. Po pierwszem spotkaniu, gdym w zamiarze odejścia na pociąg na zegarek popatrzył:

- O!... - zawołał - nie puszczę dziś ciebie...

Ten dzień - i następny i, po następnym, jeszcze jeden w Fontainebleau mnie zatrzymał. Z nim wyłącznie prawie czas ten spędziłem. Oprowadzałmnie po okolicy. Przesiadywaliśmy w

sławionym przez paryżan lesie, na długich o sprawie polskiej, o obowiązkach naszych, o młodzieży, o przyszłem powstaniu, o stosunkach na emigracyi i w kraju i o religii z punktu filozoficznego rozmowach. Poznałem w nim człowieka światłego, oczytanego, przejętego wiarą religijną dzierinną i nad wyraz wszelki skromnego. Bohdanem się zasłonił, a raczej zanim się ukrył - przez niego i dla niego żył. Domyślać się, a może przypuszczać się godzi, że w tem służeniu Bolidanowi tkwiła intencya służenia przez nieo Polsce. Największe, chlebem powszednim nie zasilane, talenty marnieją.

Józef z powstania wyszedł ze stopniem majora. O majorze Zaleskim ludzie słyszeli; mało go kto osobiście znał. Po wybuchu powstania styczniowego żywo się niem zainteresował. Zalescy natenczas przenieśli się byli do Paryża, zamieszkali na Batignolach. Józef na zdrowiu zapadł; odwiedzałem go w r. 1864 i odwiedziłem w dniu, w którym skonał.- W momencie konania, gdy mnie przed sobą ujrzał, ręce wyciągnął i, dłonie modlitewnie składając, wołać począł:

- Nie mordujcie!... na Boga, nie mordujcie!.. Odnosiło się to do szpiegów, których w czasie owym liczba nie mała pod sztyletami żandarmeryi powstańczej padała.

Pożegnał mnie znakiem krzyża. Po śmierci Józefa, czasu bez oglądania Bohdana upłynęło mi sporo - lat z górą dwadzieścia. Odwiedziłem go w Villepreux. Owdowiały po żonie i osierociały po córce, wydanej za drą Okińczyea, mieszkał z wnuczką przy tym ostatnim, powtórnie z panną Krechowiecką, siostrą księdza i redaktora „Gazety Lwowskiej" ożenionym. Był to już, o osłabionym wzroku i przytępionym słuchu, starzec - starzec zgrzybiały. Do połowy pierś obfita zasłaniała mu broda, nadając osobistości jego charakter typowej dziada ukraińskiego postaci. Dziady podobni dawniejz lirami chodzili, albo, gdy im zdrowie służyło, funkcyę pasieczników pełnili. Dziś rządy ojcowskie (?), o szczęście przezywanych Rossyanami Rusinów dbające, lirę im z rąk wydarły. Pasieczników z pasiek wygnały ule Dzierżona, wprowadzając na miejsce ich entomologów.

Entomologowie wielkie zapewne w pszczelnictwie niosą korzyści; czy jednak który z nich potrafiłby, jak pasiecznik z pod Kaniowa, u którego, jak podanie głosi, wychował się Bohdan Zaleski, wyhodować poetę?... Żal zbiera, gdy się pomyśli o pieczołowitości rodzicielskiej Moskwy, która dla dobra (?) Rusi wygubiła w niej lirników, oraz o tej gałęzi naukowej, która z pasiek ukraińskich kazki, bajki i pieśni wypłoszyła.

SEWERYN GAŁĘZOWSKI.

Śród emigracyi polskiej w r. 1831 postacią jedną z najwybitniejszych był dr. medycyny i chirurgii, Seweryn **Gałęzowski**. Zeszedłem się z nim po moim z Konstantynopola do Paryża przyjeździe (r. 1858) w jakimeś - dobrze nie pamiętam, interesie publicznym, o którym był uprzedzony, albowiem na mnie u siebie w mieszkaniu o godzinie porannej czekał. Gdym się wobec niego znalazł, od pierwszego nań oka rzutu, byłbym w nim, chociażbym o tem nie wiedział, poznał profesora. Słuszny, szczupły, o wyrazie oblicza znamionującym pewność siebie, wzbudzał cześć, tem mocniej mi się uczuwać dającą, że był jednym z przedstawicieli nauki, którą czcić od dzieciństwa mnie nauczono, o ile - rozumie się- przedstawiciel onej Moskalem nie był. Profesorów uniwersytetu Polaków rzadko mi się w życiu spotykać zdarzało. Znałem Zienowicza i Andrzejowskiego krzemieńczanów, na katedrze widziałem Fonberga, po nich, nim do Lelewela trafiłem, najpierwszym był Gałęzowski - słuszny, imponujący, ogolony (w czasach owych w sferze mężów nauki wąsy, broda, bokobrody nawet uchodziły za rzecz zdrożną).

Interes, co mnie do niego sprowadził, tyczyć się musiał obchodzących mnie bardzo stosunków z Rusią, zwłaszcza zaś z Rusią pod panowaniem moskiewskieni. Z Gałęzowskim znosili się w sprawach polskich obywatele krajów zabranych (po dzisiejszemu, guberni południowozachodnich) tej sfery, w której nie łatwo poławiają się ludzie, skłonni zajmować się taką, jak polska, sprawą, na wielkie nieraz śmiertelników, bezpieczeństwo własne i wygody miłujących, narażając przykrości. Jednym z takich, co bezpieczeństwa przestrzegali i wygodami nie pogardzali, mimo to od służenia sprawie polskiej się nie odwracali, był cieszący się nie małym śród obywatelstwa polskiego na Kusi, którą sobie Moskwa przysądziła, mirem, sędziwy pułkownik, Marcin Tarnowski. Pułkownik z Gałęzowskim nie w innych tylko w publicznych znosił się sprawach. Ponieważ o tem wiedziałem, ponieważ dużo o Tarnowskim od ojca mego, który pod dowództwem jego kampanię r. 1812 odbył, dobrego słyszałem; ponieważ w sąsiedztwie Podhorzec (własności i miejscu zamieszkania jego) miałem kolegów uniwersyteckich i przyjaciół, na których współdziałanie w robotach politycznych liczyłem: te przeto powody mnie do zabrania z drem G. znajomości skłoniły. Przytem - i to mnie jeszcze do niego zbliżało, że pochodził z Ukrainy. Na świat r. 1800 przyszedł we wsi Kniaża Krynica, leżącej na porzeczu Tykicza w powiecie Lipowieckim gub. Kijowskiej, niedaleko od Bałabanówki, którą wsławił kowal, majster od rusznic z napisem: „*Se gut, se bon, se Sagalas London, se Iwan kowal de Bałabanówka*". Jeszcze i przysłowie Bałabanówkę wspomina: „Gdzie Krym, gdzie Rzym, gdzie Bałabanowiecka karczma".

Kniazia od tego sioła sławnego oddaloną jest o wiorst 10. A i Humań nie za górami: o mil ukraińskich pięć i pół, ludzkich ośm. Dzięki też tej - przypuszczać należy - nie wielkiej stosunkowo od Kniaża odległości Hnmania, bardziej zaś może dzięki sławie szkół humańskich, edukacya doktora i profesora przyszłego rozpoczęła się u Bazylianów. Zdaje się, że szkoły humańskie skończył wcześniej, niż nasze znakomitości literackie: Bohdan Zaleski, S. Goszczyński, Mich. Grabowski, Aleks. Groza i inni, nie przypominam sobie bowiem, ażeby nazwisko jego obok ich nazwisk w relacyach o szkołach bazyliańskiuh w Humaniu wymienianem było.

Z Humania wprost udał się do Wilna, wstąpił na wydział medyczny, doktoryzował się i w tymże uniwersytecie wykładał chirargię jako adjutant profesora, głośnego w swoim czasie, Pelikana. Powołany następnie do Warszawy, wysłanym został przez uniwersytet warszawski za granicę, celem wystudyowania nowych w chirurgii wynalazków. Do stolicy powrócił po wybuchu powstania listopadowego; sztab departamentu wojny przydzielił go do szpitalów wojennych.

Skompromitowany w sposób ten w oczach rządu rosyjskiego, mając skutkiem tego przed sobą zakończenie karyery medycznej na Syberyi tem pewniej, że u niego złożonym był akt detronizacyi Mikołaja I, opuścić wraz z innymi Polskę musiał. Zamiarem jego było pozostać w Niemczech, gdzie rozprawy jego, treści chirurgicznej, ogłaszane w wydawanym przez Graefe'go i Waltera „Journal der Chirurgie", wyrobiły mu wziętość w świecie naukowym.

Lecz Rosya ścierpieć obecności w położonym o miedzę z nią kraju, przechowywacza dokumentu carowi jej ubliżającego, nie mogła. Gabinet petersburski zażądał wydania Gałęzowskiego. Ostrzeżony przez przyjaciół w Hamburgu, przyjął propozycyę kompanii, eksploatującej kopalnię srebra w Meksyku, a potrzebującej lekarza i odjechał do Ameryki. Kompania zakontraktowała go na lat trzy, po odsłużeniu których i zdaniu egzaminu w Meksyku, mieście stołecznem, osiadł w stolicy jako lekarz chirurg.

Praktyka poszła i szła mu pomyślnie, szykując dla niego w Ameryce świetną, we względzie zwłaszcza majątkowym, przyszłość. Stało się z nim jednak wedle wyrazu filozofii narodowej, zawartego w przysłowiu: „Natura wilka ciągnie do lasu". Na wieść o wypadkach r. 1848, który się z wiosny dla Polaków zapowiedział na podobieństwo tego roku, o którego wiośnie Mickiewicz powiada, że „jedną tylko miał w życiu".

Dla „zrodzonych" później niż autor „Pana Tadeusza" „w niewoli, okutych w powiciu", wiosny podobne powtarzają się i... powtarzać się będą, póki Polska nie odzyska bytu niepodległego. Odczuł ją Gałęzowski w r. 1848 pod niebem tropikalnem i drogę na Stany Zjednoczone Ameryki północnej obracając, do Europy pośpieszył, licząc zapewne na to, że się doświadczenie jego chirurgiczne w Polsce przyda. Pola jednak dla siebie odpowiedniego, jako dla chirurga nie znalazł, pomimo, że się zapasy wojenne w Europie o wolność, oraz poza Polską i w Polsce o Polskę toczyły.

Za to znalazło się pole inne - pole również walki, walki zdobywczej: o światło, bez którego walczenie o wolność jest szarpaniem się na oślep. „I durniowi wolność miła"... - powiadają włościanie w Lipowieckiem, w Humańszczyźnie, w Niemirowszczyźnie, na Rusi całej, ściślejszej Seweryna Gałęzowskiego ojczyźnie, której lud ciemny do walki rzekomo o wolność prowadzili Nalewajki, Pawluki, Chmielniccy i inni, ażeby dli trzech narodów - ruskiego, litewskiego i polskiego - wywalczyć niewolę. Dlatego też zapewne, aby lud polski w oczekujących go walkach o wolność nie dostał się w ręce Pawluków, Nalewajków, Chmielnickich, Gałęzowski, przybywszy w r. 1848 do Europy, rozpatrywał się lat parę w sytuacyi i stosunkach społeczno-politycznych, rozważał warunki, w jakich się Polska wobec perspektywy w bliższej, dalszej i jeszcze dalszej przyszłości, koniecznej dla niej walki orężnej znajdowała.

Zważywszy to wszystko, a i to także, że w sprawie polskiej, jak w sprawach wszystkich w niewoli pozostających a prawa do bytowania niezależnego mających narodów, ważną wychodźtwa odegrywają rolę, musiał szczególną na walkę o światło - na emigraeyi zwłaszcza - zwrócić uwagę. Nie on się tego domyślił, albowiem w łonie emigracyi polskiej we Francyi, znalazł się nie tylko na drodze „kłótni" o kierunki polityczne, ale i na drodze gorliwego w otwieraniu zakładów edukacyjnych spółzawodnictwa.

Stronnictwo demokratyczne współubiegało się na drodze tej z arystokratycznem. To ostatnie, zasobniejsze w środki pieniężne i zaopatrzone w stosunki odpowiednie, najpierwsze założyło Towarzystwo historycznoliterackie, oraz Stowarzyszenie pomocy naukowej, zakładało szkółki, założyło bibliotekę. Demokraci poprzestawać zrazu musieli na publikacyach, zawierających bądź poglądy, bądź rozprawy historyczne, ekonomiczne, polityczne, ogłaszali prace takie, jak „Przegląd dziejów polskich", w końcu, w r. 1841 zdobyli się na szkołę średnią.

Chociażby nawiasowo zauważyć należy, że wśród różnonarodowych emigracyj politycznych, emigracya polska szczególnie się o szkoły i zakłady naukowe troszczyła. Tak było ongi w Europie; tak jest obecnie w Ameryce.

Nie jestże to świadectwem, że potrzeba uświadomienia narodu, celem przysposobienia go do działalności na drodze walki o wolność, uznawaną była przez emigracyę w czasach, kiedy

emigracya zastępowała obezwładnioną przez zaborców Polskę *? Z niej potrzeby tej uznanie na kraj przeszło.

Szkołą polską, najpoważniej się na emigraeyi w r. 1848 przedstawiającą, była szkoła zwana i dotychczas nazwę Batignolskiej nosząca. Do założenia jej pomysł powzięli Henryk **Nakwaski** i Wincenty **Kraiński**. Omówienie pomysłu nastąpiło d. 16 maja 1841, w mieszkaniu generała Dwernickiego, w obecności Ant. Góreckiego i prof. Ant. Michalskiego*.

Nie mam zamiaru o losach szkoły Batignolskiej opowiadać. Wspomnieć jednak winienem, że w r. 1848, gdy rewolucya lutowa zamieszanie w niej sprawiła, a liczba uczniów powiększała się i mimo, że subwencya rządowa cofniętą jej nie została, finanse szkolne w nie nader pomyślnym znajdowały się stanie, szkoła w trudnem znalazła się położeniu. „Być albo nie być". W momencie tym zjawił się Seweryn Gałęzowski i uratował szkolę, dzieląc się z nią owocami swojej pracy lekarskiej w Meksyku. Zamianowany przez Radę szkolną skarbnikiem, służył jej najprzód jako skarbnik, następnie jako prezes Rady - i starał się o nią i zabiegał, ofiarował jej swój czas, podtrzymywał ją nierzadko groszem własnym i, gdy ją do świetnego doprowadził stanu, ściągnął na siebie oskarżenia i zarzuty, odsądzającego od czci ludzkiej i wiary polskiej.

Co się czci ludzkiej tyczy, wszystkie odnoszące się do niej czynione Gałęzowskiemii zarzuty, można, ba, należy zaliczać do kategoryi wymyślana co do wyrazów, a zmyślań, co do rzeczy. W żadnym razie na naganę nie może zasługiwać człowiek, co dobrowolnie a bezinteresownie poświęcał się wychowywaniu młodzieży. Krytyce podlegają sposoby, systemy, metody, ale w żadnym razie nie chęci. Sposoby wychowawcze - jakże się zmieniały!... Wychowanie w Grecyi starożytnej regulował rytmizm, ku rozwijaniu którego służyły ćwiczenia cielesne i muzyka. Scholastycyzm średniowieczny unieruchomił młodzież przy książce. Obecnie pedagogia racyonalna nie obchodzi się bez gimnastyki i muzyki (śpiewów). Bazylianie w Humaniu, z rąk których Gałęzowski wyszedł, ćwiczeń cielesnych ani na majówkach ani na rekreacyach nie odrzucali; lecz ćwiczeniom tym towarzyszyły ćwiczenia sobotnie, stosownie do rady „bicia dziateczek rózeczką" Ducha świętego.

W dzieciństwie mojem o uszy obijały się mi opowiadania o Bazylianach, którzy w cholewach kańczuki nosili. Jeżeli reminiscencye te służyły Gałęzowskiemu za wskaźnik w kierownictwie szkołą, zasługiwałby na krytykę, na surową krytykę, lecz nie na co innego. Na krytykę zasługiwałoby oraz wyniesione ze wspomnień bazyliańskich a może i z okazów szkół meksykańskich, za zbyt silne sprężyny klerykalnej przyciskanie. Nie spotykałem się jednak z krytyką ku podobnym zwróconą niedostatkom pedagogicznym. Broszury l artykuły dziennikarskie, przeciwko Gałęzowskiemu zwrócone, nie krytykują, ale oskarżają, sądzą i wyroki ferują.

Najcharakterystyczniejszym i bodaj czy nie najpierwszym we względzie tym jest arkuszowy z górą przedruk w r. 1853 z „Nowej Polski" artykułu, wystylizowanego przez J. B. Ostrowskiego p.t. „Szkoła Polska Narodowa w Batignolles". Autor zarzuca Gałęzowskiemu: wynaradawianie szkoły dla dogodzenia Rosyi i daje na to dowody. Dowody, mające przekonać czytelników o zasługiwaniu się przez oskarżonego caratowi, nie trzymając się jedne drugich, nie przekonywują nikogo już przez to, że wysługiwania się podobnego, za zbyt ryzykownego, nie chwytałby się człowiek taki rozważny i praktyczny jak dr. G. Czy mu potrzebne były te trudy i kłopoty, jakie go otoczyły, te przykrości, z jakiemi się spotkał? Gdyby miał takie, jak J. B. O. powiadał, u Moskali zachowanie, potrzebował się tylko do amnestyi podać, a otrzymałby ją tem łatwiej, że rząd rosyjski w czasie owym - w przededniu wojny wschodniej - po świecie rozbijał się za specyalistami w zakresie medycznym.

Byłaby mu się przeto, gdyby rząd petersburski nie miał z nim na pieńku (o czem wspomniałem powyżej) dostała nie tylko amnestya, ale i, jeżeli nie katedra uniwersytecka, to dyrekcya jakiegoś na teatrze wojny szpitala głównego.

Zarzut wynaradawiania młodzieży słusznym był pozornie z tej racyi, że ze szkoły wychodzili ludzie młodzi, nie władający biegle językiem polskim. Wielu z nich rozmowy po polsku podtrzymywać nie było w stanie i zapominało następnie mówienia językiem ojcowskim. Byli to synowie Francuzek, które za Polaków powychodziły. Ojcowie na utrzymanie rodziny pracowali; matki dzieci wychowywały i w otoczeniu francuskiem je trzymały. W warunkach takich wychowanie „narodowe" za cel mieć musiało nie język ale duch, wpajając w umysły młodzieży znajomość Polski, jej dziejów, jej literatury, jej znaczenia politycznego i przydatności cywilizacyjnej, szczepiąc w wychowańców przywiązanie do sprawy polskiej, krzyżującej się ze sprawą francuską i w niejednym zlewającej się z nią względzie. Wyjaśnił dokładnie zadanie tej młodzieży polsko-francuskiej członek Rady, Stanisław Poniński, na obchodzie zakończenia roku szkolnego 1860, w przemówieniu do niej: „Kochajcie Francyę, drugą ojczyznę naszą, lecz pamiętajcie zawsze, żeście Polacy. Służcie Franeyi gorliwie do momentu, w którym was Polska do służenia sobie i do poświęceń powoła; i gdy ów upragniony moment nadejdzie, wówczas, wierzcie temu, Francya, ten naród po apostolska cywilizacyi przodujący, ta jasno Europę oświecająca pochodnia, ta Francya tak w wiedzę i talenty bogata i płodna, zamiast Polsce usług waszych zazdrościć, pobłogosławi wam, dzieciom swoim przybranym, na łonie jej wyhodowanym *„.

Dziś by Poniński, gdyby z grobu powstał, tego nie powiedział; wówczas jednak Francya biła czołem innym bóstwom i w Polsce współpracownicę na roli cywilizacyjnej widziała.

W tym duchu i w tym kierunku wychowywała się w szkole polskiej w Paryżu, pod kierownictwem drą Gałęzowskiego, młodzież. I młodzież ta podwójnej ojczyźnie swojej egzamin patryotyczny czynnie w razach potrzeby składała. W r. 1863, wyższe szkoły Batignolskiej klasy opustoszały. Poszli profesorowie, poszli uczniowie i ci ostatni, jedni język polski kalecząc, drudzy wcale po polsku nie mówiąc, po polsku się w Polsce o Polskę bili i ginęli. Oddział Łapińskiego (wyprawa morzem na Litwę) całkowicie się z nich składał; w oddziale Mierosławskiego nie mało ich było. Nie długo później 1870-1871) Francya wychowańców batignolskich do egzaminu patryotycznego powołała. I ten chlubnie zdali *.

Na tym atoli drugim, pod dyrekcyą Gałęzowskiego egzaminie, szkoła wyszła fatalnie. Zagroził jej upadek i byłaby niechybnie upadła, gdyby jej Gałęzowski, powodując się tą zdrową, polityczno-strategiczną regułą, że raz zajętego posterunku nie opuszcza się lekkomyślnie, nie uratował. Służył jej do śmierci. Umarł w Paryżu d. 21 marca 18T8 r., pozostawiając po sobie zaszczytne wspomnienia tale w historyi szkoły polskiej na emigracyi, jako też w legacie 5000 rocznie, złożonym w Akademii, umiejętności w Krakowie, pod „nazwą „Stypendyum imienia Jana Śniadeckiego", przeznaczonego na kształcenie Polaków na profesorów uniwersytetu w działach kolejno nauk raz ścisłych, znów filozoficznych.

W osobie jego zgasł człowiek, zasługujący i na pamięć i na wdzięczność narodu, którego był synem kochającym i któremu wiernie a gorliwie służył.

O mojej z nim znajomości osobistej wspomniałem na początku sylwety niniejszej. Schodziliśmy się rzadko. Zachodziłem do niego nie inaczej, tył k o w interesie, dwa, najwyżej trzy razy, a zawsze w porze śniadaniowej. Interes załatwiałem zwykle przed śniadaniem.

Do stołu zasiadało nas czterech: doktor, Władysław Ordęga, syn Józefa, demokraty i republikanina tak skrajnego, że go za swego socyaliści dzisiejsi podają, Ksawery Gałęzowski, synowiec Seweryna, dziś okulista sławny, wówczas okulistykę studyujący i ja. Przy śniadaniu za każdym razem wobec umie zawiązywała się ostra a zawzięta pomiędzy Ordęgą, demokratą republikaninem, a Ksawerym G., konserwatystą monarchistą, dyskusya o zasady. Wywoływał ją, jakem zauważył, synowiec doktora na intencyę moją, w myśli złośliwej ugryzienia mnie, osławionego na punkcie demokratyzmu w sferach przyzwoity ch. Domyślając się tego, w dyskusyi udziału nie brałem, tem bardziej, że w Ordędze znajdował się dla mnie wyręczyciel świetny, o desperacyę przeciwnika przyprawiający. Doktor również udziału nie brał; od czasu

do czasu na mnie z uśmiechem spoglądał i oczami na rzucających się na siebie, jak dwa młode koguty, zapaśników wskazywał.

Dr. Seweryn Gałęzowski oficyalnie do żadnego ze stronnictw emigracyjnych nie należał, stojąc na stanowisku bezstronnem, odpowiedniem kierownikowi szkolnemu. Utrzymywał stosunki ze wszystkimi: z Czartoryskim, z Mierosławskim, ze wszystkimi słowem. Sądząc jednak wedle przyjaciół, do których lgnął, a którymi byli dr. Hłuszniewicz, Teofil Janusiewicz, Józef i Władysław Ordęgowie, Bohdan Zaleski i tym podobni, sądząc po udziale, jaki w służeniu sprawie powstania styczniowego wziął, przekonaniami ku demokracyi wcale wyraźnie ciężył.

* Potrzebę światła, dla zapewnienia powodzenia walce o wyzwolenie Polski, rozumiano w czasach onych, nie zupełnie jednak, ale częściowo, jednostronnie. Stosowano ją do kierowniczej społeczeństwa klasy, przysposabiając przewodników w akcyach zarówno polityczno-społecznej, jak wojennej. Liczono na to, że na wezwanie kierowników lud pójdzie, porwany tem uczuciem, które szczupłe szeregi polskie pod Racławicami hufcem kosynierów wzmocnilo. Stronnictwo demokratyczne na emigraeyi z r. 1831 liczyło na spotęgowanie patryotyzmn ludowego przez nadanie włościanom wolności i własności. Rachuba ta okazała się bledną ze względu na to, że nadaniami tego rodzaju (do którego obecnie obietnice socyalistyczne wchodzą) posługiwać się w razach danych mogą zaborcę Polski, biorąc nadania na rauhunek własny. Ciemne, nieuświadomione masy są inateryalem, który się tym, zwłaszcza, co władzę w ręku dzierżą, do wysysku nadaje. Ten sam lud, co w r. 1794, na wezwanie szlachty, ku obronie ojczyzny z kosą w garści się pogarnął, w r. 1846, na wezwanie ofiarującej mu wolność i własność szlachty - szlachtę wyrżnął.

* „Bulletin Polonais" nr. 29 z d. l kwietnia 1891 str. 72-73.

* „Bulletin Polonais" Nr. 54 z d. l lutego r. 1892 str. 9.

* Niechętnych szkoła ta, doprowadzona obecnie do rozmiarów bardzo skromnych, miała i ma zawsze mimo, że nie można domyślić się niechęci powodów istotnych. W pojawiających się w czasach późniejszych broszurach i artykułach dziennikarskich, obok zarzu tów, odnoszących się do narodowości polskiej, zwracają się oraz zarzuty przeciwko admiuistracyi, marnującej jakoby duże fundusze, które by się gdzie indziej korzystniej, aniżeli w Paryżu, zużytkować daiy. Póki Brazylja z mody, we Lwowie zwłaszcza, była nie wyszta, dla funduszów tych cele wskazywano w Paranie; zdaniem znów innych najodpowiedniejszem na zużytkowanie ich miejscem jest Ślązk. Zdarzają się jednak i tacy, którym się rozmaite zdrady narodowe przywidują. Zarzuty te świadczą o mocy tradycyj rozlicznych: obyczajowych, zwyczajowych, przesądnych, oszczerczych i innych.

STANISŁAW MALINOWSKI.

S. Gałęzowski, gdy szkoły polskiej na przedmieściu Batignolles kierownictwo objął, zastał na czele ciała nauczycielskiego i gromady uczącej się, dwóch mężów: Hipolita Klimaszewskiego, dyrektora, i Stanisława Malinowskiego, prefekta (prefet des etudes).

W życiorysie S. Malinowskiego, zamieszczonym w „Bulletin Polonais" z r. 1891 od Nru 49 do Nru 57 włącznie, nie znalazłem jasnego funkcyi tej wytłumaczenia. Uwagę tę czynię mimochodem i przechodzę do nakreślenia pobieżnie, wedle tegoż życiorysu, kolei, przez jakie przechodziła osobistość emigranta, wziętego za przedmiot sylwety niniejszej.

Z góry oznajmiam, że osobistość to charakterystyczna i typowa ze względu na pojmowanie obowiązku i stosowania się do pojmowania skrystalizowanego w przekonanie.

Malinowski należał do tego śmiertelników rodzaju, co nie chwyta się przekonań gotowych - narzuconych lub wmówionych - ale je w sobie urabia, przechodząc umysłowo przez fazy, mające znaczenie prób czy doświadczeń. Jedno, co się w nim nie zmieniało i nie zmieniło, to miłość ojczyzny. Głęboki a gorący patryotyzm był gruntem, uprawianym stosownie do poglądów pojęciowych, którego istota jedną i ta samą, niezmiennie polską pozostawała.

Przyszedł na świat w 1812 w zredukowanej do rozmiarów Księstwa Warszawskiego Polsce; nauki gimnazyalne z dobrem powodzeniem odbył w Kielcach i po otrzymaniu świadectwa dojrzałości, wstąpił do uniwersytetu w Warszawie. Wybuch powstania r. 1830 oderwał go od nauki. Zaciągnął się do pułku strzelców pieszych. Słaba jednak kompleksya, wzrost szczupły i stan chorobliwy to sprawiły, że nie w szeregach, ale w kancelaryi pułkowej kampanię w stopniu podporucznika odbył. Żartem opowiadał o kuli działowej, co mu między nogami przeszła; nie żartem atoli, zamiast z Rybińskim wyjść do Prus i stamtąd powędrować do Francyi, zwrócił się na południe, do Krakowa i w Krakowie od razu wykierował się na spiskowca. Spiskował zawzięcie, łącząc się ze stowarzyszeniami, wyznającemi najskrajniejsze polityczne, społeczne i religijne zasady, a nawet zakładał jeszcze skrajniejsze.

Gdy mu się za bladem wydało „Towarzystwo Ludu Polskiego", znajdujące się pod kierownictwem radykalnych demokratów-republikanów, jakimi naonczas byli Seweryn Goszczynski i Franciszek Smółka, zawiązał „konfederacyę", występującą nietylko przeciwko tronom, ale i przeciwko ołtarzom.

Propagował antykatolicyzm, konspirował wespół z Albinem Dunajewskim. Wziął udział w wyprawie Zaliwskiego, co mu jednak na sucho uszło dlatego zapewne, że tajne policye austryacka i moskiewska, węsząc za sprzysiężeńcami i spotykając Malinowskiego, pomijały go, nie przypuszczając, aby ta, tak marnie wyglądająca figurka, posiadała tyle kwalifikujących ją na szubienicę przymiotów.

Konspirując, trudnił się nauczaniem po szkołach i pensyach w Krakowie i Tarnowie, W r. 1839, gdy policya mocno się na „roboty podziemne" zawzięła i wpadłszy na ślady, tropić konspiratorów poczęła, Malinowski zmuszonym został grunt polskiopuścić. Udał się do Francyi, ogólnego w czasach owych zbrodniarzy politycznych przytuliska.

Sz. prof. W. Gasztowtt, autor życiorysu Malinowskiego, dziwi się zmianie, jaka w przekonaniach i wierzeniach jego zaszła, gdy progi szkoły batignolskiej przestąpił. Nie dziwiłby się, gdyby tę zmianę porównał ze zmianami, jakim inni wybitni mężowie ulegli. Wymienię niektórych. Skazany za radykalno-rewolucyjne, wywrotne przekonania na śmierć Franciszek Smółka, wyporządniał tak dalece, że stał się tronu podporą. Seweryn Goszczynski do towiańczyków, wierzących w mesyanistyczne cara powołanie, przystał. Albin Dunajewski wykierował się na biskupa i kardynała.

Fenomeny podobne tłumaczą się psychologicznie wedle tego chemicznego procesu, jaki się w fermentujących odbywa płynach. Wszelkie fermentacye albo się klarują, albo się krystalizują, psując się, wydają męty, obrzydliwości, trucizny. Proces ten przechodzą i dusze

człowiecze. Dusze młode, do płynu fermentującego podobne, lud przysłowiowo do młodego, burzącego się piwa porównywa. Była więc młoda Malinowskiego dusza miodem piwem - burzyła się, pryskała, ponieważ jednak do substancyi jej zasadniczej wchodziła miłość ojczyzny w połączeniu z poczuciem sprawiedliwości altruistycznej, religijność, jaka ją opanowała, wyklarowała się nie na fanatyzm kościelny, ale na chrystyanizm patryotyczny, na podobieństwo takiego chrystyanizmu, jakiego piękny i czysty wzór w oczach naszych zostawił po sobie ksiądz Józef Dąbrowski, założyciel seminaryum i szkoły dla dziewcząt w Detroit, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zdaje się, że proces, jaki się w duszy Malinowskiego odbył - odbył się na podstawie tej na wylot chrześcijańskiej wyrozumiałości, która tłumaczy się regułą: „Nie sądźcie, ażebyście nie byli sądzeni". Z demokraty, z republikanina, z rewolucyonisty, z panteisty, z deisty - z ateusza może, stał się katolikiem gorliwym i jako taki powinien był pospolitym nawróconych i renegatów wzorem, grzechy młodości własnej gromić i ścigać w innych. Na przeszkodzie temu stanęła wysoko w duszy jego rozwielmożniona etyka. Wskazała mu ona drogę pedagogiczną, polegającą na wytyczaniu dla młodzieży drogi cnoty przede wszystkiem przykładem własnym, nie dopuszczając jej do zboczeń za pomocą dozoru troskliwego, połączonego z surowością umiarkowaną. Autor życiorysu jego wzmiankuje o kłopocie, jaki dyrektorowi sprawiło razu pewnego odkrycie spisku w szkole. Uczniowie klas wyższych założyli namiot węglarski. On, spiskowiec dawny, z doświadczenia wiedział, że nie wszyscy z namiotu tego wykierują się na dobrych kościoła katolickiego synów. Jak zapobiec temu, ażeby odbywający się w duszach tych młodocianych karbonaryuszów ferment, nie poprowadził niejednego z nich w kierunku, oddalającym go i od Polski i od kościoła? Nie zanotował autor życiorysu, jak sobie Malinowski w wypadku tym poradził. Znaną jest jeno rzeczą, że spiskowców tych sporo do Polski w r. 1863 poszło i nie jednego z nich kości na ziemi polskiej, w kostnicy ofiar za ojczyznę, zostały.

W momencie, kiedy dr. S. Gałęzowski kierownictwo zwierzchnie w szkole objął, nad uczniami, jak rzekłem wyżej, czuwali: Klimaszewski, dyrektor i Malinowski, prefekt. Obchodzenie się ich z młodzieżą tem się różniło, że jedno odznaczało się liberalizmem, drugie surowością. Było to przyczyną, że Rada szkolna bliższe nad uczniami czuwanie powierzyła Malinowskienin i, następnie, ponieważ sposób ten nie dawał rezultatów pożądanych, udzieliła Klimaszewskiemu dymisyi. Wywołało to było w czasie swoim (r. 1863) na emigracyi ostrą polemikę. Malinowski dyrektorem został nie od razu; czas jakiś dyrektora zastępował, potem pełnił funkcye prefekta i nauczyciela, wreszcie dyrekturę objął i do śmierci ją sprawował. W czemże się surowość jego przejawiała? Nie mogła się przejawiać w czem innem tylko w rodzaju kar, wymierzanych swawolnikom, nieposłusznym, łotrzykom, leniwym. Surowość rodzajów owych, o ile się wiadomości o niej poza murami szkolnemi rozchodziły, wcale zbyteczną nie była. Zaznaczała się ona tem chyba, że obok kar, znajdujących się w użyciu w szkołach francuskich, wprowadził kary na sposób polski: stanie w kącie, klęczenie zwyczajne i z rękami podniesionemu i tak zwane „marki". Marki dawano specyalnie za język polski. W szkołach polskich służyły one jako środek pomocniczy przy nauczaniu języków obcych: francuskiego, niemieckiego, łacińskiego. Naznaczane były dnie, w których jednym z tych języków uczniowie wszyscy mówić byli powinni. Sposób ten stosowano zwłaszcza w konwiktach. Polegał on na zawieszaniu na szyi tabliczki z napisem: „Langue francaise", albo „Deutsche Sprache", albo „Lingua latina" i ten, co ją nosił, obowiązany był wyuczyć się na pamięć słówek francuskich, niemieckich lub łacińskich ilość oznaczoną. Noszącemu markę, przysługiwało prawo zawieszenia tabliczki na szyi temu, co się zakazanym odezwie językiem.

Podobno sposób ten do szkól swoich najpierwsi wprowadzili jezuici. Malinowski wprowadził go do szkoły polskiej w Paryżu, nie na długo jednak, okazał się bowiem niepraktycznym i za zbyt jezuickim przez to, że obarczonych tabliczkami wprawiał do podsłuchiwania kolegów, celem oddania marki temu, w którego ustach słyszeć się da mowa zakazana. Długo nie

wiedziałem, w czyjem ręku spoczywa dyrektorska w szkole batignolskiej władza. Nie przypominam sobie roku, w którym zjechałem się był w Paryżu z Henrykiem Gropplerem, dobrym moim z Konstantynopola znajomym. Umówiliśmy się skonsumować razem śniadanie w jednej z restauracyj w Palais Royal. Gdym na rendez vous to przyszedł, Groppler już przy stole siedział w towarzystwie jakiegoś małego wzrostu, mizernie wyglądającego człowieczka.

Zająłem miejsce; pomiędzy mną a Q. zawiązała się rozmowa, do której się człowieczek nie wtrącał. My dwaj mówiliśmy, on milczał. Odezwał się razy parę, odpowiadając Gropplerowi na zapraszania do jedzenia. Z odpowiedzi tych poznałem, że przyszedł na śniadanie proszony i że jest Polakiem. Zdziwiło mnie, że się we mnie mocno wpatrywał i dlatego, gdy odszedł, zapytałem G., co to za jeden.

- Dawny mój nauczyciel... - była odpowiedź.

O więcej nie pytałem, nie dowiedziałem się więc ani o nazwisku, ani o stanowisku społecznem współbiesiadnika.

Minęło lat nie wiem ile, gdy za bytności mojej w Paryżu, dowiedziawszy się od prof. Gasztowtta, że szkołę batignolską zwiedzić wolno i że w nim znajdę przewodnika, który mię oprowadzi i z rozkładem obznajomi, stawiłem się w zakładzie przy ulicy Lamande, wedle umowy w dniu i godzinie oznaczonej. Na wstępie szanowny profesor oświadczył mi, że mnie dyrektorowi przedstawi. W podwórzu zboczyliśmy w prawo ku zabudowaniu od ulicy, do otwartych na parterze drzwi i na proguśmy się zatrzymać musieli.

W izbie dość obszernej, na wysuniętym ku środkowi, zwróconym do drzwi wchodowych fotelu, siedział z głową zwieszoną człek uśpiony.

- Zdrzemnął się nasz dyrektor po śniadaniu... - szepnął prof. G.

Cofnęliśmy się i, po obejrzenia pomników znakomitości polskich, przyozdabiających podwórzec szkolny, zwiedziliśmy klasy, bibliotekę, sypialnie, jadalnię, kuchnię, składy. Szanowny przewodnik dawał mi objaśnienia.

Zabrało to czasu godzinę może - może więcej, a odbyło się w nieobecności uczniów, spowodowanej, nie przypominam sobie przez co - czy nie przez wakacye. Wpłynęło to na skrócenie czasu, obróconego na zwiedzanie i przyśpieszyło przedstawienie się moje dyrektorowi. Mocno mnie zdziwiły pierwsze jego do mnie wyrzeczone słowa:

- Ale się pan nic nie zmienił... nic, ani trochę...

„Za kogo innego mnie bierze”... - pomyślałem sobie. Nie było to dla mnie nowiną. Matka przyroda obdarzyła osobę moją flzyognomią, świadczącą o czystości rasy polskiej, a zatem bardziej aniżeli podobną do wszystkich rasy tej okazów. Z tej racyi często zdarza mi się za kogo innego być branym.

Baz, dzięki właściwości tej, o mało na grubą nie zostałem narażony przykrość. Innym razem, autor „Kłopotów starego komendanta”, ze mną się po raz pierwszy w życiu we Lwowie, w czasie wystawy Kościuszkowskiej zeszedłszy, witał mnie jak dobrego znajomego, z którym się przed paru dniami rozstał.

- A... toś się pan dobrodziej nareszcie zdecydował zjechać na wystawkę naszą...

Spostrzegł się na błędzie nie rychlej, aż go z błędu wyprowadziło odezwanie się moje.

Wobec dyrektora nie tylkom się odezwał, alem go zreflektował.

- Za kogo mnie szanowny dyrektor bierze ?- zapytałem.

- Za kogo?... Za pana Zygmunta Miłkowskiego, z którym, razem z Gropplerem, śniadanie jadłem...

Śniadanie owo nie było ewenementem takim, któryby mi się w pamięć wrył. Musiał wyraz fizyognomii mojej przybrać cechy grzebania w pamięci, albowiem Malinowski z pomocą jej szedł, wymawiając jedną po drugiej najprzód nazwy miejscowości: (Palais royal) i restauracyi drugorzędnej, następnie daty: rok, dzień, w końcu przypominając treść toczonej pomiędzy mną a Gropplerem rozmowy i tę okoliczność, że z nami na kawę nie poszedł.

- Ah!... - zawołałem, udając, żem sobie to wszystko przypomniał.

I przypomniałem sobie w rzeczy samej, ale później, kiedy w umyśle moim oddałem się analizie fenomenu pamięci, przechowującej żywo zdarzenie, żadnego nie mające znaczenia. Zdarzenia tego pamięć moja, o lat dwanaście od pamięci Malinowskiego młodsza, tak nie zachowała, iżbym się w dyrektorze, za pośrednictwem profesora G. poznanym, domyślić nie mógł osobistości, w której towarzystwie przed laty śniadanie spożyłem. Nie znałem go, do momentu zwiedzenia szkoły, inaczej, tylko ze słyszenia. Relacye, jakie do wiadomości mojej dochodziły, przedstawiały go jako pedagoga starej daty, którego wychowańcy szkoły kochali i bali się - bali się, pomimo, że się nie uciekał do szeroko dawniej w Polsce rozpowszechnionego, a tak mocno, tak gorąco przez ks. biskupa Adama Naruszewicza ongi zalecanego „cudotwórczego syna byczej skóry", vulgo „bizuna". Bez tej pomocy, ten mały, szczupły, mizerny, w wyszarzałej odzieży chodzący człowieczek, umiał bojaźń zbawienną inspirować i w karności potrzebnej trzymać młódź burzliwą. Posiadał on bowiem zaletę, stanowiącą podłoże z bojaźnią połączonej miłości dzieci względem rodziców: rozbudzał w uczniach szacunek. Nieobecność dziwactw i śmiesznostek, tak pospolitych w następcach i współzawodnikach Pestalozziego, naturalność i prostota w obchodzenia się z uczniami, skromność w zaspakajania potrzeb życiowych, przytem dokazywanie tej sztuki, że ze szczupłej (100 fr. miesięcznie) pensyi dyrektorskiej, potrafił się potrzebującym udzielać, były to zalety aż nadto wystarczające do zapewnienia mu moralnej nad umysłami młodocianemi władzy.

Stanisław Malinowski umarł dnia 2 lipca roku 1890.

JÓZEF ORDĘGA.

Starość podlega chorobom rozlicznym zarówno fizycznym, jak umysłowym. Do tych ostatnich należy między innemi słabość zwrotów ku przeszłości. Podlegam jej. Często nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć dlaczego, przeszłość bądź to jako wspomnienie zdarzenia jakiego, bądź też pod postacią osobistości tej lub innej w myśli mi strzela i odmładza mnie niejako.

Odmładniania tego rodzaju doznaję, ile razy przypomnę sobie Józefa Ordęgę. Przypominając zaś sobie Ordęgę, mieszkającego w Paryżu, przypominam sobie zawsze Dymidowicza, byłego byłej rzeczypospolitej krakowskiej senatora, mieszkającego w Krakowie.

Dymidowicz ze swojej strony regularnie w myśli wywołuje mi Ordęgę. Dwaj ci ludzie znać się musieli osobiście; o tem nie wiedziałem i nie wiem dotychczas. Czemuż się oni łączą we wspomnieniach moich? Łączy ich funkcya patryotyczna, jaką pełnili. Domy ich były punktami etapowemi dla konspirującej w sprawie polskiej młodzieży. Ponieważ w szkołach jeszcze konspirowałem i, po zaciągnięciu się do szeregów Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, niezwłocznie na drogę konspiracyjną zeszedłem, niezwłocznie też zapoznałem się z domami: Ordęgi w Paryżu, Dymidowicza w Krakowie - z pierwszym wcześniej (r. 1851), z drugim dość później (r. 1859).

Józef Ordęga kaliszanin członek rodziny zamożnej, po odbyciu studyów uniwersyteckich w Warszawie, Jenie i Wrocławiu, zdobył we Wrocławiu stopień doktora filozofii. Bogaty, wykształcony, młody, zamieszkał w majątku swoim, ożenił się i mógł sobie urządzić życie, jak je sobie czasu onego w Tusculum Cycero był urządził. O kaliszanach powiadano (czy i dziś to samo powiadają?), że są oni „nie bitni ale wymowni". Było to „raison de plus", ażeby Ordęga po cycerońsku się w majątku swoim osiedlił, nie dbając na to, że jakiś tam drapieżnik, Konstanty Pawłowicz w Warszawie się nad Polakami znęca. Nie znęcałby się nad nim, gdyby się uprawie filozofii oddał. On jednak, luboć kaliszanin, był nie tylko wymownym ale i bitnym, czemu świadectwo złożył na lat kilka przed powstaniem listopadowem, obracając wymowę na rozdmuchiwanie w obywatelstwie poczucia wyrządzonej Polsce przez Moskwę krzywdy, którą sam głęboko odczuwał. Wielki książę objąwszy rządy nad Polską kongresową w gorliwości o uszczęśliwieniu na sposób moskiewski powierzonego mu kraju, zapełnił stolicę i kraj szpiegami i donosicielami. Usłużni ci agenci bez trudu wytropili młodego człowieka, który powróciwszy z zagranicy zamiast cicho się sprawować i dary boże spokojnie spożywać, rusza się, kręci i parlamentarną Niemojewskich dokuczliwość potęguje. Zaniepokoiło to W. księcia: na młodego człowieka uwagę swoją zwrócił i dwukrotnie go w Warszawie w więzieniu po miesięcy kilka trzymał. Usiłował on albo przekabacić wpływowego drą filozofii, albo go ubezwładnić. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Agenci nie potrafili wygrzebać materyału, usprawiedliwić mogącego wytoczenie Ordędze procesu o spiskowanie.

- Na takich wichrzycieli - wyrażał się wielki książę przed zausznikami swoimi - jedynie skutecznym sposobem byłoby zacinanie im języków. Świadczy to o wymowie Kaliszanina.

Świadectwo o bitności nie kazało na siebie czekać długo. Nadszedł wybuch listopadowy, który Polską wstrząsnął w granicach przedrozbiorowych, zwalając jednak na Kongresówkę wojny ciężar cały. Ordęga niezwłocznie do ruchu się przyłącza, składając na potrzeby ojczyzny gotówką 60.000 zip., oraz klejnoty żonine i sztyftując kosztem własnym oddział jazdy kaliskiej, z którym idzie z Chłapowskim na Litwę, powraca z Litwy pod Dębińskim i przydzielonym zostaje do korpusu generała Różyckiego, operującego na lewym brzegu Wisty. Walczył na Litwie i w Królestwie na czele szwadronu swego, aż ranny w potyczce lancą w pierś, opuścić musiał szeregi wojskowe; gdy zaś do nich zdrowie wrócić mu pozwoliło - nie było już po co.

Leczył się z ran w Krakowie. W czasie wojny i przedtem, tyle, wobec rządów carskich, win i grzechów na siebie nabiczował, że nie mógł, ani w wolnej, cieszącej się opieką trzech

mocarstw, rzeczypospolitej krakowskiej przebywać, ani do majątku swego wracać. Pozostawało mu jedno: emigracya.

Wyniósł się z rodziną do Francyi, zamieszkał w Paryżu i rąk bezczynnie nie złożył.

W epoce Kanta, Fichtego, Schelinga, Hegla, uniwersytety niemieckie wywierały wpływ na młodzież, co bądź mistrzów tych, bądź ich uczniów wykładów słuchała. Usposabiały one umysły młode do spekulowania na drodze filozoficznej i do szukania na drodze tej wskazówek życiowych dla indywidualizmów tak pojedynczych jak zbiorowych. Pod wpływem tym z tem usposobieniem znalazł się Ordęga we Francyi wśród rozgwaru stronnictw, wytwarzających się w łonie wychodźtwa polskiego i toczących ze sobą walkę zawziętą na polach politycznem i społecznem. Walce tej brakło świadomie podstawionego podłoża filozoficznego. Ten był powód, dla którego Ordęga nie przypisał się od razu ani do demokracyi, ani do arystokracyi, ani do stronnictwa pośredniego, ani do żadnego z gron pomniejszych, spodziewających się na stronnictwa powyrastać. Myślał, rozważał, porównywał doktryny filozofów niemieckich z doktrynami filozofów francuskich i wśród tych ostatnich wypatrzył F. J. B. Buchera, autora dzieła p. t. „Essai d'un traite de philosophie au point de vue du catholicisme et du progres".

Bucher, były karbonaryusz, b. saintsimonista i b. współredaktor przy wydawanym przez Enfantina dzienniku „Producteur", wyprowadził katolicyzm wprost z czterech ewangelij i z listów apostolskich. Skutkiem tego katolicyzm w doktrynie jego stał się chrystyanizmem pierwotnym, zalecającym równość i braterstwo w społeczeństwie a rzecz pospolite jako formę rządu (u S. Marka, rozd. X, ust. 42, 43, 44). Ordęga doktrynę tę - poprzedniczkę w sensie religijnym dzisiejszego starokatolicyzmu, w sensie społecznym zbliżoną do dzisiejszego socyalizmu - przyswoił sobie, ogłosił ją po polsku w broszurze, wydanej w r. 1840, p. t. „O narodowości polskiej z punktu widzenia katolicyzmu i postępu" i wespół z dwoma przyjaciółmi swymi ludźmi wielkiej, murowanej zacności, Stanisiawem Ponińskim i Teofilem Janusiewiczem, założył pismo p. t. „Demokracya polska XIX wieku".

Pismo to założone w celu propagowania doktryny w emigracyi zwolenników, bądź dlatego zapewne, że reformą kościelną ciężarnem było, bądź dla podłoża socyalistycznego, nie zyskiwało. We Francyi, w Anglii, w Belgii, nigdzie za granicami Polski nie spotykałem Bucherystów. O doktrynie tej dowiedziałem się w r. 1859 w kraju, i to we Lwowie, z ust pani Felicyi Wasilewskiej, u której ukradkowo - ponieważ praktykowałem wówczas zbrodnię stanu, a ona się ze zbrodniarzami tego rodzaju chętnie wdawała - wieczór jeden spędziłem. Na emigracyi zapomniano o niej w r. 1846, gdy za przykładem licznego Zjednoczenia, garstka wyznawców Buchera do Towarzystwa Demokratycznego weszła.

Kiedym się po raz pierwszy z Ordęga zeszedł, a działo się to w r. 1851, był on już sercem i duszą demokratą jak Stanisław Worcel, którego wraz z nim jako też z nie nadającym się na to ani trochę Mickiewiczem, Słowackim i in., erudyci socyalistyczui na apostołów socyalizmu polskiego pośmiertnie pasują. Wszyscy rozumni i etycznie nie uwadliwieni ludzie, uznając równoważność kapitału i pracy w wytwarzaniu i przysparzaniu dobrobytu krajowego, uznają również konieczność sprawiedliwości w odpowiedniem pracy wynagradzaniu. Ordęga, Worcel, byli to rozumni i wysoce moralni ludzie, dla których ojczyzna stanowiła jednakowy, gorącego ukochania przedmiot.

Bucheryzm nie różnił jednego od drugiego; nie różniło ich i to, że jeden był wierzącym, drugi mógł o sobie powiedzieć słowami Konrada z trzeciej części „Dziadów": „Dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara". Bucheryzm dla Ordęgi był wiarą filozoficzną, nie obowiązującą nikogo, z wyjątkiem tych, co ją zrozumieli i przejęli się nią. Że zaś we wierzeniu wszelakiem rozumienie gra rolę dodatkową i jest po największej części zbędnem, Ordęga przeto poprzestał na zawiadomieniu czytającej publiczności polskiej o doktrynie i zostawił ją samej sobie. Możeby wykładał ją przy okazyi przeglądu rozlicznych filozoficznych religijnych i filozoficzno-religijnych teoryj, gdyby w jakim z uniwersytetów katedrę filozofii zaj-

mował. W działalności atoli politycznej uważał za rzecz nie tylko zbyteczną ale i szkodliwą, zaprzątać umysły ogółu sprawami, piastującemi zarzewia kontrowersyi filozoficznopolitycznej, podczas kiedy głównie o to chodziło i chodzi, ażeby Polacy wszyscy, bez różnicy wyznań i zapatrywań, dla Polski pracowali. Gdym się z nimpoznał, „Demokracya XIX w." od lat paru już nie wychodziła.

Pierwsza moja u niego wizyta, zabrała mi czasu nie więcej nad minut dwadzieścia - tak krótko nie ze względu na etykietę, ale dlatego, żem miał mu tylko kartkę do wręczenia. Na tej kartce było od centrali żacy i polecenie udzielenia mi wskazówek i rad, gdybym takowych zapotrzebował.

Wskazówki potrzebowałem jednej tylko. Przed puszczeniem się w dalszą drogę najeżoną niebezpieczeństwy (jechałem na emisarkę), pragnąłem pokłonić się, hołd złożyć człowiekowi, uznawanemu naonczas przez młodzież za geniusz, do zbawienia Polski powołany. Dawano mi wprawdzie wskazówki w Londynie, ale nie wiedziałem na pewne, gdzie mieszka: czy w Paryżu, czy też w Wersalu u siostry zamężnej (pani Wincentowei Mazurkiewiczowej). Chorował na gardło i potrzebował starannego i troskliwego dozoru. Gdym się przeto przed Ordęgą stawił i kartkę mu wręczył, ten kartkę przeczytawszy, do mnie się zwrócił z zapytaniem:

- Czemże mam obywatelowi służyć?...

- Proszę mi mieszkanie generała Mierosławskiego wskazać...

- Chory na gardło... Mieszka w Wersalu... Czy chcesz obywatel do niego pojechać?...

- Chciałbym bardzo...

- Chceniu temu dogodzić łatwo... Opowiedział mi, jakim do Wersalu udać się mam sposobem.

Gdym ruch, zapowiadający pożegnanie, zrobił, zatrzymał mnie zapytaniem:

- Może jeszcze jakiej potrzebujesz informacyi?...

- Dziękuję... - odrzekłem. Żadnej...

- Pisze mi Worcel, żeś na wyprawie, jeżeli przeto wyprawy twojej celem są znajome mi okolice, mógłbym cię w rady zaopatrzyć...

- Jadę na Ukrainę.- A?... Przejeżdżasz przez Niemcy?...

- Nie...

- Nie pytam ciebie przez ciekawość, ale dlatego, że w Niemczech mógłbym cię osobom paru polecić.

- Na Konstantynopol drogę obracam.

- W Marsylii są Polacy... - zauważył.

- Mam polecenie od Mazziniego do pewnego Włocha.

Pytał dalej o zdrowie Darasza, z którym krucho już było i, przy rozstaniu, pozdrowić od siebie kazał Mierosławskiego, Mazurkiewicza i panią Mazurkiewiczową.

Gdym schodził z szóstego czy siódmego piętra, spotkałem wchodzących dziewczynkę i para chłopców, mających pozór dzieci polskich. Były to dzieci państwa Ordęgostwa. Jeden z nich, chłopiec, w lat dwanaście później, walczył w Polsce pod nazwiskiem Łodzią (herb rodzinny), w lat dziewiętnaście później, oficer w wojsku francuskiem, zginął pod Woerth. Dziewczynkę, wyrosłą na pannę - miłą i sympatyczną pannę Maryę - poznałem w r. 1858.

W roku tym dopiero zabrałem z Ordęgą znajomość bliską i przyjacielską. O przyjaźni jego dla mnie wątpić prawa nie mam, ze względu na dowody zaufania, jakie mi przy każdej składał okazyi. Skąd się to zaufanie wzięło? - na to odpowiedzieć nie umiem. Czy stąd, że będąc młodym, byłem jednym z tych oczajduszów, co w służbie sprawie polskiej życia nie ważyli? Ależ takich było dużo i służba ta, z racyi otaczających ją niebezpieczeństw, uważaną była za najszczytniejszą! Młodzież się do niej garnęła. Nie to więc zaskarbiło mi przyjaźń Ordęgi, którą, zdaje się, zaliczyć należy na rachunek owych tajemniczych nici sympatycznych, co

zbliżają ludzi jednych do drugich i zawiązują pomiędzy nimi węzły nierozerwalne. Węzeł taki łatwym był do zawiązania w Paryżu.

W czasach onych znajdowało się w stolicy Francyi domów kilka, w których zamożniejsi z emigracyi polskiej r. 1831 zajmowali pomieszkania dość obszerne i posiadali środki odpowiednie do urządzenia t. zw. później żurfiksów.

W oznaczonych w tygodniu dniach zbierano się u nich wieczorem na herbatę i na pogadanki. W stronnictwie arystokratycznem również zapewne żurfiksy zaprowadzone były. Demokraeya zbierała się u Wincentostwa Mazurkiewiczów, Teofilstwa Janusiewiczów, Stanisławostwa Ponińskich, Józefostwa Ordęgów. U dra S. Gałęzowskiego był salon mieszany. U Mazurkiewiczostwa i Ordęgostwa gromadziła się najchętniej młodzież, gdy po śmierci Mikołaja I, otworzyły się na koniec granice Polski nie tylko dla klasy magnackiej.

Gromadziła się u nich młodzież najchętniej dlatego, że w dwóch tych domach gościnność nie ograniczała się na herbacie i ciastkach, ale w dodatku usłyszeć było można śpiew dobry, muzykę wyborną, deklamacyę, odczyt, i wziąć udział w dyskusyi pouczającej z zakresu estetyki, literatury, nauki, najczęściej polityki. Gdy naukowość lub polityka na stół się wytaczały, pewnym być można było interwencyi Ordęgi - interwencyi żywej, porywczej, o podłożu demokratycznem, o mianowniku postępowym, nie wykluczającym z pracy dla dobra ludzkości wogóle i dobra Polski w szczególności nikogo, z wyjątkiem wstecznikow, których zwał „reakami" i dla których nie żywił w sercu braterstwa. Nienawidził ich, jak się nienawidzi przeszkody na drodze, ku dobremu i pięknemu prowadzącej celowi. Gdy o nich mówił, zapalał się, krew mu do oblicza napływała, oczy się zaiskrzały - że zaś był krępy i wzrostu małego, nie mogąc więc postawą nad gronem słuchaczów dominować, nie rzadko na krzesło, a nawet i na stół wskakiwał i mocno giestykulując, przeciwko wstecznictwu, przeciwko **reakom** grzmiał.

O nim powiedzieć należy, że Polsce życie całe wiarą i prawdą służył, nie uchylając się przy żadnej spotęgowania działalności wymagającej okazyi.

W r. 1853 należał do komitetu, który, zebrawszy na pełnomocnictwo dla generała J. Wysockiego tysiące na emigracyi podpisów, wyprawił go na Wschód, celem sformowania legionów polskich do walki z Rosy ą. W r. 1863-64 brał czynny i gorliwy udział w dostarczaniu zasiłków powstaniu polskiemu. Rząd narodowy mianował go agentem politycznym we Włoszech. Z zadania tego, które go w bezpośrednią z rządem włoskim styczność wprowadziło, wywiązywał się gorliwie i zaszczytnie.

Przed śmiercią przeniósł się na mieszkanie do Krakowa. W Krakowie umarł - na wieczny odpoczynek ułożył się na cmentarzu, na którym jego alterego, Dymidowicz, spoczywa.

Polska wszakże w Ordęgów i Dymidowiczów ubogą nie była.

LUDWIK ORPISZEWSKI.

W jesieni r. 1872, przeniosłem się z rodziną z Brukseli do Lozanny w Szwajcaryi. Szwajcarya, ojczyzna Jana Jakóba Rousseau, Pestalozziego, księdza Girard, mocno mnie ku sobie wabiła od momentu, jak ojcem zostałem. Ku niej, jako ku krainie ozłoconej podaniami o Tellach, Winkelridach, o walkach o wolność, od dawna się zwracały marzenia moje.

Po upadku powstania styczniowego, marzenia ustąpiły miejsca pragnieniu, któremu, jak skoro możność mi na to pozwoliła, uczyniłem zadość. Wybraliśmy Lozannę tak dla wziętości, jaką sobie szkoły tameczne uzyskały, jako też dlatego, że w mieście tem przemieszkiwały trzy z krewnych żony mojej i jedna z moich osoby. Przez nie zabieraliśmy z innymi spółziomkami znajomości, jak np. z młodym księdzem ekspowstańcem i z bardzo zacnym lekarzem, leczącym się na chorobę sercową i udzielającym się współziomkom z pomocą.

Upłynęło tygodni kilka naszego pobytu w mieście, właściwie w miasteczku, w którem Gibbon swoją historyę upadku cesarstwa Rzymskiego, a lord Byron „Więźnia Chillonu" napisał, w którem Mickiewicz „Nad wodą wielką i czystą" upodobał był sobie, koło znajomości naszych nie rozszerzyło się. Dowiedzieliśmy się jeno o dwóch stale - jedna w samej Lozannie, druga na wsi w pobliżu - zamieszkałych rodzinach, przedstawiających pod względem wierzeń religijnych i wyznań politycznych dwa skrajne przeciwieństwa: dla jednej Bóg był hypotezą, bez której wygodnie obchodzić się można, druga ślepo a święcie wierzyła we wszystko, co kościół, matka nasza, do wierzenia podaje; jedna wyznawała nihilizm i sprawę polską uważała za zakończoną, druga, patryotyzm podporządkowując sprawom kościelnym, skrajnego trzymała się konserwatyzmu. Głową tej ostatniej był p. Ludwik **Orpiszewski**.

Orpiszewski ?... Orpiszewski ?...

Nazwisko to obcem mi nie było. Czyniłem za niem poszukiwania w pamięci mojej: czy kogo tego nazwiska nie znałem ? czy nie spotykałem go wśród polskich znakomitości na polach wojennem, politycznem, naukowem, literackiem, artystycznem? O tem, że mnie we względzie tym pamięć zawodzi, komuś się pożaliłem i ów ktoś powiedział mi:

- Przecie to jeden z Belwederczyków...

- Ah! - skrzyknąłem, o czoło się dłonią uderzając.

Nazwiska tych szesnastu, co morskie straszydło, pod postacią wielkiego księcia, z zamku, z Warszawy i z Polski wypłoszyli, czytało się i słyszało nieraz, lecz spotkanie się z którym z nich niespodziane nie wskazywało jego znaczenia historycznego. Nie mogłem się od razu domyślić, skąd i jak mi ono znanem było. Dowiedziawszy się, za obowiązek sobie miałem, nie zważając na bogobojność i konserwatyzm tego belwederczyka, ze czcią przed nim czoło uchylić.

Pan L. O. był człowiekiem familijnym. Hrabianka Plater-Zyberg, z którą się ożenił, obdarzyła go gromadką dzieci; z tych jedne w latach siedmdziesiątych były podrastające, drugie dorastające. Państwo Orpiszewscy .zajmowali dom cały z ogrodem, urządzony z komfortem. Gdym się w domu tym z pierwszą stawił wizytą, przyjęty zostałem przez pana bardzo grzecznie, ale tak, jak się przyjmuje ludzi, których się nie widywało nigdy, o których się nigdy nie słyszało. Trochę mnie to zdziwiło, już bowiem w Polsce o mnie wiedziano, poza Polską zaś mocno naraziłem się tej sferze, z którą Orpiszewskiego gusta i przekonania wiązały, ażeby do niego, zajmującego w niej stanowisko powiernika i przyjaciela, słuchy o osobie mojej nie doszły.

W rozmowie, na wstępie wspomniałem mu o 29 listopada i o Belwederze; zbył tę wzmiankę, jako rzecz obojętną i rozmowę zwrócił na tematy banalne. Nie zatrzymałem rozmowy tej w pamięci. Wspominam o niej tylko dlatego, że była wstępem do zawiązania pomiędzy dwoma stadłami, państwem O. a nami, stosunków krochmalnych, o ile państwo O. i państwo M. schodzili się u jednych lub u drugich. Schadzania się te były rzadkie. Oni i my trzymaliśmy

się jedni i drudzy „a distance", przestrzegając ściśle etykiety czy to pod dachem, czy pod gołem niebem, w salonie i na ulicy. Na ulicy spotkanie z panem samym odbywało się zawsze jednakowo : mijaliśmy się, ja rękę prawą w pogotowie do podania dłoni lub uchylenia kapelusza nastawiałem: p. O. mnie nie widział, mijał i, spostrzegłszy niespodzianie, wzdrygał się, niby ze snu nagle zbudzony, wykrzykiwał „ach!" i przepraszał.

- Przepraszam!... bardzo przepraszam!... Że się to za każdem powtarzało spotkaniem w mieście, które za naszego w niem pobytu doliczyło się było dopiero ludności głów tysięcy trzydziestu, częste przeto niedowidzania takie wydały się rzeczą nabytą - jedną z reguł etykiety, zachowywanej w wyższych sferach towarzyskich. I tak też zapewne było. Etykietalność atoli przestrzegana przez O. ściśle, w naturze jego nie tkwiła. Pokazało się to, gdy raz, z racyi jakiejś okazyi szczególnej, przyjąłem go w mieszkaniu naszem nie w saloniku, ale w moim warsztacie literackim. Przekonałem się wówczas, że człowiek ten rozkrochmalać się niekiedy nie tylko umie, ale potrzebuje. Ujrzał się wśród książek, pism czasowych, dzienników polskich, obok stołu zarzuconego przyborami piśmienniczemi w nieładzie poetycznym, co mnie, nie-poetę, mocno zawsze wstydziło i wstydzi - i dowiedział się dopiero, że się u literata znajduje.

Przekonany jestem, że tak było, w sferze bowiem stosunków jego nie wszyscy literaci rzeczywiści za literatów uznawanymi są. Moja np. osoba stale przez krytyków i historyków literatury z tej sfery z grona pisarzy polskich wykluczaną jest. Mam na to dowody. W momencie, kiedy wziętość moja pisarska po ukazaniu się w druku „Uskoków", w apogeum się znajdowała, Gubernatis opracowywał swój słownik literatów współczesnych. Ktoś go o literatach polskich informował i nie tylko o mnie, ale o całej grupie podejrzewanych o demokratyzm pracowników pióra w Polsce, Gubernatisa nie zawiadomił. W dobranem, bo Orzeszkowej, Świętochowskiego, a nawet, o ile przypominam sobie i Sienkiewicza, który sfery tej nie obłaskawił był dla siebie jeszcze, znajdowałem się towarzystwie.

Było to dawniej. Obecnie zaś, prof. hr. Tarnowski, krytykując *Historyę literatury polskiej*, po niemiecku przez A. Brűcknera napisaną, delikatnie i dobrotliwie autora skarcił za zaliczenie mnie do pisarzy na uwagę zasługujących. W wydaniu tejże historyi w języku polskim, Brűckner się w odniesieniu do autorstwa mego stosownie do skarcenia poprawił, ale nie bardzo. Nie dziw przeto, że przed rokiem 1875 Orpiszewski zasłyszał co może o mnie jako o demagogu, ale kwalifikacye moje literackie całkowicie nieznanemi mu być musiały.

Nieznajomość zresztą bieżącej literatury polskiej była naonczas w emigracyi polskiej z r. 1831 ogólną. Wychodźcy nasi z małymi wyjątkami nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli, co się w Polsce na polu literackiem po Mickiewiczu dzieje. Olbrzymia Mickiewicza postać zasłoniła sobą całkowicie wytwórczość na niwie tej krajową. „Nowi poeci" co się „po tym deszczu krwawym w Polsce jak grzyby rodzili", za poetów uznanymi nie byli, Ci nawet, co z łona emigracyi wystrzelali, z wielką przebijali się trudnością. Słowacki na przykład.

Dzisiejsi jeszcze arystarchowie literaccy wyrzuty czynią emigracyi starej, że się na Słowackim nie poznała. Nie poznała się, bo się nie poznał (czy tylko nie poznał?) Mickiewicz, którego zdanie we względzie „sprawy bożej" podzielali wybrańcy jeno, we względzie atoli literackim stanowiło wyrok nieodwołalny. „Mickiewicz go w wykładach historyi i literatury polskiej pominął - rzecz skończona". Odnosiło się to do poezyi. Proza mniej jeszcze łaski posiadała.

Powieściopisarstwo istniało we Francyi, w Polsce zaś... powiastkopisarstwo. Ileż razy mnie, autora „Szandora Kowacza", „Historyi o prapradziadku i praprawnuku", „Uskoków", spotykała pochwała „pięknego powiastek pisarza". Uwzględniano do pewnego stopnia Kraszewskiego i Korzeniowskiego - tego ostatniego poty, póki go w „Wiadomościach polskich" Klaczko za „Krewnych" nie podeptał.

Kiedy w czasie wojny wschodniej przebywałem w Konstantynopolu, do grona, zaprawionego poetami, (K. Brzozowski, H. Jabłoński), do którego jako amator literatury należałem,

dochodziły wieści o poglądach literackich ze sztabu generała Zamojskiego, w którym w mundurze kozackim paradował Kalinka. Wieści te w poezyi na wyżynach helikońskich stawiały Zygmunta Krasińskiego, w prozie prym dawały Zygmuntowi Kaczkowskiemu. Gmin emigracyjny mało co o nich wiedział.

Orpiszewski do gminu nie należał. Za pierwszą swoją w warsztacie moim bytnością zainteresował się tem, com mu o bieżącej literaturze naszej powiedział. Pokazałem mu pisma ilustrowane ‚Tygodnik" i „Kłosy".

- A?... aa?... - odezwał się. Z nowością tą, od lat kilkunastu nie nową, spotkał się u mnie po raz pierwszy. Zajęła go ona. Ofiarowałem się udzielać mu pisma literackie. Wziął „Tygodnik" i „Kłosy" „do przejrzenia" - i odniósł mi je niebawem, a odniósł na to, jak się zdaje, ażeby mnie objaśnić i przekonać o niższości literatury nowszej w porównaniu z dawniejszą. Rozmowa naturalnie oprzeć się musiała o Mickiewicza. Rozmowa ta dogodziła i jemu i mnie: mnie dlatego, żem się z ust jego dowiadywał rzeczy nowych dla mnie i niezmiernie ciekawych; jemu dlatego zapewne, że znalazł we mnie słuchacza chętnego i może trochę pojętnego. Zachęciło go to do zaszczycania mnie od czasu do czasu odwiedzinami i spędzania ze mną przeciągającej się niekiedy do kwadransów sześciu i więcej „godzinki", zaprawnej akcentem poufności koleżeńskiej.

Godzinki te pozostają dla mnie i pozostaną na zawsze niezapomnianemi, w względu na zajęcie, jakie we mnie wzbudziły. Orpiszewski opowiadał - a opowiadał dobrze - wyłącznie prawie o dwóch postaciach literackich, zajmujących w piśmiennictwie polskiem stanowiska przewodnie: o Mickiewiczu i Krasińskim. Znał ich obydwóch osobiście: Mickiewicza mniej, Krasińskiego więcej. Z autorem „Pana Tadeusza" spędził w Rzymie czas pobytu jego w tej świata stolicy, kiedy on przybył do niej dla „sprawy bożej", celem nawrócenia Piusa IX na towianizm. Przypominam sobie relacyę audyencyi, udzielonej za staraniem księży Zmartwychwstańców wielkiemu poecie polskiemu przez głowę kościoła. Dla uzyskania tej audyencyi trzeba było papieża uświadomić dokładnie, z kim ma mieć do czynienia. Przedstawiono więc ojcu św. błąd, w jakim wielki poeta pozostaje i nadzieję, że z błędu wyprowadzi go łaska, jaka na niego ze znalezienia się wobec zastępcy Chrystusa na ziemi spłynie.

Audyencya, po szczegółowem nauczeniu Mickiewicza, jak ma się na niej zachować, odbyła się - i w zdumienie papieża, w kłopot niemały tych, co ją wyjednali i przy niej asystowali, wprawiła. Nie brakło jej strony komicznej, dzięki zamianie ról, zaszłej pomiędzy tym, co nauczycielem był z urzędu, a tym, co funkcyę nauczyciela wziął na siebie dowolnie.

Po dopełnieniu hołdu powitalnego i wyrzeczeniu przez papieża słów kilku, Mickiewicz się wyprostował, włosy z nad czoła zwykłym mu ruchem charakterystycznym w tył głowy odrzucił i głos zabrał. Mówił - płynnie i długo mówił, jak w College de France. Na obliczu papieża widać było, że nie wie, co z oczami robić - gdzie je podziać. Asystujący scenie tej kardynałowie, biskupi i niższego stopnia kapłani, osłupieli. Niezwykłe to zdarzenie w umyśle każdego z obecnych stanęło w postaci zapytania: „Co tu począć?" Nie wypadało mówcę za drzwi wypchnąć. Wysłuchać więc musiano przemowy tej niespodziankowej do końca i, po udzieleniu przez Ojca św. na prędce błogosławieństwa, wyprowadzono Mickiewicza z honorami.

Mickiewicz pewnym był, że przemowa jego jak najlepsze na papieżu sprawiła wrażenie i domagał się audyencyi drugiej jeszcze, chcąc mu wyłożyć dokładnie, w jaki sposób „sprawa boża" Bogn miłą i ludziom pożyteczną być może. Domagał się audyencyi tej tem usilniej, że chodziło mu o uzyskanie oficyalnego ze strony stolicy apostolskiej uznania owego głośnego, przez poetów opiewanego legionu, o którym by nikt nie wzmiankował, gdyby nie byt pomysłem Mickiewicza.

Trzeba wiedzieć, że Mickiewicz, będąc genialnym poetą, nie przestawał przeto być człowiekiem, mogącym błądzić niekiedy.

O Mickiewiczu przeto opowiadań Orpiszewskiego słuchałem i dosyć się nasłuchać nie mogłem. Prosiłem go, błagałem, aby je spisał. Obiecywał, obiecywał, ale... śmierć mu do spełnienia obietnic na przeszkodzie stanęła. Nie umiałem stenografować, mógłbym był jednak po każdej z byłym księcia Czartoryskiego agentem w Rzymie rozmowie, znotować ją sobie. Moja wina, żem tego nie zrobił.

Przypuszczać jednak należy, że relacye te nie zaginęły doszczętnie. Znajdować się one muszą w raportach oficyalnych, w archiwach książąt Czartoryskieh, przeniesionych nie wiem dokąd z Hotelu Lambert. Tylko że w oficyalizmie ginie prawdziwość szczerego, poufnego opowiadania.

Mickiewicz tak mnie był zajął, żem z tego, co słyszałem o Krasińskim, nie zapamiętał ani trochę.

Wycofawszy się z polityki, po ożenieniu Orpiszewski osiadł w Lozannie r., jeżeli się nie mylę, 1852 r. i oddał się całkowicie dwom zajęciom: chwaleniu Boga i wychowaniu dzieci. Rodziny bogobojniejszej w życiu mojem spotykać mi się nie zdarzało. O bogobojności ojca poświadcza syn jego, p. Józef, obecnie inżynier przy kolei żelaznej w Szwajcaryi. Zamierzywszy sylwetę ś. p. Ludwika nakreślić, zwróciłem się do niego z prośbą o udzielenie mi dat niektórych. W odpowiedzi p. Józef pisze, że ojciec jego ‚zawsze mawiał: „Jam katolik i Lach". „O mało podobno - słowa z listu pana J. - nie został Zmartwychwstańcom, jak mi Ojciec Semenenko mówił: „Gdyby twojej matki nie spotkał, to by z nami był; ale, gdy się ożenił, to nam powiedział: kiedy nie ja, to dam wam „syna". Jakoż jeden z synów ś. p. Ludwika (Władysław), jest obecnie jednym z wybitniejszych członków w Towarzystwie Zmartwychwstańców.

Orpiszewski uprawiał i niwę literacką. Przed wyjazdem do Rzymu redagował organ Hotelu Lambert „Trzeci Maj", drukował kilka po polska i po francusku broszur; po osiedlenia się w Lozannie pisał powieści („Pan Pułkownik") i dramaty („Zebrzydowski"), zamieszczając od czasu do czasu w dzienniku miejscowym poglądy na literaturę polską, nie bieżącą jednak. Ta ostatnia w nim ciekawości nie wzbudzała.

Zmarło mu się prawie nagle, d. 22 lutego 1875 r. Wiadomość o jego śmierci spadła na nas niespodzianie. Odprowadziliśmy go na cmentarz i przy otwartym grobie, na prośbę rodziny nieboszczyka, wygłosiłem w krótkości pożegnanie ostatnie temu Belwederczykowi. Biograf jego, ś. p. Bronisław Zaleski, przemilczał o tem. Niechże się spodziewa na tamtym świecie ze strony mojej wymówki za nie zaznaczenie tego, żem ś. p. Ludwika Orpiszewskiego szanował za życia jego i zachowuję obecnie dla tego przeciwnych moim wierzeń i przekonań człowieka szacunek taki sam, jaki wyraziłem na jego grobie.

LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

I.

Generał Mierosławski - oto postać typował... - typowa w całem, najściślejszem przymiotnika tego znaczeniu. Typowa, ale nie wyjątkowa. W polskiem i w każdem innem społeczeństwie było takich więcej. Wyjątkowość Mierosławskiego polegała jedynie na niepospolitych, górujących zdolnościach, jakiemi go natura obdarzyła.

Z matki Francuzki (Kamilla Notte de Vaupleux), z ojca Polaka, sztabowego w wojsku francuskiem oficera, adjutanta marszałka Davoust, przyszedł na świat r. 1813 w Nemours pod Paryżem. Po zakończeniu wygnaniem na wyspę św. Heleny bohatera epopei Napoleońskiej, ojciec chłopca nazwanego Ludwikiem, wstąpił w stopniu podpułkownika do szeregów armii polskiej. Rodzina jego w r. 1820 do Polski się przeniosła. Ludwik zrazu nauki w Łomży w szkole wojewódzkiej pobierał; następnie oddano go w Kaliszu do korpusu kadetów, z którego w 15 roku życia przeszedł w stopniu podchorążego do 5 pułku piechoty.

Zdaje się, że Łomżyńskie i Kaliskie stanowiły okolicę gniazdową dla rodziny Mierosławskich czyli Mirosławskich, herbarze bowiem pochodzenie jego herbach dwojakich (Ogończyk i Rogala) z pobliża - z Mazowieckiego i Płockiego wywodzą.

Nie wiem kiedy rodzice osierocili podchorążego. Wiadomym jest jeno udział Ludwika w wojnie r. 1831 w stopniu porucznika, w korpusie generała Samuela Różyckiego, z którym wyszedł do Galicyi. Do Francyi przybyć musiał r. 1833, najpóźniej r. 1834, albowiem w 1835 w Paryżu, z drukarni Bourgogne et Martinet, wychodziły już polskie jego utwory.

O udziale młodziutkiego Mierosławskiego w wojnie polskiej, jakoteż o tem, czy i gdzie na emigracyi (w Galicyi, w Niemczech, we Francyi) szkolnie w naukach się kształcił, historya milczy. Przypuszczalnie należy on do rodzaju tych autodydaktów, co wiadomości naukowe z powietrza niejako chwytają i sami je, stosownie do upodobania osobistego na użytek własny przerabiają. Wynikają stąd niekiedy poglądy oryginalne, nowe badaniom naukowym wskazując drogi.

Wynikają stąd także nierzadko duże bałamuctwa naukowe, które spowodowuje nie istota, ale forma przedstawiania rzeczy.

Za granicą Mierosławski wcześnie przebił się wśród młodzieży emigracyjnej i uwagę na siebie zwrócił. Bolą jego jednak polityczna nie zaznaczyła się od razu. Wystąpił jako literat w gronie znanem powszechnie pod nazwą młodzieży złotej, biorącej życie ze strony wesołej. Do grona tego należeli młodzi ludzie zamożni, między innymi Aleksander Jełowicki, który się z nim zaprzyjaźnił szczególnie, świadcząc przyjaźń w ten sposób, że zachęcał go do prac literackich i - ponieważ mu na to starczyło - łożył na wydawnictwo niektórych przyjaciół utworów. Utwory te, poezye i powieści, należały do rodzaju, traktującego erotyzm za zbyt swobodnie.

Na przyjaciół w gronie tem przyszedł moment opamiętania: Jełowicki do zakonu Zmartwychwstańców wstąpił, Mierosławski zaś utwory swoje pierwotne wykupywał i niszczyć. Nie ulega prawie wątpliwości, że Mierosławski wabiony był przez przyjaciół na tę odpokutowywania za grzechy młodości drogę. Zwabić się nie dał, mimo, że usiłowania w kierunku tym powtarzały się wówczas jeszcze, kiedy autor „Żelaznej Maryny" zajął wyraźne w obozie demokratycznym stanowisko. Świadczy o tem następująca, przez ludzi na wiarę zasługujących opowiadana mi anegdota.

Mierosławski często zapadał na gardło, w którem wznawiał się od czasu do czasu wrzód, sprawiający ból i zagrażający życiu, przedstawiał się bowiem laryngologom pod postacią zadania trudnego do rozwiązania, ze względu na niebezpieczeństwo operacyjne. Jedynem na chorobę tę lekarstwem było pozostawienie leczenia jej naturze. Lekarz ten tak się raz był urządził, że rozeszła się wieść o nieochybnie nadejść mającej śmierci Mierosławskiego: po-

karmów już przyjmować nie mógł, oddechał z potęgującą się co chwila trudnością - życie jego całkowicie od pęknięcia wrzodu zależało. W momencie tym zjawia się Jełowicki, już ksiądz, siada przy chorym i w imię przyjaźni przedstawiać mu poczyna potrzebę pogodzenia się z Bogiem.

Ksiądz przemawiał serdecznie i wymownie, nie zważając, przejęty pragnieniem oczyszczenia przed wędrówką na tamten świat duszy grzesznika, na okazywaną przezeń coraz to mocniej niecierpliwość. Krew mu do głowy uderzała, razy Kilka usiłował się podnieść i przemówić; wreszcie w wysiłku najwyższym zerwał się i wykrzyknął...

Co wykrzyknął? Wyrazu, który mu się z gardła wydarł, nie powtórzę. Gdybym wyraz ten powtórzył, posądzono by mnie o chęć znieważania duchowieństwa. Ksiądz Jełowicki, który był kapłanem surowym, ale w towarzystwie umiał być dowcipnym, zdarzenie to opowiadając, nie wahał się wyrazu owego wymawiać, jak z ust, a raczej z gardła Mierosławskiego wyszedł i skutkiem wykrztuszenia go to sprawił, że spowodował pęknięcie wrzodu.

- Mam prawo przyznawać sobie dokonania uzdrowienia cudownie chorego.... - powiadał jakoby ks. Jełowicki żartem, dodając: Ale niestety, na nic się to nie zdało, bom grzesznika nie nawrócił... W wieku naszym cuda nie na wiele służą.

Do tegoż momentu choroby, z której grzesznik ów cudem wyszedł, odnosi się anegdota prawdziwa jeszcze jedna.

Wobec perspektywy śmierci tej, sposobiono się do grzebania nieboszczyka. Przyjaciele i współwyznawcy obmyślali sprawienie młodzieńcowi genialnemu, który arystokracyi gorącego za skórę sadła zalewał, pogrzebu przyzwoitego - z konduktem, z wieńcami, z mowami. Do wygłoszenia mowy zgłosił się Franciszek Grzymała, chorujący na oratoromanię, ze strony tej z Warszawy jeszcze znany. Pisywał prozą i wierszem i miał o sobie mniemanie takie, jakie mu w usta Mickiewicz wkłada:

Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach;
Ni go łotr Wirtemberg bombami mocen zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć.
Bo od Ponarskich gór...* etc.

Poetę, prozaika i krasomówcę tego natura obdarzyła wzrostem małym, tuszą pokaźną, głową dużą, obliczem nieponętnem i głosem skrzeczącym. Napisał on sobie mowę pogrzebową, na pamięć się jej nauczył i w momencie właśnie, gdy się do wygłoszenia jej gotowił, dowiaduje się o cudownem do zdrowia przywróceniu Mierosławskiego. Wątpliwości nie ulega, ze mu tu przyjemności nie zrobiło. Nie okazał tego jednak po sobie: do Mierosławskiego poszedł, uradowanie mu swoje z racyi wyzdrowienia jego z akcentem szczerości wypowiedział i na dowód, jakimby ciosem bolesnym dla Polski była takiego jak on człowieka strata, jakim by żalem i smutkiem wszystkich, co myślą i czują po polsku, śmierć Mierosławskiego przejęła:

- Pozwól - rzekł - panie Ludwiku, że ci wygłoszę, co licznie na pogrzebie twoim zgromadzona płci obojej publiczność polska z ust moich by usłyszała...

Z krzesła wstał, postawę odpowiednią wobec leżącego w łóżku rekonwalescenta przybrał i z całym szykiem krasomówczym nieboszczykowi niedoszłemu pogrzebową wydeklamował mowę. Deklamacya do łez wzruszyła mówcę samego. Gdy skończył, pot z czoła i łzy z oczu obcierając, w te do Mierosławskiego przemówił słowa:

- A co, panie Ludwiku!... Przekonałeś się, jak my wszyscy poważamy i kochamy ciebie...

Wyrazy ostatnie miały specyalne znaczenie swoje. P. Franciszek do żadnego nie należał stronnictwa, przechylał się jednak do arystokracyi raczej niż do demokracyi, wystąpienie więc jego oznaczało, że cały ogół polski, bez różnicy przekonań, w wysokiej ma Mierosławskiego cenie.

Tak było w rzeczy samej. Pojawienie się jego sprawiło w obozach wszystkich wrażenie ogromne. Zaznaczył on wprawdzie wystąpienie swoje w sposób na uznanie nie koniecznie

zasługujący. Sposób ten atoli, wykazując ogromne w młodym człowieku zdolności pisarskie, świadczył o odwadze cywilnej. Zdolności pierwotnie zapowiadały się dopiero, zaznaczając się fantazyą wyuzdaną, nie posiadającą jeszcze formy odpowiedniej. Fantazyą go porywała do tego stopnia, że się w niej czuć dawał aryostyzm. Bohaterowie i bohaterki poematów jego dopuszczają się czynów nadzwyczajnych.

Maciej Szuja, bohater powieści poetycznej p.t., „Szuja", syn żyda, którego nie wiedząc, że to jego ojciec, sam w dniu wybuchu powstania listopadowego jako szpiega powiesił, po nadokazywaniu w czasie wojny cudów waleczności, ginie, biorąc udział w rozruchach paryskich, przywalony ogromnym krzyżem przewróconym od granatu w klasztorze Saint-Mery.

Na zakończenie poeta daje epilog p.t. „Sen". Jawi się stary, zgrzybiały, wynędzniony, obdarty wędrowiec, powiadający o sobie: „Ja trzystu potomstw jestem pośmiewiskiem", nazywający się „Salathiel", będący żydem bodaj czy nie „wiecznym tułaczem".

Domaga się piekła, woli bowiem piekło niż niebo, w którem Bóg jest „odwiecznym Bogiem Torquemada". Ów Salathiel, z „urwanym stryczkiem na szyi", podrhodzi do szyldwachującego u wnijścia do piekła, „w mundurze gwardyi narodowej francuskiej" dyabła i wyprasza u niego wskazanie ścieżki do siedliska prowadzącej. Ścieżką tą, w wąwozie się wijącą, schodzi, i niewidziany, jest świadkiem uczty danej przez dyabłów poetom i widzi przez szczelinę w drzwiach, pieczoną w kuchni dyabelskiej, na przerobionym z lancy ułańskiej polskiej rożnie, Katarzynę II.

Z pobytu w piekle czytelnik niespodzianie dowiaduje się, ze Jędrna dyablica porodziła Szuję" i „A ktoś jeszcze trzy słowa domieszał, pamiętasz synku, kiedyś papę wieszał".

Dojść w poemacie tym sensu bardzo trudno. Ani to w nim ładu, ani składu, ani też stylowej i językowej poprawności. Mierosławski z tem łamał się jeszcze. Gładziej mu poszło w poemacie „Żelazna Maryń a", który w roku następnym z druku wyszedł. W osnowie onego do celu szlachetnego prowadzą środki haniebne. Skutkiem zniesienia przez Aleksandra I wolnomularstwa, nastąpiło w Królestwie retrospektywne przestępstwa tego przez w. ks. Pawłowicza prześladowanie.

Poemat rozpoczyna się badaniem przez komisyę śledczą nie nazwanego przez autora wielkiego pana, jednego z mistrzów. Sąd wojenny, mimo, że się on do winy nie przyznał, skazuje go na dożywotnie w podziemiach Karmelitów więzienie i celem wydarcia starcowi potrzebnych rządowi dla prowadzenia prześladowań dalej wyznań, wnuka jego w sąsiedniej zamknąć kazał komórce, ażeby jęki smaganego rózgami ukochanego dziecka skazańca trapiły i do złożenia wyznań żądanych go zmusiły.

Córką owego starca a matką jego wnuka, jest Maryna. W czasie, kiedy się sąd odbywał, bawiła ona zagranicą. Przyjechawszy po wydaniu wyroku okrutnego, udała się do W. księcia z prośbą, jeżeli nie o przebaczenie winy, ani o złagodzenie kary, to bodaj o pozwolenie odwiedzenia ojca i syna w podziemiach karmelitańskich. Wielki książę powiedział jej. że ona wszystko uzyskać by mogła u sędziów, i dozorców generałów Zandra, Haukego, Strantmana-Essakowa i innych, za cenę piękności swojej. Zrozpaczona kobieta rady tej usłuchała; oddawała się kolejno zbirom w. ks. bez różnicy, Moskalom i Polakom, najprzód generałom, następnie ich podkomendnym w randze niższej i coraz niższej, tonęła ciałem i duszą w otchłani rozwiązłości i nie uzyskała pozwolenia odwiedzenia ojca i syna, aż wybuch powstania listopadowego otworzył wrota więzień takim jak ojciec jej zbrodniarzom.

Ojciec wyszedł pomieszany na umyśle i wnet na wolności umarł; syn na młodziana w podziemiu wyrósł. Maryna skalana, zohydzona, ale zawsze piękna, syna porywa i, nie przyznając się mu, że jest matką jego, uprowadza w łasy w górach Świętokrzyskich. Syn rozkochuje się w niej. Ona, celem zrażenia do osoby swojej kochanka takiego, opowiada mu koleje, przez jakie przeszła. Zaczyna od chwili, gdy wróciwszy z zagranicy, dowiedziała się o doli osób jej najdroższych.

„Z rozpaczą w duszy, opłakana łzami,
Biegnę do księcia - padam na kolana,
Żebrzę litości, wzywam prawa - ale
Książę ze śmiechem: „Lepiej ci posłużą
Zastępcy moi". Miej zaufanie w Bogu,
W pana Hankiego i w twe, pani, wdzięki".

Ponieważ rada ta pożądanego nie sprowadziła następstwa, opanowała ją żądza zemsty. Żądza ta w dziwnie fantastycznym wyraziła się sposobie, oprowadziła ją bowiem po połowie kuli ziemskiej.

Dla niej, a raczej z nią w duszy, popędziła do Indyj, oddała się braminowi, oddawała się bonzom, i gdy jej zbrzydli, udała się do Abisynii, gdzie z objęć hebanowego króla przechodziła w objęcia murzynów. Wśród nich wszystkich znalazł się poeta imieniem Antar, o którym powiadała synowi:

„Antar! o, Antar!, zaprawdę powiadam,
Nikt mi słodyczy nie sprawił tak wiele
Z całego tłumu, który prawa rości
Do mej pamięci, Antara przekładam.
Co waru, soków, w tem spieczonem ciele,
Co smoły w żyłach, w sercu co miłości!"

Z dzisiejszych, wśród nastrojowców, poetów impresyonistyeznych nikt chyba dosadniej odmalować by nie potrafił ognia miłosnego w duszy nagiej. Dzięki zapewne temu, że Maryna zapały podobne bez szwanku na zdrowiu wytrzymała, autor ją „Żelazną" przezwał.

Lecz Antara porwał jej szatan - i ona od ludu uchodząc, niby „Farys" drugi, na obszar pustyni się strąciła, szukając oddechu postradanego kochanka, jedynego w oddechach tygrysów na Saharze. Pożerająca atoli duszę jej żądza zemsty popędziła ją z Sahary do Warszawy, dokąd przybyła w momencie wybuchu powstania.

Opowiedziała o tem wszystkiem synowi; opowiadanie to jednak nie ostudziło w młodzianie zapałów do niej. Opierała się mu, oprzeć się nie mogąc macierzyńskiemu garnięciu go do piersi, nie branemu przezeń za wylew uczuć macierzyńskich. Wtem Moskale wtargnęli w góry Świętokrzyskie. Grzmią strzały armatnie, warczą ognie plutonowe, góry się bagnetami jeżą. Pod wrażeniem tych grzmotów i warczeń dokonał się akt, który parę tę złączył węzłem, czyniącym z młodzieńca Edypa, z Maryny Jokastę.

Na tem się kończy poemat, wyrzucany Mierosławskiemu jako rzecz sprośna, usprawiedliwiana jako błąd młodości. Dziś, obok utworów poetyckich, dramatycznych i powieściowych najnowszej u nas szkoły piśmienniczej, nie mógłby on uchodzić ani za rzecz sprośną, ani za błąd. Szwankuje formą, doprowadzoną obecnie do ultradoskonałości; szwankuje oraz treścią, podszytą tendencyą, dopuszczającą tarzania się w brudach dla celu szlachetnego, podczas kiedy dziś, wszelaka z zakresu sztuki tendencya, na wygnanie skazaną została. W brudach tarzać się wolno wyłącznie dla sztuki, jeżeli nie dla przyjemności własnej.

Obok dwóch powyżej zanalizowanych poematów Mierosławskiego, wyszły jeszcze w r. 1835 „**Bitwa Grochowska**", w r. 1838 „**Pugaczew**" i może co jeszcze - nie wiem. We wszystkiem tem przebija się talent duży, wszystko we względzie formy szwankuje, w każdym z utworów trafiają się ustępy przepiękne. Wzmiankowałem powyżej, że świadczą one o odwadze cywilnej. Dowody odwagi złożył w traktowaniu miłości z punktu wyłącznie fizyologicznego i popisywanie się z tem, a bardziej jeszcze w niezawahaniu się dedykowania „Szui" Mickiewiczowi. W dedykacyi: „Adamowi Mickiewiczowi - Apostołowi na Pielgrzymce - w zakład (?) hołdu - poświęca - Autor" - autor popełnił błąd językowy przez użycie wyrażenia niewłaściwego (tłumaczenie z francuskiego: *en gage*)

II

„O wieku młody! - tyś wiosną człowieka - Na tobie ziarno przyszłości on sieje". Dwuwierszem tym rozpoczął J. L Kraszewski jedną z pieśni bodaj czy nie „Witoloraudy". Wytwory - dzieła młodych lat Mierosławskiego - wykazują grunt psychologiczny, na którym on moralne przyszłości własnej ziarna zasiał. Czy ziarna te zeszły i plon wydały?- zobaczymy.

Nie wiem, w którym M. do szeregów Towarzystwa Demokratycznego zaciągnął się roku. Musiało to przed r. 1840 nastąpić - po rozstaniu się z grupą Jełowickich i powzięciu przez autora „Bitwy Grochowskiej" zamiaru pisania ciągu dalszego przerwanej przez śmierć Mochnackiego (1834) rozpoczętej przezeń *Historyi powstania r. 1830*. Że zamiar ten powziął nie jako historyk, ale jako polemista, ze sformułowanem z góry założeniem, polegającem na gromadzeniu t wymotywowywaniu danych, celem zgnębienia stronnictwa i ludzi, którym upadek powstania przypisywano, o tem każda niemal sześciotomowego dzieła jego świadczy stronica.

Posłużyło mu to do opanowania języka polskiego, wyrobienia sobie odpowiedniego stylu i wykształcenia się teoretycznie w rzemiośle wojennem. Co się tego ostatniego (rzemiosła wojennego) tyczy, szkoła kaliska wykształcić go nie mogła, ani dać mu nawet tych podstaw naukowych, jakie się w matematyce (mechanika, budownictwo) i w naukach fizycznych znajdują, bez których się wiedza wojskowa obejść nie może. Do zadania, jakie się mu w historyi powstania przedstawiało, wystarczały we względzie wojennym wskazówki ogólne, dające się czerpać w dziejach powszechnych i szczegółowych, w dziejach wojennych, w traktujących o strategii i taktyce dziełach takich, jak generała Jomini, arcyksięcia Karola, w biografiach wodzów znakomitych. Umysł taki chwytny i bystry, jakim był umysł Mierosławskiego, z łatwością przyswajał sobie i przerabiał po swojemu poglądy i reguły, na których krytyka opierać się dawała. Dla celu tego wystudyował geografię tak szczegółowo, że stał się jednym z najlepszych we Francyi geografii wojennej znawcą i profesorem. Studya w kierunku tym dały mu w ręce oręż przeciwko każdemu generałowi, któremu szczęście nie dopisało na polu działań wojennych. Czy go jednak samego generałem zrobiły?... - pytanie. Może się to w dalszym sylwety ciągu rozwiąże.

Studya, w połączeniu z wyrobieniem pisarskiem, oddającem na usługi jego retorykę bezwzględnie i bezwarunkowo, zrobiły z niego postrach na mistrzów w sztuce wojennej. Pojawienie się pierwszych pióra jego tomów historyi przeraziło generałów. Opowiadano mi, że czytając ją Chłopicki, o ustępach, o których nie wiedział co powiedzieć, opinii swojej inaczej wyrazić nie umiał, tylko pisząc na marginesach ołówkiem: „Czyś był tam blaźnie?" „Ach, kpie jakiś!" itp.

Była w tem pociecha niejaka, która jednak rzeczy nie zmieniała. Generałowie się gryźli; publiczności zaś, młodej zwłaszcza, nie uwzględniającej tej prawdy, że „la critique est aisce, l'art est difficil", wydało się, że Polska doczekała się nareszcie wodza genialnego, który ją wyzwoli. Było to niestety, złudzeniem, które wielu zawodów stało się przyczyną, a którego ofiarą Mierosławski padł najpierwszy. Uwierzył on w genialność swą bezwzględnie. Byli tacy nawet, co widzieli w osobie jego urzeczywistnienie przepowiedni księdza Piotra w trzeciej części „Dziadów":

„Nad ludy i nad króle podniesiony
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony.
Z matki obcej, krew jego dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery".

Jakoby przepowiednia ta wrażenie na Mierosławskiego wywarła - wrażenie, pod którem pierwszy utwór swój poetyczny („Szuja") Mickiewiczowi ofiarował. Wielbiciele zaś jego proroctwa na seryo brali, na tem się opierając, że: l) wyzwoliwszy Polskę, stanie na trzech koronach, moskiewskiej, austryackiej i pruskiej, a sani, jako republikanin, bez korony, 2) matka jego jest obcą, a krew polska jest krwią dawnych bohaterów, 3) imię Ludwik, właści-

wie Ludowi k, składa się z liter siedmiu, z których pierwsza w cyfrach rzymskich znaczy 50 - odciągnąwszy pozostające 6, pozostanie 44. Nie wiem, czy Mierosławskiemu znanem było to proroctwa tłumaczenie. W każdym razie jest ono świadectwem uwielbienia, jakie on wzbudzał, a które się nawet przeciwnikom jego udzielało. Natura bo obdarzyła go nad wyraz hojnie.

Pisarz cięty, mówca porywający, przytem geniusz wojenny domniemany - czy potrzeba było czego więcej na olśniewanie Polaków? Olśnieni łudzili się i na potęgę psuli człowieka, rozdmuchując w nim próżność i zarozumiałość - przywary dwóch ras w osobie jego złączonych i zdolnościami istotnemi a ogromnemi podszytych. Wszystko, co się czuło polskiem, roztęsknione do ojczyzny na emigracyi, drażnione prześladowaniami przez zaborców w kraju, wszystko to głosem jednym, westchnieniem ulgi na duszy odetchnęło:- Ah!... nareszcie...

Centralizacya, przewodniczka Towarzystwa Demokratycznego, założonego w celu wyzwolenia Polski, posiadłszy w gronie swojem geniusza w osobie jednego z członków swoich, poczuła się nie to w prawie ale w możności, a zatem i do obowiązku powołania narodu do oręża.

- Błąd!... szaleństwo!... zbrodnia!...

Przepraszam tych panów, co na wspomnienie wypadków r. 1846, wyrazy te pawim wykrzykują głosem, że im następującą pozwolę sobie zwrócić uwagę: gdyby nie zbrodnie dokonywane od r. 1768 pod postacią konfederacyj, wojen, sprzysiężeń, tajemnych organizacyj, ruchawek, powstań, utrzymujących serca polskie w temperaturze patryotycznej i umysły w ruchu, od dawien dawna inteligencya polska przegniłaby na „Scriptorów” *) a lud aniby wiedział, że jest polskim. Wszakże do rzezi w Tarnowskiem pchnąć się dał lud nie polski, ale „cisarski” przez starostów i komisarzy ze szkoły meternichowskiej przerobiony. Zachodzi nawet pytanie, czy: gdyby nie zbrodnie owe, mogła się Polska chwalić nie tylko romantykami, co „szowinizm” w Polakach rozpalali, nie tylko wymownymi w Krakowie, Poznaniu, Warszawie i Petersburgu „szowinizmu polskiego” gromicielami, ale nawet wszelakiego szowinizmu wyrzekającymi się modernistycznymi dekadentami, impresyonistami, symbolistami, nastrojowcami? - co?...

Powstanie przeto udecydowanem zostało - powstanie, które dla Mierosławskiego pierwszą było konspiratorskich, organizacyjnych i wojennych jego zdolności próbą.

Jak ta próba wypadła?

W zawodzie konspiratorskim nieudolność jego w całej objawiła się okazałości w latach 1846 i 47.

Po przybyciu do Poznania, gdy policya pruska pismo nosem zwąchała i śledzić poczęła, nie umiał się odpowiednio zachowywać; gdy zaś w ręce jej się dostał, dał się dyrektorowi policyi podejść i, wbrew umowie nie wydawania osobistości, wygadał przed nim wszystko, przez co tak się współobwinionym naraził, że po ukończeniu śledztwa, gdy więźniom w Moabicie dozwolonem zostało po dwóch, i>o trzech, w jednej przebywać celi, nikt Mierostawskiego za towarzysza roieć nie chciał. Dozorca Mierosławskiego z niemałym Białoskórskiego i (Tuttrego zdołał uprosić trudem, ażeby go przyjęli.

Przed nimi się do błędu przyznał i podjął się skompromitowanych przez siebie na sądzie „powyłgiwać”. Nie wyłgał wprawdzie nikogo, ale się w opinii publicznej świata ucywilizowanego i polskiej zrehabilitował wygłoszeniem świetnej w obronie sprawy polskiej mowy.

Po procesie nastąpiła rewolucya berlińska, która wyroki sądowe skasowała i króla okrzykiem „Fritz hinaus!” kłaniać się oprowadzanym w tryumfie skazańcom na śmierć zmusiła. Wywiązało się stąd powstanie poznańskie, zaznaczone zwycięstwami powstańców nad wojskami jego królewskie! mości pod Miłosławiem i Września, nie tak doniosłemi i świetnemi, jak je Mierosławski w książce p. t. „Powstanie poznańskie w r. 1848” opisał, zawsze jednak zwycięstwami, które na gruncie umiarkowiiną wodzowi zapewniały wziętość, na zewnątrz atoli, rozgłoszone przez pisma, sądzące o nim wedle mowy jego na sądzie, zrobiły mu w Eu-

ropie repufcacyę wodza wielkiego. A i Fryderyk Wilhelm IV także wysokie o zdolnościach jego wojennych powziął wyobrażenie, że często, gdy za dużo kieliszków kminkówki wychylił, generałom swoim rozpędzeniem i zastąpieniem ich przez Mieroslawskiego groził. Mimo to pięć miesięcy w więzieniu go przytrzymał i gdy mu, na usilne ambasadora francuskiego naleganie, do Francyi powrócić pozwolił, wnet zrepublikowani Badeńczycy na wodza go swoich sił zbrojnych zaprosili, przeciwko prowadzącym na tron badeński wygnanego przez nich wielkiego księcia wojskom Rzeszy niemieckiej.

Warunki topograficzne i stosunku sił walczących, w jakich się ta wojna toczyła, były takie, że wyprowadzenie z niej zwycięzkie sił zbrojnych badońskich, było niemożliwością absolutną. W warunkach analogicznych przyszło się Mierosławskiemu w tymże jeszcze roku (1849) w charakterze wodza naczelnego wojować w Sycylii.

Domaganie się go na wodza naczelnego przez różne narody, nie mogło w nim chyba nie spotęgować dobrego o sobie mniemania. Nie mogło też mniemania tego o nim niu gruntować w opinii publicznej. Uległem mu w zupełności. Stałem się Mierosławskiego wielbicielem, wierzącym w geniusz jego bezwarunkowo mimo niepowodzenia, jakie go w Poznańskiem, w Badeńskiem i w Sycylii spotkały. Odbyłem już kampanię i należałem do rodzaju żołnierzy, zdających sobie sprawę z działań, w których bierną odegrali rolę.

Po odbyciu praktyki, przestudyowawszy sztukę wojenną teoretycznie przy pomocy wiadomości naukowych, nabytych na wydziale fizykomatematycznym. dostateczne posiadałem przysposobienie do zdawania sobie sprawy z trudności ogromnych, jakie miał do przełamywania Mierosławski w każdej z trzech kampanij, w których naczelnie dowodził. W Poznańskiem wojnę toczył bez pieniędzy, bez broni, niewyrobionym w szeregach żołnierzem, mając nadto przeciwko sobie rozżalone za sprawy procesowe obywatelstwo krajowe, które w nim wodza przez emigracyę narzuconego widziało.

Badeńskie geografia do prawego brzegu Renu przylepiła, nadając mu kształt ważkiego paralelogramu, nie nadającego się zgoła na teatr wojenny. Sycylia we względzie rewolucyjne wojennym była placówką straconą, do zajęcia której albo poczucie obowiązku, albo amatorstwo pobudzić mogło. Sprawę sobie z tego wszystkiego zdawałem i w jesieni r. 1850, przejeżdżając przez Paryż, pojechałem umyślnie do Wersalu, raz jako wielbiciel, po wtóre jako żołnierz, celem nie tylko zameldowania się wodzowi swemu, ale i wzięcia od niego wskazówek, poleceń, rozkazów, odnośnie do funkcyi emisarskiej, w jakiej do Polski zmierzałem. Niestety, nic podobnego wziąć od niego nie mostem ze względu „a to, że po wyjściu z choroby gardlanej - bodaj czy nie tej, z której go ks. Jełowicki cudownie uleczył - lekarz mu mówić zakazał.

Przyjął z gardłem szalikiem obwiązanem, chodząc po pokoju i niimicznie biorąc udział w rozmowie, jaką ze mną toczyli Mazurkiewicz (szwagier jego) i Sperczyński. Oglądałem go tylko. Bardzo dobre sprawił na mnie wrażenie. Liczył naonczas lat 37, był więc w tym wieku, w którym męzkość w całej w młodości nabranej znajduje się sile. Siła też z jego przemawiała postaci. Wzrostu średniego, krępy, jasny, o obliczu otwartem, czole foremnem, siwych, wesoło i rozumnie patrzących oczach, blondyn, miał wygląd pociągający tych dobrych, dowcipnych koleżków, którzy w języku francuskim noszą nazwę „bons enfants". Nie zaimponował mi, ale uzyskał zaufanie moje. Przejął mnie żal: że ten człowiek gdzie indziej niż w Badeńskiem i w Sycylii zdolności swoich nie zużytkował - zwróciłem się więc do niego z zapytaniem:

- Generale, czemuś do Węgier nie przybył?..

Odpowiedział mi wzruszeniem ramion i giestem, oznaczającym: „stało się - cóż robić!"...

Odjechałem go z powziętem dawniej na słyszane i spotęgowanem przez widzenie przekonaniem o wodzu, posiadającym wszystkie moralne i umysłowe przymioty do wyzwolenia Polski potrzebne: kochającym ojczyznę, jak Kościuszko, i obdarzonym wojennym Napoleona geniuszem. I w rzeczy samej:

Mierosławski ojczyznę kochał, ale po swojemu. Zeszedłem się z nim w siedm lat później - w momencie, w którym Polsce jaśniejsze przyświecać zdawało się jutro. Paryż napełniała młodzież polska z zaboru wyłącznie prawie moskiewskiego, garnąca się w całości do Towarzystwa Demokratycznego, którego zarząd (centralizaeya) zawsze przebywał w Londynie. W Paryżu ciałem zastępczem niejako było to kółko, które w r. 1853 przewodniczyło głosowaniu emigracyi na udzielenie pełnomocnictwa generałowi J. Wysockiemu, celem wzięcia udziału w wojnie przeciwko głównemu z pomiędzy trzech państw, co Polskę rozebrały. Skład osobowy tego kółka zmienił się o tyle, że się z niego usunął Mierosławski i miejsce członka piątego rezerwowanem zostało dla mnie, rok przedtem wybranego do centralizacyi, lecz nieobecnego na stanowisku, z powodu niemożności przyjechania do Konstantynopola.

Były to trzy ogniska, ku którym zwracały się krajowe i emigracyjne grona ochotnicze pod naglącem pracy nad wyzwoleniem Polski wezwaniem. Oktrojowane przez Aleksandra II łaski łudziły i zachwycały tych jeno, co się łudzić i zachwycać chcieli, doradzając wyczekiwanie. Za zbyt dokładnie znano następstwa oczekiwania na spełnienie wyraźnych Aleksandra I obietnic, ażeby można było liczyć na pomyślne mglistego Aleksandra II liberalizmu rezultaty.

Sposobiono się przeto do czynu, przedstawiającego się w perspektywie pod postacią akcyi orężnej. W kiyju - w Warszawie zawiązywały się organizacye, potrzebujące przedstawicielstwa jawnego, któreby za nie wobec opinii publicznej poręczało i pomoc im niosło. We względzie tym dwa nadawały się ogniska: Centralizacya w Londynie, stojąca na uboczu i składająca się z osobistości szerokiemu ogółowi nieznanych; Kółko w Paryżu, zajmujące stanowisko w środkowym polityczno-dyplomatycznym punkcie Europy, do składu którego wchodzili tacy jak znany z wojny węgierskiej i z zabiegów w Turcyi, Wysocki, spokrewniony, skoligacony i zaprzyjaźniony szeroko w Poznańskiem i w Królestwie Ordęga, skazany w Berlinie r. 1847 na śmierć Elżanowski; Mierosławski wyosobnił się. Z racyi tej, Kółko najlepiej się na przedstawicielstwo zaznaczających się w kraju ruchów nadało. Moje w tym stanie rzeczy położenie było drażliwem i zatrącało fałszem, narzucało mi bowiem rolę człowieka na dwóch siedzącego stołkach. Z roli tej wyjść usiłowałem za pomocą sprowadzenia trzech tych ognisk do jednego mianownika. Nie udało mi się to. Wystąpiłem więc z Centralizacyi i opuściłem Londyn.

W Paryżu obserwowałem Mierosławskiego, na którego jasnej, wyidealizowanej przeze mnie postaci ukazywać mi się poczęły rysy i plamy, ścierające z niej kościuszkowstwo w części znacznej. Odosobnił się, zapewniał, że się do politycznych i organizacyjnych robót mieszać nie chce i nie będzie, zamknął się niby drugi Achilles w namiocie swoim, oddając się całkowicie doskonaleniu wynalazku swego bojowego, na zewnątrz atoli namiotu tego spotykać się dawali Patrokle, rozsyłani przezeń z poleceniami, rozkazami, wezwaniami i oszczerstwami. Prowadził tajoną przed Centralizaeyą i przed Kółkiem na rękę własną działalność, a prowadził ją tak niezręcznie, że niejeden z listów jego, zawierających kalumnie, dostawał się do rąk osoby, będącej oszczerstwa przedmiotem. Obdzierało go to z uroków, jakiemi osobistość jego wyobraźnia ludu otaczała, nie osłabiało jednak przekonania o przypisywanych mu zdolnościach.

- Niech no stanie na czele szyków wojskowych, a wnet od niego nabytki ujemne odpadną...

Przypuszczenie to prawdopodobnem czyniło skromne jego życie i swobodne, towarzyskie zachowanie się.

Razu pewnego z Mazurkiewiezem we dwóch szliśmy do czytelni polskiej, znajdującej się na piętrze, przy uliczce, zwanej Pasażem de Commerce. Na schodach o słuchy nasze ogromny uderzył hałas, który nas zdziwił. Przyspieszamy kroku, wchodzimy i orzom naszym przedstawia się widowisko kilku ludzi młodych do koszuli rozebranych i za bary się wodzących, Mazurkiewicz nakrzyczał w sposób gromiący, zapasy ustały, zapaśnicy usunęli się i z poza nich ukazał się Mierosławski.

- Ludwiku!... - zawołał na niego szwagier. Jak możesz na rzeczy takie w czytelni pozwalać?.. Co to znaczy?...

Pod tem karceniem Mierosławski przybrał minę studenta, co się doi>uścił zbytku i na gorącym pojmany został uczynku.

Ulica de Comnierce wychodziła czasu onego na plac, przy którym znajdowała się kawiarnia, zwana, jeżeli się nie mylę, Moliere. W kawiarni tej, wewnątrz i na zewnątrz, schodziliśmy się po obiedzie na kawę czarną.

Często zjawiał się i Mierosławski; otaczano go, zawiązywały się gawędy, dyskusye, które wywoływały opowiadania o zdarzeniach.

W opowiadaniach generał celował, przedstawiając zdarzenia raz tak, drugi raz inaczej, trzeci raz jeszcze inaczej itd. Z opowiadań jego każde w piątej szóstej edycyi, do pierwszej podobieństwo całkowicie traciło.

Do czasu onego odnosi się sławna jego Mowa, wygłoszona w rocznicę listopadową, którą przeładował porównaniami geologicznemi i Boga w niej „z brodą rozczochraną od zenitu do nadiru" przyrównał do siebie.

Rozstałem się z nim w r. 1859. Szło ku powstaniu. Na rzecz powstania założoną została we Włoszech w Cuneo, przeniesiona następnie do Genui, szkoła polska wojskowa pod dyrekcyą Mierosławskiego. Od dyrekcyi tej nieszczęsnej objawiać on poczyna symptomaty, na podstawie których wielu z jego dawnych wielbicieli oskarżają go o brudne niegodziwości, przeplatane dziwacznemi niedorzecznościami. Czyż bowiem nie dziwaczną niedorzecznścią było wystosowane do uczniów żądanie, ażeby w imieniu kraju udzielili mu upoważnienia do reprezentowania narodu polskiego i wyłącznego sprawami polskiemi kierownictwa? Odrzucenie żądania tego wywołało zajścia, sądy, wykluczania, organizaeyę straży przybocznej itp. głupstwa, które pozbawiły go dyrektorstwa szkoły.

Po wybuchu styczniowym nastąpiły reklamy: rozsyłanie secinami portretów z podpisem własnoręcznym i z przyłączeniem Garibaldiego listu autografowanego, zawierającego w sobie obok odezwania się do Mierosławskiego, jako do wodza Polski powstającej, kilka wierszy wykropkowanych, każących się głębokich jakichś domyślać tajemnic.

Byłoby to jednak małą rzeczą, słabostką, najwyżej naśladownictwem reklamy kupieckiej, polecającej siebie jak handlarze polecają towar, gdyby nie naciągane z Rządem Narodowym procesy o władzę i pieniądze, gdyby nie oskarżania pawstania o wyprodukowanie 5.000 złodziei. Wobec tego traci się zimną Krew, potrzebną do sądzenia czynów ludzkich, zwłaszcza, gdy powołanego przed kratki pokrywa płyta grobowa.

Owóż rozpatrując się uważnie w czynnościach Mierosławskiego, odzyskuje się zimną krew sędziowską. Wina nie cięży całkowicie na nim, ale z jednej strony na naturze, która go obdarzyła wyobraźnią za zbyt żywą i za zbyt chwytną, z drugiej na tych, co go zepsuli, wmawiając geniusz w niego. Uwierzył w to i poczuł się, uznał siebie nie zobowiązanym do żadnych względów etycznych nadczłowiekiem. Polskę kochał, bardzo ją, głęboko, ogniście kochał, ale dla siebie, jako swoją najmocniej umiłowaną własność. Nominowała go w r. 1846 Centralizacya wodzem naczelnym, dyktatorem i on przy nominacyi tej od r. 1846 do 1878 obstawał, broniąc jej przeciwko rządom, ludziom, losom - przeciwko wszystkimi wszystkiemu, biorąc w obronie w rachubę nie środki, ale cel. Nie byłoż to dosadnie scharakteryzowaną aberacyą umysłową?

O aberacyi bodaj czy nie najdosadniej wynalazek bojowy świadczy. Posądzenie o nią powziąłem, gdy mi razu pewnego na modelu tłumaczył fizyczne, na którym go oparł, prawo. Za podstawę wynalazku wziął własność kuli, przebijania ciała stawiącego jej opór, nie przebijania zaś tego, które oporu nie stawi, tj. wiszącego. Stosownie przeto skrojone i uszyte tornistry, na stosownie przyrządzonych zawieszone ramach, ustawionych odpowiednio na specyalnie zbudowanym wozie, tworzą - zdaniem wynalazcy - „fortyfikaeyę przenośną, zarazem lotną jak szarża kawaleryi i wszystko przed sobą łamiącą, jak kolumny szturmowe". Miało to być

zmodernizowaniem i ulepszeniem taborów, które Czechom w wojnach husyckich ogromne oddały usługi. Mimo przestrogi i krytyki, wykazujące bezużyteczność, ba, szkodliwość fortyfikacyj podobnych, niezdolnych się opierać artyleryi i krępujących w bitwie swobodę ruchów, Mierosławski tak dalece w wynalazek swój wierzył, że w dobie powstania styczniowego, wszystkie, jakie mu tylko w ręce wpadały pieniądze publiczne, na fabrykowanie wozów obracał i znalazłszy się na teatrze wojny, w obozach pod Krzywosądzem i Nową Wsią, zamiast obmyślać i przysposabiać oddzialik przeciwko nieochybnym atakom Moskali, wozy na prędce fabrykował.

O nim stanowczo powiedzieć należy, że był to człowiek niepoczytalny. Ogromnych, jakimi go natura obdarzyła, zdolności, na dobre obrócić nie był w stanie. Jedyną, pozostającą po nim korzyścią, jest przykład dla młodzieży naszej, ostrzegający ją przed wybujałością wyobraźni, z własnego strzelającej „ja".

Nadczłowieczość dzisiejsza - czy nie na tej, co on niegdyś, znajduje się drodze?...

* „Pisma Adama Mickiewicza", T. II str. 27; wydanie lipskie u P. A. Brockhausa 1862.

* Pseudonim, którym się podpisał autor pamfletu politycanego p. t. „Nasze stronnictwa skrajne".

Aleksander Guttry.

Po roku 1831 pomiędzy emigracyą polską we Francyi a inteligencyą polską w zaborze pruskim istniało porozumienie, które by nazwać się dało związkiem duchowym. Wszystko w Wielkopolsce, co było w sile wieku, żywsze, odważniejsze, nie mówiąc o młodzieży, wszystko to ku emigracyi ciężyło. Pochodziło to, jak się zdaje ztąd, że Prusy owoczesne w dążeniu ku zaokrągleniu posiadłości swoich posługiwały się protekcyami, wymienianemi za przysługi, które świadczyły za jakiemś wynagrodzeniem nie wielkiem. W kierunku tym urooiła się dla nich tradycya polityczna - mądra, ale podła - mądra, ponieważ towarzyszyło jej ustawiczne wzmacnianie sił państwowych wewnętrznych, podła, ponieważ historya nie wykazuje ani jednego przez elektorstwo brandeburskie dawniej, przez królestwo później przez Prusy zawartego układu, traktatu, przymierza, którego by nie podszywało wiarołorostwo, zaznacza natomiast handel sumieniami dziewiczemi pod postacią zaprzedawania prawosławiu protestanckich swoich królewien i księżniczek, a nawet-w razie nagłej potrzeby- pożyczania amatorowi płci pięknej królowej swojej, niby pospolitej jakiej Walewskiej. Prusy w r. 1831 wysługiwały się Rosyi - bez ich pomocy Paszkiewicz nie mógłby ani przez Wisłę się przeprawić, ani Warszawy zdobyć. Rosya im za to żadnym nie wywdzięczyła się rebuchem. Po przysługach przeto spólniczce w rozbiorach oddanych, po na znęcaniu się nad szukającem na terytoryum pruskiem schronienia żołnierstwem polskiem, gabinet berliński - na wszelki wypadek - nie tylko sfolgował Polakom poddanym swoim, ale i na emigrantów-przypuszczając snadź, że i oni w razie danym przydać się mogą - łaskawym się okazywał. Po r. 1831 Prusy wobec emigracyi polskiej odegrały rolę podobną do roli, odegranej przez Austryę po r. 1863. Podobną politycznie- wydatniejszą kulturalnie. Dzięki wpływowi wyżej stojących w Prusiech, aniżeli w Austryi, zakładów nauczających i naukowych, zabór pruski w umysłowym i literackim ruchu przewodniczył w Polsce, w politycznem zaś także względem Polski zajął stanowisko, że historya nie rozstrzygnęła jeszcze pytania: czyjem wypadki r, 1846 były dziełem, emigracyi, czy Wielkopolski? W procesie r. 1846, na 251 sądzonych, emigrantów było tylko 26. Śród 11 głównych sprawców (Urheber), zasądzonych na śmierć (8) i długie więzienie (3), emigrantami byli Mierosławski i Elżanowski, inni - Wład. Kosiński, Stan. F. Sadowski, Łobodzki, Cejnowa, Kleszczyński, Kurowski, Malczewski, Trąpczyński i Libelt - z rodu i pobytu poznańczycy. Ci przeto, co wypadki r. 1846 do rodzaju występków w Polsce zaliczają i odpowiedzialność za nie na emigracyę, ściślej na Towarzystwo Demokratyczne, a jeszcze ściślej na Centralizacyę zwalają, dopuszczają się niesprawiedliwości. Odpowiedzialność, jeżeli nie przeważnie, to w równej mierze ciąży na Wielkopolsce wogóle, na wybitniejszych tej części Polski obywatelach w szczególności.

Do tych wybitniejszych należał Aleksander Guttry - ziemianin zamożny, pochodzący z rodziny szkockiej, która w r. 1673 uzyskała, w osobie Jerzego Guttrego, majora wojsk koronnych, indegenat. Rodzina ta osiedliła się w Wielkopolsce i spolonizowała rdzennie przez kobiety w przeciągu półtora wieku. Praprawnuk majora, ś. p. Aleksander, właściciel dwóch wsi (Paryż i Piotrowice), w żyznej glebie w wągrowieckim położonych powiecie, gospodarował i na każdy Ojczyzny apel odpowiadał: „jestem!”.

Do czynnej służby Polsce zaciągnął się w pierwszej młodocianego wieku dobie, urodzony bowiem w r. 1814 - w r. 1831 na koniu, z lancą w garści, mierzył się już z wojskami najezdniczemi. Zaczął młodo i nigdy w życiu nie pomyślał, że dług ojczyźnie spłacił. Spłacał go ustawicznie - do śmierci, przyjąwszy zasady i dążenia Towarzystwa demokratycznego polskiego i podzielając działalność jego. Na drodze działalności tej znalazł się w r. 1846 w liczbie tych 251, co się pod sąd dostali. Pod sądem poszczęściło mu się. Zkompromitowany „de facto” (członek Komitetu Centr. od r. 1845) uniknął kompromitacyi „de jure”, dzięki odpowiedniemu zachowywaniu się przed sędzią śledczem i temu, że w peryodzie dochodzenio-

wym nie znalazł się w sprawie jego papla, któryby, jak Mierosławski, dał się sędziemu podejść i nazwisko jego uwydatnił. Upiekło się mu. Przesiedział półtora roku z czemś w więzieniu prewencyjnem. Uwolniony bez kary dla braku dowodów? Po uwolnieniu tryumfalnem wszystkich sądzonych i skazanych, niezwłocznie począł swoją prusaczoną przemocą duszę nowenn obarczać zbrodniami, biorąc czynny, jako członek komitetu wojskowego, w powstaniu, pod dowództwem Mierosławskiego udział.

Guttry do wielbicieli Mierosławskiego, wraz z wielu Wielkopolanami i wszystkimi członkami Towarzystwa demokratycznego należał. Proces nie zraził go do niego. Świetna mowa obrończa zrehabilitowała niefortunnego konspiratora, wielomowność zaś wobec sędziego śledczego nie osłabiała ani trochę mniemania o wojennych kontynuatora Maur. Mochnackiego „Historyi powstania r. 1830-1831" zdolnościach. W powstaniu więc poznańskiem wszystko, co się w społeczeństwie do obowiązku służenia Polsce poczuwało, pod jego pogarnęło się rozkazy. Niepomyślny ruchawki tej rezultat był naturalnym stosunku sił wojujących, niemożności zaimprowizowania organizacyi ze strony polskiej i niedostateczności wynikiem. Rezultat ów nie osłabiał o zdolnościach wodza mniemania i następnie mniemania tego nie byłby osłabił, gdyby zły duch nie poradził Mierosławskiemu napisania książki, w której bardziej dowcipnie, aniżeli sprawiedliwie, obywatelstwo poznańskie odsądził od rozumu i patryotyzmu, zalety te sobie i emigracyi przyznając. Zraziło to do Mierosławskiego ogromną obywatelstwa większość, w tej liczbie i Guttrego. Krytyka wywołała krytykę, która zdolności wojskowe generała w wątpliwem wykazała świetle. Odtąd wielbiciel bezwzględny miarkować począł uwielbienie pierwotne. Im pilniej się słońcu temu przypatrywał, tem większe dostrzegał na niem plamy. Bolało go to szczególnie, że dzięki żakostwu, polegającemu na wynoszeniu w patryotyzmie jednych nad drugich, nadwerężyło się porozumienie, jakie do r. 1848 istniało pomiędzy emigracyą a tym działem Polski, który się z nią znosić i na nią oddziaływać mógł. Żakostwo takie jest objawem dosyć pospolitym, trafiającym się i w społeczeństwach ucywilizowanych: w Szwajcaryi np. kantony wywyższają się jedne nad drugie - zuryszanie mają siebie za coś lepszego od st. gallenczyków, genewczycy od waudtczyków (Cton de Vaud) i odwrotnie. Czyni to jednak gmin: wyróżniania podobnego dopuszcza się niemądra młodzież: ludziom dojrzałym i do rozumu pretensyę mającym nie uchodzą rzeczy podobne. Nam zwłaszcza Polakom, różniczkowanym przez wrogów, nie przystoi różniczkowanie się nieoględne i nierozważne, podniecane przez podszywane doktryneryzmem namiętności. A taka to właśnie podnieta podyktowała Mierosławskiemu książkę, naigrywającą się z czci obywatelstwa jednego z działów rozszarpanej Polski. Guttry przewidywał, że wyniknie stąd do emigracyi ze strony krajowców niechęć, której nie omieszkają wyzyskać przeciwnicy pobudzanej przez nią politycznej ruchliwości Polaków i wrogowie piastującego w łonie swojem zaczyny wolności obywatelskiej narodu polskiego. Przewidując to, przeciwdziałał przeciwko temu do spółki z ludźmi tej miary, co Niegolewski, Sew. Mielżyński, Libelt i inni podobni, usiłując o ile możności neutralizować wrażenie produktu literackiego, wytworu zarozumiałości, sprzężonej, z obrażoną miłością własną. Wierzył bowiem jeszcze w Mierosławskiego geniusz militarny - w jego niezbędność w razie, gdy się Polska do oręża porwie. Względami temi kierował się w życiu prywatnem, w stosunkach towarzyskich i na arenie parlamentarnej, na którą nie omieszkało wysłać go zaufanie spółobywateli. Na arenie tej „rozumiał on - słowa nekrologu na śmierć Guttrego, zamieszczonego w („Wolnem Polsk. Słowie" nr. 82 z d. l lutego 1891) - że rola polska w sejmie zaborczym polega przedewszystkiem na upominaniu się o krzywdy - na utrzymywaniu w ciągłości nieprzerwalnej tego procesu, który się rozpoczął w r. 1772 i czeka na rozstrzygnięcie."

Lata, w których Guttry w sejmie pruskim posłował, były świetnym w parlamentaryzmie wielkopolskim momentem. Posłowie czuli się, uznawali i byli Polakami, byli nimi rzetelnie, bezwzględnie, bez żadnych zastrzeżeń i niedomówień. Żadnemu z nich ani się śniło, ażeby mógł się wyznawać „Prusakiem polskiego pochodzenia" (formuła narodowościowa trójtojali-

zmu), żaden nie przypuszczał możliwości godzenia się z losem. Kiedy A. E. Odyniec- spółredaktor i jeden z autorów wiernopoddańczego ohydztwa, jakie w imieniu szlachty litewskiej „u stóp" Aleksandra II - za pierwszej jego w Wilnie po śmierci rodzica „niezabwiennawo" bytności - złożonem zostało, po dokonaniu tego głębokiej polityki dzieła w Berlinie się zjawił i Kołu polskiemu wizytę złożył, doznał od Koła przyjęcia, które go o spazmatyczny przyprawiło płacz. Boć Polacy to byli - Polacy, patryoci starej daty - demokraci narodowi * .

Rozdźwięk przekonaniowy pomiędzy nimi a demokracyą emigracyjną tem się w momencie owym wyraził, że ta ostatnia, widząc bezowocność działalności Polaków w parlamencie pruskim, w którym bezwzględnie wszelkie ich wnioski, interpelacye i reklamacye odrzucone były, sprzeciwiało się braniu przez nich w ciele tem udziału. We względzie tym atoli racya się po stronie posłów polskich znajdowała. Mieli się oni za notablów, jakich zdobyte miasta wysyłają do nieprzyjaciela, celem uzyskania od niego warunków o ile można najznośniejszych we względzie kontrybucyi, dostaw, kwaterunku, podwód i t.p. ciężarów. W roli tej przedstawiciele narodu polskiego w sprawowaniu funkcyi poselskiej wyłącznie prawie interpelowali, reklamując przeciwko nadużyciom urzędniczym i niedotrzymywania zobowiązań rządowych i przyrzeczeń monarszych. Naprawy krzywd nie uzyskali, ale oddziaływali na dwojaką opinią publiczną: zagraniczną i krajową. Za granicą sprawę polską na widoku ustawicznie utrzymywali; w kraju... „każde upomnienie się „(W. P. Słowo" nr. 82, str. 6, kol. 3) wywoływało nowe ze strony zaborców nadużycie i każde ich nadużycie pogłębiało - że się tak wyrazimy - sprawę polską, budząc interesowanie się nią w tych warstwach społecznych, którym się najmniej uczuwać dawało panowanie obce. Polityka ustawicznej protestacyi posłów polskich na sejmie berlińskim, polityka opozycyi bądź co bądź, na pozór jałowa, w istocie owocna się okazała. Polityka ta udzieliła włościaństwu wielkopolskiemu świadomości patryotycznej i przysposobiła dla narodowości krzywdzonej miliony obrońców podczas, gdy takowi przed r. 1846 zaledwie na dziesiątki tysięcy liczyć się mogli".

Guttry z kolegami w tym na arenie parlamentarnej podążał kierunku poty, póki go od tej areny nie oderwało powstanie styczniowe. Ponieważ należał do wyznawców demokracyi wojującej, liczącej w procesie pomiędzy Polską a Moskwą na wymowę argumentów palnych i siecznych, na wzięciu w akcyi powstańczej udziału nie wyczekiwał wybuchu, lecz czynnym być zaczął w epoce przygotowawczej. Dom jego stał się główną kwaterą ruchu przed wybuchem i po wybuchu. Kilkakrotnie w sprawie powstania jeździł do Warszawy dla osobistego z Komitetem Centralnym porozumienia się. Zwróciło to na niego uwagę policyi pruskiej i zniewoliło go usunąć się z kraju. Wyjechał za granicę na zachód w niemożności udania się do Królestwa, gdzie za zbyt znaczny rysopis jego wydałby go za pierwszem na gruncie zaboru rosyjskiego stąpieniem w ręce żandarmeryi moskiewskiej. Po wybuchu powstania Rząd N.[arodowy] powierzył mu czynność bardzo ważną: zakupy broni i dosyłanie jej na teren wojny. Nikt zadaniu temu lepiej od Guttrego sprostać by nie mógł, tak dla fachowej rzeczy znajomości, jako też dla tego, że rzeczą było nieprzewidzialną, ażeby w rozporządzeniu jego grosz publiczny drogą przeznaczenia swego nie poszedł. Dla pełnienia obowiązku tego w Liege zamieszkał. Powierzoną mu czynność rozpoczął i prowadził ją dobrze poty, póki Rząd Narod.[owy] nie sprzągł go nieoględnie z Mierosławskim, który, zamianowany bezpotrzebnie organizatorem sił zbrojnych polskich za granicą, założył w Liege fabrykę osławionych wozów swoich i wytaczał procesy nie tylko o dyktaturę, ale i o fundusze na zakupno broni przeznaczone. Smutne to były sprawy *.

W styczniu - może w lutym r. 1864 spotkałem się z Guttrym po raz pierwszy w Paryżu.

Dużo - dużo o nim przedtem (w Konstantynopolu) od Karola Brzozowskiego i Józefa Akorda, którzy w powstaniu poznańskiem r. 1848 udział wzięli, słyszałem. Znałem go więc ze słyszenia, poznałem z widzenia i poznałem z dwóch naraz stron: z tej, że posiadał kompromitującą wobec wszelkiej, przeznaczonej do tropienia rewolucyonistów i buntowników,

żandarmeryi postawę, oraz z tej, że mówiąc tak wyrazy cedził, iż słuchając go słuchacz najcierpliwszy cierpliwość tracić musiał.

Co do postawy należał do porody ludzi pokaźnych i akcentem powagi naznaczonych; jasny blondyn, słuszny, na urząd zbudowany, miał na pogodnem obliczu odmalowany i z błękitnych oczu bijący wyraz dobroci warunkowej - warunkowej dlatego, że sfałdowanie czoła i zmarszczenie brwi wnet obliczu i oczom nadawały wyraz groźny. Te wyrazu zmiany wynikały szczególnie w razach wyczytania lub usłyszenia o lekceważeniu obowiązków patryotycznych, o zaniedbywaniu się w służbie Polsce. O! bo Polska była przedmiotem umiłowania jego fanatycznego - „szowinizm" grał w każdem u niego włókienku nerwowem.

Co się zaś wymowy tyczy, wada cedzenia wyrazów trapiła go w mówieniu potocznem - opuszczała, gdy przemawiał publicznie. Guttrego, przemawiającego publicznie, słyszeć mogłem po r. 1866, kiedym się z Belgradu przeniósł do Brukseli. Gnttry, wskazany pomiędzy r. 1863 a 1872 na emigracyę, przemieszkiwał w Liege, gdzie broni już nie kupował i wysyłką jej się nie trudnił, ale czas spędzał bardzo pożytecznie. Po upadku powstania styczniowego zakłady naukowe, wyższe zwłaszcza, w Niemczech, Szwajcaryi, Francyi, Belgii zapełniły się młodzieżą polską - rozbitkami zapasów orężnych. W Belgii uniwersytety i szkoły fachowe w Gendawie i Liege szczególnie do siebie ciągnęły młodych Polaków, zaopatrując ich w wiedzę i zapewniając im chleb. Śród młodzieży tej, nie zsocyalizowanej, pomimo że na zachodzie przebywała i z socyalizmem się bezpośrednio stykała (najście socyalizmu na młodzież polską nastąpiło ze wschodu), zajmował stanowisko patryarchy, wskazując jej zadanie nauki w Polsce, utrzymując ją na drodze patryotycznej i w razie danym pełniąc śród zwaśnionych funkcyę bądź rozjemcy, bądź sędziego. W czasie tym zawiązała się między nim a mną znajomość bliska, uwieńczona przyjaźnią umocnioną kumostwem: z żoną moją trzymał do chrztu pierworodną państwa Leonostwa Syroczyńskich (p. L. S. obecnie profesor w politechnice lwowskiej). Odwiedzał nas w Brukseli, my jego w Liege. Zjeżdżaliśmy się na obchodach patryotycznych. Wzięliśmy razem udział w owacyjnem, pod przewodnictwem zacnego Erazma Malinowskiego, Kornela Ujejskiego przyjęciu. Raz ostatni na wystąpieniu publicznem zeszedłem się z nim w Liege na bankiecie pożegnalnym, wyprawionym dla niego przez młodzież, gdy upojony tryumfami we Francyi nowo upieczony cesarz niemiecki wszystkim przestępcom politycznym amnestyi udzielił i Guttry w rodzinne powrócić mógł progi.

W progach tych odwiedziłem go w Paryżu, w powiecie wągrowieckiem, w gronie rodziny, w roli gospodarza wiejskiego. Zabawiłem u niego dni kilka, które mi upłynęły miło i korzystnie. Poznałem cokolwiek wiejskie w Wielkopolsce życie. P. Aleksander obwoził mnie i oprowadzał po gospodarstwie swojem, które się opłacało pomimo, że gospodarz z dochodów część znaczną obracał na działalność polityczną i na książki. Spostrzegłem to i, wobec cale poważnego tak co do ilości, jako też co do jakości księgozbioru, zainterpelowałem go o ten obok rentujęych się roli, bydła, owiec, „kapitał martwy".

- Tak... - odpowiedział. Majątku to nie powiększa; na politykę atoli i na piśmiennictwo polskie nie wydaję więcej nad to, co inni łożą na marszałków dworu, na kuchmistrzów, stangretów, na konie cugowe, kamerdynerów, lokajów, bony cudzoziemskie, podróże i innych rzeczy wiele, bez których wygodnie obchodzić się można...

W domu u niego panował dostatek; zbytków ani śladu. We względzie tym pomiędzy nim a żoną jego, noszącą łacińskie, Prudencya - po polsku „mądrość" znaczące - imię, zgodność panowała zupełna. W czasach nieobecności mężowskiej pani Prudencya gospodarstwo prowadziła, dzienniki prenumerowała, rachunki Żupańskiego regularnie płaciła, na wychowanie dzieci łożyła, mężowi grosza dosylała i na wszystko jej starczyło, ponieważ na żadne nie pozwalała sobie zbytki.

Oh! te zbytki... Gdyby nie one, o ileż by lepiej dziś i zawsze sprawa polska stała!...

Obwoził mnie Guttry po sąsiedztwie. Byliśmy w dworach kilku i... w pałacach. Jeden z pałaców posłużył mi za model do napisania powieści pod zmienionym dlii cenzury warszaw-

skiej tytułem: „Dyplomacya szlachecka. Jeden zaś dworek nowy, świeżo pod laskiem brzozowym zbudowany, we wspomnieniach swoich pozostaje jako przybytek, urokiem świętości opromieniony. Mieszkał w nim Karol **Libelt**. Pobudował go sobie na gruncie niedawno nabytym i miejscowości dał nazwę wsi Brdowo, pod którą syn jego w powstaniu zginął. Libelta nie zastaliśmy - doglądał jakiejś robocizny, czy zbioru za laskiem. Poszliśmy ścieżką przez lasek i spotkaliśmy się z nim na niej. Nie pokaźnej to był powierzchowności mąż, ale krótkie z nim obcowanie nakazywało powierzchowności jego w rachubę nie brać. Naturalny, swobodny, lekko humorem zaprawny sposób odnoszenia się towarzyskiego przypominał mi Lelewela. Spędziłem z nim godzin kilka na dwa razy rozłożonych: raz w Brdowie i w dni parę później w Paryżu (nie francuskim n. b.). Do Paryża zjechało się było sąsiedztwo z rewizytą, w czasie której rozmowy się rozstrzelały. Przedmioty, których dotykaliśmy w domku pod laskiem brzozowym, przy wieczerzy złożonej z mleka kwaśnego i kartofli w mundurach, w pamięci mi pozostały. Mówiliśmy o śladach mieszkań napalowych, odkrytych na jeziorze Czaszewskiem; o nieudałym Piusa IX cudzie, czemu dziwił się i nad czem ubolewał hr. Czarnecki; o kłopotach gospodarskich; o uprawie tytoniu i fabrykacyi cygar; o Towarzystwie Demokratycznem i Centralizacyi; wreszcie o rzeczy ważnej - o wychodztwie ludu do Ameryki. Przytoczenie w materyi tej w r. 1871, opinii takiego jak Libelt męża stanu i myślieiela, me będzie może w dobie obecnej bez interesu.

Lat temu trzydzieści z góra opinia publiczna w Polsce głośno, wyraźnie i stanowczo się przeciwko wychodźtwu ludu oświadczyła. Opinię tę podzielałem, będąc pewnym, że opozycyi nie wywołuje. Zrazu przeto bez przekonania, w końcu przekonany wysłuchałem zwięzłego wykładu, który się da jak następuje streścić. Libelt wykład swój zaczął od prawa ludzi, pracujących dla zabezpieczenia bytu sobie i rodzinie i wyprowadził stąd obowiązek pracodawców zaspakajania tej głównej pracowników potrzeby. Gdy pracodawcy obowiązkowi temu uczynić zadość nie mogą, w razie takim nie mają prawa sprzeciwiać się pracownikom w poszukiwaniu zarobków, potrzebom ich odpowiadających. Regułę tę ogólną objaśnił przykładem dwóch parobków, którzy od niego do Ameryki odeszli i po trzech latach powrócili, przywożąc rodzinom jeden tysiąc paręset, drugi ośmset kilkadziesiąt dolarów, przy pomocy których rodziny te z nędzy się otrząsnęły.

- Nie to jednak tylko - ciągnął dalej - wychodźtwu ludu naszego wagę nadaje. Polska, po utracie bytu państwa swego, gdyby nie posiadała przedstawicielstwa zagranicą, wydana by była na łaskę i niełaskę zaborców, którzy by ją, naród żywy, członka rzeszy narodów w świecie ucywilizowanym, uśmiercić usiłowali. Broni ją od tego obecnie emigracya polityczna dawniejsza w r. 1831 i nowa z r. 1863 - jedna wygasająca, druga wygasnąć mogąca, zanim ją ruch nowy z kraju nie zasili. Jakby na zapobieżenie temu tworzyć się poczyna emigracya...

- W Ameryce?! - podchwyciłem - zarobkowa?!...

- Ameryka - odrzekł, domyślając się sensu zapytania mego zdziwieniem zaakcentowanego - Ameryka północna z pod sztandaru gwiaździstego pali się do interweniowania w sprawach europejskich, a odległość pomiędzy nią a Europą coraz to się umniejsza; zarzut zaś zarobkowości nie pozbawia wychodźtwa polskiego, gromadzącego się za oceanem, charakteru narodowego, piastującego w sobie zaczyn polityczny, któremu nic nie przeszkodzi rozwinąć się i wybujać nawet. I to przeto przedstawicielstwo przydać się Polsce może, bylebyśmy o niem pamiętali i do niego czucie utrzymali...

Opinia ta dała mi do myślenia. Od czasu usłyszenia jej z ust Libelta wychodźtwo nasze do Stanów Zjednoczonych poczęło mię interesować, jako polityczny w odniesieniu do Polski czynnik i zainteresowanie się to rosło - rosło, aż spowodowało w trzydzieści lat później podróż moją, która mnie w opinii o przydatności politycznej zainstalowania się wychodźtwa polskiego pod sztandarem gwiaździstym utwierdziła. Wdzięczen jestem Guttremu za zawiezienie mnie do Libelta.

Rozstając się z Guttrym, pewny byłem, ze go już nic od roli nie oderwie. Zawiodłem się. W sześć lat później przyjechał do mnie, do Genewy, gdziem wówczas mieszkał - przyjechał w towarzystwie Johnstona, powiernika lorda Beaconsfilda, w interesie wojny pomiędzy Moskwą a Turcyą. Chodziło o nasz w wojnie tej udział. Anglia życzyła sobie urządzić w Polsce dywersyę, inaczej: powstanie wywołać. Na dywersyę taką nie zgodziliśmy się. Guttry, po rozmówieniu się ze mną, pozostawiając Johnstona, który jak się zdaje spodziewał się mnie przekonać, odjechał, złożywszy raz jeszcze dowód gotowości służenia sprawie polskiej.

Ze służby się nie wycofywał - z tej służby codziennej, prawdziwej, obywatelskiej, polegającej na wypromienianiu patryotyzmu ze siebie w słowie i w czynach. Służbę tę pełnił do śmierci, która nastąpiła pod koniec stycznia r. 1891.

* Coraz mocniej uczuwać się daje potrzeba historyi emigracyi polskiej, oraz wystudyowania demokracyi „starej". Podwójną tę potrzebę wykazuje polemika akademicka, tocząca się obecnie (r. 1901-1903) przeważnie w prasie galicyjskiej - polemika przenoszona ze sfer akademickich do politycznych. Zjawisko to u nas nie nowe. Pozytywizm, metoda badań filozoficznych - czyż nie został z filozofii przeniesiony do polityki dla zakończenia smutnie karyery przez wyszykowanie zgody z losem? Coś podobnego oczekuje demokracyę. Istota jej ujęta w formułę wszechludzką, „Wolność, równość, braterstwo", znaną jest dokładnie; w przeniesieniu jednak do polityki ulega koszlawieniu przez różniczkowanie bez końca. Jakiej bo nie mamy już demokracyi? Nie brak sułtańskiej (za AbdulMedżida) i carskiej (za Aleksandra II). W Galicyi do wyboru są; lwowska, krakowska, koncentrowana, socyalna, ludowa (trojaka), stara, nowa i inne i in., nawet się wedle osób mianujące, a każda z osobna i wszystkie razem specyalnie galicyjskie. W takim rzeczy stanie musiała się oznajmić „narodowa" dla tego bodaj, ażeby zaznaczyć, że nam Polakom nie o samą tylko Galicyę, ale i o Polskę chodzić powinno.

* Napisana przez Guttrego w Liege, wydana w r. 1870 w Dreźnie, drukiem I. J. Kraszewskiego, książka p.t. „Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania", jest cennym do historyi emigiacyi polskiej dokumentem.

Jan Nepomucen Janowski.

Towarzystwo Demokratyczne polskie założonem zostało we Francyi r. 1832. Akt założenia sporządzony d. 18 marca 1832 r,, podpisało członków dwudziestu dwóch, wedle pochodzenia rodowego dzielących się jak następuje: jeden chłop, sześciu szlachty wątpliwej, piętnastu karmazynów - śród tych ostatnich trzy takie, jak dwaj bracia Ganowscy, dwóch Świętosławskich, Kromowski, Eupniewski. Podpis chłopa, na pierwszem figurujący miejscu, brzmi ze szlachecka:

Jan Nepomucen **Janowski**.

Janowski na świat przyszedł r. 1803 w Konopiskach, wsi dużej, o milę ku granicy śląskiej od Częstochowy odległej, przed r. 1831 do składu dóbr narodowych wchodzącej, po r. 1831 przez cara Mikołaja I. za wierną carską służbę podarowanej Polakowi, oficerowi od żandanneryi. Carowie wierność względem siebie lepiej - raczej inaczej - aniżeli Polska wynagradzają. Patryotyzm polski intratnym nie jest. Dowodem Janowski.

Dziecinne Janowskiemu lata upłynęły częścią we wsi rodzinnej, częścią na Ślązku, w Gliwicach, gdzie do szkół publicznyrh chodzić począł. W ciągu dalszym uczył się w Krakowie i tam, po zdaniu świetnie egzaminu dojrzałości, wstąpił do uniwersytetu ; następnie udał się do Warszawy. W uniwersytecie warszawskim słuchał prawa i ekonomii politycznej i otrzymał dwa złote medale za rozprawy konkursowe na wydziałach prawniczym i filozoficznym, oraz stopień naukowy magistra obojga praw. Ławy uniwersyteckie opuściwszy, urzędował kolejno w sądownictwie i w skarbowości w charakterze prawnika, pracując przytem w publicystyce i pełniąc funkcyę bibliotekarza w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Dla uczonego tej miary, co Janowski, droga, na którą wszedł, świetną wróżyła przyszłość. Trzeba się było tylko „szanować", tj. w „głupstwach" udziału nie brać. On też udziału w żadnych nie brał spiskach, w żadnych sprzysiężeniach. Życie pędził regularne i spokojne poty, póki pewnego wieczora jesiennego w uszy jego nie obiło się z ulicy wołanie: „Do broni!... za wolność!... za Polskę!..."

Na okrzyki te w tym chłopie uczonym krew zagrała. Na ulicę wypadł, do spieszącego dokądś tłumu się przyłączył i dobiegł do arsenału. Z arsenału rozdawano broń. Docisnął się - dostała mu się szpada. Była to szpada Henryka Dąbrowskiego. Z nią w garści przebiegał ulice Warszawy, zwracając się w strony, z których dochodziły odgłosy rzadkich wystrzałów. Szukał nieprzyjaciela, z którym by się szpadą zmierzył. Gdy dzień zaświtał, dowiedział się od uliczników, że:

Kostuś kochany, troskami znękany,
Uciekł bez hnkn - a kuka!... a kuku.!..." *

Wojaczka nie jego była rzeczą. Na użytek powstania potrzebnymi byli żołnierze nie tylko ze szpadami, ale i z piórem w ręku. Do szeregu tych ostatnich zaciągnął się Janowski z chwilą, gdy po łacinie ogłosił „O procesie rzymskiem w Polsce" rozprawę zaszczyconą recenzyą Lelewela, zamieszczoną w miesięczniku „Temida Polska". I w szeregu tym, po wybuchu powstania, pozostał, urzędując w Komisyi rządowej przychodów i skarbu, jako referent i biorąc czynny w publicystyce rewolucyjnej (najprzód w „Kurjerze Polskim", następnie w „Gazecie Polskiej", której redakcyę naczelną objął) udział. W „Gazecie Polskiej" zamieścił projekt założenia towarzystwa uwłaszczenia włościan i w niejże drukował artykuły, za które spotykały go aresztowania i groźby rozstrzelania. Uwłaszczenie włościan, na co w czasie trwania wojny w r. 1831 zapatrywał się, jako na środek zainteresowania sprawą powstania ludu, stało się następnie wytyczną jego wierzeń patryotycznych i przekonań demokratycznych.

Że tak było, świadczy o tem najpierwsza na emigracyi Janowskiego czynność. Emigracyą zwało się w czasach owych wychodźtwo polskie we Francyi: była to nazwa specyalna, techniczna niejako - nazwa, której w Rosyi na piśmie i w mowie ustnej wygłaszanie surowo było

zakazanem. Janowski do grona tej emigracyi przybył pod koniec roku 1831; w roku następnym w miesiącu styczniu, pod przybranem nazwiskiem w charakterze Alzatczyka (do stolicy Francyi wyjątkowo jeno wpuszczano wychodźców polskich), zjawił się w Paryżu i w połowie marca w tymże roku podpisał akt założenia Towarzystwa Dem. Polskiego, którego cel, wyzwolenie Polski, opierał się na zadaniu: uwolnienia i uwłaszczenia włościaństwa. Cel polityczny łączył się ściśle z zadaniem społecznem, a cel i zadanie zlewały się w jedno nierozłączne w przekonaniu demokratycznem. Zadaniu i celowi temu tej demokracyi polskiej, której gwiazdą przewodnią był posunięty do fanatyzmu niemal patryotyzm, poświęcił się Janowski duszą i ciałem.Dla Polski żył, Polską oddechał, pragnąc, ażeby ona za wzór państwom i narodom służyła. Warunek, pod którym doskonałość taką oślepnąć mogła, widział nie w czem innem, jeno w demokracyi.

Tu miejsce o demokracyi tej, służącej obecnie za przedmiot dyskusyi - jak ją poprzednio nazwałem - akademickiej, słówko rzec. Osobistość Janowskiego, służąca mi za model do sylwety niniejszej, w sam raz się ku temu nadaje.

Był on fanatykiem patryotyzmu, jakoteż fanatykiem demokracyi: świadczą o tem liczne artykuły pióra jego w polskich i francuskich dziennikach zamieszczane, oraz broszury i tłumaczenia na polskie z języków obcych. *

W fanatyzmie patryotycznym równych sobie miał dużo - mnóstwo. W emigracyi z roku 1831 z trudnością znalazłby się osobnik, któryby za ojczyznę, „za byt jej i chwałę", na stosie z ochotą spalić się nie dał.

W fanatyzmie demokratycznym znajdowali się mu równi; przewyższający go atoli chybaby się odszukać nie dał. Był on w Demokracyi skrajnym - nieprzejednanym... i takim pozostał do śmierci.

Na czem skrajność, na czem nieprzejednaność jego polegała?

Na wstępie do sylwety niniejszej zaznaczyłem, że Janowski akt założenia Tstwa D. P. podpisał wespół z sześcioma zapewne mieszczanami (o pochochodzenie mieszczańskie posądzać można Rettla, Kraitsira, Slepikowskiego) i z piętnastu szlachcicami.

Na innym, ważniejszym, bo zasady stawiającym, akcie, na Manifeście Tstwa D. P., opublikowanym w roku 1838, podpisali się członkowie świeżo uchwalonego pod nazwą Centralizacyi zarządu towarzystwa w liczbie ośmiu (powinno było być dziewięciu). Śród podpisów tych stosunkowo powiększyła się ilość mieszczan - chłop pozostał zawsze sam i podpis swój nakreślił na ostatku. Towarzystwo Demokratyczne liczyło wówczas członków 1.135. Była to mniej więcej jedna piąta wychodźtwa politycznego, które wyemigrowało w r. 1831 i przedstawiało wszystkie stany i wszystkie klasy społeczeństwa polskiego w stosunkn takim, w jakim na gruncie, w Polsce, stany owe i klasy pozostawały do oświaty. Lud rolny, na gruncie najliczniejszy, ogarniała ciemnota i na emigracyi, klasy tej przedstawicieli znajdowało się mało; więcej stosunkowo było nieszlachty tj. tej klasy, której później miano „inteligencyi" nadanem zostało, a do której, obok urzędników i oficyalistów prywatnych, wchodzili mieszczanie i pewien drobny procent żydów; najliczniej przedstawiała się szlachta. Ze szlachty wyłącznie prawie składało się najliczniejsze, umiarkowane stronnictwo, Zjednoczenie. Wyłącznie szlachta otaczała patryarchę arystokracyi polskiej, księcia Czartoryskiego. Na pięć tysięcy głów w emigracyi nie było jej chyba mniej niż cztery tysiące. W Tstwie Demokr., biorąc proporcyę wedle założycieli i corocznych składów Centralizacyi, wypada, że szlachcice, po przyłączeniu się zwłaszcza w r. 1846 Zjednoczenia, stanowili członków 3 najmniej.

Janowskiego to nie zrażało. Towarzystwo D. P. różni dla rozmaitych opuszczali powodów: Adam Gurowski dla panslawizmu *, Leonard Rettel dla towianizmu, Michał Czajkowski dla kozactwa, Bolesław Gurowski dla infantki hiszpańskiej, inni dla innych nie znanych powodów. Janowski powinien był je opuścić wraz z Zenonem Świętosławskim dla gminy Humań lub Grudziądz, wyznających skrajny, w połączeniu z katolicyzmem, socyalizm i uznających rzeź humańską za zasłużoną niebios karę. Nie uczynił tego. Nie zachwycał się za niewyzwo-

lenie ludu Konstytucyą 3-go Maja, co jego skrajność demokratyczną potęgowało, ale potęgowało wedle Manifestu Towarzystwa D. P., któremu się nigdy na jotę nie sprzeniewierzył.

Znamiennem to jest ze względu na to, że ta demokracya stara, obecnie lekceważona trochę, cechuje pięknem ludowem, nadając jej „eo ipso" znaczenie narodowe i rozleglejsze od tego, jakie jej przyznaje nowoczesna krytyka dorywcza.

Co do narodowości demokracyi, to - rozpatrując ją z punktu ogólnego - żaden właściwie naród do wynalazku jej przyznawać się nie może. Datuje ona od czasów niezawodnie przedhistorycznych, towarzysząc kształtowaniu się społeczeństw ludzkich. Narodową staje się, dzięki przystosowywaniu. Społeczeństwa kształtowały się wedle jednej i tej samej modły, dlatego w przystosowywaniach demokracyi zachodzą podobieństwa ogólne i różnice szczegółowe: podobieństwa, podsuwające jednym posądzania jej o naśladownictwo, różnice, upoważniające drugich do przyznawania jej oryginalności narodowej.

A do pewnej, w znacznej nawet części, oryginalności ma ona w Polsce prawa nie mało. Skąd, jeżeli nie z tkwiącej w duchu narodu idei demokratycznej, wzięło się gminowładztwo szlacheckie? Co ją w Słowiańszczyźnie wschodniej, zachodniej i południowej stłumiło, jeżeli nie napastnicze w VII, VIII, IX i X wiekach podboje i zabory?... Nie uległa im sama jeno Polska; za to na drodze obronnej ukształtował się w niej stan rycerski, który gminowładztwo zamknął w sobie i ulegając wzorom ościennym, odgrodził się prerogatywami od ludu rolnego. Zaznacza to Manifest Towarzystwa D., nie wspominając jednak o ciągłości istnienia w łonie - raczej w sumieniu - społeczeństwa polskiego idei demokratycznej, przejawiającej się: w panowaniu Kazimierza W., przezwanego królem chłopów, w ślubach Jana Kazimierza, w głosach uczonych i kaznodziei (Frycz-Modrzewski, Piotr Skarga), w przykładach możnych (Jan Tarnowski, hetman w. k.). Po półtora wiekowem - dzięki skoszlawionemu wychowaniu, któremu w Polsce podległ „naród polityczny" (szlachta) - obezwładnieniu umysłowem, przy pierwszem z niemocy tej otrząsaniu się, idea demokratyczna odżyła. W w. XVIII dużo już nazwisk, obok Andrzeja Zamojskiego, Stanisława Małachowskiego, Józefa Wybickiego, Staszyca, Kołłątaja, pojawia się na polu zabiegów o sprawiedliwość społeczną. Działaczy coraz to przybywa. Sprawa ta wchodzi na arenę parlamentarną i zajmuje poważne w publicystyce stanowisko. W r. 1831 J. N. Janowski, najprzód sekretarz, następnie wiceprezes, pod prezydenturą Lelewela, Towarzystwa Patryotycznego, redaktor „Gazety Polskiej", był autorem, wespół ze współpracownikami „Gazety", projektu założenia Towarzystwa uwłaszczenia włościan, których sprawę w piśmie swojem stawiał i bronił, celem „zainteresowania ludu wiejskiego w wojnie o niepodległość".

Cel ten, zaznaczony na emigracyi r. 1832 przez J. N. Janowskiego, z jego udziałem opracowany i ogłoszony r. 1836, wytkniętym jest kilkakrotnie w owocu opracowania tego, w dziele pamiętnem: w Manifeście Tow. D. P.

W jednym ustępie Manifest wskazując, że usiłowania dotychczasowe odzyskania niepodległości świadczą z jednej strony (ze strony szlacheckiej)o niemocy, z drugiej (włościańskiej) „dowodzą niewygasłego w masach uczucia swobód i gotowości do walki w miarę czynionych im obietnic i nadziei".

W innym ustępie tłumaczy Manifest, że gdyby po wybuchu powstania listopadowego, został przez „powszechne socyalne usamowładnienie" zasilony pierwotny entuzyastyczny ruch ludowy, nieuchronnym onego następstwem byłoby: „zapalenie prawdziwie narodowej wojny, niewątpliwe zwycięstwo ojczystej sprawy".

Dalej, po wymotywowaniu zasadniczego znaczenia kastowej ogólnoludzkościowej, formuły demokratycznej: „Wolność, równość, braterstwo", Manifest konkluduje:

„Tak pojmujemy zasady, do których urzeczywistnienia dąży dziś ludzkość. Na nich opieramy przyszłe odrodzenie społeczności polskiej, w ich duchu nad odzyskaniem niepodległego jej bytu pracujemy.

„Polska więc niepodległa i Polska demokratyczna : oto cel stowarzyszenia naszego".

Z powyższego, kontrasygnowanego przez chłopa rozumnego streszczenia wyznania wiary politycznej demokracyi emigracyjnej z r. 1831 wynika przedewszystkiem, że wyznanie to przenikała, że je cechowała i że mu, niby gwiazda przewodnia przyświecała, przewodniczyła **Ojczyzna** - wolna i niepodległa Polska w granicach przedrozbiorowych z r. 1772. Bo i o tem Manifest nie zapomina.

Owa przeto demokracya narodowa stara nie zapomniała o tem, o czem nie zapomina, stanowiąca podłoże zasadnicze Ligi Nar. demokracya narodowa nowa: o państwowości polskiej.

We względzie tym pomiędzy demokracya naszą z lat trzydziestych wieku XIX a demokracya z końca tegoż wieku i początku XX nie zachodzi różnica żadna. I ta narodowa i tamta narodowa, a ta nie od dziś, ani od wczora - narodowa w tej mierze, w jakiej narodowemi są demokratę francuskii, niemiecka, włoska, szwajcarska, amerykańska i inne.O różnicach zasadniczych, o naśladownictwie mowy być nie może.

Różnic nie masz również we wstrętach do przygodnych podporządkowywań demokracyi (ugodowość, trójlojalizm, przymierza pseudouportunistyczne), oraz do najmocniej antinarodowej i srodze w odniesieniu do sprawy polskiej występnej walki klas.

Walki klas demokracya stara nie przypuszczała nawet, jak niektóre kodeksy karne w starożytności nie przypuszczały zbrodni ojcobójstwa.

Różnice?... - różnice zachodziły - jedna zwłaszcza duża, tkwiąca w przekonaniu o „gotowości mas ludowych do walki (o niepodległość ojczyzny) w miarę czynionych im obietnic i nadziei".

Był w tem ogromy, kolosalny demokracyi starej błąd przekonaniowy - błąd polegający na nieznajomości psychologii mas ciemnych i na tej pewności, że w razie ostatecznym środka uwolnienia i uwłaszczenia włościaństwa nie chwyci się rząd zaborczy. Masy ciemne nie są do wierzenia stronie słabszej pochopne, podejrzewając w obietnicach jej podstęp. Rządy zaś nie skrupulizują w przysposabianiu na dalszą metę i wywoływaniu wedle potrzeby walk czy to narodowościowych, czy religijnych, czy klasowych, jak wypadnie - jak się to praktykuje w pozostających pod ich kierownictwem i dozorem szkołach ludowych, w uzależnionych od nich kościołach, w momentach wymagających akcyi doraźnej pod postacią stróżowania, szpiegowania, nie wykluczając rzezi (humańska, tarnowska, sołowijowiecka i inne). Obecnie w przysposabianiu walki klas rywalizuje rząd moskiewski z organizacyą socyalistyezną, która może być pewną, iżby w razie, gdyby caratowi strajki i zamachy na seryo zagroziły, uzyskałaby zaspokojenie domagań się swoich, jak demokracya uzyskała wyzwolenie i uwłaszczenie ludu, ale by nie uzyskała wyzwolenia dla **Polski**.

Demokracya emigracyi z r. 1831 - demokracya Jana Nepomucena Janowskiego (pod jego sylweta uważałem za właściwe podsunąć, jako tło do niej, treściwy pogląd na demokracyę, w której on był postacią jedną z najwybitniejszych)-grubo błądziła, licząc na lud **nieuświadomiony**. Przeliczyła się - i demokracyi „w kajdanach urodzonej, w niewoli zrosłej", a rzetelnie patryotycznej, polskiej, narodowej, pozostawiła w spadku po sobie przekaz błędu tego naprawienia.

Czy Janowski na błędzie się poznał? Przypuszczać można, że się poznał. Mam na to dowody.

Osobiście zszedłem się z nim w r. 1858 i, jak się zdaje, uzyskałem od razu względy jego, które się przedewszystkiem w ten przejawiły sposób, że na rok, czy na lat dwa przed pięćdziesiątą Tow. D. P. rocznicą zaproponował mi, abym, dla uczczenia rocznicy tej, historyę Towarzystwa napisał. Brak materyałów, czasu i inne okoliczności nie pozwoliły mi zadość życzeniu założyciela Tstwa D. uczynić. Następnie, w r. 1882, w jednej przezemnie napisanych broszurek wyraziłem się, że „jeden promień światła do ludu wprowadzony wart dla nas walnej bitwy wygranej": za wyrażenie to, wogóle ea ową broszurę, w liście gorące przystał mi uznanie. Dowód treści zaczerpnę z listu, jaki wystosował do mnie na niedługo przed śmiercią swoją, zaszłą 5 lutego 1888 r. - list, ogłoszony w „W. P. Słowie", nosi datę 14 grud-

nia 1887. Pochop do napisania listu tego dało mu do wiadomości jego dochodzące nawoływanie do zgody, jedności, solidarności. „Pochodzi to może - słowa listu - z przewidywania, że dwaj, a może i wszyscy trzej nasi ujarzmiciele na ziemi naszej mogą się wkrótce rozpierać z sobą i że to może nam dać powód jakiej akcyi. Może to także pochodzi z lepszego zrozumienia obowiązków względem kraju, za który się z orężem w ręku walczyło i gotowym było życie położyć, że zatem potrzeba mu pozostać wiernym „usque ad finem." Bądź jak bądź faktem jest, że ztąd i zowąd podnoszą się głosy do ogólnego skupienia się w tych lub podobnych słowach: Zgoda, jedność, solidarność! Pocieszający to objaw, bo każdy tak się odzywający ma niewątpliwie na myśli losy naszej ukochanej a nieszczęśliwej ojczyzny - Polski". Autor wyjątku tego nie odzywałby się tak przed laty, kiedy polemizował z arystokracyą za upieranie się przy utrzymywaniu „stosunku patryarchalnego" pomiędzy szlachtą a ludem rolnym i liczenia nie na naród własny, lecz na dyplomacyę we względzie sprawy polskiej, kiedy karcił zawzięcie czartoryszczyznę za częścią niedołężne, częścią występne kierownictwo politycznemi i wojennemi sprawami polskiemi w czasach wojny r. 1831. Doświadczenie i rozmyślinie wskazały mu, że i on błądził, na lud ciemny licząc.

Widywałem go rzadko, aleśmy korespondowali ze sobą. Odwiedziłem go raz w Juvisy, w zakładzie dla weteranów polskich. Utraktował mnie śniadaniem w gargocie miejscowej. Przy śniadaniu, słuchając zdań i opowiadań jego, przypatrywałem się mu. Kaleką z przypadku zostawszy, na kulach chodził; rysy oblicza regularne wyglądały niby z pod topora i, w połączeniu z obchodzeniem się rubasznem, świadczyły o pochodzeniu włośfiańskiem. W obcowaniu towarzyskiem umiał być zajmującym i wesołym.

Do osobistości jego odnosi się fakt jeden, tyczący się sympatyi francuskiej, jeżeli nie dla sprawy polskiej, to dla wspomnień przeszłości minionej. Działo się na pogrzebie Wiktora Hugo. Gdy zwłoki wielkiego poety do Panteonu wniesiono, przed Panteonem uszykował się pułk dragonów i mimo szeregów jazdy przeciągały jedne za drugiemi, składając niesionemi na ich czele sztandarami hołd nieboszczykowi, korporacye rozliczne. Z kolei nadeszła garstka ludzi, poprzedzona przez sztandar, za którym toczył się wózek ręczny, a w wózku siedział kaleka. Za pojawieniem się kaleki pod sztandarem, pułkownik salutował, żołnierze w szeregach broń sprezentowali. Nikomu czci takiej nie okazano. Kaleką był J. N. Janowski, sztandarem - sztandar polski.

* Piosenka uliczna, skomponowana po ucieczce w. ks. Konstantego Pawłowicza. Strofy pierwsza i druga: *„Kostuś kochany, troskami znękany - daj folgę kłopotom, rom tom tom!... rom tom tom!... rom tom tom tom, rom tom tom tom!... Po bruku burczałeś, marsowo patrzałeś - uciekłeś bez huku, a kuku!... kuku!... a kukuku, a kukuku!...*" itd.

* Dla przyszłego emigracyi polskiej historyka potrzebną jest wiadomość, że Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego posiada, otrzymane w darze od J. N. Janowskiego, rękopisy i około 1500 książek i broszur, oraz dzienniki, wydawane w emigracyi blisko lat pięćdziesiąt. Źródła do historyi emigracyi znajdują się także: w Bibl. polskiej w Paryżu (Quai d'Orlean), w Kurniku (Poznańskie) i w dużej ilości w Rapperswilu (Szwajcarya).

* Adam Gurowski podał się do amnestyi i uzyskał ią od rządu rosyjskiego; musiał jednak z Rosyi uciekać, w jego bowiem opiniach panslawistycznych rząd Mikołaja I widział niebezpieczeństwo dla siebie. Umarł w Ameryce, odepchnięty przez Moskwę i przez Polaków, w oczach których uchodził za zdrajcę sprawy narodowej. Dziwne, że „Kraj" petersburski nie rehabilitował go jeszcze.

Krystyn Ostrowski.

Postać to ciekawa - ciekawa ze względu na rodzaj służby, pełnionej przez nią w odniesieniu do sprawy polskiej. Należał on do takich, co sprawie tej służyli - służyli sercem, gorąco, ale się pospolitować nie chcieli. Takim był Władysław **Plater**, takim Krystyn **Ostrowski**. Podobni w tym względzie, różnili się w innych. Podobieństwo ich na tem polegało, że do żadnego na emigracyi nie należeli stronnictwa, zajmowali stanowiska wyosobnione i działali każdy po swojemu. O działalności Platera będzie później. Działalność Ostrowskiego scharakteryzować się postaram w Sylwecie niniejszej.

Krystyn Ostrowski był członkiem szlacheckiej starej rodziny, herbu Rawicz, „dobrze - jak Wielądek powiada - osiadłej w województwie Sandomirskim, Lubelskiem i ziemi Drohickiej". W historyi rolę wydatną odgrywać ona zaczęła w początkach panowania Stanisława Augusta. Splendor spłynął na nią od Tomasza Adama kasztelana czerskiego, podskarbiego nadwornego koronnego, uhrabionego po rozbiorach kraju przez rząd pruski. Liczne jego potomstwo (sześciu synów, cztery córki) zasypało hrabiami ziemię polską. Dwaj synowie Tomasza, Antoni wojewoda, senator, komendant gwardyi narodowej warszawskiej r. 1831, i Władysław marszałek sejmu r. 1831, oraz wnuk jego a syn Antoniego, zajmującynas obecnie Krystyn, znaleźli się, po upadku powstania, razem na emigracyi. Antoni i Władysław nie pozostawali z rękami założonemi. Krystyn, który, licząc dziewiętnaście lat wieku z Paryża, gdzie, po ukończeniu nauk w kolegium pijarskiem na Żoliborzu, przebywał dla dalszego kształcenia się na drodze naukowej i asystował rewolucyi lipcowej, na wieść o wybuchu powstania pośpieszył do Polski i wnet się do szeregów wojskowych zaciągnął. Kampanię r. 1831 odbył w artyleryi, w bateryi pod dowództwem Bema, którego stał się wielbicielem bezwzględnym pomimo, że się z nim w jednym tylko - w nienawiści niewoli moskiewskiej - zgadzał. Młody chłopiec za granicą, czy dlatego, że zasmakował w karyerze wojskowej, czy może za poradą ojca, wstąpił do otwartych natenczas dla wychodztwa polskiego szeregów wojska belgijskiego, do artyleryi. W wojsku belgijskiem odbył jedyną, jaką od wyzwolenia się swego z pod panowania holenderskiego Belgia prowadziła, kampanię: uczestniczył w oblężeniu Antwerpii. Nie kroczył jednak długo karyery tej drogą. Opuścił szeregi armii belgijskiej i nie wstąpił do szeregów emigracyjnych pomimo, że emigrantem pozostał - pozostał przejęty zasadami jednego z obozów czynnych, w których się wyraziła politycznospołeczna emigracyi polskiej działalność. Demokrata-republikanin nie wszedł do Tstwa Demokratycznego, nie należał do Zjednoczenia, nie zaciągnął się do gmin socyalistycznych Humań, Grudziądz, nie zorganizował żadnego towarzystwa na rękę własną. Epoki karbonaryzmu, nowej Polski, wypraw do Polski (Zaliwskiego) i do Włoch przebył w szeregach armii państwa, mogącego się bez siły zbrojnej obchodzić, ponieważ mocarstwa, erygujące królestwo belgijskie, uznały kreacyę tę dyplomatyczną na zawsze neutralną. W armii takiego państwa - jaka dla niego przyświecała przyszłość? Awanse z porucznika na kapitana, z kapitana na majora, pułkownika, generała.Gzy ma o to chodziło? Nie, chyba, albowiem w roku 1837 dymisyę wziął i wyosobnił się.

Wyosobnił się tak dalece, że nawet w zakresie towarzyskim ludzi nie szukał. Podania nie zaznaczają w życiu jego żadnych stosunków bliższych, żadnych przyjaźni z osobnikami płci jednej i drugiej. Pewna pani, która mi w latach osiemdziesiątych mówiła, że go od dawna i dobrze znała, zapewniała mnie, że od kobiet stronił - że się płci pięknej „bał". Jest w tem może trochę prawdy. Młody, przystojny, zamożny hrabia: posiadał tytuły i warunki wszystkie na pociąganie serc niewieścich ku sobie. Czyż nie pociągnął serduszka ani jednego? Zdarza się to, ale rzadko, mtodym zwłaszcza i bogatym hrabiom. Zdarzenie to, jeżeli w rzeczy samej miało w odniesieniu do Krystyna Ostrowskiego miejsce, zasługuje na zaznaczenie i na rozważenie.

Nie garnął się do płci pięknej. Czemu? Miłości służą: wyobraźnia żywa i krew gorąca. Bywają śmiertelnicy albo jednej, albo jednej i drugiej pozbawieni, obdarzeni od natury krwią ciepławą i wyobraźnią leniwą. Nie bezwzględnie jednak. Natury takie umieją czuć gorąco, ale nie w kierunku romansowym. Ostrowski, całą serca swego potęgą, kochał Ojczyznę.

Kochał ją i służyć jej pragnął. Służyć sobą tj. wszystkiem, co istota jego w sobie zawierała najcenniejszego. Zawierała ona w sobie przedewszystkiem życie i oddałby je za nią. Lecz - czy w każdym człowieku życie jest najcenniejszem? Co by Polska na tem była zyskała, gdyby Mikołaj Kopernik, zamiast oddania się badaniu obrotu ciał niebieskich, wybrał by zawód wojenny i zginął Sławnie w bitwie pod Orszą np.? Czy by literatura naukowa polska posiadała prace historyczne Lelewela, gdyby Lelewel, głowę w jednej z bitew r. 1831 położył? Na co by się przydała w tymże roku śmierć na polu chwały autora trzeciej części „Dziadów", ustępu Petersburg", „Pana Tadeusza"? Cenniejszem w Koperniku, Lelewelu, Mickiewiczu było to, co Ojczyźnie z siebie daćmogli żyjąc, aniżeli to, co by dali, życie za nią tracąc. Może Ostrowski o tem myślał. Przypuszczalnem to jest tem bardziej, że się poczuwał do możliwości służenia Ojczyźnie, jeżeli nie myślami mędrca, to wyobraźnią yrtysty, poety. Poczuwał się do tego, posiadając w duszy nastrój rytmiczny, wytwarzający harmonię kształtów i tonów, bez której w ludzkości istnieć by nie mógł orfeizm ani w plastyce, ani w pieśni. Jest ona niezbędną z jednej strony w rzeźbie, w malarstwie, w architekturze, z drugiej w muzyce wokalnej i instrumentalnej, najbardziej zaś, najnieodzowniej w poezyi, odpowiadającej, ze względu na materyał, z którego buduje, artyzmowi i plastycznemu i tonicznemu.

Z rytmicznym przeto, z artystycznym w diiszy nastrojem, dzięki któremu w muzyce, uprawianej przezeń z zamiłowaniem, wykształcił się naukowo i w wykonaniu wielkiej doszedt biegłości, przedstawiło mu się służenie ojczyźnie na drodze artystycznej. Miał przed sobą przykłady, o korzyściach służby tej w zakresie patryotycznym i narodowym świadczące. Marsylianka wywiera na Francuzów wpływ porywający. „Jeszcze Polska nie zginęła" elektryzuje Polaków. Chopin świat zaznajomił z istnieniem narodowej polskiej muzyki, nadającej się do kompozycyj muzycznych w najwyższym artystycznym stylu, stawiającej naród polski na równi ze wszystkimi narodami ucywilizowanymi. A poezya - co?... W czem Mickiewicz ustępuje Goethemu, Wiktorowi Hugo, Byronowi? Czyż tacy Chopiny, Mickiewicze, nie rozsławili Polski, nie wytyczyli dla niej w rzeszy narodów stanowiska zaszczytnego i niepodległego?

Myśli powyższe oblegać musiały młodego Krystyna Ostrowskiego wobec uczuwanej przezeń głęboko potrzeby służenia Ojczyźnie. Wątpić nie można, że go oblegały i ciągnęły na drogę artystyczną, albowiem drogą tą poszedł. Wziął się zrazu do muzyki, dla której bliższe zaciągnął stosunki z Wojciechem Sowińskim, muzykiem uczonym i kompozytorem. Zaczasów panowania królamieszczanin!i, w emigracyi polskie] mówiono o geniuszu muzykalnym Ostrowskiego, stawiając go obok Chopina i zapowiadając wystąpienie jego koncertowe. Za powiedź ta długo na siebie czekać kazała. Ostrowski publicznie wystąpił raz tylko. Kiedy Ludwik Filip w miesiącu lutym, r. 1848, uciekł z Paryża, lud tłumnie wtargnął do opróżnionego z królewskiej rodziny pałacu tualeryjskiego i niespodzianie usłyszał wprawnie i z zapałem graną na fortepianie Marsyliankę. Przez pootwierane na ścieżaj drzwi komnat pałacowych rozlegały się dźwięki hymnu narodowego. W jednej z komnat podchwycił ktoś nutę i zaintonował:

Allons enfants de la patrie!
Le jour de gloire est arrivé.
Contre nom de la tyranie
L'etendard sanglant s'est élevé.

Wnet śpiew się po wszystkich rozległ komnatach - zabrzmiał koncert, jakiego Tuilleries nigdy przedtem nie słyszały. Dzienniki o zdarzeniu tem opowiedziały, notując je dla potom-

ności ze szczegółami, zaczynającemi się od tego, że manifestacyę tę zapoczątkował Polak, Krystyn Ostrowski.

Był to jedyny jego, jak się zdaje, a na pewne jedyny głośny popis publiczny. O koncertach Ostrowskiego głucho było w Paryżu pomimo, że ci, co go grającego słyszeli, przyznawali mu talent ogromny. Komponował nawet. Ale się nie popisywał. Nie ufał może sobie. Nie dowierzał może publiczności. A może od występowania publicznie powstrzymywała go ta miłość własna, która szanującemu godność własną człowiekowi nie pozwala pospolitować się wobec tłumów dla oklasków. Nie umiem orzec o trafności przypuszczeń swoich. To pewne, że zdolności muzykalne Ostrowskiego, jeżeli je w rzeczy samej posiadał, pozostały kapitałem martwym.

Próbował się w poezyi i w literaturze wogóle. Pisał wierszem i prozą, tłumaczył, tworzył w językach polskim i francuskim w rozlicznych rodzajach, nawet w naukowym (Lettres slaves). Rodzajem, któremu szczególnie zaufał, był dramat. Zawziął się do niego; usiłował przełamać obojętność czytelników za pomocą wykazania wartości swoich utworów scenicznych przy świetle kinkietów teatralnych. Grano z nich niektóre w Paryżu: w Gymnase, w Port St. Martin - niestety, bez powodzenia. Podwójnie bez powodzenia: nie tylko bowiem autorowi sławy nie ściągnęły, ale go na ogromne naraziły wydatki. Dyrektorowie teatrów francuskich każdą, chociażby najlepszą sztukę wystawią, jeżeli w razie niepowodzenia, autor koszta wystawienia opłaci. A koszta to nie małe, liczące się na jeden wieczór na dziesiątki tysięcy franków. Rujnowały go one, ale nie zrażały - nie zrażały. Porównywał utwory swoje z utworami autorów francuskich i, jeżeli swoim nie przyznawał wyższości, to nie przyznawał im i niższości. I - w rzeczy samej tak było. Wszystko, co Ostrowski, czy to po polsku, czy po francuska napisał i wydał (wydawał kosztem własnym), czyni zadość regułom pisarskim. Wszystko jest jak najściślej poprawiłem. We wszystkiem tem atoli brak piętna indywidualnego - brak twórczości. Takim był powód niepowodzeń utworów jego wobec czytelników, jakoteż wobec słuchaczów i widzów w teatrze.

Jak się on polskiemi interesował rzeczami, o tem świadczy wynaleziona przezeń skrócona pisownia polska. Pisownią tą, nazwaną przezeń „streśćoną," napisał *Badegiade, ćyli Napoleon XIII, poemat heroi-komićny na tle dziejowem w dwudziestu pieśniach* (1871)". Przytoczę z niego ustępik następujący:

Swobodnej myśli polotem
Po śćyt Parnasu. n'e s'ęgam;
*Leć Prawdzic * jest mym klejnotem.*
*I **Prawdę** mówić przys'ęgam.*
Przed, zgonem, to prawda śćera,
Naś w'ek w zepsucu s'ę tarza;
N'e śukac' w nim bohatera,
W'ęc kogóż wezmę? - cesarza!

Nie przyjęła się innowacya jego w pisowni; nie uwieńczyło powodzenie usiłowań jego literackich; na wykołatanie powodzenia mocno nadszarpnął schedę, która mu się z podziału majątku pomiędzy rodzeństwo, po zgonie rodziców dostała: zraziło go to w końcu - zgorzkniał, ztetryczał, znienawidził Francyę i Francuzów i do Szwajcaryi się usunął, zamierzając w Ojczyźnie Tella dokonać, przy pomocy resztek fortuny, żywota pracowitego. Zamieszkał w Lauzannie. Na ustroniu, w osamotnieniu, nie wyrzucił z myśli, ani z serca... Ojczyzny. Jakąż jej korzyść przyniósł? Pracował. Ćwiczył się w muzyce. Ogiński, Chopin, Moniuszko, nie licząc podrzędnych, nie tylko Polskę wsławili, ale do jej osobnikowości narodowej wprowadzili jeden z wybitniejszych znamion charakterystycznych, po których się ona w rzeszy narodów rozpoznaje dziś i rozpoznawać będzie w przyszłości. On zaś - co?... Pracował na innem polu - na polu literackiem; pracował ciężko, gorliwie, łożąc sumy oaj.ońskie na opłacenie wydawnictw książkowych i przedstawień teatralnych, dyrektorów, aktorów, aktorek, szydzą-

cych zeń za plecami jego. Gzy dorównał Mickiewiczom, Słowackim, Krasińskim? Czy stanął w szeregu tuż za nimi? Czy stanął w jednym z szeregów dalszych? - w którym?... Czy który z utworów jego zformułował na rzecz Polski jaką myśl ożywczą, jaką ideę nową? czy wywołał w kim żywsze serca bicie?...

Tyle pracy! - tyle zachodów! - tyle wydatków! - i na nic...

Że takie i tym podobne myśli w Lozannie trapić go musiały, to najmniejszej ulegać nie może wątpliwości. I przychodziło mu niezawodnie na myśl porównywanie siebie, demokraty-republikanina, z tylu innymi współwyznawcami swoimi, demokratamirepublikanami, którzy bez takich, w jakie on był zaopatrzony, środków i zasobów moralnych i materyalnych, ruszali się, pracowali, działali, poświęcali się - w ciągu dalszym dziejów Polski etapy stawiali.

Czemu on z nimi nie był? Co mu przeszkadzało w działalności ich brać udział? Na pytania te odpowiedzi nie koniecznie go zadawalniać mogły, tem bardziej, że na wynagrodzenie uchybień dawniejszych za późno już było. W r. 1880 liczył lat siedemdziesiąt: czuł się starym, zdrowie nie dopisywało i powaga wieku nie pozwalała mu po młodzieńczemu poczynać. Gdyby kto wezwał...

Nie wiem, czy na wezwanie czekał. Wiem jednak, że wezwanie wielkie mu sprawiło zadowolenie.

Pojawiło się ono w miesiącu listopadzie 1880 r. Zbliżała się pięćdziesiąta nocy belwederskiej rocznica. Mieszkałem w Genewie i należałem do Towarzystwa polskiego, które pamiętną tę rocznicę uświęcić postanowiło wiecem międzynarodowym. Obok Towarzystwa polskiego istniała grupka socyalistycznej młodzieży polskiej, która postanowiła rocznicę tę uczcić po swojemu, pod hasłem: „Precz z patryotyzmem!" (*a bas le patriotisme!*). Zapowiedziało się współzawodnictwo. Chodziło o to, za kim się opinia publiczna gienewczyków i przebywających w Genewie cudzoziemców oświadczy. Powodzenie w razie takim zależy: od składu biura, osobistości przewodniczącego, brzmienia i formy afisza. Afisz nasz miał być skromnym, ale na przewodniczącego brakło nam osobistości odpowiedniej: uczestnika wojny w r. 1831 o niepodległość Polski. Wprawiło nas to w kłopot, z którego byśmy może wybrnąć nie potrafili, gdyby ktoś nie wymówił był nazwiska Krystyna Ostrowskiego. Postanowiono spróbować - wezwać go na przewodniczącego meetingowi i wydelegowano mnie, ażebym go w imieniu Towarzystwa zaprosił.

Pojechałem do Lozanny. Po przestąpieniu progu mieszkania Ostrowskiego, opanowało mnie zdziwienie, spowodowane widokiem mnóstwa ptasząt, latających swobodnie w pokoju, który napełniały szczebiotem. W pokoju tym obszernym, umeblowanym gustownie i z wyszukaniem, spotkał mnie mąż wzrostu więcej trochę niż średniego, postawy kształtnej, powierzchowności bez wyrazu. Zbliżając się do mnie, zapytał, czem mi służyć może. Nazwałem się. „A..." - odezwał się, dłoń mi od niechcenia podał, do pokoju obocznego wprowadził, siedzieć poprosił. Okazywał się zimnym i sztywnym. Przedstawiłem mu niezwłocznie powód, który mnie do niego sprowadził. W miarę jakiem mówił, fizyognomia jego zmieniała się, w oczach przebijało się ożywienie, wysłuchał mnie, pomilczał chwilkę i rzekł:

- Co za szkoda!... Przyrzekłem Platerowi, że będę na obchodzie w Rapperswilu...

- Platerowi łatwiej się bez szanownego pana obejść, aniżeli nam... - odrzekłem. Plater sam jest uczestnikiem powstania listopadowego; będzie prezydował i nada obchodowi charakter odpowiedni obchodom listopadowym w rocznicę pięćdziesiątą. Godzi się i w Genewie podobny obchód urządzić...

- Prawda... - odparł. - Ale co tu zrobić?... Wstał, po pokoju się przeszedł i, ręką machnąwszy, odezwał się:

- A!... Napiszę do Platera... przeproszę go... Podziękowałem mu, wstając celem pożegnania go.

- Czemuż pułkownik spieszysz?... - zapytał. Zatrzymał mnie, posadził i usiadł obok. Zawiązała się między nami rozmowa godzinna, jeżeli nie więcej. Mówiliśmy o emigracyi pol-

skiej, o położeniu jej obecnem i obowiązkach, o młodzieży polskiej. Ożywił się i rozgadał. Gdy rzecz o młodzieży na stół gię wytoczyła, przypomniałem sobie pogłoskęo zapisie Ostrowskiego na atypendya i pogłoskę tę powtórzyłem.

- Mam ten zamiar... - rzekł.

Wstał, razy parę w zamyśleniu po pokoju się przeszedł i, zatrzymując się przedemną, takie mi w słuch rzucił zapytanie:

- Nie chciałbyś, pułkowniku, być testamentu mego egzekutorem?...

Zmieszało mnie to. W jednem oka mgnieniu w myśli przesunęła się mi odpowiedzialność w ramach osobistego położenia mego, wyrobnika literackiego, na którym wydawcy majątki robią, ale który bez pomocy przyjaciół nie byłby w stanie piórem narodowi służyć. W myśli mi to przemknęło i odpowiedziałem :

- Nie...

Ostrowski nie nalegał. Przedstawiłem mu projekt programu obchodowego i wspomniałem o kontrobchodzie socyalistycznym...

- Mamy się więc z panami tymi zmierzyć - podchwycił. Wyzywają nas... Ano, dobrze: spróbujemy się...

Przy wyjściu, wychodząc przez ptaszkarnię, odezwałem się:

- Cóż tu ptasząt!

- Lubię kwiaty... - odrzekł - a to są kwiaty żywe, latające i tem prawdziwe przewyższające, że szczebiocą i towarzystwa mi dotrzymują...

Była to kwieciarnia ptasia, dobrana z gatunków ptasząt najpiękniejszych na kuli ziemskiej - niedogodnych z tego względu, że roniły odór nie najwonniejszy i pstrzyły meble, obrazy, firanki, fortepian. Ale na to Ostrowski nie zważał.

Obchód pod jego przewodnictwem odbył się świetnie, wobec przepełnionej słuchaczami sali. Zdaje się, że była to okazya jedyna, w której Krystyn Ostrowski przewodniczył.

Stosunek pomiędzy nim a mną zacieśnił się.Korespondowaliśmy ze sobą często. Trwało to miesięcy kilka. Nagle się harmonja z mojej winy zepsuła. Szarpiąc się z niedostatkiem pomimo pracy usilne], zamierzyłem polepszenia bytu poszukiwać w literaturze francuskiej: napisałem w tym celu dramat i jadąc z nim do Paryża, zatrzymałem się w Lozannie dla poinformowania się u Ostrowskiego o sposobach zbywania utworów takich. Zapytanie, jakiem mu we względzie tym zadał, rozjątrzyło go. Nie wiedząc o doznanych przezeń na tej drodze niepowodzeniach, przypomniałem mu je. Już go więcej nie widziałem. Wkrótce potem umarł. Na jednym ze smętarzy lozańskich legł na sen wieczny w grobowcu, zaznaczonym skromną kolumną z napisem nazwiska jego, daty urodzenia i śmierci i tytułu oficera wojsk polskich, otoczonym kratą żelazną i przyozdobionym odnawianym co wiosnę, krzakiem róż.

Pragnął służyć Ojczyźnie. Pragnienie to, nietrafnie skierowane, narażało go na niepowodzenia po niepowodzeniach. W końcu dopiero, gdy kresu żywota dobiegał, spotkało go powodzenie dwukrotnie: jedno, gdy obchodowi rocznicy powstania listopadowego przewodniczył; drugie, gdy zapis na stypendya dla młodzieży polskiej sporządził.

* Klejnotem jego rodzinnym jest Rawicz; snadź jednak mało go cenił, kiedy się do Prawdzica przyznaje. Herbarze rodzin Ostrowskich rozmaicie uherbowanych wymieniają dziesięć. Żadna się Prawdzicem nie pieczętuje.

Władysław Plater.

Znanego szeroko życiorysu Władysława hr. **Platera** zaledwie dotknę. W sylwecie, poświęconej Krystynowi Ostrowskiemu, zaznaczyłem podobieństwo pomiędzy dwoma tymi, zasługującymi na wdzięczność spółrodaków, mężami; zaznaczyłem oraz zachodzącą pomiędzy nimi różnicę. Podobieństwo polegało na tem, że jak jeden tak drugi, kochając Polskę gorąco a głęboko, zamierzyli służyć jej saumptem własnym, bez pomocy niczyjej. Różniło zaś ich to, że jeden był demokratą republikaninem, drugi arystokratąmonarchistą. Plater wkrótce po r. 1831 przymknął był do Hotelu Lambert i założył w duchu stronnictwa tego pismo, „Dziennik Narodowy", którego redakuyę powierzył jednemu z najzdolniejszych publicystów emigracyjnych, Feliksowi **Wrotnowskiemu**. Rychło atoli spostrzegł się, że w stronnictwie tem podległym być musi, usunął się więc i założył ognisko odrębne, licząc na to, że się około niego stronnictwo skupi, stronnictwo, którego on będzie duszą, rozporządzicielem, drugim ks. Adamem Czartoryskim. Organ jego redagował Wrotnowski; on zaś zawierał znajomości i zawiązywał stosunki w sferach wysokich politycznych, dyplomatycznych i kościelnych we Francyi i Anglii. W ciągu działalności tej, redaktor raz mu skrewił: za przykładem Mickiewicza ugrzązł w towianizmie, oddając na rzecz doktrynytej redagowany przez siebie organ. Zaszkodziło to mocno i organowi i ogniskowym Platera widokom pomimo, że towianizm z dziennika niezwłocznie usunął. W rozmowie ze mną, wspominając raz o organie swoim, powiedział:

- O!... Wrotnowskiego krótko w ręku trzymałem...

Nie zdało się to na nic. Widoki na zajęcie stanowiska przewodniczącego nie ziściły się. Pismo założone w r. 1840, trzymało się do roku 1847, wydawca zaś onego, rychlej niż Ostrowski, już bowiem r. 1844 zamieszkał w Szwajcaryi z żoną Niemką, którą pojął nie zbyt poprawnie. W Szwajcaryi sprawy polskiej z oka nie spuszczał, ale w tyczących się jej zdarzeniach brał udział dorywczo, utrzymując jeno ciągłość nieprzerwaną w korespondeneyi, prowadzonej z mężami stanu i dziennikami, obsyłając memoryałami i adresami gabinety, pisując od czasu do czasu do monarchów i monarchio, do papieża i kardynałów, publikując broszury polityczne. Działalność jego w kierunku tym nie ustawała. Prowadził ją w porządku kancelarynym, formując archiwum, złożone z listów wychodzących i wchodzących, z wycinków i wypisów z gazet i przeglądów, z wszelakich w ręce mu wpadających a o Polsce wzmiankujących druków. Ciekawem jest archiwum to. W niem przyszły dziejów emigracyi polskiej autor nie jedną znajdzie wskazówkę.

Pracował człowiek, pracował usilnie i gorliwie... dla Polski; lecz z pracy tej korzyść byłaby nie wielka, gdyby nie przyszła mu myśl założenia muzeum polskiego w Rapperswylu.

Myśli tej nie waham się nazwać prawie genialną - „prawie" dla tego tylko, że powstała w głowie człowieka, nie zasługującego na posądzanie go o genialność. W sferze arystokratycznej posądzano go o co innego: o pewne niedobory umysłowe. W sferach tych nie inaczej, jeno z przekąsem o nim mówiono - i z przekąsem się o pomyśle jegow ustnej i pisemnej mowie odzywano. „Władysław Plater?", „Muzeum?!". Ci, co go znali bliżej i lepiej, nie przypuszczali, ażeby co z tego być mogło. P. Estreicher Karol zaszczycił mnie paru listami, w których przedsiębiorstwu temu, ledwie, że nie występnemu zdaniem jego, wróżył dla tego, że pod kierownictwem Władysława Platera pozostawało, koniec smutny. W liście ostatnim, pisanym na rok, jeżeli nie mniej, przed śmiercią Platera, czynił emigracyę odpowiedzialną za wstyd i lianbę, jaka na Polaków spadnie, gdy po śmierci Platera Szwajcarowie z publicznego targu za długi sprzedadzą muzeum, noszące nazwę „polskiego" i „narodowego". O długach na muzeum ciążących, nic na pewne wiedzieć nie mogłem. Przypuszczałem, że są; nie przypuszczałem jednak, ażeby być miały wielkie, sądząc po tem, co się w zamku, w salach muzealnych znajdowało. Czynsz za zamek tak jest niskim, że nie mógł wzbudzać obawy; na zbio-

rach zaś pierwotnych, wyglądających bardzo skromnie, a składających się w części znacznej z rzeczy pamiątkowych, z przedmiotów takich, jak np. szerśó z konia Kościuszki, kora z dęba, pod którym spał Leszek Czarny przed bitwą z Jadźwingami, i miał sen rokujący mu zwycięstwo, pod warunkiem, ażeby na miejscu tem kościół pobudował i t.p., długi żadne ciążyć chyba nie mogły. Nie zatrważały mnie przeto obawy Sz. Estreichera. Odpisałem na nie, że zapobieżenia przewidywanej przezeń hańbie wymagać należy nie od niezu opatrzone j w monetę emigracyi, ale od zamożnej arystokracyi, w szeregach, której rodzina Platerów poczestne zajmuje stanowisko.

Sanie muzeum, jako takie, nie zachwycało mnie nadmiernie. Zachwycała mnie myśl, idea - idea, która się w głowie Platera wylęgła.

Czemu idea ta, wysoko przezemnie ceniona, wylęgnąć się mogła w głowie, bardzo nie wysoko cenionej w tej sferze społecznej, do której właściciel jej należał?Przedstawia się tu do rozwiązania zadanie psychologiczne. Rozwiąże się ono z łatwością za pomocą zapytania następującego:

„Czyby Platerowi idea podobna do głowy zawitała, gdyby ona, do spółki z sercem, nie była Polską zapełniona ?...".

Polska mu serce i głowę zapełniała. Kochał ją i myślał o niej, pragnąc jej służyć jaknajskuteczniej. I służył - służył jak mógł i umiał: w interesach jej do Francyi, Anglii, Niemczech (Frankfurt r. 1848) jeździł, chodził, pisał, przemawiał, nawiązywał stosunki, zakładał biura, organizował agencye, dreptał, zabiegał. Świadectwami na piśmie deptań tych i zabiegów w Brolbergu (nazwa domu jego, w którym nad jeziorem zurichskiem zamieszkał) się otoczył i, na świadectwa te patrząc, nieraz siebie zapytywać musiał:

„Na co się to wszystko zdało ?... Czy jest wtem materyał dla mnie na monumentum aere perenius?... Czy w materyale tym znajdzie się dla ukochania mego Ojczyzny, jakie pocieszenie, jaka rada, jaka wskazówka?

Wątpliwości podobne obsiadać musiały zmysł tego pana wielkiego, możnowładcy polskiego w stylu możnowładeów, przez Szajnochę nazwą „królewiąt" napiętnowanych, któremu Moskale dobra w kraju skonfiskowali i który, wyekspensowawszy się na działalność na rękę własną, gonił resztkami uratowanych sztucznie zasobów majątkowych. Resztki te nadszarpało mu mocno powstanie styczniowe tak w ciągu półtorarocznego trwania, jak po upadku, gdy Szwajcaryę napełnili rozbitki, których potrzeba było karmić, odziać, po mieszkaniach umieszczać i w sposoby do życia na przyszłość zaopatrywać. Pozawiązywane po stolicach kantonalnych i po miastach znaczniejszych komitety czyniły we względzie tym dużo. Wymagało to jednak czuwania. W Szwajearyi francuskiej czuwał Stryjeński, w niemieckiej Plater. Plater czuwał, wzorując się na hetmanów, na posłówdawnych, którzy w naałych potrzebach z własnej łożyli szkatuły, l on w potrzebie jak tamci z własnej łożył kieszeni. Tamtym Rzeczpospolita zwracała. Jemu zwrócić nie było komu; za to było komu szkalować go, oskarżać, wierszem i prozą ośmieszać z racyi mniemanych nadużyć i rzeczywistych tonów pańskich. Nie zrażał się tem, widząc ochoczość, z jaką spółziomkowie Wilhelmów Tellów i Winkelridów nieśli pomoc bojownikom za wolność, wyrzuconym z ziemi ojczystej. Ochoczość ta poznać mu dała źródło, z którego wypływała: był niem wiekami pielęgnowany patryotyzm narodowy, uwidoczniony wszędzie, gdzie to się zrobić dawało, wspaniałym lub skromnym pomnikiem, pouczającym naród o jego względem ojczyzny obowiązkach. Czy by się nie przydało coś podobnego Polakom?... - coś, co by i do nich, i do narodów obcych przemawiało?

Na zapytanie to odpowiedziała kolumna spiżowa, postawiona kosztem Platera w miesiącu sierpniu roku 1868, przy końcn alei ciągnącej się od bramy zamkowej w miasteczku Rapperswil grzbietem wzgórza i wrzynającej się cyplem w jezioro Zurichskie. Kolumna stoi na piedestału kamiennym, głoszącym w czterech językach (łacińskim, niemieckim, francuskim, polskim) światu, że „Niespożyty duch polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw

ciemiężącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata".

Pytanie: czemu w Rapperswylu, nie gdzieindziej - nie w Solurze np., gdzie umarł Kościuszko, nie w Lozannie, w której akademii wykładał Mickiewicz - miejsce na pomnik wybrał? Rapperswyl leży w kantonie St. Gallen, kanton zaś St. galeński goręcej niż inne kantony z rozbitkami z powstania styczniowego sympatyzował. Na żaden jednak żalić się nie można. Zurich młodzieży polskiej otworzył ułatwiony do szkól swoich wstęp, urządził dla niej specyalne a bezpłatne kursa przygotowujące do uniwersytetu i politechniki. St. Gallen sympatyą swojązamanifestował cieplej, serdeczniej, czem względy Płatem pozyskał i wybranie Raperswylu ua pomnik spowodował.

Możeby fundaeya jego na pomniku poprzestała była, gdyby kolumna zakończona u góry kulą ziemską, z której się do lotu orzeł polski zrywa, posiadała warunki opierania się wiatrom, ześrodkowującym się niekiedy w podłużnej dolinie jeziora i uderzającym potęgą wielką na cypel zanikowy. Wiatry uniemożliwiły trzymanie się na cyplu kolumny. Pokazała się potrzeba przeniesienia jej na miejsce ubezpieczone a odpowiednie.

Wyszukanie miejsca takiego łatwem nie było. Nasuwał się niejako podwórzec zamkowy. Pozostawienie zamku atoli w stanie, w jakim się w r. 18689 znajdował - w stanie rudery - i ulokowanie na podwórzu kolumny byłoby dołączeniem jej do służących do zamiatania ulicy i naprawiania bruków narzędzi i gratów rozmaitych, którym za skład służył, i - zaprzepaszczeniem jej. Ażeby znaczenie jej zachować, potrzeba było zamku przeznaczenie zmienić, czyli: do kolumny go przystosować. Na drodze tej sam przez się wykiełkował pomysł założenia Muzeum.

Że jest to pomysł znakomity, temu przeczyć mogą ci jeno desperaci, co nie widzą już dla Polski miejsca w Europie i pragną, dla nierozbudzania apetytów faktycznych, ogołocić ją ze wszystkich posterunków polskich, oddając Polaków na łaskę i niełaskę mocarstw, co ojczyznę ich pomiędzy siebie rozebrały. Plater potrzebę posterunku, świadczącego o kulturalnem Polski, śród narodów znaczeniu, o jej przydatności cywilizacyjnej, czuł i rozumiał - raczej zrozumiał. Zrozumiał z łatwością dla tego, że czutkochał. Kochając, nie koniecznie być orłem potrzeba, ażeby odgadnąć, co ukochanej istocie korzyść istotną przynieść może.

Ze szczytu kolumny, od orła, wpłynęła mu do głowy idea muzealna i...w r. 1870, w kantonie St.Gallen, w miasteczku Rapperswyl, w zamku o murach grubych, zbudowanym, jak kroniki głoszą, r. 1098 na to, ażeby zrazu baronom Rappom, następnie grafom Habsburgom, służył ku mieszkaniu, obronie i rozweseleniu, stanęło Muzeum narodowe polskie. Umowa o dzierżawę dokonała się z łatwością. Rudera zamkowa, bluszczem zewnątrz obrośnięta, o połamanych drzwiach i powytłukanych oknach, służyła za mieszkanie puszczykom i nietoperzom, za schronisko dla wróbli, które w posiadanie zabrały bluszcze i zapełniły je tysiącami gniazd. Użytek, jaki z niej gmina ciągnęła, polegał na dwóch wieżach, wznoszących się ze strony miasta. W jednej z nich mieszkał strażnik, obowiązany ostrzegać o pożarach; do drugiej przywiązanym jest przywilej stary nakręcania zegara, nadany jednej z rodzin mieszczańskich, otrzymującej za czynność tę wynagrodzenie. Zresztą znaczenie zamku, obok cmętarza i kościoła, obok alei spacerowej, było czysto dekoracyjne. Znaczeniu temu muzeum nie zagrażało ani usunięciem, ani obniżeniem - przeciwnie: gmina przeto rapperswylska zyskiwała na urzeczywistnieniu idei, którą kolumna zrodziła.

Piszę o tych szczegółach wedle wspomnień długich rozmów, jakie z Platerem w materyi muzeum toczyłem i korespondencyj, jakie z nim zamieniłem. W pozostałych po nim papierach listów moich dziesiątków dziesiątki znajdować się muszą. W nich, o ile przypominam sobie, o czem innem mowy nie było, tylko, jeżeli nie wyłącznie, to głównie, o dwóch sprawach: muzealnej i stypendyalnej.

Muzeum nieboszczyk na szeroką zakroił był skalę. Miało ono nie tylko być wszeehstronnem wobec świata ucywilizowanego przedstawicielem Polski, ale oraz i jej sprawami, pod

naczelnym Władysława Platera dowództwem, kierować. W celu tym zamierzoną była kreacya wydziałów ministeryalnych: spraw zewnętrznych i wewnętrznych, finansów, wojny, oświaty, kultu i t.d. Miało się to urządzać i różwijaó stosownie do napływu środków, na co założy. ciel instytucyi tej na pewne liczył ze względu na jej pożyteczność, oraz na to, że w muzeum w Rapperswylu stanie Rząd narodowy jawny i uzyska taki posłuch, jaki naród w czasie powstania dawał Bządowi narodowemu bezimiennemu. Rządowi, na którego by czele stanął Władysław hr. Plater - czyżby naród posłuchu i płacenia podatków odmówić miał?... W zakroju tym, nie ogłoszonym ale zamierzonym - białemi niciami szytym, naiwności było dużo; nie mniej jednak było dużo dobrej wiary i chęci najlepszych.

Zamiar zaznaczał się w ustanowieniu Rady muzealnej, oraz w gromadzeniu pod firmą Muzeum funduszów na cele pozamuzealne, np. na zapomogi dla skazywanych na Syberyę przez rząd rosyjski księży katolickich i inne.

Skład Rady przedstawiony do uznania zarządowi kantonalnemu i uznany przezeń, liczył członków pięciu, a mianowicie: Władysław hr. Plater, Stefan Buszczyński, Henryk Bukowski, Agaton Giller i Józef Ignacy Kraszewski. Z tych pięciu sam tylko Plater był czynnym; dwaj Bukowski i Kraszewski, czynnymi być próbowali, lecz z Platerem do porozumienia dojść nie mogli i faktycznie się usunęli; dwaj ostatni w Radzie figurowali, ale udziału w niej nie brali. Plater rządził i zawiadował wszystkiem sam, przy pomocy zamianowanego przezeń kustosza, którym był Radomiński, nie speeya lista muzealny, ale człowiek światły i rozgarnięty. Radomiński by sobie radę dawał, gdyby miał był swobody trochę. Zauważyłem, że na Platera wpływ niejaki wywierał Giller jeden, zresztą nikt. Chciał być panem samowładnym i był nim w tem przekonaniu, że się na wszystkiem zna i wszystko zarządzić potrafi. Należał do rodzaju tych naszych wielkich panów, co się mieli za równie uzdolnionych do wszystkiego na stanowisku nieinaczej, tylko przewodniem, dla których wszystko było jedno: fach prawniczy, sztuka budownicza, zajęcie finansowe, cele edukacyjne, buława hetmańska, pastorał arcypasterski, czy co innego. W charakterze tym, w okazałości całej, występował raz do roku, w dniu 29 listopada, obchodzonym w Rapperswylu z możliwie jaknajwiększą okazałością.

W dniu tym odbywał się zjazd. Specyalnie na cel ten wynajęty parowiec przywozi z Zurychu młodzież polską uniwersytecką, emigracyę dawniej tam osiadłą, delegacye słuchaczy węgierskich, włoskich, słowiańskich (nie Moskali jednak), oraz parę osobistości z grona profesorskiego lub urzędowego. Goście przybywali około 10 rano, udawali się niezwłocznie na zamek, gdzie dla nich w głównej na pierwszem piętrze sali przygotowane były stołki, otaczające w półkole ustawiony w głębi na podniesieniu fotel, oskrzydlony ze strony jednej i drugiej krzesłami dla dygnitarzy miejscowych i przybyszów dystyngowanych. Gdy goście pozajmowali stołki i krzesła, Plater wstępował na podniesienie, witał obecnych, zasiadał na fotelu i odczytywał mowę w dwóch językach, w polskim i francuskim. Następnie udzielał głosu mówcom z góry zamówionym, do których należałem ile razy mię zapraszał, a zapraszał na obchód każdy. Delegaci przemawiali w językach narodów, których członkami byli, a więc po węgiersku, po włosku, po czesku lub serbsku. Po niemiecku odzywali się dygnitarze szwajcarscy. Raz słyszeć się dały akcenty mowy angielskiej. Stało się to na obchodzie setnej rocznicy niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, w którym udział wziął delegat ambasady amerykańskiej z Berna. Był to obchód wyjątkowo uroczysty. Gdyśmy wieczorem po bankiecie - obchody wszystkie bankietami się kończyły - do Zurichu wracali, przyświecała nam iluminacya obydwóch brzegów jeziora. Świadczy to, że - mimo, iż za orła w sferze swojej nie uchodził - rozumiał znaczenie Stanów Zjednoczonych w polityce wszechświatowej, żywo i mocno wybitniejszych zaborców Polski interesującej. Na uczczenie Ameryki wysadził się. Na podwójnej trzydziestokilkn kilometrowej długości brzegów jeziora, iluminacyę sam zarządził i opłacił. W ogóle wszystkie w Rapperswyln na obchody wydatki (parowiec, bankiet, dekoracye etc.) z własnej opędzał kieszeni. Płacili sami za siebie ci tylko, co z dalszych przybywali stron.

Na obchodach Plater w całym występował majestacie, który w porównaniu z występowaniem monarchów, a nawet i podrzędniejszych figur urzędowych, skromniutkim był - raził jednak. Raził tem, że w niepokaźnej postawie amfitrjona, w pospolitej jego fizyognomii, w ruchach, w wymowie nic się nie przebijało majestatycznego. We wszystkiem w oczy się rzucało przybranie. Miny przybierał - dynastę udawał, przemawiając, czy to z wysokości fotelu w sali muzealnej, czy też z krzesła prezydyalnego na bankietach, przy których do spełniania toastów na cześć Polsfci i na cześć hrabiego, służył piihar specyatny, mogący mieścić w sobie wina litrów parę. Używał się on dla formy tylko.

Formalizm, przez Platera przestrzegany, zrażał do niego emigracyę demokratyczną zwłaszcza, zrażało ją zaś bardziej jeszcze usuwanie jej od spraw muzealnych - do wglądania w które rościła ona sobie prawo ze względu na zwracanie się hrabiego do ofiarności publiczne. Ze strony emigracyi dużo było racyi. Domagała się ona sprawozdań, mianowicie zaś rachunków, które, ukazawszy się razy kilka na początku, zaprzestuły nagle zawiadamiać publiczność ze szczegółami dochodów i rozchodów. Milczenie w tym względzie wywołało wieści o niewłaściwościach w zarządzaniu muzeum, w przebudowywaniu zamku, w obchodzeniu się z robotnikami, w obdłużaniu instytucyi. Wieści podobne krążyły, jątrzyły opinię i oburzały osobistości, bliżej się temi sprawami interesujące. Wyrazem oburzenia stała się broszura wydana przez Ludwika Michalskiego, ówczesnego prezesa Zjednoczenia towarzystw polskich w Szwajcaryi, przez niego i przez kilku innych podpisana. Podpisu mego na niej niema: odmówiłem, podejrzewając w niej przesadę i nie mając pewności, ażeby się ona do poprawienia stosunków przyczynić mogła. Plater się mi na Michalskiego ustnie i pisemnie żalił. Perswadowałem mu, że jedynym i najpewniejszym na uspojenie opinii sposobem są rachunki. „Niech hrabia Michalskiemu zrobienie rachunków powierzy...” - słowa te znajdą się w jednym z moich do niego listów, jeżeli się listy moje uchowały. Na rachunki nalegałem w tem przeświadczeniu, że jeżeli są jakie długi, to nie na Muzeum chyba, ale na prywatnym Platera majątku, i nie muszą być wielkie, miarkując wedle tego, że stypendya młodzieży dawał - stypendya z jakiegoś, (póki, po śmierci Ostrowskiego, zapis jego nie stworzył stałej i jawnej kasy stypendyjnej) funduszu zagadkowego,

Stypendya były jednym z powodów, dla którego odmówiłem podpisania się na broszurze Michalskiego, wykierowałem się bowiem mimochcąc na pośrednika pomiędzy Platerem a uczącą się młodzieżą. Pośrednictwa mego specyalność stanowiło wyrabianie stypendyów dla socyalistów i kobiet, nie posiadających jego względów. Stąd mnie o socyalizm posądzał mimo, iż perswazyą moją, przedstawiającą naukę jako nieochybny do zwalczania socyalizmu środek, z uznaniem przyjmował. Ale się posądzenia uie pozbywał i rachunków nie robił.

Posądzenia się nie pozbywał, będąc jednym z tych myślicieli, którym, gdy co do mózgu się wsunie, to już w nim twardo siedzi. Po śmierci Kraszewskiego i Gillera, oglądał się za zastępcami ich w Radzie muzealnej. Zwrócił był i na moją osobę uwagę, proponując mi nie wprost lecz za pośrednictwem p. Malwiny Ogonowskiej, tej, co języku polskiego Włochów nauczała i literaturę polską w uniwersytecie bolońskiin wykładała, którą w celu tym do mnie do Genewy przysłał. Propozycyę przyjrnowałem pod warunkiem rachunków. Warunek ten, łącznie z posądzeniem o socyalizm, odwrócił uwagę Platera od osoby mojej, zwracając ją na osobę księdza Krechowieckiego, którym się zrazu zachwycał, zwał go złotoustym, z którym się atoli nie wiem o co poróżnił.

Rachunków nie robił nie przez upór, ani z żadnego uwłaczającego mu powodu, ale dla tego poprostu, że to nie jego była rzecz. Zaplątał się śród kas i funduszów, które pozakładał i wybrnąć z odmętu nie umiał. Aż natrafił na Gałęzowskiego Józefa (pułkownika), uznającego doniosłość patryotyczną idei muzealnej i biegłego w rachunkowości. Gałęzowski go z kłopotów rachunkowych wyprowadził, ale po jego dopiero śmierci.

A kłopoty nawaliły się na niego ogromne. Dojeżdżały go, z jednej strony emigracya, z drugiej stańczykierya. Ta ostatnia wybaczyć mu nie mogła zapobieżenia, przez założenie Mu-

zeum, upadkowi politycznego emigracyi polskiej znaczenia. Zmuszało go to do toczenia walki na dwa fronty. Toczył ją - okuniem, hardo stawiał się na lewo i na prawo. Walka ta jednak zmagała go, irytowała i kto wie, czy mu zgonu nie przyspieszyła.

Ze mną stosunki do końca zachowywał dobre. Na obchody do Rapperswylu przyjeżdżałem w przededniu, zajmowałem numer w hotelu, w którym i on stawał i, wieczorem zaproszony przezeń do jego numeru, spędzałem z nim całe na rozmowie noce. Rozmowy te snuły się zawsze około spraw publicznych.

Nie był to - powtarzam - orzeł. Punkt wychodni poglądów i działalności jego mieścił się nie w głowie, ale w sercu i ułatwił mu przez to powzięcie myśli pożytecznej. Do myśli tej - do tej idei przywiązał się, ale ponieważ komplikowały ją warunki naukowe, artystyczne, polityczne, oraz administracyjne znane mu z wysokości zajmowanegoprzezeń społecznego i towarzyskiego stanowiska, urzeczywistnić jej należycie nie umiał. Urzeczywistnienie warunkom tym odpowiadające, spada na tych, co rozwój w ciągu dalszym zapoczątkowanego przez niego, pożytecznego i potrzebnego dzielą wzięli na siebie. Zasługa wcielenia idei do niego wyłącznie należy.